GRZESZNIK NAWRÓCONY

BRIDGERTONOWIE

JULIA QUINN

NETFLIX
NA PODSTAWIE SERII KSIĄŻEK
POWSTAŁ
SERIAL ORYGINALNY NETFLIX
BRIDGERTONOWIE

JULIA QUINN

BRIDGERTONOWIE

GRZESZNIK NAWRÓCONY

Przekład
Maria Wójtowicz
Katarzyna Krawczyk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Julia Quinn
Grzesznik nawrócony

Tytuł oryginału
When He Was Wicked

ISBN 978-83-8202-668-9

Copyright © 2004 by Julie Cotler Pottinger
When He Was Wicked: The 2nd Epilogue copyright © 2007 by Julie Cotler Pottinger
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2022

Wykorzystanie przekładu za zgodą Wydawnictwa AMBER Sp. z o.o.

Grzesznik nawrócony: Drugi epilog przełożyła Katarzyna Krawczyk

Redaktor prowadzący
Dariusz Wojtczak

Cover photo © Lee Avison/Trevillion Images

Wydanie I w tej edycji

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

B.B., który trwał wiernie u mojego boku, gdy pisałam tę książkę. Najlepsze należy się cierpliwym! A także Paulowi, choć upierał się, by zatytułować tę powieść

Miłość w czasach malarii

Część I – Marzec 1820, Londyn, Anglia

1

…Nie nazwałbym tego szampańską zabawą, ale nie jest aż tak strasznie, jak by się mogło wydawać. W końcu są tu kobiety — a jeśli są kobiety, to musi być wesoło, nieprawdaż?

Michael Stirling do swego stryjecznego brata Johna, hrabiego Kilmartin. List został wysłany podczas wojen napoleońskich z 52. Regimentu Królewskiej Gwardii Pieszej.

W życiu każdego zdarzają się chwile przełomowe tak niezwykłe, wstrząsające i olśniewające, iż człowiek ma wrażenie, że ugodzono go prosto w serce. W takich momentach traci dech i wie, bez cienia wątpliwości, że wszystko w jego życiu uległo nieodwracalnej zmianie.

Dla Michaela Stirlinga takim punktem zwrotnym była chwila, gdy ujrzał po raz pierwszy Francescę Bridgerton.

Do tej pory Michael przeważnie uganiał się za kobietami, a jeśli one zabiegały o jego względy, uśmiechał się z leciutką ironią i pozwalał im się skusić… po to tylko, by w końcu zostać zwycięzcą. Pieścił je, całował, kochał się z nimi — ale żadnej nie oddał serca. Tym razem jednak wystarczyło mu raz spojrzeć na Francescę Bridgerton, by zakochać się w niej nieoczekiwanie i tak głęboko, że aż dziw, iż nie padł jej do nóg.

Nieszczęśliwym dla Michaela zbiegiem okoliczności, Francesca miała pozostać panną Bridgerton już tylko przez trzydzieści sześć godzin. Poznali się podczas proszonej kolacji wydanej z okazji jej rychłych zaślubin z Johnem, jego stryjecznym bratem.

Życie stroi sobie niekiedy takie okrutne żarty! — myślał Michael, kiedy

był w lepszym humorze i starał się wyrażać swe myśli w sposób wyważony.

W gorszym nastroju używał znacznie mocniejszych określeń.

A odkąd kochał się w żonie stryjecznego brata, często ogarniała go taka irytacja, że nie zależało mu szczególnie na kulturalnym formułowaniu opinii.

Zresztą ukrywał swoje uczucia całkiem dobrze. Nie wypadało przecież być wiecznie rozdrażnionym. Mógłby się trafić ktoś spostrzegawczy; jeszcze by coś zauważył albo — uchowaj Boże! — zaczął wypytywać, co go tak dręczy.

Co prawda Michael Stirling był dumny (i słusznie) z łatwości, z jaką ukrywał swoje prawdziwe uczucia i mydlił ludziom oczy; mimo że uwiódł wiele kobiet, nie wyzwano go ani razu na pojedynek — co graniczyło z cudem. Ale, szczerze mówiąc, nigdy przedtem nie był zakochany. A nic bardziej nie przytępia wrodzonych zdolności do łgania w żywe oczy w krzyżowym ogniu pytań niż nieszczęśliwa miłość!

Michael śmiał się więc, był wesoły jak szczygiełek i nadal uwodził kobiety. Tyle że teraz w sypialni zamykał oczy. Przestał też — definitywnie — chodzić do kościoła. Modlitwa o zbawienie własnej duszy w jego przypadku byłaby bluźnierstwem. Kościół parafialny w pobliżu Kilmartin wzniesiono w 1432 roku, toteż jego nadgryzione zębem czasu mury nie wytrzymałyby gromu z jasnego nieba, który z pewnością uderzyłby w bezbożnego zuchwalca podczas takich modłów.

Gdyby bowiem Pan Bóg zapragnął — dla przykładu — zetrzeć w proch jakiegoś zatwardziałego grzesznika, nie mógłby wybrać lepiej, niż unicestwiając właśnie jego, Michaela.

Michael Stirling, potępieniec.

Wyobraził sobie taką rekomendację na bilecie wizytowym. Kazałby to

nawet wydrukować w przypływie czarnego humoru, gdyby nie pewność, że na ten widok jego matka padłaby trupem.

Michael mógł być hulaką, rozpustnikiem, uwodzicielem… ale to jeszcze nie powód, by dręczyć własną rodzicielkę.

Zabawne, dawniej, zadając się z różnymi kobietami, nigdy nie czuł, że grzeszy. Teraz zresztą także nie dostrzegał w tym nic karygodnego. Przecież wszystkie aż się do tego paliły. Nie sposób uwieść kobietę, jeśli ona sobie tego nie życzy — chyba że ktoś szlachetną sztukę uwodzenia pomyli z gwałtem. A zatem wszystkie jego kobiety naprawdę miały na to ochotę, bo ilekroć Michael dostrzegł u którejś choćby cień wahania, dawał za wygraną. Namiętność nigdy dotąd nie zawładnęła nim do tego stopnia, by nie mógł się wycofać.

A poza tym nie wodził na pokuszenie dziewic ani nie sypiał z cudzymi żonami. Bez przesady! Choć żył w kłamstwie, nie zamierzał oszukiwać samego siebie. Owszem, sypiał z mężatkami, i to z wieloma, ale tylko wtedy, gdy ich mężowie należeli do kategorii indywiduów niezasługujących na żadne względy. A i wówczas tylko w takim przypadku, gdy niewierna żona już wypełniła swój obowiązek względem rodziny, wydając na świat dwóch absolutnie legalnych synów. Nawet trzech, jeśli któryś z chłopców był słabowity.

Mężczyzna musi przecież przestrzegać zasad.

…Ale to, co się z nim teraz działo, przekraczało wszelkie granice. Było nie do wybaczenia. Nie chodziło o zwykły grzeszek — miał ich mnóstwo na sumieniu — tylko o taki, po którym dusza staje się czarna jak noc. W najlepszym wypadku, jeśli nie zbraknie mu sił i nie dopuści do tego, co mu podszeptywała namiętność, mógł liczyć najwyżej na duszę w smętnym kolorze węgla brunatnego. Przecież to w ogóle nie mieściło się w głowie…

Pożądał żony stryjecznego brata.

Johna, który był mu droższy niż rodzony brat. Johna, którego rodzina przyjęła Michaela, gdy stracił ojca. A tata Johna wychowywał go jak własnego syna. Uczył go, jak być porządnym człowiekiem.

Niech to wszyscy diabli! Czyż musiał sobie o tym wszystkim przypominać? Mógłby przez tydzień wyliczać powody, dla których trafi prosto do piekła za to, że zakochał się właśnie w żonie Johna… a to by i tak niczego nie zmieniło.

Nie mógł jej mieć. I basta.

Francesca Bridgerton Stirling była dla niego nieosiągalna.

W tej sytuacji mogę najwyżej, pomyślał z ironią, napić się czegoś mocniejszego.

Siedział na kanapie w swobodnej pozie (kostka jednej nogi oparta o kolano drugiej), snuł te rozważania i obserwował z przeciwległego końca salonu, jak John i Francesca śmieją się, robiąc do siebie słodkie oczy.

— I chyba się na to zdecyduję! — obwieścił, opróżniając kieliszek jednym haustem.

— Na co, Michaelu? — spytał John.

Słuch miał, jak zawsze, znakomity.

Michael, unosząc kieliszek, zaprezentował doskonałą imitację radosnego uśmiechu.

— Po prostu pić mi się chce — stwierdził, utrzymując się po mistrzowsku w roli bon vivanta.

Przebywali w Kilmartin House, londyńskiej rezydencji Kilmartinów — nie mylić z rezydencją główną, Kilmartin w Szkocji, gdzie obaj chłopcy dorastali, ani z drugim Kilmartin House w Edynburgu. (Żaden z ich przodków nie odznaczał się twórczą wyobraźnią). Oprócz tego były jeszcze: Kilmartin Cottage — o ile można nazwać „domem wiejskim” budynek o dwudziestu dwóch pokojach, Kilmartin Abbey i — rzecz jasna

— Kilmartin Hall. Michael nie mógł pojąć, dlaczego żadnemu z antenatów nie przyszło do głowy, by nazwać choć jedną z rezydencji ich rodowym nazwiskiem. „Stirling House” brzmiałoby niezwykle szacownie! Prawdopodobnie ambitni (i, jak się już rzekło, pozbawieni wyobraźni) Stirlingowie z minionych wieków byli tak zauroczeni świeżo zdobytym tytułem hrabiowskim, że nawet im nie przeszło przez myśl, iż można czymś zastąpić owo bezcenne „Kilmartin”!

Michael parsknął pogardliwie i dolał sobie whisky. Aż dziw bierze, że nie podawano w tym domu herbaty jakiegoś wybitnego Kilmartina i nie siadywano na krzesłach w stylu Kilmartinów! Prawdę mówiąc, pewnie by do tego doszło, gdyby te nazwy nie kojarzyły się z czymś tak haniebnym jak rzemiosło czy handel. Nawet niezłomna babka Stirling nie zdołała pokonać tej przeszkody. Stara tyranka pyszniła się Kilmartinami, jakby należała do nich od urodzenia, choć weszła do hrabiowskiej rodziny dopiero przez małżeństwo. Zdaniem babki, hrabina Kilmartin — czyli ona — dorównywała znaczeniem każdej wybitnej osobistości. Nic dziwnego zatem, że głośno wyrażała oburzenie, kiedy musiała dać pierwszeństwo jakiejś „parweniuszce”, czyli mniej błękitnokrwistej markizie lub księżnej.

Babka nie uznawała niczyjej wyższości, może z wyjątkiem królowej, rozważał beznamiętnie Michael. Zapewne zginała kolana przed Jej Królewską Mością, ale — gotów był przysiąc — nie okazywała podobnego szacunku żadnej innej niewieście.

Za to Francesca Bridgerton z pewnością zyskałaby jej aprobatę. Babka zadarłaby nosa, dowiedziawszy się, że ojciec Franceski był zaledwie wicehrabią; jednak nie ulegało wątpliwości, że Bridgertonowie to rodzina stara i lubiana; a gdy bardzo im na czymś zależało, mogło się okazać, że nie brak im wpływów i znaczenia. Poza tym sama Francesca trzymała się dumnie wyprostowana, jej sposób bycia charakteryzowała godność,

a poczucie humoru miała kostyczne i nieco przewrotne. Gdyby więc była o pięćdziesiąt lat starsza i znacznie mniej atrakcyjna, stanowiłaby idealne towarzystwo dla babci hrabiny.

Teraz zaś Francesca sama była hrabiną Kilmartin. Żoną jego stryjecznego brata Johna. Choć miał rok mniej niż Michael, zawsze okazywano mu względy należne starszemu synowi. Był spadkobiercą tytułu. Ich ojcowie przyszli na świat jako bliźnięta, ale rodzic Johna urodził się o siedem minut wcześniej niż papa Michaela.

Tych siedem minut miało zaważyć na całym życiu Michaela Stirlinga, choć wówczas nawet nie było go na świecie.

— Jak uczcimy naszą drugą rocznicę ślubu? — zagadnęła Francesca, przechodząc przez pokój, by usiąść przy fortepianie.

— Jak sobie życzysz — odpowiedział John.

Francesca zwróciła się do Michaela. Oczy miała zdumiewająco błękitne, nawet w blasku świec. A może tylko jemu tak się wydawało, bo dobrze wiedział, jakie są niebieściutkie? Ostatnio przebywał w oparach błękitnych marzeń. „Błękit Franceski” — tak powinien się nazywać ten odcień.

— A ty co powiesz, Michaelu?

Jej ton wskazywał, że drugi raz zadaje mu to pytanie.

— Bardzo przepraszam — odparł i uśmiechnął się krzywo. Często używał tego uśmiechu jako zasłony dymnej. Kiedy się tak uśmiechał, nikt nie traktował go poważnie, a o to mu właśnie chodziło. — Zagapiłem się!

— Masz jakiś pomysł?

— Na co?

— Na uczczenie naszej rocznicy.

Gdyby była uzbrojona w łuk i strzały, nie mogłaby go celniej i boleśniej ugodzić w serce. Michael jednak wzruszył tylko ramionami; doskonale umiał udawać obojętność.

— Cóż… to nie moja rocznica — przypomniał w końcu Francesce.

— Wiem — odparła.

Nie patrzył na nią, ale zabrzmiało to tak, jakby przewracała oczami.

Michael był jednak pewny, że tego nie zrobiła. Zdążył poznać Francescę przez te dwa lata aż za dobrze i wiedział, że nie ma takiego zwyczaju. Kiedy zbierało się jej na ironię czy sarkazm, można to było poznać po lekkim grymasie ust. Wystarczyło, by spojrzała komuś prosto w twarz, prawie niedostrzegalnie skrzywiła wargi i…

Michael odruchowo przełknął ślinę, co zamaskował, wypijając kolejny łyk whisky. Stanowczo poświęcał zbyt wiele czasu na analizowanie sposobu, w jaki żona jego stryjecznego brata krzywi usta.

— Zapewniam cię — ciągnęła dalej Francesca, przesuwając od niechcenia opuszkami palców po klawiszach, tak leciutko, że nie wydały żadnego dźwięku — że doskonale wiem, za kogo wyszłam za mąż!

— Oczywiście — wymamrotał.

— Słucham?

— Mów dalej! — powiedział nieco głośniej.

Zacisnęła usta, jakby w irytacji. Nieraz widywał u niej ten grymas. Pojawiał się zwykle, gdy rozmawiała ze swymi braćmi.

— Prosiłam cię o radę — odparła — ponieważ miewasz zabawne pomysły.

— Ja? — zdziwił się, choć wiedział doskonale, iż wszyscy tak go właśnie postrzegają; nie bez powodu nazywano go „beztroskim hulaką”.

Ale podobna uwaga w ustach Franceski go rozdrażniła. Zupełnie jakby był frywolnym motylkiem, kompletnie pozbawionym rozsądku!

I poczuł się jeszcze gorzej, uświadomiwszy sobie, że chyba taki właśnie jest.

— Nie zgadzasz się z tą opinią? — spytała.

— Skądże znowu! — mruknął. — Dziwi mnie tylko, że mam służyć radą w sprawie rocznicy ślubu. To przecież jasne jak słońce, iż nic nie wiem i nie chcę wiedzieć o małżeństwie! Nie nadaję się do tego.

— To wcale nie jest takie oczywiste — odparowała.

— Wpadłeś, bratku! — odezwał się John ze śmiechem, sadowiąc się na ulubionym miejscu, z porannym wydaniem „Timesa” w ręku.

— Nigdy przecież nie próbowałeś małżeństwa — dowodziła Francesca. — Skąd możesz wiedzieć, że się do tego nie nadajesz?

Michael zdobył się na uśmieszek.

— Myślę, że to całkiem jasne dla wszystkich, którzy mnie znają. A zresztą, po diabła miałbym się żenić? Nie mam ani tytułu, ani majątku…

— Masz majątek! — wtrącił John, zdradzając, że zza gazety przysłuchuje się ich rozmowie.

— Nie majątek, tylko niewielką uroczą posiadłość — poprawił go Michael — którą z najwyższą radością przekażę w spadku waszym dzieciom. Zwłaszcza że dostałem ją od ciebie, Johnie!

Francesca zerknęła na męża, a Michael wiedział dokładnie, co przy tym pomyślała. John podarował mu tę posiadłość, gdyż chciał, by Michael miał coś swojego; żeby znalazł jakiś cel w życiu. Po wystąpieniu z wojska przed paroma laty Michael nie mógł się jakoś pozbierać. A poza tym, choć John nigdy tego nie mówił, Michael dobrze wiedział, że jego stryjeczny brat czuje się winny, iż nie walczył na kontynencie za ojczyznę, tylko został w domu, podczas gdy Michael stawiał czoło niebezpieczeństwu.

Ale przecież John był spadkobiercą hrabiowskiego tytułu! Miał obowiązek ożenić się i postarać o syna, swego następcę. Nikt nie oczekiwał od Johna, że wyruszy na wojnę.

Michael często się zastanawiał, czy przekazanie mu tej posiadłości — uroczego i wygodnego dworu z dwudziestoma akrami ziemi — nie było dla

Johna próbą odkupienia win. Odnosił wrażenie, że Francesca doszła do podobnego wniosku.

Nigdy jednak nie spytała o to męża. Francesca zadziwiająco dobrze rozumiała męską naturę — może dlatego, że miała tylu braci. Wiedziała dokładnie, jakich pytań nie należy zadawać mężczyznom.

Myśl ta wprawiała zawsze Michaela w lekki niepokój. Uważał, że potrafi ukryć swoje uczucia… ale jeśli Francesca o nich wiedziała? Nigdy by nie wspomniała o tym ani słowem i, rzecz oczywista, nie pozwoliłaby sobie na żadną aluzję. Podejrzewał, że pod tym względem, o ironio losu, byli do siebie podobni. Gdyby domyślała się, że Michael ją kocha, w niczym by nie zmieniła postępowania wobec niego.

— Uważam, że powinniście się udać do Kilmartin! — oświadczył nieoczekiwanie.

— Do Szkocji? — spytała Francesca, naciskając delikatnie klawisz. — Teraz, gdy londyński sezon za pasem?

Michael wstał, nagle chętny do wyjścia. Nie powinien był w ogóle tu przychodzić!

— Czemu nie? — spytał lekkim tonem. — Lubisz tam przebywać, John również. A droga nie jest taka znów uciążliwa, jeśli powóz ma dobre resory.

— Pojedziesz z nami? — spytał John.

— Nie sądzę — odparł Michael dość ostro.

Akurat spieszno mu było do przyglądania się, jak celebrują swoją rocznicę ślubu. Żeby jeszcze wyraźniej uprzytomnił sobie, czego nigdy nie będzie miał? A potem przypomniał sobie o swoim grzechu i wydał mu się jeszcze większy. Zresztą, nie musiał go sobie przypominać — nie opuszczało go poczucie winy.

Nie będziesz pożądał żony swego stryjecznego brata.

Mojżesz widać zapomniał wyszczególnić to w dekalogu, ale Michael

i tak wiedział, o co chodzi.

— Mam zbyt wiele do roboty w Londynie — odparł.

— Doprawdy? — spytała Francesca, a w jej oczach błysnęło zaciekawienie. — Co mianowicie?

— O, sama wiesz! — odparł kwaśno. — Trzeba doprawdy nieźle się postarać, by wieść bezecne i całkiem bezsensowne życie.

Francesca wstała.

Boże święty! Wstała i najwyraźniej zmierzała ku niemu. Byle go tylko nie dotykała… Tego bał się najbardziej.

Położyła mu rękę na ramieniu. Michael zebrał wszystkie siły, żeby się nie wzdrygnąć.

— Wolałabym, żebyś nie mówił takich rzeczy! — powiedziała.

Michael spojrzał ponad jej ramieniem na Johna, który uniósł gazetę jeszcze wyżej i udawał, że wcale nie słucha ich rozmowy.

— Czyżbyś zamierzała mnie nawrócić? — spytał Michael niezbyt miłym tonem.

Cofnęła się o krok.

— Zrozum, chcemy tylko twojego dobra!

„My”, zawsze „my”! Nie „ja”, nie „ John”. My. Taktowne przypomnienie, że stanowią jedność. John i Francesca. Hrabia i hrabina. Francesca z pewnością nie chciała tego podkreślać, ale on tak to właśnie odbierał.

— A ja waszego — odparł Michael.

Nie zdziwiłby się, gdyby jakaś plaga — na przykład szarańczy — wtargnęła w tym momencie do salonu.

— Wiem o tym — odparła Francesca, nieświadoma jego udręki. — Nie wyobrażam sobie lepszego krewniaka od ciebie. Ale chciałabym, żebyś był szczęśliwy!

Michael zerknął znów w stronę Johna i rzucił mu spojrzenie, mówiące wyraźnie: „Ratuj!”.

John przestał udawać, że czyta, i odłożył gazetę.

— Francesco, kochanie! Michael jest dorosły. Pozwól, żeby był szczęśliwy w sposób, jaki najbardziej mu odpowiada.

Francesca zacisnęła wargi. Michael czuł wyraźnie, że jest poirytowana. Nie lubiła, gdy ktoś niweczył jej plany, a już z pewnością nie znosiła, gdy tłumaczono jej, że nie może kierować swoim światem — i zamieszkującymi go ludźmi — według własnego widzimisię.

— Muszę cię przedstawić mojej siostrze — oświadczyła.

— Już ją znam — odparł pospiesznie Michael. — Znam je wszystkie, prawdę mówiąc. Włącznie z tą, którą trzeba jeszcze prowadzić na pasku.

— Wcale nie trzeba… — zaczęła, urwała i zgrzytnęła zębami. — Doskonale wiem, że Hiacynta nie jest dla ciebie odpowiednia, ale za to Eloise…

— Nie zamierzam się żenić z Eloise! — odparł Michael ostro.

— Wcale nie sugerowałam, żebyś się z nią ożenił — wyjaśniła Francesca. — Wystarczy, że zatańczysz z nią raz czy drugi.

— Już to zrobiłem — przypomniał jej. — A na nic więcej mnie nie namówisz.

— Ale…

— Francesco! — odezwał się John.

Głos miał łagodny, niemniej jednak znaczyło to niewątpliwie: „Daj spokój!”.

Michael chętnie by go ucałował za tę interwencję. John oczywiście sądził, że ratuje stryjecznego brata tylko od niemądrego babskiego wtrącania się w nie swoje sprawy. Nie znał i nie mógł poznać prawdy: Michael rozpaczliwie usiłował się uwolnić od ogromu winy, który całkiem

by go przytłoczył, gdyby — kochając żonę swego stryjecznego brata — zalecał się w dodatku do jej siostry!

Dobry Boże, miałby się żenić z Eloise Bridgerton? Czy Francesca chce go doprowadzić do samobójstwa?!

— Może wybralibyśmy się na spacer — zaproponowała nieoczekiwanie Francesca.

Michael wyjrzał przez okno. Resztki dziennego światła zgasły już na niebie.

— Chyba trochę za późno — zauważył.

— Wcale nie, jeśli będę w towarzystwie dwóch silnych mężczyzn — odparła. — A poza tym ulice Mayfair są dobrze oświetlone. Nic nam tu nie grozi. — Zwróciła się do męża: — Co ty na to, kochanie?

— Dziś wieczorem mam ważne spotkanie — odparł John, spoglądając na kieszonkowy zegarek. — Ale możecie przejść się we dwoje z Michaelem.

Najlepszy dowód, że John nie miał pojęcia o uczuciach stryjecznego brata.

— Zawsze się tak dobrze czujecie w swoim towarzystwie! — dorzucił.

Francesca odwróciła się do Michaela z uśmiechem, czym podbiła go jeszcze bardziej.

— Przejdziemy się? — spytała. — Marzę, by odetchnąć świeżym powietrzem, a nareszcie przestało padać! Przez cały dzień nie mogłam sobie znaleźć miejsca w domu…

— Oczywiście, że się przejdziemy — odparł Michael.

Wszyscy wiedzieli, że nie miewa żadnych ważnych spotkań. Zawsze dbał, by unikać jakichkolwiek zobowiązań.

A poza tym nie mógł się oprzeć prośbie Franceski. Wiedział, że powinien trzymać się z dala od niej i nie pozwalać sobie na żadne sam na sam, nie

folgować pragnieniom. Czy zresztą warto narażać się na takie męki? I tak będzie w łóżku sam, nękany poczuciem winy i pożądaniem.

Ale kiedy Francesca uśmiechnęła się do niego, nie potrafił jej odmówić. I nie miał dość silnej woli, by wyrzec się godziny tylko we dwoje.

To wszystko, na co mógł liczyć. Nigdy nie dojdzie między nimi do pocałunku, do wymiany znaczących spojrzeń czy pieszczot. Nie będzie miłosnych szeptów ani jęków namiętności.

Mógł cieszyć się jedynie uśmiechem Franceski i jej towarzystwem. I godził się na taki marny los, żałosny dureń…

— Zaczekaj chwilę — powiedziała, zatrzymując się w drzwiach. — Muszę wziąć jakieś okrycie.

— Pospiesz się! — ponaglił ją John. — Jest już po siódmej.

— Pod opieką Michaela będę całkiem bezpieczna — odparła z beztroskim uśmiechem. — Ale pospieszę się, bez obawy! — Rzuciła mężowi prowokacyjny uśmieszek. — Zawsze jestem szybka, nie zaprzeczysz…

John wyraźnie się zaczerwienił, a Michael odwrócił wzrok. Wcale nie chciał dociekać, co dokładnie miały znaczyć słowa Franceski.

Wiedział doskonale, że znaczeń mogło być wiele, wszystkie z rozkosznie seksualnym podtekstem. A on zapewne przez następną godzinę będzie rozważał w duchu wszelkie możliwości, wyobrażając sobie, że ta uwaga była adresowana do niego.

Szarpnął węzeł krawata. Może powinien jednak wymówić się od tego spaceru z Francescą? Chyba rozsądniej wrócić do domu i wziąć zimną kąpiel. Albo jeszcze lepiej: znaleźć sobie jakąś chętną dziewczynę z długimi, kasztanowatymi włosami. I z niebieskimi oczyma, jeśli szczęście mu dopisze.

— Bardzo cię przepraszam — powiedział John po wyjściu Franceski.

Michael spojrzał na niego ze zdumieniem. Przecież John nigdy by nie nawiązał w rozmowie do intymnej aluzji swojej żony.

— Strasznie ci suszyła głowę tym ożenkiem — wyjaśnił John. — Jesteś jeszcze młody, nie musisz się koniecznie żenić.

— Jesteś młodszy ode mnie, a pognałeś do ołtarza! — odparował Michael, tylko po to, żeby się sprzeciwić.

— Owszem, ale ja spotkałem Francescę.

John bezradnie wzruszył ramionami, jakby wszelkie inne wyjaśnienia były zbędne. I rzeczywiście były.

— Jak chce mi suszyć głowę, niech suszy. Co mi to szkodzi? — odparł Michael.

— Oj szkodzi, szkodzi! Od razu to wyczytałem z twoich oczu.

I w tym właśnie tkwił sęk: John naprawdę potrafił mu czytać w myślach. Znał Michaela lepiej niż wszyscy inni. Gdy tylko coś go gryzło, John zawsze się zorientował. Prawdziwy cud, że teraz nie miał pojęcia, czym jego stryjeczny brat tak się zadręcza.

— Powiem jej, żeby dała ci spokój — obiecał John. — Choć możesz być pewny, że robi to tylko z życzliwości.

Michael zdobył się na wymuszony uśmiech. Nie był w stanie wykrztusić słowa.

— Dzięki, że zabierzesz ją na spacer — dodał John, wstając. — Przez cały dzień była podminowana. To przez ten deszcz. Mówiła, że nie może wytrzymać w domu.

— O której masz spotkanie? — zagadnął Michael.

— O dziewiątej — odparł John, kiedy przeszli do holu. — Z lordem Liverpoolem.

— Sprawy parlamentarne, nieprawdaż?

John skinął głową. Traktował swój udział w obradach Izby Lordów

niesłychanie serio. Michael często się zastanawiał, czy on też podchodziłby do tego z taką powagą, gdyby się urodził parem.

Chyba nie. Ale w końcu to nie miało żadnego znaczenia…

Zauważył, że John pociera sobie skroń.

— Źle się czujesz? — spytał. — Wyglądasz trochę…

Nie dokończył, bo nie umiałby określić, jak właściwie John wygląda. Nie najlepiej — tego był pewny.

On również dobrze znał swego stryjecznego brata. Na wylot. Chyba lepiej niż Francesca.

— Diabelnie boli mnie głowa — wymamrotał John. — Dokucza mi przez cały dzień.

— Może powiem służbie, żeby ci podali laudanum?

John pokręcił głową.

— Nie znoszę tego paskudztwa. Nie mogę potem zebrać myśli, a powinienem się skupić przed spotkaniem z Liverpoolem.

Michael pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Mizernie wyglądasz — zauważył.

Sam nie wiedział, czemu o tym wspomina. Nie zamierzał przecież namawiać Johna do zażycia laudanum.

— Naprawdę? — spytał John i skrzywił się, przyciskając mocniej palce do skroni. — Wybacz, ale chyba się położę. Mam jeszcze godzinę do wyjścia.

— Doskonały pomysł! — mruknął Michael. — Mam polecić służbie, żeby cię ktoś obudził?

John zaprzeczył.

— Sam powiem lokajowi.

W tej właśnie chwili Francesca ukazała się u szczytu schodów, otulona w długą pelerynę z ciemnoniebieskiego aksamitu.

— Dobry wieczór panom! — odezwała się zalotnie, wyraźnie zachwycona tym, że obaj wlepiają w nią wzrok pełen podziwu. Jednak dotarłszy na dół, zmarszczyła brwi. — Coś ci dolega, kochanie? — spytała męża.

— Głowa mnie trochę boli — odparł. — To nic poważnego.

— Powinieneś się położyć — zatroskała się.

John zdobył się na uśmiech.

— Mówiłem właśnie Michaelowi, że zaraz to zrobię. Polecę Simonsowi, żeby obudził mnie na czas. Nie mogę spóźnić się na to spotkanie.

— Z lordem Liverpoolem? — spytała Francesca.

— Tak. O dziewiątej.

— Chodzi o nowe ustawy?

John skinął głową.

— Tak, i o system walutowy… Wspomniałem ci o tym przy śniadaniu, może pamiętasz?

— Postaraj się… — urwała, uśmiechnęła się i pokręciła głową. — Sam wiesz, co o tym myślę!

John uśmiechnął się także i pocałował ją delikatnie w usta.

— Zawsze staram się czytać w twoich myślach, kochanie.

Michael odwrócił się dyskretnie.

— Ale nie zawsze ci się to udaje — droczyła się czule z mężem Francesca.

— Zawsze, kiedy chodzi o coś ważnego — obstawał przy swoim John.

— To prawda — przyznała. — Niestety, nie mogę odgrywać przed tobą tajemniczej damy.

Pocałował ją raz jeszcze.

— Wolę, żebyś była dla mnie jak otwarta księga.

Michael lekko odkaszlnął. Czemu to go aż tak zabolało? John i Francesca

zawsze się tak zachowywali. Wszyscy wiedzieli, jacy są sobie bliscy, jacy zgodni i jak bardzo w sobie zakochani.

— Robi się późno — zauważyła Francesca. — Musimy już wyjść, jeśli mam zaczerpnąć choć trochę świeżego powietrza.

John skinął głową i na sekundę zamknął oczy.

— Naprawdę dobrze się czujesz?

— Doskonale — odparł. — Głowa mnie tylko pobolewa.

Francesca wzięła Michaela pod ramię.

— Musisz koniecznie wziąć laudanum po powrocie z tego spotkania — rzuciła mężowi od drzwi. — Wiem, że teraz nie zażyjesz tego lekarstwa!

John znowu kiwnął głową; na jego twarzy malowało się znużenie. Potem ruszył po schodach na górę.

— Biedny John — użaliła się nad nim Francesca, wychodząc na rześkie, nocne powietrze. Wciągnęła je głęboko w płuca i westchnęła. — Nie znoszę bólu głowy. Czuję się wtedy taka… przytłoczona.

— A mnie nigdy głowa nie boli — wyznał Michael, pomagając jej zejść po schodkach na trotuar.

— Naprawdę? — Spojrzała na Michaela, unosząc kącik ust w dobrze mu znanym grymasie. — Szczęściarz z ciebie.

Michael omal nie roześmiał się w głos. Otóż właśnie: wybiera się wieczorową porą na przechadzkę z ukochaną kobietą.

Ależ z niego szczęściarz!

2

…Podejrzewam, że choćby nawet było nie wiem jak okropnie, nie powiedziałbyś mi o tym! Co się zaś tyczy kobiet, upewnij się przynajmniej, czy są czyste i zdrowe. Poza tym — rób, co chcesz, żeby choć trochę umilić sobie życie. I postaraj się, bardzo proszę, żeby Cię nie zabili. Naprawdę nie wiem, co bym bez Ciebie począł. Musiałem Ci to powiedzieć, choćbyś miał mi nawymyślać od mazgajów.

Hrabia Kilmartin do swego stryjecznego brata Michaela Stirlinga pełniącego służbę w 52. Regimencie Królewskiej Gwardii Pieszej podczas wojen napoleońskich

Mimo wszystkich swoich wad — a Francesca zdawała sobie sprawę, że miał ich niemało — Michael był wyjątkowo miły.

Co prawda, niepoprawny z niego flirciarz. Widziała go w akcji i musiała przyznać, że skądinąd całkiem inteligentne niewiasty traciły rozum, jeśli postanowił je oczarować. Wprawdzie traktował życie bez należytej powagi… ale mimo wszystko trudno było go nie kochać!

Był najbliższym przyjacielem Johna, dopóki John nie ożenił się i nie zyskał kogoś jeszcze bliższego — żony. A w ciągu ostatnich dwóch lat Michael stał się również jej powiernikiem, godnym największego zaufania.

Doprawdy zabawne… Kto by pomyślał, że właśnie temu mężczyźnie z taką ufnością będzie się zwierzała? Co prawda, nie czuła się skrępowana w męskim towarzystwie. Czterech braci potrafi wyleczyć ze zbytniej delikatności uczuć nawet stuprocentowe kobieciątko… Jednak Francesca

różniła się od swoich sióstr. Daphne i Eloise — a zapewne i Hiacynta, choć jeszcze za młoda, by można to stwierdzić z całą pewnością — odznaczały się otwartością i pogodą. A poza tym wyróżniały się w strzelaniu i podczas polowań, nic więc dziwnego, że mężczyźni lgnęli do nich. Zawsze czuli się swobodnie w ich towarzystwie — i vice versa.

Francesca była inna. Kochała swoich bliskich, dałaby się za nich posiekać, ale choć wyglądem bardzo przypominała resztę rodzeństwa, w duszy zawsze czuła się odmieńcem.

Podczas gdy pozostałych członków jej rodziny cechowała otwartość, a nawet wylewność, Francesca była… nie tyle nieśmiała, co bardziej opanowana i oszczędna w słowach. Słynęła z celnego, niepozbawionego ironii dowcipu. Sama musiała przyznać, że nie szczędziła rodzeństwu kąśliwych uwag. Nie świadczyło to oczywiście o braku miłości; była to raczej reakcja obronna na zalewający ją ze szczętem rodzinny żywioł. Zresztą bracia i siostry w odpowiedzi na docinki Franceski kpili z niej w żywe oczy, więc byli kwita!

Tak to już bywa z rodzeństwem: wieczne wyśmiewanie, przedrzeźnianie i kłótnie. Francesca w tych niekończących się rodzinnych przepychankach wyróżniała się tym, że była nieco mniej hałaśliwa od reszty młodych Bridgertonów, za to bardziej przewrotna i skryta.

Często zastanawiała się, czy John nie zauroczył jej przede wszystkim tym, że wyrwał ją z chaosu panującego w domu Bridgertonów. Nie oznaczało to bynajmniej, że nie była w nim szczerze zakochana. Ubóstwiała go. Okazał się bowiem pokrewną duszą, mieli ze sobą tyle wspólnego… Z ogromną ulgą opuściła matczyny dom i rozpoczęła znacznie mniej burzliwe życie z Johnem, który w dodatku miał takie samo jak ona poczucie humoru.

Znakomicie się rozumieli. Wyprzedzał każde jej życzenie.

Dopełniali się nawzajem.

Kiedy go spotkała, miała dziwne wrażenie, jakby niepasujący do niczego kawałek układanki natrafił wreszcie na drugi kawałek, z którym tworzył idealną całość. Podczas ich pierwszego spotkania nie ogarnął jej huragan namiętności; miała tylko spokojną pewność, że znalazła w końcu kogoś, przy kim zawsze będzie mogła być sobą.

Było to wrażenie natychmiastowe i całkiem niespodziewane. Nie pamiętała już, co wówczas John do niej mówił, ale od pierwszych słów, jakie ze sobą zamienili, czuła się z nim niezwykle swobodnie.

Przyjaźń obu stryjecznych braci sprawiła, że Francesca poznała także Michaela. Prawdę mówiąc, obaj czuli się raczej rodzonymi braćmi niż kuzynami. Wychowywali się razem, byli niemal rówieśnikami i wszystko ich łączyło.

Może jednak niezupełnie… John miał zostać spadkobiercą tytułu hrabiowskiego i ogromnego majątku, Michael zaś jego niezbyt bogatym krewnym; z konieczności więc traktowano każdego z nich nieco inaczej. Z tego jednak, co Francesca o nich słyszała, i z tego, czego dowiedziała się od samych Stirlingów, obu chłopców kochano równie mocno — i chyba właśnie dzięki temu Michael miał w sobie tyle pogody ducha.

Nawet wtedy, gdy John odziedziczył już tytuł, fortunę i w ogóle wszystko, Michael nigdy mu nie zazdrościł.

Zdumiewało to Francescę, że Michael nie czuł ani odrobiny zawiści. Był przecież jakby bratem Johna, w dodatku starszym o rok — a mimo to nigdy nie zazdrościł Johnowi tego, czym los go obdarzył.

I chyba właśnie za to Francesca najbardziej pokochała Michaela. On wykpiłby ją, rzecz jasna, gdyby go za to chwaliła; z pewnością wymieniłby swoje liczne grzechy (nic a nic zresztą nie przesadzając) na dowód, że jest łotrem o duszy czarnej jak smoła. Prawda jednak wyglądała tak, że Michael

Stirling był wielkoduszny i pełny miłości, co zwłaszcza u mężczyzny stanowi niezwykle rzadką cechę.

Francesca pomyślała, że jeśli nie zdoła w najbliższym czasie znaleźć dla niego odpowiedniej żony, będzie naprawdę wściekła.

— Co właściwie — odezwała się nagle, mącąc tym pytaniem nocną ciszę — nie podoba ci się w mojej siostrze?

— Francesco! — ofuknął ją Michael. Usłyszała w jego głosie irytację i (Bogu dzięki) szczyptę rozbawienia. — Nie ma mowy, żebym się z nią ożenił.

— Wcale nie powiedziałam, że masz się z nią żenić.

— Nie musiałaś. Masz to wyraźnie wypisane na twarzy.

Zerknęła na niego i po swojemu skrzywiła usta.

— Nawet na mnie nie patrzyłeś!

— Oczywiście, że patrzyłem. A zresztą, choćbym nawet nie patrzył, i tak bym to wiedział. Czuję przez skórę, co knujesz!

Nie mylił się i to ją zaniepokoiło. Czasami miała wrażenie, że Michael zna ją równie dobrze jak John.

— Potrzebna ci żona! — starała się go przekonać.

— Czy przed wyjściem nie obiecałaś swemu mężowi, że przestaniesz mnie zadręczać swataniem?

— Szczerze mówiąc, niczego mu nie obiecywałam — odparła, spoglądając na rozmówcę z wyższością. — Prosił mnie, to prawda…

— Otóż właśnie! — burknął Michael.

Roześmiała się. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć!

— Miałem wrażenie, że żony powinny się stosować do życzeń mężów — oświadczył Michael, unosząc brew. — Dałbym głowę, że w przysiędze małżeńskiej jest o tym wzmianka!

— Wyrządziłabym ci ogromną krzywdę, gdybym znalazła dla ciebie

żonę traktującą tak dosłownie powinności małżeńskie — odparła.

W jej tonie szczera życzliwość łączyła się z wyraźnym lekceważeniem.

Michael odwrócił się i popatrzył na nią pobłażliwie, niemal protekcjonalnie.

Stanowczo powinien zaliczać się do arystokracji, pomyślała Francesca. Wprawdzie jest zbyt nieodpowiedzialny, by spełniać należycie związane z tytułem powinności… Ale gdy spoglądał jak teraz, z wyższością i przekonaniem o własnej racji, z powodzeniem mógłby być księciem!

— Szukanie żony dla mnie nie należy do obowiązków hrabiny Kilmartin.

— A powinno!

Roześmiał się, co niezmiernie ją uradowało.

— Więc dobrze — powiedziała, ustępując na razie. — Opowiedz mi o swoich grzeszkach! O czymś, czego John by nie pochwalał.

To była ich ulubiona rozrywka — nawet w obecności Johna, choć ten zawsze udawał, że chce ich odwieść od tak ryzykownych tematów. Francesca podejrzewała jednak, że jej mąż lubi słuchać anegdotek Michaela tak samo jak ona. Kiedy już zaprotestował, jak wypadało, zawsze nadstawiał uszu.

Co prawda, Michael nigdy nie opowiadał im niczego naprawdę gorszącego. Był na to zbyt dyskretny. Pozwalał sobie tylko na pewne aluzje, a Francesca i John bawili się wyśmienicie. Oczywiście nie zamieniliby swego małżeńskiego szczęścia na nic innego, ale któż nie lubi od czasu do czasu posłuchać pikantnych historyjek?

— Obawiam się, że w tym tygodniu nic nie zbroiłem — odparł Michael i pociągnął ją w stronę King Street.

— Ty? Niemożliwe!

— Dopiero wtorek — przypomniał.

— Tak, ale prócz niedzieli, której z pewnością nie zbezcześciłbyś

niecnym postępowaniem — tu rzuciła mu spojrzenie mówiące wyraźnie: Jestem pewna, że grzeszysz zawsze, świątek czy piątek, bez różnicy — … pozostaje jeszcze poniedziałek. Energiczny mężczyzna może wiele dokonać w ciągu jednego dnia.

— Może ktoś inny, ale nie ja. Nie w ten poniedziałek.

— Co robiłeś w takim razie?

Michael zastanowił się, po czym odparł:

— Prawdę mówiąc, nic.

— To niemożliwe! — droczyła się z nim. — Jestem pewna, że przynajmniej przez godzinę byłeś trzeźwy i na nogach.

Nie odpowiedział. Dopiero po chwili wzruszył ramionami w sposób, który wprawił ją w dziwny niepokój, i wyjaśnił:

— Naprawdę nic nie robiłem. Spacerowałem, jadłem, coś tam mówiłem, ale pod koniec dnia nie zostało z tego nic, o czym warto byłoby pamiętać.

Francesca odruchowo ścisnęła go za ramię.

— Znajdziemy dla ciebie coś godnego zapamiętania — powiedziała łagodnie.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Jego niezwykle, srebrzyste oczy wpatrywały się w nią z ogromnym natężeniem, na co prawie nigdy sobie nie pozwalał.

I nagle czar prysnął, a Michael znów stał się sobą — choć podejrzewała, że w rzeczywistości był kimś zgoła innym od lekkoducha, za jakiego chciał uchodzić.

Nawet przed nią!

— Powinniśmy już wracać do domu — stwierdził. — Robi się późno. John urwie mi głowę, jeśli pozwolę ci się przeziębić!

— John nic ci nie powie. Najwyżej złaje mnie za nierozwagę, dobrze o tym wiesz — odparowała Francesca. — Chcesz mi tylko dać taktownie

do zrozumienia, że czeka już na ciebie jakaś dama, osłonięta jedynie prześcieradłem.

Michael odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko. Był to uśmiech z piekła rodem, ale Francesca doskonale rozumiała, czemu połowa wielkiego świata (oczywiście żeńska połowa) kocha się w Michaelu na zabój, choć nie miał ani tytułu, ani majątku.

— Chciałaś, żebym ci opowiedział coś o moich grzeszkach? — spytał. — Ze szczegółami? Może więc zdradzić ci kolor tego prześcieradła?

Zaczerwieniła się. Była zawsze na siebie wściekła, gdy jej się to przytrafiało; na szczęście teraz noc skrywała jej rumieniec.

— Mam nadzieję, że nie było żółte — odparła. Nie mogła przecież pozwolić, by rozmowa zakończyła się jej porażką. — Nie noszę tego koloru. Każdy wygląda w nim, jakby chorował na żółtaczkę.

— Wcale nie zamierzałem paradować w prześcieradle — wycedził.

— Wszystko jedno!

Roześmiał się. Francesca doskonale się orientowała, iż Michael wie, że ona koniecznie chce mieć ostatnie słowo. I sądziła, iż pozwoli jej na to niewielkie zwycięstwo. On tymczasem — w chwili, gdy czuła już smak triumfu — szepnął:

— Szkarłatne.

— Co takiego?

Wiedziała jednak od razu, co miał na myśli.

— Zdaje się, że to były szkarłatne prześcieradła.

— Nie mogę uwierzyć, że opowiadasz mi takie rzeczy.

— Sama się o to dopraszałaś, Francesco Stirling! — Pochylił nieco głowę i spojrzał na nią. Kosmyk czarnych jak noc włosów opadł mu na czoło. — Masz szczęście, że nie wypaplę twemu mężowi, jakie masz grzeszne zachcianki.

— Choćbyś mu powiedział nie wiem co, John nigdy w to nie uwierzy — odparowała.

Przez chwilę znów sądziła, że Michael jej nie odpowie, ale on odparł bardzo poważnie:

— Wiem. I tylko dlatego pozwalam sobie na takie przekomarzanki.

Francesca patrzyła pod nogi, żeby się nie potknąć na nierównościach chodnika; Michael jednak mówił z taką powagą, że musiała nań spojrzeć.

— Jesteś jedyną ze znanych mi kobiet, która nigdy nie zdradziłaby męża — powiedział i dotknął jej podbródka. — Nie masz pojęcia, jak cię za to podziwiam!

— Kocham Johna — szepnęła — więc nie mogłabym tego zrobić.

Michael cofnął dłoń.

— Wiem.

Wyglądał tak przystojnie w świetle księżyca i wydawał się taki spragniony miłości, że serce omal jej nie pękło. Z pewnością żadna kobieta nie mogłaby mu się oprzeć; miał piękne rysy i wysoką, atletyczną sylwetkę. A każda, która sprawdziłaby, jaki jest w środku, przekonałaby się — podobnie jak ona — że dobry z niego człowiek, lojalny i godny zaufania.

Miał też w sobie coś z diabła, oczywiście — ale, zdaniem Franceski, to właśnie najbardziej pociągało kobiety.

— To jak, wracamy? — spytał Michael.

W jednej chwili stał się uosobieniem wdzięku i przymilności. Ruchem głowy wskazał drogę powrotną do rezydencji Kilmartinów. Francesca westchnęła i zawróciła do domu.

— Bardzo ci jestem wdzięczna, że zabrałeś mnie na spacer — odezwała się po kilku minutach przyjaznego milczenia. — Wcale nie przesadzałam, mówiąc, że deszcz doprowadza mnie do szału!

— Nie mówiłaś nic podobnego — odparł i natychmiast miał ochotę

ugryźć się w język. Francesca powiedziała jedynie, że nie mogła usiedzieć w domu; nie wspomniała nic o szaleństwie, ale tylko nieznośny pedant albo zakochany cymbał zwróciłby na to uwagę!

— Naprawdę? — Francesca zmarszczyła brwi. — W każdym razie z pewnością pomyślałam coś takiego. Byłam półprzytomna. Ten spacer doskonale mi zrobił.

— W takim razie jestem szczęśliwy, że się na coś przydałem — odparł szarmancko.

Uśmiechała się, kiedy wchodzili na frontowe schody Kilmartin House. Drzwi otworzyły się, gdy tylko stanęli na najwyższym stopniu; majordomus zauważył, że wracają. Potem stali w głównym holu i Michael czekał, aż Francesca pozbędzie się peleryny.

— Zostaniesz i napijesz się czegoś, czy spieszno ci na spotkanie? — spytała z przekornym błyskiem w oku.

Spojrzał na zegar stojący po przeciwnej stronie holu. Była ósma trzydzieści, a on nie miał dokąd pójść. Żadna dama nie czekała na niego, choć z pewnością mógłby jakąś znaleźć — wystarczyło kiwnąć palcem. Chyba to zrobi. Wolał nie zostawać dłużej w Kilmartin House.

— Muszę już iść — odparł. — Mam mnóstwo roboty.

— Nie masz nic do roboty, doskonale o tym wiesz. Kuszą cię tylko grzeszne uciechy!

— To całkiem niezła rozrywka — mruknął.

Francesca już otwierała usta, żeby się odciąć, ale w tej właśnie chwili Simons, niedawno przyjęty do służby lokaj Johna, zszedł pospiesznie ze schodów.

— Milady… — bąknął nieśmiało.

Francesca odwróciła się do niego i skinieniem głowy dała mu znak, by mówił dalej.

— Zastukałem do drzwi jego lordowskiej mości i dwukrotnie zawołałem pana hrabiego… ale widać bardzo mocno zasnął. Czy milady życzy sobie, bym go obudził?

Francesca skinęła głową.

— Tak. Wolałabym, oczywiście, żeby mógł się wyspać… Ostatnio bardzo ciężko pracował wieczorami. — Z tymi słowy zwróciła się do Michaela. — Wiem jednak, że to spotkanie z lordem Liverpoolem jest bardzo ważne. Musisz więc, Simons… Nie, zaczekaj! Sama go obudzę. Tak będzie lepiej.

Znów odwróciła się do Michaela.

— Zobaczymy się jutro?

— Prawdę mówiąc, chyba zaczekam, jeśli John jeszcze nie wyszedł z domu — odparł. — Przyszedłem tu na piechotę, więc jeśli można, chętnie skorzystałbym z jego powozu, kiedy nie będzie mu już potrzebny.

Francesca skinęła głową i poszła na górę. Michael czekał, nucąc pod nosem i gapiąc się bezmyślnie na malowidła w holu.

Nagle usłyszał jej krzyk.

Nie pamiętał, jak wbiegł na górę, jak się znalazł w sypialni Johna i Franceski, jedynym pokoju, do którego nigdy nie zaglądał.

— Francesco…? — wykrztusił zdławionym głosem. — Frannie, Frannie, co się…

Siedziała przy łóżku i ściskała bezwładnie zwisającą rękę Johna.

— Obudź go, Michaelu! — zawołała. — Obudź go! Zrób to dla mnie… Obudź go!

Michael poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod stopami. Łóżko znajdowało się po drugiej stronie pokoju, w odległości dobrych dwunastu stóp, ale on już wiedział.

Nikt nie znał Johna lepiej od niego.

Ale Johna nie było w tym pokoju. Odszedł. A to, co leżało na łóżku…

Nie było już Johnem.

— Francesco… — wyszeptał Michael i z ociąganiem podszedł do niej. Nogi nie chciały go słuchać, całe ciało było dziwnie ociężałe. — Francesco!

Zwróciła w jego stronę ogromne, przerażone oczy.

— Obudź go, Michaelu!

— Francesco, ja…

— Obudź go natychmiast! — krzyknęła, rzucając się ku niemu. — Obudź go! Potrafisz to zrobić! Obudź go! Obudź!

Michael stał bez ruchu, gdy okładała go pięściami, kiedy chwyciła za krawat i szarpała, omal go nie dusząc. Nie mógł nawet jej przytulić i pocieszyć, ponieważ sam był równie jak ona wstrząśnięty i oszołomiony.

I nagle cała jej furia znikła. Francesca osunęła się w ramiona Michaela, mocząc łzami gors jego koszuli.

— Miał przecież tylko ból głowy… Zwykły ból głowy… — Podniosła wzrok na Michaela. Patrzyła mu badawczo w twarz, szukając wyjaśnienia, którego przecież nie mógł jej udzielić. — To był tylko ból głowy! — powtórzyła znowu.

Wydawała się kompletnie załamana.

— Wiem — odpowiedział, choć czuł, że to nie wystarczy.

— Och, Michaelu! — szlochała. — Co ja teraz zrobię?

— Nie wiem — odparł, gdyż naprawdę nie miał pojęcia.

Wszystko, czego nauczył się w Eton, Cambridge i w wojsku, miało być wystarczającym przygotowaniem do życia angielskiego dżentelmena. Ale teraz czuł się bezradny.

— Nie rozumiem… — powtarzała Francesca.

Mówiła zapewne wiele innych rzeczy, ale do Michaela prawie nic nie

docierało. Ledwo trzymał się na nogach, toteż oboje opadli na leżący obok łóżka dywan.

Michael wpatrywał się martwym wzrokiem w przeciwległą ścianę i zastanawiał się niemądrze, czemu nie płacze. Był jak otumaniony, własne ciało tak mu ciążyło — i miał wrażenie, że ktoś wyrwał mu duszę.

Nie John!

Dlaczego właśnie on…?

Dlaczego?!

Siedząc na podłodze, patrzył jak przez mgłę na służących, którzy gromadzili się za uchylonymi drzwiami sypialni, i wtedy dotarło do niego, że Francesca powtarza z płaczem te same słowa:

— Nie John! Dlaczego właśnie on…? Dlaczego?!

— Jak myślisz, milordzie, czy ona spodziewa się…?

Michael wpatrywał się bezmyślnie w lorda Winstona — najnowszego i zdecydowanie nadgorliwego członka Komitetu Przywilejów przy Izbie Lordów — i usiłował zrozumieć, o czym on mówi. Od śmierci Johna upłynął zaledwie jeden dzień. Nadal wszystko wydawało się Michaelowi nierealne, pozbawione sensu. A teraz jeszcze ten napuszony człowieczek zażądał rozmowy z nim i ględził o jakimś tam świętym obowiązku wobec Korony…

— Lady Kilmartin — wyjaśnił lord Winston. — Jeśli istotnie spodziewa się dziecka, skomplikuje to całą sprawę.

— Nie mam pojęcia — odparł Michael. — Nie pytałem jej.

— A należało, milordzie. Jestem pewien, że pragniesz jak najszybciej objąć w posiadanie swoje dziedzictwo. Musimy jednak najpierw stwierdzić, czy hrabina nie jest brzemienna. Gdyby tak było, członek naszego komitetu powinien być obecny podczas rozwiązania!

Michael osłupiał.

— Ale po co?! — zdołał wykrztusić.

— Żeby zapobiec ewentualnej zamianie noworodków — wyjaśnił posępnym tonem lord Winston. — Zdarzały się już takie przypadki.

— Na litość boską…

— Chodzi tu zarówno o twoje dobro, milordzie, jak i o zapobieżenie podobnym incydentom na przyszłość — przerwał mu Winston. — Gdyby hrabina bez świadków powiła córkę, jak można by przeszkodzić w podstawieniu na jej miejsce noworodka płci męskiej?!

Michael uznał, że tego rodzaju uwaga jest niegodna odpowiedzi.

— Koniecznie trzeba się dowiedzieć, czy pani hrabina spodziewa się dziecka. A jeśli tak, podjąć niezbędne środki ostrożności.

— Lady Kilmartin zaledwie wczoraj straciła męża — odparł ostro Michael. — Nie zamierzam jej nękać tego rodzaju pytaniami.

— Tu chodzi o coś znacznie ważniejszego niż uszanowanie uczuć hrabiny — odparował lord Winston. — Dopóki istnieją jakiekolwiek wątpliwości co do osoby sukcesora, nie możemy ci oficjalnie przekazać, milordzie, tytułu hrabiowskiego oraz należnych dóbr.

— Niech diabli porwą tytuł hrabiowski i dobra — warknął Michael.

Lord Winston jęknął i odsunął się od niego, nie ukrywając zgrozy.

— Zapominasz się, mój hrabio!

— Nie jestem pańskim hrabią — odciął się Michael. — Nie jestem w ogóle…

Urwał nagle i opadł na fotel, z najwyższym trudem powstrzymując łzy. Właśnie tu, w gabinecie Johna, w obecności tego kretyna, który najwyraźniej nie rozumiał, że umarł człowiek — nie jakiś tam hrabia, ale człowiek! — Michaelowi zebrało się na płacz.

Obawiał się, że za chwilę nie zdoła powstrzymać łez. Gdy tylko ten

bufon się stąd wyniesie, zamknie za nim drzwi, upewni się, że nikt go nie widzi, a potem zasłoni twarz rękami i wybuchnie płaczem.

— Ktoś musi ją o to zapytać — upierał się Winston.

— Nie ja — odparł Michael cicho, lecz dobitnie.

— W takim razie ja to zrobię.

Michael zerwał się z fotela i przyparł nieproszonego gościa do ściany.

— Nie będziesz niepokoił lady Kilmartin żadnymi pytaniami! — rzucił groźnie. — Nawet się do niej nie zbliżysz. Czy to jasne?

— T… tak — wybełkotał tamten.

Michael puścił go, zauważywszy jak przez mgłę, że twarz Winstona posiniała.

— Wynoś się!

— Ależ trzeba będzie…

— Precz! — ryknął.

— Przyjdę jutro — oświadczył lord Winston, pospiesznie opuszczając gabinet. — Porozmawiamy, gdy będziesz spokojniejszy, milordzie.

Michael oparł się o ścianę i wlepił wzrok w uchylone drzwi. Boże, jak mogłeś dopuścić do czegoś podobnego? John nie dożył nawet trzydziestki. Był okazem zdrowia. A on, Michael, mógł sobie być „przypuszczalnym spadkobiercą”, dopóki John i Francesca nie doczekają się dzieci — przecież nikt nie podejrzewał, że odziedziczy wszystko.

Michaela doszły słuchy, że w klubach okrzyknięto go już „największym szczęściarzem na Wyspach Brytyjskich”. W ciągu jednej nocy z obrzeży wielkiego świata przeskoczył do najwyższego kręgu arystokracji. I nikt nie pojmował, że Michael wcale tego nie pragnął. Wcale.

Nie zależało mu ani trochę na hrabiowskim tytule ani na rozległych dobrach. Pragnął tylko jednego: żeby jego stryjeczny brat wrócił do żywych! Ale tego nikt, dosłownie nikt, nie chciał zrozumieć.

Z wyjątkiem — być może — Franceski. Ale ona była tak pogrążona w rozpaczy, że po prostu nie mogła wczuć się w ból jego serca.

Nigdy by zresztą tego od niej nie wymagał. Zwłaszcza teraz, gdy doświadczyła takiego dramatu…

Michael skrzyżował ramiona na piersi i myślał o Francesce. Do końca życia nie zapomni wyrazu jej twarzy, gdy dotarło wreszcie do niej, że John nie śpi. I że nigdy się już nie obudzi.

Francesca Bridgerton Stirling w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat stała się najbardziej nieszczęśliwą istotą pod słońcem.

Została sama.

Michael rozumiał jej rozpacz lepiej niż ktokolwiek inny.

Wspólnie położyli Francescę tamtej nocy do łóżka — on i jej matka, która przybyła natychmiast, dowiedziawszy się o nieszczęściu. A Francesca usnęła jak małe dziecko, bez sprzeciwów — całkiem wyczerpana po straszliwym ciosie.

Kiedy się jednak obudziła następnego ranka, wezwała na pomoc dumę i przysięgła sobie, że będzie silna i nieugięta. I zajmie się wszystkimi sprawami związanymi ze śmiercią Johna.

Kłopot polegał na tym, że żadne z nich nie miało pojęcia, jakie to mogą być sprawy. Byli młodzi i tacy beztroscy… Nigdy nie przyszło im do głowy, że będą musieli zająć się pochówkiem kogoś tak bliskiego.

Któż by przypuszczał — na przykład — że Komitet Przywilejów zacznie się w to wtrącać? I zażąda dla swego obserwatora miejsca w pierwszym rzędzie podczas porodu Franceski, czyli w momencie, gdy najbardziej będzie potrzebowała prywatności?

O ile rzeczywiście spodziewała się dziecka.

W każdym razie Michael nie miał zamiaru jej o to wypytywać!

— Musimy zawiadomić matkę Johna — stwierdziła Francesca

wczesnym rankiem. Oznajmiła to Michaelowi bez żadnych wstępów czy choćby słów powitania.

Michael przytaknął, bo miała oczywiście rację.

— Trzeba powiadomić także i twoją matkę.

Znów skinął głową. Na nic więcej nie było go stać.

— Sama do nich napiszę.

Michael po raz trzeci skinął głową, zastanawiając się, czym powinien się zająć.

Odpowiedzi na to pytanie dostarczyła wizyta lorda Winstona. Michael nie mógł jednak myśleć w tej chwili o przejęciu tytułu i całego dziedzictwa po Johnie. Wydawało mu się to wyjątkowo niesmaczne. Nie chciał w ogóle myśleć o tym, co otrzyma w spadku po stryjecznym bracie. Jak ktoś ma czelność twierdzić, że ze śmierci Johna wyniknie coś dobrego?

Michael czuł, że nogi się pod nim uginają, a on osuwa się po ścianie coraz niżej i niżej, aż wylądował na podłodze, z głową opartą o uniesione kolana. Nie chciał jego śmierci.

Pragnął Franceski. Tego jednego. Ale nie w ten sposób. Nie za taką cenę.

Nigdy nie zazdrościł Johnowi powodzenia w życiu. Nie pragnął jego tytułu, majątku ani władzy.

Pożądał tylko jego żony.

Teraz zaś miał odziedziczyć hrabiowski tytuł Johna, wskoczyć — jak to się mówi — w jego buty. I czuł, że poczucie winy zaciska się wokół jego serca niczym bezlitosna pięść.

Czyżby kiedykolwiek tego sobie życzył…? Nie, niemożliwe. Nigdy.

A może jednak?

— Michaelu.

Podniósł wzrok. To była Francesca. Jej pusty wzrok, nieruchoma, biała

maska twarzy rozdzierały mu serce znacznie boleśniej niż rozpaczliwy płacz.

— Posłałam po Janet.

Znów skinął głową. Po matkę Johna. Z pewnością będzie załamana.

— I po twoją matkę.

Ona też będzie w rozpaczy.

— Czy jest jeszcze ktoś, kogo trzeba…?

Michael pokręcił głową. Dobrze wiedział, że powinien wstać, choćby z czystej uprzejmości. Nie miał jednak dość sił. Nie chciał, żeby Francesca przekonała się, jaki z niego słabeusz, ale nic na to nie mógł poradzić.

— Lepiej usiądź — odezwał się wreszcie. — Musisz odpocząć.

— Nie mogę sobie pofolgować — odparła. — Gdybym choć na chwilę…

Głos odmówił jej posłuszeństwa, ale nie miało to znaczenia. Michael ją zrozumiał.

Popatrzył na nią. Odgarnęła do tyłu kasztanowate włosy i splotła je w prosty warkocz; twarz miała bladą. Wyglądała bardzo młodo, prawie jak pensjonarka — zbyt młodziutka, by znieść taki cios.

— Francesco… — szepnął.

I wtedy wyjawiła mu to sama, bez pytania.

— Spodziewam się dziecka.

3

…Kocham go do szaleństwa. Do szaleństwa. Umarłabym bez niego, naprawdę.

Z listu, który hrabina Kilmartin napisała do siostry, Eloise Bridgerton, tydzień po swoim ślubie

Słowo daję, Francesco, jesteś chyba najzdrowszą ze wszystkich przyszłych mamuś, z jakimi się zetknęłam.

Francesca uśmiechnęła się do swojej teściowej, która weszła właśnie do ogrodu otaczającego rezydencję przy St. James's Street, gdzie mieszkały teraz razem. Można by rzec, iż Kilmartin House w ciągu jednej nocy przemienił się w królestwo kobiet. Najpierw wprowadziła się tu Janet, a potem Helen, matka Michaela. Teraz był to dom niewiast z rodziny Stirlingów, a dokładniej, takich, które Stirlingów poślubiły.

I wszystko nagle stało się inne…

Francesca spodziewała się, że będzie tu wyczuwała obecność Johna, łudziła się, iż mąż wciąż jeszcze przebywa blisko niej, dostrzegała go na każdym kroku w Kilmartin House, gdzie przeżyli dwa lata… Tymczasem John po prostu zniknął, a pojawienie się kobiet całkowicie odmieniło atmosferę domu. Francesca powtarzała sobie, że tak będzie lepiej — potrzebowała w tej chwili kobiecego wsparcia.

Ale życie wyłącznie w towarzystwie kobiet było takie dziwne! W Kilmartin House znajdowało się teraz znacznie więcej kwiatów; wazony

stały dosłownie wszędzie. Ulotnił się natomiast zapach cygar Johna i mydła sandałowego, które jej mąż tak lubił.

W rezydencji Kilmartinów pachniało teraz lawendą i wodą różaną. Ilekroć Francesca uświadomiła to sobie, serce jej się ściskało.

Nawet Michael stał się dziwnie daleki. Przychodził, oczywiście, kilka razy na tydzień, gdyby ktoś chciał rachować jego wizyty. Francesca musiała przyznać, że to się jej zdarzało. Bywał jednak często nieobecny duchem, nie starał się ożywić atmosfery panującej w ich domu, jak to było dawniej. Zmienił się wyraźnie i nie powinna czynić mu z tego powodu wyrzutów, nawet w myśli!

On także bolał nad stratą Johna.

Francesca doskonale o tym wiedziała. Powtarzała to sobie, ilekroć spotkała Michaela, a on spoglądał na nią nieobecnym wzrokiem. Powtarzała to sobie, ilekroć rozmowa z nim się nie kleiła, a on nie przekomarzał się z nią i nie dowcipkował.

Powtarzała to sobie i wówczas, gdy siedzieli razem w salonie i nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Straciła Johna — a teraz wyglądało na to, że straciła również Michaela. I nawet jeśli nieustannie gdakały nad nią czule dwie macierzyńskie kwoczki… a raczej trzy, jeśli doliczyć do tego jej matkę, która odwiedzała ją codziennie, Francesca czuła się okropnie samotna.

I nieszczęśliwa.

Nikt jej nie uprzedził, że można być aż tak nieszczęśliwą. Któż zresztą miałby to zrobić? A choćby nawet ktoś taki się znalazł — na przykład jej matka, która też młodo owdowiała — to czy Francesca zrozumiałaby ostrzeżenie?

Takie rzeczy trzeba widocznie samemu przeżyć, żeby je zrozumieć…

Ale, o Boże, jak bardzo Francesca pragnęła wyrwać się z tego kobiecego klubu wiecznej melancholii.

Gdzież się podziewał Michael? Czemu nie starał się jej pocieszyć? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo go potrzebowała? Właśnie jego, a nie swojej matki. Ani żadnej innej matki.

Nawet gdy przychodził do Kilmartin House i znajdował się w tym samym pokoju co ona, nigdy nie było jak dawniej. Nie żartowali, nie przekomarzali się. Siedzieli tylko i zamartwiali się, a jeśli już nawiązali rozmowę, to ogarniało ich skrępowanie, jakiego przedtem nigdy między nimi nie było.

Czy nic nie mogło pozostać takie samo jak przed śmiercią Johna? Nigdy nie przypuszczała, że jej przyjaźń z Michaelem także się skończy.

— Jak się czujesz, kochanie?

Francesca spojrzała na Janet, zbyt późno uświadomiwszy sobie, że teściowa zadała jej pytanie… może nawet kilka pytań, na które nie odpowiedziała, zatopiona w myślach. Ostatnio często jej się to zdarzało.

— Doskonale — odparła wreszcie. — Jak zawsze.

Janet pokręciła głową, pełna podziwu.

— Zdumiewające. Nigdy jeszcze nie słyszałam o czymś podobnym.

Francesca wzruszyła ramionami.

— Gdyby nie to, że ustały miesięczne dolegliwości, sama nigdy bym się nie domyśliła, że spodziewam się dziecka.

Była to szczera prawda. Francesca nie miała mdłości ani napadów wilczego apetytu. Nic jej nie dolegało. Może była trochę bardziej zmęczona niż zwykle, ale równie dobrze przyczyną tego stanu mogła być rozpacz po stracie męża. Matka powiedziała jej, że czuła się wyczerpana przez cały rok po śmierci ojca…

No ale matka miała ośmioro dzieci, którymi trzeba się było zająć…

Francesca musiała zadbać tylko o siebie — mając na dodatek całą armię służby, która traktowała ją jak ciężko chorą królową.

— Masz wielkie szczęście — stwierdziła Janet, sadowiąc się w fotelu naprzeciw synowej. — Kiedy spodziewałam się Johna, każdego ranka miałam mdłości. Po południu zresztą także.

Francesca skinęła głową i uśmiechnęła się do teściowej. Janet wspominała już o tym wielokrotnie. Po śmierci Johna jego matka upodobniła się do skrzeczącej sroczki. Nieustanną paplaniną usiłowała wypełnić długie chwile bolesnego milczenia synowej. Francesca była jej wdzięczna za te starania, choć podejrzewała, że tylko czas złagodzi ból.

— Taka jestem rada, że spodziewasz się dziecka — powiedziała Janet i pochylając się ku synowej w serdecznym odruchu, ścisnęła ją za rękę. — Dzięki temu wszystko jest łatwiejsze do zniesienia… Albo przynajmniej nieco mniej koszmarne! — dodała z uśmiechem.

Był to wymuszony uśmiech, ale robiła, co mogła.

Francesca skinęła tylko głową w obawie, że zaraz się rozpłacze.

— Zawsze chciałam mieć dużo dzieci — wyznała Janet — ale nie było mi sądzone. A kiedy John umarł… Cóż, wystarczy chyba, że powiem: żadne wnuczątko nie będzie bardziej kochane od tego, które nosisz pod sercem. — Zamilkła i udając, że wyciera nos, otarła oczy. — Nie powtarzaj nikomu, ale wszystko mi jedno, czy to będzie chłopczyk, czy dziewczynka. Jedno czy drugie to przecież kawałeczek Johna. I tylko to się liczy!

— Wiem — odparła Francesca, dotykając brzucha.

Żałowała, że nie ma jeszcze widomych oznak ciąży. Wiedziała, że za wcześnie, by czuć ruchy dziecka: według dość skomplikowanych obliczeń była w ciąży najwyżej od trzech miesięcy. Wszystkie ubrania, jak dotąd, pasowały na nią doskonale, a jedzenie smakowało jej jak zawsze. Nie

miewała żadnych dziwacznych zachcianek ani dolegliwości, o jakich opowiadały inne kobiety.

Z rozkoszą wymiotowałaby co rano, gdyż byłby to oczywisty dowód obecności jej maleństwa. Zupełnie jakby kiwało do niej rączką i wesoło zapewniało: „Jestem tu!”.

— Widziałaś się ostatnio z Michaelem? — zagadnęła Janet.

— Od poniedziałku ani razu — odpowiedziała Francesca. — Już nas tak często nie odwiedza.

— Odczuwa boleśnie stratę Johna — stwierdziła ze współczuciem starsza dama.

— Ja też! — odparowała Francesca i aż się zdziwiła, jak ostro to zabrzmiało.

— Musi mu być bardzo trudno… — rozważała na głos Janet.

Francesca wpatrywała się w nią, rozchyliwszy usta ze zdumienia.

— Nie chciałam przez to powiedzieć, że dla ciebie nie jest to równie trudne — dodała pospiesznie teściowa. — Ale pomyśl, w jakim niefortunnym położeniu znalazł się Michael: czy jest hrabią, dowie się najwcześniej za sześć miesięcy.

— Nic na to nie poradzę.

— Oczywiście, że nie — potwierdziła Janet — ale pomyśl, jakie to irytujące. Słyszałam, jak pewna matrona oświadczyła bez ogródek, że nie uzna go za odpowiedniego kandydata do ręki swojej córki, jeżeli ty nie urodzisz dziewczynki. Co innego wyjść za hrabiego Kilmartin, a całkiem co innego poślubić jego ubogiego krewniaka. A na razie nikt nie wie, kim Michael w końcu będzie.

— Michael nie jest wcale ubogi — odparła Francesca z rozdrażnieniem. — A poza tym z pewnością nie myśli o ożenku podczas żałoby po Johnie.

— Chyba nie… Ale mam nadzieję, że zacznie się wkrótce rozglądać za

odpowiednią żoną — odpowiedziała teściowa. — Tak bardzo bym chciała, żeby był szczęśliwy! A przy tym, oczywiście, jako hrabia powinien się postarać o syna i spadkobiercę. Inaczej tytuł przejdzie na boczną linię, tych okropnych Debenhamów.

Janet wzdrygnęła się na samą myśl o takiej możliwości.

— Michael zrobi, co do niego należy — uspokoiła ją Francesca, choć wcale nie była tego pewna.

Na tym zawsze polegał największy kłopot z Michaelem: nie potrafił na dłuższą metę dochować wierności żadnej kobiecie. Jednak Francesce obecna sytuacja wydawała się wyjątkowo trudna do zaakceptowania. Przez całe dwa lata miała Johna, a Michael był przyjacielem ich obojga… Jak poczuje się, kiedy Michael się ożeni, a ona stanie się piątym kołem u wozu? Czy zdobędzie się na taką wielkoduszność, by cieszyć się jego szczęściem i cierpliwie znosić swe osamotnienie?

Przetarła oczy. Była zmęczona i, prawdę mówiąc, zrobiło się jej trochę słabo. Pewnie to dobry znak: podobno kobiety w okresie ciąży męczą się znacznie częściej niż zwykle. Spojrzała na Janet.

— Chyba pójdę na górę i utnę sobie drzemkę.

— Doskonały pomysł — pochwaliła ją Janet. — Powinnaś jak najwięcej wypoczywać.

Francesca skinęła głową i wstała, ale zaraz zachwiała się i chwyciła za poręcz fotela, żeby nie upaść.

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje — powiedziała, siląc się na uśmiech. — Nie mogę się utrzymać na nogach. Ja…

Przerwał jej trwożny okrzyk teściowej.

— Janet…?

Francesca spojrzała na nią z niepokojem. Teściowa zbladła i drżącą ręką zakryła usta.

— Co się stało? — spytała Francesca i spostrzegła nagle, że Janet wcale nie patrzy na nią, tylko na jej fotel.

Z rosnącym przerażeniem zmusiła się, by spojrzeć na miejsce, które przed chwilą zajmowała.

Na samym środku poduszki widniała niewielka czerwona plama krwi.

Życie byłoby znacznie prostsze, myślał zdegustowany Michael, gdybym był pijanicą!… Jeżeli w ogóle jakieś okoliczności usprawiedliwiają topienie smutków w kieliszku, to moja sytuacja z pewnością.

Niestety, los pokarał go odpornym organizmem i wyjątkowo mocną głową. To zaś znaczyło, że chcąc osiągnąć stan zbliżony do zamroczenia, powinien teraz, siedząc przy tym biurku, opróżnić butelkę, a może i drugą.

Wyjrzał przez okno. Nie ściemniało się jeszcze. Nawet jemu — hulace bez skrupułów, jakim próbował być — trudno było zmusić się do wytrąbienia całej butelki whisky przed zachodem słońca.

Michael bębnił palcami po blacie biurka, nie wiedząc, co począć. Od śmierci Johna minęło sześć tygodni, a on nadal zajmował skromne mieszkanko na Albany. Jakoś nie mógł się przemóc i przenieść do Kilmartin House. Hrabiowska rezydencja nie stanie się jego legalną własnością przed upływem sześciu miesięcy.

A może nigdy.

Według lorda Winstona, którego wywody Michael nauczył się cierpliwie znosić, tytuł hrabiego Kilmartin pozostawał obecnie w zawieszeniu aż do porodu Franceski. Jeśli urodzi chłopca, Michael będzie znowu tym, kim był dotychczas: kuzynem hrabiego.

Ale nie tylko niepewna sytuacja osobista powstrzymywała Michaela od wprowadzenia się do Kilmartin House. Wahałby się, czy zamieszkać w tej rezydencji nawet wówczas, gdyby Francesca nie spodziewała się dziecka. Wystarczyło, że ona tam była.

Mieszkała nadal w Kilmartin House i w dalszym ciągu była hrabiną Kilmartin. I choćby nawet Michael został oficjalnie uznany za hrabiego, bez żadnych wątpliwości co do tytułu, nigdy nie byłaby jego hrabiną. Po prostu nie wiedział, czy potrafi znieść tę groteskową sytuację.

Miał nadzieję, że ból po śmierci Johna położy wreszcie kres jego grzesznej namiętności. Że będzie mógł przebywać w towarzystwie Franceski i nie pragnąć jej, ale nadal zapierało mu dech, kiedy wchodziła do pokoju, wszystkie mięśnie prężyły się, ilekroć przysunęła się zbyt blisko, a jego serce w dalszym ciągu pełne było miłości — aż do bólu.

Zmieniło się tylko tyle, że teraz wszystkie emocje przesłoniło poczucie winy, jakby nie dość było tego, co się z nim działo za życia Johna. Francesca pogrążona była w smutku i żałobie, a on powinien ją pocieszać, a nie podniecać się jej obecnością. John nie ostygł jeszcze w grobie. Trzeba być skończonym bydlęciem, by w takich okolicznościach czuć pociąg do jego żony.

Jego brzemiennej żony.

Na tyle różnych sposobów właził już w buty Johna. Nie może uwieńczyć tego najgorszą zdradą: zajmując jego miejsce u boku Franceski.

Trzymał się więc z dala od niej. Nie całkiem, bo to za bardzo rzucałoby się w oczy, a poza tym nie mógł tak po prostu zniknąć z horyzontu, gdy jego matka i matka Johna mieszkały w Kilmartin House. Zresztą wszyscy oczekiwali, że zacznie wypełniać obowiązki hrabiego, nawet jeśli tytuł zostanie mu oficjalnie przyznany dopiero za sześć miesięcy.

Michael robił, co należało. Nie był małostkowy i nie miał nic przeciwko temu, że spędza po kilka godzin dziennie, doglądając majątku, który — być może — przypadnie komuś innemu. Przynajmniej tyle mógł uczynić dla Johna.

I dla Franceski. Nie był w stanie odgrywać nadal roli brata czy

przyjaciela, ale mógł zadbać o jej sprawy finansowe.

Wiedział jednak, że Francesca nie może pojąć jego zachowania. Często zaglądała do niego, gdy pracował w gabinecie Johna w Kilmartin House, ślęcząc nad sprawozdaniami rządców i doradców prawnych. Odgadywał, że Francesca pragnie, by wrócili do dawnych koleżeńskich układów, ale po prostu nie mógł się na to zdobyć.

Może był za słaby albo zbyt płytki, ale nie potrafił odgrywać dłużej roli jej przyjaciela. W każdym razie nie w tej chwili.

— Przepraszam, czy pan Stirling…?

Michael podniósł wzrok. W drzwiach stał jego lokaj, a obok niego służący Kilmartinów w łatwej do rozpoznania, zielono-złotej liberii.

— Mam list dla jaśnie pana — wyjaśnił posłaniec. — Od pańskiej matki.

Michael wyciągnął rękę, zastanawiając się, o co chodzi tym razem. Wzywała go do Kilmartin House co drugi dzień!

— Powiedziała, że to bardzo pilne — dodał służący, wręczając Michaelowi kopertę.

Bardzo pilne, doprawdy? To coś nowego. Michael spojrzał znacząco na posłańca i na swojego lokaja. Jego oczy mówiły wyraźnie: Chcę zostać sam. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, rozciął kopertę nożykiem.

Przyjeżdżaj jak najszybciej — napisała tylko matka. — *Francesca straciła dziecko.*

Michael omal się nie zabił, pędząc konno do Kilmartin House w szaleńczym pośpiechu. Nie zważał na krzyki rozsierdzonych przechodniów, których o mały włos nie stratował.

I oto był u celu. Stał we frontowym holu rezydencji Kilmartinów i nie miał pojęcia, po co tu właściwie przyjechał.

Poronienie… taka intymna, kobieca sprawa… W czym mógłby pomóc? Z pewnością jest to tragedia i czuł się okropnie ze względu na Francescę…

ale czego się właściwie po nim spodziewano? Czemu wezwano go z takim pośpiechem?

I nagle dotarło do niego: był teraz hrabią. Sprawa została ostatecznie rozstrzygnięta. Powoli, ale zdecydowanie przywłaszczał sobie wszystko, co składało się na życie jego stryjecznego brata, wdzierał się w każdy zakątek świata, który należał niegdyś do Johna.

— Och, Michaelu! — zawołała matka, wybiegając mu na spotkanie. — Tak się cieszę, że jesteś!

Uściskał ją niezgrabnie i bąknął jakiś frazes bez znaczenia, w rodzaju: Co za nieszczęście. Przede wszystkim jednak sterczał tam i czuł się głupio, nie na miejscu.

— Jak ona się teraz miewa? — spytał w końcu, gdy matka wypuściła go z objęć.

— Jest w szoku — odparła. — Tak strasznie płakała…

Z trudem przełknął ślinę, rozpaczliwie pragnąc poluzować węzeł krawata.

— Trudno się dziwić — odparł. — Ja… ja…

— I nie może przestać — przerwała mu matka.

— Nadal płacze? — spytał Michael.

Helen skinęła głową.

— Nie wiem, co począć.

Michael starał się oddychać miarowo. Powoli. Wdech – wydech.

— Michaelu…?

Matka najwyraźniej czekała, że jej coś odpowie. Może nawet udzieli rady?

Skąd miał wiedzieć, jak powinien się zachować?

— Przyjechała jej matka — odezwała się znów Helen, pojąwszy, że nie

doczeka się od syna odpowiedzi. — Chce, żeby Francesca wróciła do Bridgerton House.

— A Francesca też tego chce?

Helen smętnie wzruszyła ramionami.

— Chyba sama nie wie, biedulka, czego chce. To był dla niej taki cios.

— Oczywiście… — bąknął Michael, przełykając ślinę.

Nie wytrzyma tu ani chwili dłużej. Musi stąd wyjść.

— Doktor powiedział, że przez kilka dni nie ma mowy o przenosinach. W żadnym wypadku — dodała Helen.

Pokiwał głową.

— Naturalnie od razu powiadomiłyśmy ciebie!

Naturalnie?… Nie było w tym nic naturalnego! Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo nie na miejscu, całkowicie niezdolny do składnego mówienia i działania.

— Jesteś teraz hrabią Kilmartin — powiedziała cicho matka.

Skinął znów głową. Tylko raz. Nie mógł się zdobyć na nic lepszego.

— Muszę powiedzieć, że… — Helen urwała i jakoś dziwnie, zbyt gwałtownie ściągnęła wargi. — Cóż… matka zawsze nieba przychyliłaby swoim dzieciom, ale ja… nigdy bym…

— Nie mów nic! — odparł Michael. Nie zniósłby, gdyby ktoś uznał, że dobrze się stało. Albo gdyby mu gratulowano…

Kto wie, jak gwałtownie by na to zareagował…

— Pytała o ciebie — powiedziała matka.

— Francesca? — spytał i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Helen przytaknęła.

— Chciałaby się z tobą zobaczyć.

— Nie mogę.

— Powinieneś…

— Naprawdę nie mogę! — Pokręcił głową; czuł, że ogarnia go panika. — Nie mogę tam wejść.

— Nie możesz jej teraz opuścić! — odparowała matka.

— Nigdy nie była moja, więc nie ma mowy o opuszczeniu!

— Ależ, Michaelu — jęknęła Helen. — Jak możesz wygadywać takie rzeczy?!

— Potrzebne jej teraz towarzystwo innych kobiet — rozpaczliwie usiłował skierować rozmowę na inne tory. — Kobiece rady i pomoc! Na cóż mógłbym się przydać?

— Mógłbyś okazać jej swą przyjaźń — szepnęła Helen i Michael poczuł się ośmiolatkiem skarconym za jakąś bezmyślną psotę.

— Nie! — zaprotestował i sam się przestraszył własnego głosu.

Przypominał krzyk rannego zwierzęcia, zbolałego i półprzytomnego. Michael wiedział tylko jedno: nie może jej zobaczyć. Jeszcze nie teraz.

— Michaelu… — prosiła matka.

— Nie — powtórzył. — Później… może jutro. — Wielkimi krokami ruszył ku drzwiom. Wykrztusił jeszcze: — Przekaż jej… moje najszczersze…

I uciekł, jak ostatni tchórz.

4

…Moim zdaniem nie warto aż tak dramatyzować. Nie będę udawać, że znam się na romantycznych wzlotach miłości małżeńskiej, ale nie wierzę, by mogła być tak wszechpotężna, iż śmierć jednego z małżonków pociąga za sobą zagładę drugiego. Z pewnością masz więcej hartu ducha, niż przypuszczasz, droga siostro, i zdołałabyś wyżyć bez męża — choć oczywiście, można z tym polemizować.

Eloise Bridgerton do swojej siostry, hrabiny Kilmartin, trzy tygodnie po jej ślubie

Następny miesiąc był, zdaniem Michaela, istnym piekłem, jakiego człowiek może doświadczyć.

Ilekroć anonsowano go jako hrabiego Kilmartin, ilekroć składał swój nowy podpis pod jakimś dokumentem, ilekroć zwracano się do niego „milordzie” lub „panie hrabio”, miał wrażenie, że jest świadkiem egzorcyzmów odpędzających ducha Johna coraz dalej.

Niebawem — rozważał Michael, niby to obojętnie — zniknie wszelka pamięć o Johnie, jakby nigdy nie istniał. Nawet jego dziecko, które miało być pamiątką po nim na ziemi, przepadło bez śladu.

A wszystko, co należało dawniej do Johna, było teraz własnością Michaela.

Z wyjątkiem Franceski.

I Michael postanowił utrzymać ten stan rzeczy. Nie mógł wyrządzić stryjecznemu bratu tej ostatecznej zniewagi.

Oczywiście musiał spotykać się z Francescą od czasu do czasu. Przekazywał jej, jak umiał, słowa pociechy, ale cokolwiek powiedział, brzmiało dziwnie pusto, ona zaś odwracała głowę i wpatrywała się w ścianę.

Naprawdę nie wiedział, co jej powiedzieć. Szczerze mówiąc, czuł większą ulgę na myśl, że Francesca wróciła całkiem do zdrowia, niż przygnębienie z powodu śmierci dziecka. Wszystkie matki — jego, Johna i Franceski — uznały za konieczne opisać mu to krwawe wydarzenie z koszmarnymi szczegółami, a jedna z pokojówek przyniosła nawet zakrwawione prześcieradło — niezbity dowód poronienia.

Lord Winston skinął wówczas głową z aprobatą, dodał jednak, że wolałby sam być świadkiem tych wydarzeń, żeby mieć całkowitą pewność, że to istotnie prześcieradło hrabiny, ona zaś definitywnie przestała być brzemienna. Dorzucił na koniec, że już nieraz próbowano w tak pokrętny sposób naruszać uświęcone prawo pierworództwa.

Michael miał szczerą ochotę wyrzucić tego ujadającego oszczercę przez okno, ostatecznie jednak pokazał mu tylko drzwi. Widać nie wystarczało mu energii na wybuchy słusznego gniewu.

W dalszym ciągu nie spieszył się z przeprowadzką do Kilmartin House. Nie był jeszcze gotowy na takie zmiany, a poza tym na samą myśl o zamieszkaniu w tym babińcu miał wrażenie, że się dusi. Wiedział, że niebawem będzie musiał przenieść się do hrabiowskiej rezydencji — tego po nim oczekiwano. Na razie jednak wystarczało mu dotychczasowe kawalerskie mieszkanko.

I właśnie tam, gdzie chronił się przed nowymi powinnościami, dopadła go Francesca.

— Nie przeszkadzam, Michaelu? — spytała, gdy lokaj wprowadził ją do małego saloniku.

— Witaj, Francesco — odparł Michael, zaszokowany jej odwiedzinami. Nigdy dotąd nie zaglądała do niego na Albany. Ani za życia Johna, ani — tym bardziej — po jego śmierci. — Co cię tu sprowadza?

— Chciałam się z tobą zobaczyć.

W podtekście kryło się milczące oskarżenie: Unikasz mnie!

Była to prawda, oczywiście, lecz Michael mruknął tylko:

— Siadaj! — I dodał po chwili: — …Bardzo proszę.

Czy wizyta Franceski była czymś aż tak niewłaściwym? Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia. Niezwykłe okoliczności towarzyszące jego wywyższeniu oraz wysoka pozycja ich obojga tworzyły razem niespotykany układ, toteż trudno powiedzieć, jakie zasady miały ich obowiązywać.

Francesca usiadła i przez całą minutę poprawiała fałdy spódnicy, po czym podniosła wzrok na Michaela, spojrzała na niego z wielkim przejęciem i oznajmiła:

— Brakuje mi ciebie, wiesz?

Miał wrażenie, że ściany wokół niego zaczynają na niego napierać.

— Francesco, ja…

— Byłeś moim przyjacielem — rzekła tonem oskarżycielskim. — Moim najlepszym przyjacielem, z wyjątkiem Johna, oczywiście. A teraz zaczynam wątpić, czy jesteś nim nadal.

— Ja…

Czuł się jak ostatni dureń — absolutnie bezsilny, obezwładniony spojrzeniem błękitnych oczu i straszliwym brzemieniem winy.

Sam nie był pewien, z jakiego konkretnie powodu aż tak gryzie go sumienie. Żałował tak wielu swoich postępków, że nie mógł się już w tym połapać.

— Co ci się stało? — spytała. — Dlaczego mnie unikasz?

— Sam nie wiem — odpowiedział, gdyż nie potrafił łgać w żywe oczy,

że wcale tak nie jest; Francesca była za bystra na takie wykręty. Ale nie mógł też wyjawić jej prawdy.

Usta Franceski drżały, przygryzła dolną wargę. Michael przyglądał się, nie mogąc oderwać oczu od jej ust, i poczuł wstręt do siebie z powodu pożądania, jakie go ogarnęło.

— Byłam pewna, że jesteś moim przyjacielem — szepnęła.

— Daj spokój, Francesco…

— Potrzebowałam twojej przyjaźni — mówiła dalej cicho. — I teraz też jesteś mi potrzebny.

— Nieprawda! — perswadował. — Masz wokół siebie matki… i swoje siostry…

— Nie mam ochoty zwierzać się siostrom! — odparowała, a w jej głosie można było wyczuć tłumiony gniew. — One niczego nie rozumieją!

— Cóż, ja też nie bardzo rozumiem — odparł z taką desperacją, że zabrzmiało to wręcz nieuprzejmie.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

— Zrozum, Francesco… — Chętnie uniósłby ramiona w rozpaczliwym geście. Opanował się jednak i skrzyżował ręce na piersi. — Ty… ty przecież poroniłaś…

— Dobrze o tym wiem — odparła zdławionym głosem.

— Czy ja się znam na takich sprawach?… Powinnaś porozmawiać z jakąś kobietą.

— Nie mógłbyś przynajmniej powiedzieć, że ci przykro?

— Powiedziałem przecież.

— Powiedzieć to szczerze.

Czego ona od niego chce?

— Ależ, Francesco, mówiłem całkiem szczerze.

— Jestem taka… taka zła! — powiedziała i słychać było, jak rośnie w jej

głosie napięcie. — Zbolała i załamana… A kiedy patrzę na ciebie, nie mogę pojąć, czemu nic cię to nie obchodzi.

Na chwilę zastygł w bezruchu.

— Nie waż się tak mówić — wyrzucił z siebie ostrym szeptem. W jego oczach błysnął gniew.

— Cóż… w dziwny sposób okazujesz swoje zainteresowanie! Ani razu mnie nie odwiedziłeś, nie porozmawiałeś ze mną i nie rozumiesz…

— Co niby miałbym rozumieć? — wybuchnął. — Do stu tysięcy…

W ostatniej chwili powstrzymał się, by nie zakląć siarczyście. Odwrócił się do Franceski plecami i oparł całym ciężarem o parapet.

Francesca siedziała bez ruchu, milcząca jak śmierć. W końcu odezwała się:

— Nie wiem, po co tu przyszłam. Lepiej już pójdę.

— Nie odchodź! — poprosił zdławionym głosem.

Nie odwrócił się jednak do niej.

Nie odezwała się, niepewna, co miała znaczyć ta prośba.

— Przecież dopiero co przyszłaś — tłumaczył niezręcznie, z wahaniem. — Powinnaś przynajmniej napić się herbaty!

Francesca skinęła głową, choć Michael w dalszym ciągu na nią nie patrzył.

Trwali tak przez dobrych kilka minut, stanowczo zbyt długo, w końcu Francesca nie mogła wytrzymać tego milczenia. W ciszy słychać było tykanie zegara, przed sobą widziała jedynie plecy Michaela, więc siedziała tak i myślała, myślała… zastanawiając się, po co tu przyszła.

Czego właściwie od niego chciała?

I czy jej życie byłoby łatwiejsze, gdyby to wiedziała?

— Michaelu! — powiedziała wreszcie.

Jego imię spłynęło z jej ust, nim uświadomiła sobie, co robi.

Odwrócił się do niej. Nie mówił nic, ale podziękował jej spojrzeniem.

— Ja… — Czemu właściwie odezwała się pierwsza? Czego chciała od niego? — Ja…

Michael nadal się nie odzywał. Po prostu stał i czekał, aż Francesca zbierze myśli, co jeszcze utrudniało sprawę.

I nagle, ku swemu przerażeniu, wyrzuciła z siebie wszystko.

— Nie wiem, co począć! — mówiła łamiącym się głosem. — Jest we mnie tyle gniewu na życie, na los…

Urwała nagle, odetchnęła głęboko, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy.

Stojący naprzeciw niej Michael otworzył usta, ale tylko na sekundę. Nie wyszło z nich zresztą ani jedno słowo.

— Nie rozumiem, czemu zwaliło się na mnie tyle nieszczęść! — skarżyła się. — Co ja takiego zrobiłam? Czym zawiniłam?

— Nie zrobiłaś nic złego — zapewnił ją.

— John odszedł i już nie wróci, a ja jestem taka… taka strasznie… — Popatrzyła na Michaela, zdając sobie sprawę, że na jej twarzy malują się rozpacz i gniew. — To nie w porządku! Dlaczego to spotkało właśnie mnie, a nie kogoś innego?… Zresztą nikogo nie powinno spotykać nic podobnego! I dlaczego musiałam stracić… moje…

Płacz ścisnął ją za gardło i mogła już tylko rozpaczliwie szlochać.

— Francesco… — powiedział Michael, klękając u jej stóp. — Tak mi przykro! Tak bardzo mi przykro!

— Wiem — powiedziała przez łzy. — Ale to nic nie pomoże…

— Chyba nie — szepnął.

— Nie sprawi, że wszystko znów będzie jak dawniej…

— Chyba nie — powtórzył.

— I to niczego… niczego…

Nie starał się dokończyć za nią tego zdania. Prawie żałowała, że tego nie zrobił, bo może by coś poplątał, powiedział nie tak, a wtedy nie przytuliłaby się do niego, nie pozwoliłaby, żeby ją objął…

Ale, o Boże, tak bardzo pragnęła, żeby ktoś ją przygarnął do siebie.

— Czemu odwróciłeś się ode mnie? — płakała. — Czemu nie chcesz mi pomóc?

— Bardzo tego chcę… Nie myśl… — A w końcu wyznał: — Nie wiem, co ci powiedzieć…

Zbyt wiele od niego wymagała. Wiedziała o tym, ale było jej już wszystko jedno. Nie mogła dłużej znieść samotności!

Teraz jednak — przynajmniej przez chwilę — nie była sama.Miała przy sobie Michaela, obejmował ją; było jej ciepło, po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się bezpieczna. Płakała nadal. Wypłakała wszystkie swoje niewylane dotąd łzy. Płakała z powodu Johna i utraconego dziecka.

Ale przede wszystkim opłakiwała własny los.

— Michaelu — powiedziała, opanowawszy się na tyle, że mogła mówić. Głos jej nadal drżał, zdołała jednak wymówić jego imię i czuła, że potrafi powiedzieć znacznie więcej.

— Tak, Frannie?

— Nie może dłużej tak być między nami!

Poczuła, że coś się nagle zmieniło. Jego uścisk stał się mocniejszy… a może słabszy? W każdym razie inny.

— Jak? — spytał ochrypłym, niepewnym głosem.

Odsunęła się trochę, żeby na niego popatrzeć, i poczuła ulgę, gdy sam wypuścił ją z objęć i nie musiała się uwalniać z jego uścisku.

— Tak jak dotąd — odpowiedziała, czując, że Michael jej nie rozumie. A może rozumiał, tylko udawał, że nie wie, o co chodzi? — Nie możesz dłużej mnie ignorować!

— Francesco, ja…

— To dziecko miało być także twoje… w pewnym sensie… — wyrwało się jej.

Zbladł śmiertelnie. Tak bardzo, że na chwilę zaparło jej dech.

— Jak to? — wyszeptał.

— Ono potrzebowałoby ojca — odparła, bezradnie rozkładając ramiona. — Więc ja… Ty… mógłbyś go zastąpić.

— Masz przecież braci — wykrztusił.

— Oni nie znali Johna. Nie tak jak ty.

Odsunął się od niej, a potem, jakby i tego było mało, cofnął się aż do okna. Zamrugał i przez chwilę wydawało się jej, że ma przed sobą zaszczute zwierzę — osaczone i przerażone, czekające już tylko na śmierć.

— Dlaczego mi to mówisz? — spytał cicho, bezbarwnym głosem.

— Sama nie wiem. — Speszona przełknęła ślinę.

Wiedziała jednak doskonale. Pragnęła, by Michael dzielił z nią żałobę. Żeby cierpiał dokładnie tak jak ona. To nie było uczciwe, to było nie w porządku, ale nic na to nie mogła poradzić. Nie miała też zamiaru się usprawiedliwiać.

— Francesco — rzekł dziwnym tonem, głucho i ostro zarazem; nigdy jeszcze nie słyszała, żeby tak mówił.

Spojrzała na niego z ociąganiem, jakby obawiała się, co zobaczy na jego twarzy.

— Nie jestem Johnem — powiedział.

— Wiem.

— Nie jestem Johnem! — powtórzył głośniej.

Pomyślała, że pewnie jej nie usłyszał.

— Wiem.

Zmrużył oczy i utkwił w niej wzrok pełen napięcia.

— To nie było moje dziecko. A ja nie mogę dać ci tego, czego pragniesz.

Poczuła, że coś wewnątrz niej umiera.

— Michaelu, ja…

— Nie zajmę jego miejsca — rzekł dość cicho, ale zabrzmiało to jak przejmujący krzyk.

— Oczywiście, że nie! Ty…

I wtedy w mgnieniu oka znalazł się przy niej. Chwycił ją za ramiona, poderwał na nogi.

— Nie zrobię tego! — krzyknął, potrząsając nią. Znieruchomiał na chwilę, a potem znów potrząsnął Francescą. — Nie mogę nim być! Nie chcę nim być!

Odebrało jej mowę. Nie zdołałaby wykrztusić słowa. Nie wiedziała, co począć.

I nie miała pojęcia, kim się stał.

Przestał nią potrząsać, ale jego palce nadal wpijały się boleśnie w jej ramiona. Nie odrywał od niej wzroku.

W jego srebrnych jak rtęć oczach było coś strasznego, a zarazem niezmiernie smutnego.

— Nie możesz tego ode mnie wymagać — wykrztusił. — Nie mogę tego zrobić!

— Michaelu… — szepnęła, słysząc w jego głosie coś, co ją przeraziło: paniczny strach. — Michaelu, puść mnie, proszę.

Nie puścił jej. Być może nie usłyszał jej prośby. Wzrok miał pusty i wydawał się taki daleki, nieosiągalny…

— Michaelu! — powtórzyła głośniej, z nutką paniki.

I wtedy nieoczekiwanie spełnił jej prośbę: puścił ją. Potknął się i zatoczył do tyłu. Na jego twarzy malował się wstręt do samego siebie.

— Przepraszam — wyszeptał, wpatrując się w swoje ręce, jakby były

czymś obcym. — Tak mi przykro!

Francesca skierowała się ku drzwiom.

— Lepiej już pójdę — powiedziała cicho.

Skinął głową.

— Tak…

— Chyba… — urwała, jakby dalsze słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Chwyciwszy za klamkę, uczepiła się jej niczym liny ratunkowej. — Chyba lepiej, żebyśmy się nie widywali przez jakiś czas.

Przytaknął nerwowym ruchem głowy.

— Może…

Ale nie dodała nic więcej. Sama nie wiedziała, co chce powiedzieć. Gdyby rozumiała, co się właściwie między nimi wydarzyło, może znalazłaby jakieś stosowne słowa. W tej chwili jednak była zbyt oszołomiona, by się nad tym zastanawiać.

Bała się… ale właściwie czego? Z pewnością nie Michaela. Nigdy by jej nie skrzywdził. Oddałby za nią życie, gdyby było trzeba. Wierzyła w to bez cienia wątpliwości.

Może obawiała się jutra i dni, które nastąpią…? Utraciła wszystko, co miała najdroższego. A wyglądało na to, że teraz straci również Michaela. Nie była pewna, jak zdoła to znieść.

— Muszę już iść — powiedziała, dając mu ostatnią szansę, by ją zatrzymał, powiedział coś, co mogłoby wszystko naprawić.

On jednak tego nie zrobił. Nawet nie kiwnął głową. Spoglądał tylko na nią i w jego oczach wyczytała milczącą zgodę na jej decyzję.

Odeszła więc. Zamknęła za sobą drzwi, opuściła jego mieszkanie. Potem wsiadła do powozu i wróciła do domu.

Nie wymówiła ani słowa. Weszła po schodach na górę i położyła się do łóżka.

Nie rozpłakała się, choć czuła, że lada chwila zacznie płakać. Chyba to jej ulży.

Wpatrywała się w sufit.

Przynajmniej on nie protestował przeciwko temu.

Kiedy Michael został już sam w swoim mieszkaniu na Albany, chwycił butelkę whisky i napełnił kieliszek po brzegi, choć wystarczyło mu jedno spojrzenie na zegar, by przekonać się, że nie minęło nawet południe.

Nie ulegało wątpliwości: staczał się coraz niżej.

Starał się jak mógł, ale nie przychodziło mu do głowy, jak inaczej mógłby to rozegrać. Nie zamierza przecież sprawić przykrości Francesce; z pewnością nie działał też z wyrachowaniem. To prawda, że zachował się jak ostatni dureń, ale jeśli nawet jego reakcje były zbyt gwałtowne i nieprzemyślane, to nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby się zachować.

Dobrze znał samego siebie. Nie zawsze (a ostatnio nawet bardzo rzadko) czuł do siebie sympatię, ale z całą pewnością znał swe wady i zalety. I gdy Francesca zwróciła na niego te niezgłębione, błękitne oczy i powiedziała: „To dziecko miało być także twoje… w pewnym sensie”, wstrząsnęło to nim do głębi.

Nie miała pojęcia o niczym.

Dopóki zaś nie wiedziała o jego uczuciach do niej i nie domyślała się, czemu tak trudno mu było wstępować, krok po kroku, w ślady Johna, nie mógł przebywać w pobliżu niej, gdyż coraz częściej słyszałby z jej ust podobne słowa.

A on po prostu nie miał pojęcia, jak długo byłby w stanie to znosić.

I tak oto, stojąc w swym gabinecie, przejęty bólem i skruchą, uświadomił sobie dwie prawdy.

Pierwsza była bardzo prosta: whisky wcale nie łagodziła bólu, a jeśli

dwudziestopięcioletnia whisky, prosto ze Speyside, nie mogła mu poprawić humoru, to już nic mu nie pomoże.

Od tej pierwszej prawdy był tylko krok do drugiej, która okazała się znacznie trudniejsza do przełknięcia. Ale musiał i z nią się uporać. Rzadko podejmowanie życiowej decyzji bywa równie oczywiste. Bolesne, choć niebudzące żadnych wątpliwości.

Odstawił więc kieliszek, w którym pozostało jeszcze bursztynowego trunku na dobre dwa palce, i powędrował korytarzem do swojej sypialni.

— Reivers — zwrócił się do lokaja, który, stojąc obok szafy, składał starannie jeden z krawatów. — Co byś powiedział na wyjazd do Indii?

Część II – Marzec 1824, Cztery lata później

5

…Z pewnością wiele by Ci się tu spodobało. Nie tutejsze upały, oczywiście: nikt się tym nie zachwyca. Ale cała reszta z pewnością by Cię oczarowała. Kolory, egzotyczne wonie, nawet samo powietrze — wszystko składa się na dziwną, drażniącą zmysły atmosferę, na przemian niepokojącą i upajającą. Nade wszystko spodobałyby Ci się tutejsze parki. Przypominają nasze londyńskie, ale są od nich znacznie bardziej zielone i bujniejsze; pełno tam niezwykłych kwiatów — nigdy jeszcze takich nie widziałaś. Zawsze lubiłaś przebywać na łonie natury, jestem więc przekonany, że byłabyś tym wszystkim zachwycona!

Michael Stirling, hrabia Kilmartin, do hrabiny Kilmartin, miesiąc po swoim przyjeździe do Indii

Francesca marzyła o dziecku.

Już od dłuższego czasu pragnęła je mieć, ale dopiero w ostatnich miesiącach przyznała się do tego przed sobą i nareszcie ubrała w słowa tęsknotę, która towarzyszyła jej zawsze i wszędzie.

Zaczęło się całkiem niewinnie — od lekkiego ukłucia w sercu po przeczytaniu listu od bratowej, pełnego wieści o małej Charlotte, córeczce Kate i Anthony’ego, która nie mając jeszcze dwóch lat, była już niepoprawną psotnicą!

Ów drobny ból spotężniał, stał się nieustanny i dojmujący, gdy siostra Franceski, Daphne, przybyła z wizytą do Szkocji w towarzystwie czworga

swoich dzieci. Francesca nie miała pojęcia, jak dalece dziecięca paplanina może wpłynąć na atmosferę domu. Dzieciaki Hastingsów całkowicie odmieniły Kilmartin, wnosząc weń życie i radosny śmiech, którego — jak uświadomiła sobie ze smutkiem Francesca — brakowało tu od lat.

Potem jednak goście odjechali i w Kilmartin znów zapanowała cisza, bynajmniej nie błogosławiona.

Po prostu głucha.

Od tej chwili Francesca zmieniła się całkowicie. Na widok niańki z wózkiem odczuwała ból w sercu. Kiedy zaś dostrzegła kicającego po łące królika, mimo woli myślała o tym, jak bardzo chciałaby pokazać to zwierzątko jakiejś małej istotce… Wyjechała do hrabstwa Kent, by spędzić Boże Narodzenie ze swoją rodziną, ale gdy noc zapadła, a cała dzieciarnia jej braci i sióstr znalazła się już w łóżeczkach, Francesca poczuła się bardzo samotna.

Myślała tylko o tym, że jej życie przemija i że — o ile nie znajdzie na to jakiejś rady — czeka ją samotna śmierć.

Samotna.

Francesca nie czuła się nieszczęśliwa. O dziwo, przyzwyczaiła się do swego wdowieństwa i wiodła całkiem wygodne i zadowalające życie. Nigdy by w to nie uwierzyła podczas tych straszliwych miesięcy bezpośrednio po śmierci Johna, zdołała jednak — metodą prób i błędów — znaleźć dla siebie miejsce w świecie. A wraz z nim przynajmniej częściowe zaspokojenie.

Czynne życie, jakie wiodła, sprawiało jej satysfakcję. Ponieważ Michael się nie ożenił, Francesca nadal zachowała tytuł lady Kilmartin i związane z nim obowiązki — nie tylko bez przeszkód ze strony obecnego hrabiego, ale wręcz z jego błogosławieństwem. W instrukcjach, jakie Michael pozostawił przed swoim wyjazdem z kraju cztery lata temu, zaznaczył

wyraźnie, że Francesca ma prawo zarządzać hrabiowskimi dobrami, jak uzna za stosowne. Gdy minął szok spowodowany nagłym zniknięciem Michaela, Francesca uświadomiła sobie, jak cenny dar od niego otrzymała.

Miała dzięki temu zajęcie i cel w życiu.

Nie musiała leżeć wpatrzona w sufit.

Nie brakło jej przyjaciół ani kochających krewnych, zarówno Stirlingów, jak i Bridgertonów, a życie jej bynajmniej nie było puste — czy to w Szkocji, czy w Londynie, gdzie spędzała co roku kilka miesięcy.

Powinna więc być szczęśliwa. I przeważnie była.

Tyle że tęskniła za dzieckiem.

Nie od razu przyznała się do tego, nawet przed sobą.

Wydawało się jej, że to pragnienie jest czymś w rodzaju zdrady wobec Johna. Jej dziecko powinno być jego dzieckiem. I nawet teraz, po upływie czterech lat, niełatwo było jej wyobrazić sobie własne dziecko, które nie miałoby rysów Johna.

Przede wszystkim jednak realizacja tego marzenia związana była z powtórnym zamążpójściem. Francesca musiałaby zmienić nazwisko, związać się przysięgą małżeńską z innym mężczyzną, przyrzec mu swą miłość i wierność — i choć myśl o tym nie rozdzierała jej już serca, wydawała się Francesce czymś tak dziwnym, że wręcz nieprawdopodobnym.

Bywają jednak rzeczy, z którymi kobieta po prostu musi się pogodzić — i pewnego mroźnego lutowego dnia, spoglądając przez okno w Kilmartin na spowite śnieżną bielą gałęzie drzew, Francesca uświadomiła sobie, że tak być musi również w tym wypadku.

Wielu rzeczy należy się w życiu wystrzegać, ale niekoniecznie nowych doświadczeń!

Postanowiła więc spakować manatki i udać się do Londynu nieco

wcześniej niż zwykle. Przeważnie bywała tam w trakcie londyńskiego sezonu, spędzając mile czas w otoczeniu rodziny, dokonując zakupów, bywając na wieczorkach muzycznych i w teatrze, uczestnicząc we wszelkich rozrywkach, jakich nie można znaleźć na szkockiej wsi. Jednak ten sezon miał być odmienny od poprzednich. Francesca postanowiła przede wszystkim sprawić sobie nową garderobę. Od trzech lat nie nosiła już całkowitej żałoby, ale dotychczas nie rozstała się z szarościami i rozmaitymi odcieniami fioletu, odpowiednimi dla półżałoby. Nie zwracała też większej uwagi na wymogi mody, do której dama o jej pozycji powinna się stosować.

Nadszedł w końcu czas, by ubrać się na niebiesko. Zwłaszcza w głęboki błękit bławatków. Przed laty był to ulubiony kolor Franceski. Miała w sobie dość próżności, by z przyjemnością słuchać, jak doskonale ten odcień pasuje do jej oczu.

Sprawi więc sobie suknie w kolorze chabrów… a także róż i żonkili. Może nawet (tu serce zabiło jej mocniej) zdecyduje się na coś szkarłatnego?

Tym razem weźmie udział w londyńskim sezonie nie jako niedoświadczona panienka, ale bogata, młoda wdowa, którą obowiązują całkiem inne zasady dotyczące stroju.

A przecież jej oczekiwania nie różniły się zbytnio od nadziei pierwszej lepszej debiutantki.

Jechała do Londynu, by znaleźć sobie męża.

Stanowczo jego pobyt w Indiach trwał zbyt długo.

Michael zdawał sobie sprawę, że już dawno powinien wrócić do kraju, ale jakże łatwo było odkładać wyjazd na coraz późniejszy termin. Zgodnie z tym, co matka donosiła mu w swoich listach, które docierały do niego ze zdumiewającą regularnością, hrabiowskie dobra kwitły pod zarządem Franceski. Michael nie miał żadnych podopiecznych, którzy mogliby go

obwiniać o zaniedbywanie, a bliscy, których pozostawił w kraju — sądząc z listów — radzili sobie pod jego nieobecność lepiej niż wówczas, gdy był w pobliżu, by udzielać im duchowego wsparcia.

Nie miał więc wyrzutów sumienia.

Ale nie można wiecznie uciekać przed przeznaczeniem, toteż po trzech latach spędzonych w tropikach Michael musiał przyznać, że życie w tych egzotycznych warunkach nieco mu spowszedniało, a jeśli miał być całkiem szczery, chętnie by uciekł jak najdalej od tutejszego klimatu. Indie jednakże pomogły mu znaleźć cel w życiu i własne miejsce w świecie, nieograniczające się do tego, w czym zawsze wiódł prym, czyli do żołnierki i hulanek. Wsiadając na statek płynący do Indii, Michael dysponował jedynie adresem dawnego kolegi z wojska, który trzy lata wcześniej przeniósł się do Madrasu. Po miesiącu świeżo upieczony hrabia miał już rządową posadę i podejmował ważkie decyzje, brał udział we wcielaniu w życie praw oraz w kształtowaniu ludzkich losów.

Po raz pierwszy Michael zrozumiał, czemu John odnosił się z takim entuzjazmem do swej działalności w brytyjskim parlamencie.

Pobyt w Indiach nie uczynił Michaela szczęśliwym, ale zapewnił mu stabilizację i spokój. To ostatnie stwierdzenie mogłoby się wydawać paradoksem, zważywszy, że w czasie kilku lat tam spędzonych hrabia był o włos od śmierci trzy a nawet czterokrotnie, jeśli doliczyć do tego spotkanie z wywijającą sztyletem hinduską księżniczką. Co prawda Michael obstawał, że mógłby rozbroić ją bez trudu. Musiał jednak przyznać, że miała morderczy błysk w oku, a wiedział z doświadczenia, iż nie należy lekceważyć kobiety, która uważa się — choćby nawet niesłusznie — za wzgardzoną.

Mimo tych niepokojących epizodów pobyt w Indiach dał mu poczucie

równowagi wewnętrznej. Michael wzbogacił umysł i doszedł do ładu z samym sobą.

Przede wszystkim pobyt w Indiach go wyciszył, gdyż nie musiał tam żyć w ciągłym napięciu, wiedząc, że Francesca jest w pobliżu.

Tysiące mil od Franceski żyło mu się może nie lepiej, ale z pewnością łatwiej.

W końcu jednak uznał, że już najwyższy czas stawić czoło problemom związanym z jej osobą. Spakował więc manatki, powiadomił swego lokaja (ku jego wyraźnej uldze), że wracają do Anglii, zarezerwował luksusowe kajuty na statku „Księżniczka Amelia” i ruszył w drogę powrotną.

Będzie musiał stanąć twarzą w twarz z Franceską. Nie uniknie tego. Spojrzy w te błękitne oczy, które prześladowały go nieustannie, i spróbuje znowu być jej przyjacielem. Tylko na tym jej przecież zależało w mrocznych dniach po śmierci Johna — i tego właśnie nie mógł jej wówczas w żaden sposób zaofiarować.

Być może teraz, po długiej rozłące, zdoła tego dokonać. Nie był aż tak głupi, by liczyć na to, że Francesca się zmieni, ani na to, że on sam, spojrzawszy na nią, przekona się, że już jej nie kocha. Coś podobnego nigdy się nie wydarzy. Zdążył jednak przywyknąć do swojego nowego tytułu i słysząc zwrot „hrabia Kilmartin”, nie oglądał się już przez ramię, szukając wzrokiem stryjecznego brata. Może teraz, gdy rozpacz po śmierci Johna nie była już tak wielka, będzie mógł żyć z Francescą w przyjaźni, nie czując się jak złodziej zamierzający wykraść skarb, na który od dawna ostrzył sobie zęby.

Miał też nadzieję, że i Francesca nieco dojrzała i nie będzie się domagać, by przejął wszystkie obowiązki Johna związane z jej osobą — prócz jednego.

Niemniej jednak Michael był rad, że przybędzie do Londynu w marcu,

zanim jeszcze Francesca wybierze się do stolicy.

Był odważny — udowodnił to wielokrotnie na polach bitew. Był również na tyle uczciwy, by przyznać, że perspektywa spotkania z Francescą trwoży go nieporównanie bardziej niż spotkanie z armią Francuzów lub ze szczerzącym kły tygrysem.

Może — jeśli mu szczęście dopisze — Francesca w tym roku w ogóle nie przyjedzie na londyński sezon?

Byłby to prawdziwy uśmiech losu.

Zapadła już ciemna noc, ale Francesca nie mogła zasnąć. W całym domu panował potworny ziąb, a co gorsza — sama była temu winna!

Może niezupełnie. Za ciemność trudno byłoby ją winić. Noc to noc. O to, że słońce zaszło, trudno winić kogokolwiek. Ale niewątpliwie z jej winy służba nie została powiadomiona we właściwym czasie, że należy przygotować dom na przybycie hrabiny. Francesca zapomniała wysłać list do zarządzającej domem pani Parrish z wiadomością, że tym razem zamierza przyjechać do Londynu miesiąc wcześniej niż zwykle — i na skutek tego w Kilmartin House przebywała jedynie garstka służby, a zapasy węgla i świec woskowych były zatrważająco małe.

Wszystko z pewnością odmieni się na lepsze nazajutrz, gdy zarządzająca i majordomus dokonają pospiesznie niezbędnych zakupów na Bond Street; ale na razie Francesca trzęsła się z zimna w swoim łóżku. Dzień był wyjątkowo mroźny, a porywisty wiatr pogarszał jeszcze sprawę. Kto słyszał o tak niskiej temperaturze na początku marca?! Pani Parrish chciała zużyć cały zapas węgla na należyte ogrzanie sypialni lady Kilmartin, Francesca jednak nie wyraziła na to zgody. Nie mogła pozwolić, by wszyscy domownicy zamarzli na śmierć z jej powodu! Zresztą zajmowana przez nią sypialnia była ogromna, toteż zawsze było trudno ogrzać to pomieszczenie, zwłaszcza gdy w całym domu nie było ciepło.

Biblioteka! Tak, to najlepsze rozwiązanie. Jeśli Francesca starannie zamknie drzwi od tego niewielkiego, przytulnego pokoju, wystarczy ogień w kominku, by zrobiło się tam naprawdę ciepło. Co więcej, w bibliotece znajdowała się kanapa, na której Francesca mogła się położyć. Mebel był niewielki, ale i pani hrabina nie odznaczała się wysokim wzrostem.

Podjąwszy tę decyzję, Francesca wyskoczyła z łóżka i, ze względu na nocny chłód, narzuciła pospiesznie szlafroczek wiszący na oparciu krzesła. Nie był wystarczająco ciepły (nie pomyślała o zabraniu ze sobą grubego, zimowego szlafroka), ale lepszy niż nic, stwierdziła ze stoicyzmem. Palce stóp całkiem jej zlodowaciały.

Pospieszyła na dół; jej stopy w wełnianych skarpetkach ślizgały się na starannie wypolerowanych schodach. Zjechała z dwóch ostatnich stopni, ale na szczęście nie upadła, tylko pomknęła po wyścielającym korytarz chodniku do biblioteki.

— Ogień, ogień, ogień! — mruczała pod nosem.

Gdy tylko dotrze do celu, zadzwoni na kogoś ze służby i w mgnieniu oka będzie miała ogień buzujący na kominku.

Z całej siły pchnęła drzwi…

I z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

W kominku płonął ogień. Stał przed nim jakiś obcy mężczyzna, grzejąc sobie ręce.

Francesca w popłochu rozglądała się za czymś — wszystko jedno czym — co mogłoby posłużyć jej za broń.

I nagle stojący przy kominku mężczyzna się odwrócił.

— Michael?

Nie miał pojęcia, że Francesca jest w Londynie. Do wszystkich diabłów, nawet mu to nie przyszło do głowy. Co prawda, nie sprawiało to większej różnicy: i tak musieli się spotkać wcześniej czy później, ale przynajmniej

byłby przygotowany. Zdążyłby przykleić do twarzy sztuczny uśmiech, ubrałby się jak należy i zdołałby wejść w swoją rolę niepoprawnego hulaki.

Ale nic z tego: gapił się na nią, starając się nie zwracać uwagi na to, że Francesca nie ma na sobie nic, prócz nocnej koszuli i wiśniowego szlafroczka, tak cienkiego i przejrzystego, że widział wyraźnie zarys…

Przełknął ślinę. Nie patrz! Nie patrz na to, psiakrew!

— Michael? — szepnęła.

— Francesca! — wykrztusił, musiał przecież coś powiedzieć. — Co tu robisz?

Pytanie wyrwało ją z osłupienia. Odzyskała zdolność myślenia i poruszania się.

— Co ja tu robię? — zapytała. — Powinieneś być teraz w Indiach! Co ty tu robisz?

Wzruszył niedbale ramionami.

— Pomyślałem, że najwyższy czas wrócić do domu.

— Nie mogłeś napisać, uprzedzić?

— Napisać… do ciebie? — spytał, unosząc brew.

Był to celny, wymierzony z premedytacją cios. Przez te wszystkie lata Francesca nie napisała do niego ani słowa. Michael wysłał do niej trzy listy, ale gdy stało się jasne, że nie otrzyma odpowiedzi, postanowił korespondować wyłącznie ze swoją matką i z matką Johna.

— Wszystko jedno do kogo — odparła. — Ktoś powinien tu być, żeby cię powitać…

— Właśnie się zjawiłaś — stwierdził.

Skrzywiła się.

— Gdybyśmy wiedzieli, że wracasz, przygotowalibyśmy dom na twoje powitanie.

Znowu wzruszył ramionami. Ten gest wydawał się kwintesencją roli,

jaką odgrywał z prawdziwą determinacją.

— Wszystko jest jak należy… albo prawie.

Skrzyżowała ramiona na piersi, zasłaniając biust, co — musiał przyznać — było w tej sytuacji najrozsądniejsze.

— W każdym razie mogłeś napisać — zakończyła dość ostro — choćby z czystej uprzejmości.

— Masz pojęcie, Francesco — powiedział, odwracając się nieco, by móc w spokoju grzać ręce nad ogniem — jak długo idą listy z Indii do Londynu?

— Pięć miesięcy — odparła bez wahania. — A jeśli wiatry są pomyślne, to cztery.

Do licha, wiedziała dokładnie.

— Jakkolwiek by było — powiedział zrzędliwym tonem — w chwili, gdy zdecydowałem się na powrót, pisanie listu uprzedzającego o moim przyjeździe nie miało już sensu. Dotarłby do Londynu w tym samym czasie co ja.

— Doprawdy? Myślałam, że statki pasażerskie płyną wolniej niż pocztowe.

Westchnął i spoglądając na nią z ukosa, wyjaśnił:

— Pocztę zabiera każdy statek. A jakie to ma znaczenie?

Przez chwilę sądził, że usłyszy w odpowiedzi zadziorne: Właśnie że ma!, ale Francesca odparła spokojnie:

— Oczywiście, że żadnego. Grunt, że wróciłeś do domu. Twoja matka będzie w siódmym niebie!

Odwrócił znów głowę, żeby Francesca nie dostrzegła jego niewesołego uśmiechu.

— No tak — mruknął. — Ma się rozumieć.

— Ja też… — urwała i odkaszlnęła. — Jestem zachwycona, że wróciłeś!

Brzmiało to tak, jakby za wszelką cenę usiłowała przekonać o tym siebie

samą, ale Michael postanowił przynajmniej raz być dżentelmenem i nie wytknął jej tego.

— Bardzo zziębłaś? — spytał tylko.

— Nie bardzo — odparła.

— Nie kłam.

— To znaczy… tylko trochę.

Przesunął się, żeby mogła podejść bliżej do ognia. Kiedy się nie poruszyła, zrobił zapraszający gest, wskazując, że jest dość miejsca.

— Chyba lepiej wrócę do swego pokoju — odparła.

— Na litość boską, Francesco, jeśli ci zimno, podejdź bliżej do ognia. Naprawdę nie gryzę.

Zacisnęła zęby, zrobiła krok do przodu i stanęła przy ogniu, tuż obok Michaela. Trzymała się jednak odrobinę z boku, starając się, by pozostało między nimi trochę wolnego miejsca.

— Wyglądasz znakomicie — zauważyła.

— Ty też.

— Dawno się nie widzieliśmy.

— Wiem. To już cztery lata, nieprawdaż?

Francesca z wysiłkiem przełknęła ślinę. Dlaczego to było takie trudne? To przecież Michael. Nie powinni czuć się skrępowani. Co prawda posprzeczali się przed jego wyjazdem, ale to było tak dawno, w tamtych mrocznych dniach po śmierci Johna… Oboje czuli się bardzo nieszczęśliwi, więc atakowali się nawzajem jak zranione zwierzęta. Teraz z pewnością wszystko ułoży się inaczej. Bóg świadkiem, że często myślała o powrocie Michaela. Nie mógł przecież pozostać na zawsze w obcym kraju. Wszyscy to wiedzieli. Gdy minął jej pierwszy gniew, Francesca miała nadzieję, że po powrocie Michaela zapomną o wszelkich nieporozumieniach.

I znowu będą przyjaciółmi. Tak jej tego brakowało… bardziej niż

przypuszczała.

— Jakie masz plany na przyszłość? — spytała, by przerwać to okropne milczenie.

— Na razie chciałbym się ogrzać — burknął.

Uśmiechnęła się mimo woli.

— Rzeczywiście jest wyjątkowo zimno jak na tę porę roku.

— Zapomniałem, jaki tu diabelny ziąb! — gderał, energicznie rozcierając dłonie.

— A zdawałoby się, że nie tak łatwo zapomnieć o zimie… zwłaszcza o szkockiej! — mruknęła Francesca.

Michael zwrócił się twarzą do niej. Jeden kącik ust miał uniesiony w krzywym uśmiechu. Zauważyła, że się zmienił. Pewne różnice od razu rzucały się w oczy: był teraz mocno opalony, a w jego włosach, zawsze czarnych jak noc, połyskiwały srebrne nitki. Spostrzegła też coś jeszcze. Usta miał mocno zaciśnięte — oczywiście nie przez cały czas — a jego chłopięca swoboda gdzieś zniknęła. Zawsze był taki naturalny, tak dobrze czuł się w swojej skórze… teraz zaś wyczuwała w nim jakieś napięcie.

Był sprężony jak do skoku.

— Istotnie, niełatwo o niej zapomnieć! — zauważył ściszonym głosem. Francesca spojrzała na niego, nie pojmując, o czym on mówi. Całkiem zapomniała o swej niedawnej uwadze, póki Michael nie dodał: — Wróciłem do Anglii, bo nie mogłem już znieść indyjskich upałów, a teraz, gdy tu jestem, omal nie zamarzłem na śmierć!

— Niedługo będzie wiosna — pocieszyła go Francesca.

— A prawda, wiosna! Z tym przejmującym wietrzyskiem. Cóż za błogosławiona odmiana po zimowych zawiejach!

Francesca roześmiała się, niesłychanie rada, że znowu śmieją się z czegoś razem z Michaelem.

— Jutro będzie w Kilmartin House znacznie wygodniej — obiecała. — Sama zjawiłam się tu dopiero dziś wieczorem i podobnie jak ty nie uprzedziłam nikogo o swoim przyjeździe. Pani Parrish zapewniła mnie, że jutro dom zostanie zaopatrzony we wszystko, co trzeba.

Michael skinął głową i znowu się obrócił, by ogrzać sobie plecy.

— A ty co tu właściwie robisz? — spytał.

— Ja?

Wskazał ruchem ręki pusty pokój, jakby to mogło coś wyjaśnić.

— Przecież tu mieszkam — odparła.

— Zwykle przyjeżdżasz do Londynu dopiero w kwietniu.

— Skąd wiesz?

Przez chwilę Michael wydawał się niemal speszony.

— Moja matka opisywała wszystko tak szczegółowo w swoich listach… — rzekł w końcu.

Francesca wzruszyła ramionami i przysunęła się bliżej ognia. Nie powinna pchać się tak na Michaela, ale było jej w dalszym ciągu zimno, a zwiewny nocny strój nie ogrzewał jej dostatecznie.

— I to ma mi wystarczyć za odpowiedź? — wycedził Michael.

— Miałam ochotę przyjechać, więc przyjechałam! — odparła wyzywająco. — Czyż to nie przywilej damy?

Michael znów się obrócił i teraz grzał sobie bok, zwrócony twarzą do Franceski. I znajdował się niesłychanie blisko niej. Francesca odsunęła się, ale tylko o cal. Nie chciała, by Michael zauważył, że czuje się skrępowana jego bliskością. Nie zamierzała również przyznać się do tego przed sobą.

— Myślałem, że przywilejem damy jest zmiana zdania w sprawie zaręczyn — zauważył Michael.

— Przywilejem damy jest robienie wszystkiego, na co właśnie ma ochotę! — oświadczyła zuchwale Francesca.

— Punkt dla ciebie — mruknął Michael i znowu popatrzył na nią. Tym razem uważniej. — Nie zmieniłaś się ani trochę!

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

— Jak możesz mówić coś podobnego?

— Mówię, bo wyglądasz dokładnie tak, jak cię zapamiętałem. — Po czym dodał z diabelskim uśmieszkiem, wskazując na jej skąpy nocny strój: — Z wyjątkiem toalety, rzecz jasna!

Zaparło jej dech. Cofnęła się, usiłując osłonić się jeszcze bardziej rękami.

Nie było to całkiem uczciwe zagranie, przyznał w duchu Michael, ale poczuł ulgę, gdy Francesca cofnęła się, urażona. Zdecydowanie wolał, by znalazła się poza zasięgiem jego rąk. Niech sama ustala nieprzekraczalne granice!

Nie był wcale pewien, czy on zdołałby to uczynić.

Kłamał, mówiąc, że wcale się nie zmieniła. Zaszła w niej pewna zmiana, coś zgoła nieoczekiwanego.

Coś, co wstrząsnęło nim do głębi.

Wydawało mu się, że wyczuwa w niej… Było to z pewnością złudzenie, ale omal go nie zwaliło z nóg. Jakby znikła otaczająca ją aura niedostępności. Jakby dopiero teraz stało się jasne, że John odszedł i już nie wróci. I tylko własne sumienie powstrzymało Michaela od wyciągnięcia ręki i sięgnięcia po nią…

Doprawdy, śmiechu warte.

Może jednak… nie całkiem.

A Francesca stała tuż obok, w dalszym ciągu nie mając o tym pojęcia, kompletnie nieświadoma, że stojący tak blisko mężczyzna dałby nie wiem co, by ściągnąć z niej te jedwabne szmatki i złożyć ją na dywanie przy kominku. Rozsunąć jej uda, pogrążyć się w niej i…

Zaśmiał się gorzko. Jak widać, cztery lata rozłąki nie ostudziły jego

niewczesnych zapałów.

— Michaelu?

Obejrzał się.

— Co cię tak rozśmieszyło?

Dobre pytanie!

— Nie zrozumiałabyś tego.

— Przekonajmy się — rzuciła wyzywająco.

— Lepiej nie.

— Powiedz, Michaelu! — nalegała.

Odwrócił się do niej i z całym rozmysłem odparł z nutą chłodnej wyższości:

— Są pewne sprawy, Francesco, których nigdy nie zrozumiesz.

Otwarła usta i przez chwilę wyglądała tak, jakby wymierzył jej policzek.

— To, co powiedziałeś, było okropne! — szepnęła.

Wzruszył ramionami.

— Bardzo się zmieniłeś! — orzekła.

Niestety, wcale się nie zmienił. A w każdym razie nie w taki sposób, który ułatwiłby mu życie. Westchnął, zły z powodu swojej słabości: nie mógł znieść myśli, że Francesca straci do niego całą sympatię.

— Wybacz — rzucił, przygładzając włosy ręką. — Jestem zmęczony, zmarznięty i bezdennie głupi.

W odpowiedzi uśmiechnęła się szczerze i na chwilę czas się dla nich cofnął.

— Już wszystko dobrze — powiedziała serdecznie Francesca, dotykając jego ramienia. — Miałeś taką męczącą podróż…

Wciągnął raptownie powietrze. Dawniej często dotykała po przyjacielsku jego ramienia. Nigdy w towarzystwie, rzecz jasna, i bardzo rzadko wówczas, gdy byli tylko we dwoje. Przeważnie zachowywała się tak

w obecności Johna. Zresztą John zazwyczaj im towarzyszył. A dotyk Franceski robił zawsze na Michaelu piorunujące wrażenie.

Nigdy jednak nie wstrząsnął nim tak jak teraz.

— Muszę się położyć… — wymamrotał.

Zwykle potrafił po mistrzowsku ukryć skrępowanie, ale tym razem nie miał pojęcia, że ujrzy ją jeszcze tego wieczoru. A poza tym był piekielnie zmęczony…

Francesca cofnęła rękę.

— Nie ma pokoju, w którym mógłbyś się przespać… Wiesz co? Zajmij mój, a ja prześpię się tutaj.

— Nie! — zaprotestował z większą energią, niż zamierzał. — To ja prześpię się tutaj, albo… Tam do diabła! — wymamrotał, w kilku susach znalazł się na drugim końcu pokoju i szarpnął za sznur dzwonka.

Jeśli już, do cholery, jest panem tego domu, może chyba zażądać, by przygotowano mu pokój o każdej porze dnia i nocy!

A poza tym, dzwoniąc na służbę, miał pewność, że lada chwila ktoś się tu zjawi, więc nie będzie dłużej sam na sam z Francescą.

Co prawda nieraz bywali sami, ale nigdy w środku nocy, a Francesca nie miała na sobie nocnej koszuli…

Raz jeszcze pociągnął za sznur.

— Ależ, Michaelu — zauważyła z rozbawieniem. — Jestem pewna, że usłyszeli cię za pierwszym razem.

— Cóż, przeżyłem naprawdę męczący dzień — odparł. — Sztorm na kanale La Manche… i w ogóle…

— Musisz mi opowiedzieć o wszystkich swoich przygodach.

Spojrzał na nią z ukosa i uniósł brew.

— Z przyjemnością opisałbym ci to wszystko w listach.

Francesca zacisnęła usta. Setki razy widywał ten grymas na jej twarzy.

Widać szukała odpowiednich słów, by przeszyć go ostrzem swej słynnej ironii!

Najwidoczniej jednak postanowiła ulitować się nad nim, gdyż powiedziała tylko:

— Byłam na ciebie zła za ten nagły wyjazd.

Jakie to podobne do Franceski — wybrać absolutną szczerość zamiast miażdżącej riposty!

— Bardzo mi przykro — odparł całkiem szczerze, choć po raz drugi postąpiłby tak samo.

Musiał wtedy wyjechać. Natychmiast. Może to świadczyło o jego tchórzostwie albo o braku hartu, ale po prostu nie mógł jeszcze wejść w skórę hrabiego Kilmartin. Nie był przecież Johnem. Nigdy nim nie będzie… A wszyscy tego właśnie oczekiwali.

Nawet Francesca na swój dziwny, połowiczny sposób…

Spojrzał znów na nią. Był całkiem pewny, że nadal nie miała pojęcia, dlaczego wyjechał. Pewnie zdawało się jej, że go rozumie, ale jak mogłaby zrozumieć? Nie wiedziała, że ją kochał, i nie mogła pojąć, jak bardzo czuł się winny, obejmując w posiadanie wszystko, co składało się na życie Johna.

Nie była jednak niczemu winna. Kiedy patrzył, jak stoi przy ogniu, taka krucha i pełna godności, powtórzył:

— Bardzo mi przykro.

Skwitowała jego przeprosiny leciutkim skinieniem głowy.

— Powinnam była napisać do ciebie — przyznała i zwróciła ku niemu oczy pełne smutku, a może nawet skruchy. — Ale, prawdę mówiąc, nie mogłam się na to zdobyć. Ilekroć myślałam o tobie, przychodził mi na myśl także John, a wtedy fatalnie to na mnie wpływało.

Michael nie udawał nawet, że rozumie, ale mimo wszystko skinął głową.

Francesca uśmiechnęła się tęsknie.

— Wspaniale się bawiliśmy we troje, prawda?

Znów tylko skinął głową.

— Bardzo mi go brak — powiedział i aż się zdumiał, jak dobrze było wypowiedzieć to wreszcie na głos.

— Zawsze myślałam, jak by to było cudownie, gdybyś się ożenił — dodała jeszcze Francesca. — Znalazłbyś sobie z pewnością jakąś inteligentną i dowcipną dziewczynę. Jak znakomicie moglibyśmy się bawić we czworo.

Michael rozkasłał się, całkiem udatnie. Uznał to za najlepsze rozwiązanie.

Francesca popatrzyła na niego, nagle wyrwana z zadumy.

— Czyżbyś się przeziębił?

— Bardzo możliwe. W sobotę zapewne będę już jedną nogą w grobie.

Brwi Franceski poszybowały w górę.

— Nie spodziewasz się chyba, że będę cię pielęgnowała!

Nadarzała się znakomita okazja, by skierować ich żartobliwą rozmowę na bezpieczniejsze tory.

— Raczej nie — odparł z lekceważącym machnięciem ręki. — W ciągu trzech dni potrafię skłonić mnóstwo kobiet o czarująco zszarganej opinii, by spełniały wszelkie me zachcianki.

Francesca udała zgorszoną, ale była wyraźnie rozbawiona.

— Widzę, że się nie zmieniłeś, nic a nic.

Uśmiechnął się krzywo.

— Nikt z nas w gruncie rzeczy się nie zmienia, Francesco.

Przekrzywiła głowę i wskazała na korytarz, skąd dochodził już odgłos coraz bliższych kroków.

Pojawił się lokaj i Francesca zaczęła go instruować, co należy zrobić.

Michaelowi nie pozostawało nic innego, jak tylko stać przy kominku, trzymać się godnie i kiwać potakująco głową.

— Dobrej nocy, Michaelu — powiedziała Francesca, gdy lokaj pospieszył wypełnić jej polecenia.

— Dobrej nocy, Francesco — odparł cicho Michael.

— Miło znów cię widzieć — zauważyła. Po czym dodała jeszcze: — Naprawdę.

Jakby za wszelką cenę chciała przekonać o tym jedno z nich. Michael nie był tylko pewny, które?

6

…Bardzo mi przykro, że dotąd Ci nie odpisałam. Nie, to nieprawda. Wcale mi nie jest przykro. Nie chcę do Ciebie pisać. Nie chcę myśleć o…

Hrabina Kilmartin do nowego hrabiego Kilmartin, następnego dnia po otrzymaniu listu od niego. Zamiast jednak wysłać swój list, podarła go na strzępy i oblała łzami.

Do czasu, gdy Michael wstał następnego ranka, Kilmartin House wrócił do dawnej doskonałości, jak przystało na hrabiowską rezydencję. W każdym kominku płonął ogień, a w małej jadalni czekało smakowite śniadanie. Były jajka na miękko, szynka, boczek, kiełbaski, grzanki z masłem i marmoladą pomarańczową oraz ulubione danie Michaela: makrela z rusztu.

Nigdzie jednak nie dostrzegł Franceski. Gdy wreszcie spytał o nią, podano mu złożoną kartkę, którą pozostawiła dla niego, wynosząc się stąd wczesnym rankiem. Wyglądało na to, że obawiała się plotek, gdyby odkryto, że mieszkali w Kilmartin House tylko we dwoje. Postanowiła więc — dopóki nie przyjadą ze Szkocji Janet i Helen — przenieść się do rezydencji swojej matki przy Bruton Street, pod piątym. Zapraszała jednak w liście Michaela, by odwiedził ją tam jeszcze dziś. Z pewnością będą mieli wiele spraw do omówienia.

Michael był skłonny przyznać jej rację, toteż po śniadaniu, podczas którego odkrył ze zdumieniem, że odczuwa brak hinduskich potraw i napojów, wyszedł z domu i skierował się na Bruton Street.

Postanowił wybrać się tam pieszo. Nie było to daleko, a pogoda znacznie się poprawiła w porównaniu z lodowatymi podmuchami z wczorajszego wieczoru. Przede wszystkim jednak Michael chciał się przyjrzeć miastu i wczuć się znów w rytm londyńskiego życia. Dotąd nie zwracał uwagi na charakterystyczne dla tego miasta zapachy i odgłosy, takie jak śpiewne pokrzykiwania kwiaciarek, tętent końskich kopyt, cichy szmer rozmów dobrze wychowanych mieszkańców tej eleganckiej dzielnicy. Dochodził do tego jeszcze stukot jego kroków, woń pieczonych kasztanów i drobinki sadzy unoszące się w powietrzu, a wszystko to razem składało się na niepowtarzalną, londyńską atmosferę.

W tej chwili wydawała mu się nie tylko uchwytna, ale wręcz przytłaczająca, co było tym dziwniejsze, że takie samo wrażenie odniósł przed czterema laty, zaraz po wylądowaniu w Indiach. Parne powietrze, przesycone woniami egzotycznych przypraw i kwiatów, podrażniło wówczas wszystkie jego zmysły. Był to dla niego niemal szok, czuł się odurzony i zdezorientowany. A choć jego reakcja na londyńską atmosferę nie była może aż tak gwałtowna, niewątpliwie poczuł się jak intruz w obcym świecie, choć otaczały go teraz zapachy i dźwięki znane od lat.

Czyżby stał się cudzoziemcem na ojczystej ziemi? To podejrzenie wydawało się nad wyraz dziwaczne, ale gdy przechadzał się po zatłoczonych ulicach najwykwintniejszej dzielnicy i handlowego centrum Londynu, dostrzegał mimo woli, że wyróżnia się wśród tłumu, a każdy, kto na niego spojrzy, wie od razu, że ma do czynienia z odmieńcem niepasującym do rdzennie brytyjskiego otoczenia.

A może, pomyślał na widok swego odbicia w szybie wystawowej, z powodu opalenizny?

Na to, by znikła, przyjdzie mu czekać całe tygodnie, jeśli nie miesiące.

Jego matka będzie zaszokowana!

Na samą myśl o tym Michael uśmiechnął się szeroko. Bardzo lubił szokować swoją matkę. Widać nie dorósł jeszcze całkowicie, jeśli nadal go to bawiło.

Skręcił w Bruton Street i minął kilka domów, zmierzając w stronę rezydencji pod numerem piątym. Bywał tu nieraz, ma się rozumieć. Dla matki Franceski pojęcie rodziny było czymś tak rozciągliwym, że Michaela zapraszano wraz z Johnem i Francescą na wszystkie spotkania familijne u Bridgertonów.

Gdy teraz zjawił się u nich, lady Bridgerton siedziała już w swoim zielono-kremowym salonie i popijała herbatę przy biureczku pod oknem.

— To ty, Michaelu! — wykrzyknęła serdecznie, zrywając się na nogi z nieukrywaną radością. — Jak miło cię widzieć.

— Uniżony sługa, lady Bridgerton — odparł, ujmując jej rękę i całując z galanterią.

— Nikt nie potrafi robić tego tak jak ty! — stwierdziła z aprobatą.

— Cóż… Staram się pamiętać o dobrych manierach.

— Nie masz pojęcia, jak wielką wagę przywiązują do nich damy w pewnym wieku.

— W pewnym wieku? Jakim mianowicie? — Uśmiechnął się uwodzicielsko. — Tuż po trzydziestce?

Lady Bridgerton należała do kobiet, którym wiek tylko dodaje uroku, podziękowała za komplement promiennym uśmiechem.

— Jesteś zawsze najmilej widzianym gościem w tym domu, Michaelu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i usiadł na krześle z wysokim oparciem, które mu wskazała.

— A prawda — powiedziała, marszcząc czoło. — Bardzo przepraszam. Powinnam cię nazywać milordem, Kilmartinem albo panem hrabią, nieprawdaż?

— Michael wystarczy najzupełniej — zapewnił ją.

— Wiem, że to już cztery lata — ciągnęła — ale ponieważ nie widywaliśmy się przez ten czas…

— Może mnie pani nazywać, jak tylko zechce — odparł gładko.

Zdumiewające: przyzwyczaił się w końcu do tego, że go tytułowano. Działo się to jednak w Indiach, gdzie nikt nie znał go przedtem jako zwykłego pana Stirlinga… a co ważniejsze, nikt nie znał Johna, jego poprzednika. A teraz, gdy Violetta Bridgerton nazwała go Kilmartinem, poczuł się trochę niezręcznie. Zwłaszcza że miała zwyczaj (jak wiele teściowych) mówić o Johnie „mój syn”.

Jednak Violetta, jeśli nawet wyczuła jego wewnętrzny niepokój, nie dała tego po sobie poznać.

— Muszę odpowiedzieć — odparła — na twoją uprzejmość. Bądź tak dobry i zwracaj się do mnie po imieniu. Już dawno powinniśmy przejść na ty.

— Nigdy bym się nie ośmielił — odparł z pośpiechem.

Mówił to całkiem szczerze. Chodziło przecież o lady Bridgerton. Była dla niego… No cóż, nie bardzo wiedział kim, ale z całą pewnością nie jakąś tam Violettą.

— Nalegam, Michaelu — rzekła. — A z pewnością wiesz, że jak się uprę, to zawsze stawiam na swoim.

Istotnie, nie miał szans na zwycięstwo, toteż westchnął tylko i powiedział:

— Nie wiem, czy wolno mi będzie całować rączkę słodkiej małej Violetty… To byłoby skandaliczne poufalenie się, nie sądzisz?

— Ani się waż z tego rezygnować.

— Języki pójdą w ruch — ostrzegł ją.

— Bez obawy: moja reputacja jakoś to wytrzyma.

— Tak, ale co z moją?

Roześmiała się.

— Ach, ty łotrze.

Odchylił się na oparcie krzesła.

— Owszem, zasłużyłem na słowa potępienia.

— Napijesz się herbaty? — Wskazała na imbryczek z delikatnej porcelany, stojący na biurku. — Moja już wystygła, ale z miłą chęcią zadzwonię, by podano nam świeżej.

— Napiję się z przyjemnością — przyznał.

— Przypuszczam, że zrobił się z ciebie wielki znawca herbaty. Tyle lat spędziłeś w Indiach — zauważyła, po czym wstała i przeszła na drugi koniec pokoju, by pociągnąć za sznur dzwonka.

— To całkiem co innego — zapewnił ją, wstając pospiesznie, gdy tylko się podniosła. — Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale nic nie smakuje tak wspaniale, jak herbata podana w angielskim domu.

— Myślisz, że to zasługa wody?

Po twarzy Michaela przemknął uśmiech.

— Raczej zasługa damy, która nam tę herbatę podaje.

Violetta znów się roześmiała.

— Widzę, bałamucie, że trzeba ci żony. I to jak najszybciej!

— Doprawdy? A to dlaczego?

— Dlatego, że pozostając w stanie kawalerskim, stanowisz poważne zagrożenie dla każdej z niezamężnych dam.

Nie mógł sobie odmówić jeszcze jednej prowokacyjnej uwagi:

— Mam nadzieję, że zaliczasz do ich grona także siebie, Violetto.

I wówczas rozległ się od drzwi karcący głos:

— Czyżbyś flirtował z moją matką?!

Była to oczywiście Francesca, w porannej, bardzo szykownej sukni

w kolorze liliowym, przybranej brukselskimi koronkami. Miała taką minę, jakby za wszelką cenę chciała mu okazać swą dezaprobatę.

I nie bardzo jej się to udawało.

Michael pozwolił sobie na zagadkowy uśmieszek i przyglądał się, jak obie damy zajmują miejsca.

— Zjeździłem bez mała cały świat, Francesco, i mogę rzec bez przesady, że niewiele jest na nim kobiet, z którymi flirtowałbym chętniej niż z twoją matką.

— Zapraszam cię na kolację — obwieściła triumfalnie Violetta. — I nie przyjmuję odmowy.

Michael się roześmiał.

— Będę zaszczycony.

Siedząca naprzeciw niego Francesca mruknęła:

— Jesteś niepoprawny!

W odpowiedzi błysnął chłopięcym uśmiechem. Doskonale! — pomyślał. Wydarzenia tego ranka potoczyły się zgodnie z jego przewidywaniami. Oboje z Francescą wrócili do swoich dawnych ról i obyczajów. On znowu był zuchwałym uwodzicielem, ona zaś udawała, że go karci — czyli wszystko przedstawiało się tak, jak przed śmiercią Johna.

Ubiegłej nocy dał się zaskoczyć. Nie spodziewał się, że ujrzy Francescę tak od razu… I tylko dlatego nie zdołał utrzymać się w dobrze znanej roli.

Zresztą w tej błazenadzie było trochę prawdy. On zawsze zachowywał się nieco lekkomyślnie i chyba rzeczywiście flirtował na zabój… Matka lubiła powtarzać, że czarował damy, gdy miał zaledwie cztery lata.

Tylko że od chwili, gdy ujrzał Francescę, te jego obyczaje stały się niezbędną zasłoną dymną, dzięki której Francesca nigdy nie domyśliła się jego prawdziwych uczuć.

— Jakie masz teraz plany, gdy nareszcie wróciłeś do kraju? — spytała

Violetta.

Michael odwrócił się do niej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Prawdę mówiąc, sam nie wiem — odparł i zrobiło mu się wstyd, gdyż istotnie tak było. — Chyba upłynie sporo czasu, zanim się połapię, na czym dokładnie ma polegać moja rola.

— Jestem pewna, że Francesca mogłaby ci w tym pomóc — orzekła Violetta.

— Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby zechciała — powiedział cicho.

— Oczywiście! — zgodziła się Francesca i odsunęła się nieco, gdyż weszła właśnie pokojówka z herbatą. — Chętnie ci pomogę we wszystkim, co zechcesz.

— Czy to nie nazbyt pochopne przyrzeczenie? — mruknął Michael.

— Przepadam za herbatą — oznajmiła Violetta. — Popijam ją przez cały dzień. Służba od rana do nocy ma dla mnie wrzątek w pogotowiu.

— Napijesz się? — spytała Francesca gościa, nim zabrała się do nalewania.

— Tak, bardzo dziękuję — odparł Michael.

— Nikt nie zna Kilmartin tak dobrze jak Francesca — stwierdziła Violetta z iście matczyną dumą. — Będzie dla ciebie nieocenioną pomocą.

— Nie mam co do tego wątpliwości — odparł Michael, biorąc filiżankę z rąk Franceski. Pamiętała, jaką lubił herbatę: z mlekiem, bez cukru. Nie wiedzieć czemu uradowało go to niezmiernie. — Króluje w nim przecież od sześciu lat, a od czterech pełni równocześnie rolę pani i pana domu. — Zauważywszy zdumione spojrzenie Franceski, dodał: — Dobrze wiesz, że to prawda.

— Ja tylko…

— Mam wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, którego do śmierci

chyba nie zdołam spłacić. Nigdy nie bawiłbym tak długo za granicą, gdybym nie wiedział, że zostawiam rodzinne dobra w najlepszych rękach.

Francesca zaczerwieniła się, co go zdziwiło. Przez te wszystkie lata, kiedy się znali, zaledwie parę razy widział, jak spłonęła rumieńcem.

— Dziękuję — szepnęła. — To nie był dla mnie żaden kłopot, zapewniam cię.

— Być może… ale i tak jestem ci niewypowiedzianie wdzięczny.

Uniósł filiżankę do ust, pozostawiając damom kierowanie rozmową.

Uczyniły to z zapałem. Violetta zaczęła go wypytywać o lata spędzone w Indiach i nim się obejrzał, już im opowiadał o tamtejszych pałacach i księżniczkach, karawanach i egzotycznych przysmakach. Pominął jedynie milczeniem grasujących w Indiach rozbójników oraz choroby tropikalne, uznawszy, że nie jest to temat do salonowej konwersacji.

Po chwili uświadomił sobie, że mówi o tym wszystkim z prawdziwą przyjemnością. Być może podjąłem słuszną decyzję, pomyślał, gdy Violetta napomknęła o „indyjskim balu", w którym brała udział w ubiegłym roku.

Kto wie, może istotnie powrót do kraju to najlepsze rozwiązanie?

Godzinę później Francesca, wsparta na ramieniu Michaela, przechadzała się po Hyde Parku. Słońce przedarło się przez chmury, toteż gdy oświadczyła, że ma ochotę na spacer przy tak pięknej pogodzie, Michael nie miał innego wyjścia, jak zaproponować jej swe towarzystwo.

— Zupełnie jak za dawnych czasów — stwierdziła, wystawiając twarz do słońca.

Pewnie opali się niemiłosiernie albo dostanie piegów… ale w porównaniu z Michaelem i tak będzie bielutka jak porcelana. Od razu można się było domyślić, że dopiero co wrócił z tropików.

— Masz na myśli wspólny spacer czy twoje chytre machinacje, by zmusić mnie do niego?

Z trudem zachowała powagę.

— Jedno i drugie, ma się rozumieć. Nieraz mi towarzyszyłeś na spacerze. Kiedy tylko John był zajęty.

— Istotnie.

Przez kilka minut szli w milczeniu, potem Michael znów się odezwał:

— Trochę się zdziwiłem dziś rano, kiedy się wyniosłaś z domu.

— Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego to zrobiłam — odpowiedziała. — Wcale nie miałam na to ochoty. Ilekroć wracam pod dach mojej matki, czuję się tak, jakbym znów była podlotkiem. — Skrzywiła się z niesmakiem. — Ubóstwiam mamę, oczywiście, ale przyzwyczaiłam się już do tego, że jestem dorosła i sama kieruję domem.

— Wolałabyś, żebym to ja wyniósł się z Kilmartin House?

— Skądże znowu — zaprzeczyła pospiesznie. — Jesteś Kilmartinem, to twoja rezydencja. A zresztą Helen i Janet przyjadą najdalej za tydzień. W każdej chwili możemy się ich spodziewać, a wtedy będę mogła zamieszkać znowu w Kilmartin House.

— Więc głowa do góry, Francesco. Jestem pewien, że jakoś wytrzymasz tych kilka dni.

Zerknęła na niego z ukosa.

— Oczywiście ani ty, ani żaden inny mężczyzna nie jest w stanie tego zrozumieć, ale ja cenię sobie znacznie wyżej status mężatki od pozycji debiutantki! A kiedy mieszkam pod numerem piątym razem z Eloise i Hiacyntą, czuję się tak, jakby to znów był mój pierwszy sezon, ze wszystkimi jego nakazami i zakazami.

— Nie całkiem — zaprotestował Michael. — Gdyby tak było, z pewnością nie mogłabyś spacerować po parku w męskim towarzystwie bez przyzwoitki.

— Racja — przyznała. — Zwłaszcza z tobą.

— A cóż to miało znaczyć?

Roześmiała się.

— Dajże spokój, Michaelu! Czy doprawdy sądzisz, że twoja fatalna reputacja stała się nagle czysta jak łza… tylko dlatego, że nie było cię w Anglii przez cztery lata?

— Ależ, Francesco…

— Jesteś tu prawdziwą legendą.

Spojrzał na nią z konsternacją.

— Mówię szczerą prawdę — zapewniła, nie pojmując, czemu Michael jest taki zaskoczony. — Kobiety do dziś opowiadają o tobie niestworzone historie.

— Mam nadzieję, że nie tobie — mruknął.

— Oczywiście, że mnie, w pierwszej kolejności. — Uśmiechnęła się szelmowsko. — Wszystkie pragną się dowiedzieć, kiedy wracasz. Wyobrażam sobie, co to będzie, gdy rozniesie się wieść o twoim powrocie. Muszę ci wyznać, że jako powiernica najbardziej zatwardziałego rozpustnika zajmuję dość szczególną pozycję.

— Powiernica, powiadasz?

— A jak inaczej można to nazwać?

— Nie, nie, powiernica to bardzo odpowiednie słowo… Tylko jeśli myślisz, że powierzyłem ci wszystkie swoje…

Francesca rzuciła mu karcące spojrzenie. To całkiem w jego stylu, te nabrzmiałe podtekstami półsłówka, które pobudzały wyobraźnię i aż się prosiły o dalsze wyjaśnienia!

— Czy mam przez to rozumieć — mruknęła — że nie zdałeś nam dokładnego sprawozdania ze swego pobytu w Indiach?

Tylko się uśmiechnął. Diabolicznie.

— Znakomicie! Pozwól więc, że skieruję naszą konwersację na

przyzwoitsze tory. Czemu zamierzasz się poświęcić teraz, kiedyś już wrócił? Czy zajmiesz miejsce w parlamencie?

Wyglądało na to, że Michael jeszcze się nad tym nie zastanawiał.

— John z pewnością życzyłby sobie tego — powiedziała, dobrze wiedząc, że próbuje nim manipulować.

Michael rzucił jej chmurne spojrzenie; poznała po jego oczach, że nie ocenił jej strategii zbyt wysoko.

— Powinieneś też pomyśleć o małżeństwie — orzekła.

— Czyżbyś chciała wziąć na siebie rolę swatki? — spytał z irytacją.

Wzruszyła ramionami.

— Gdyby ci na tym bardzo zależało… I jestem pewna, że poradziłabym sobie z tym nie najgorzej.

— Dobry Boże — burknął. — Wróciłem do Anglii zaledwie wczoraj! Czy od razu musimy się tym zajmować?

— Nie, oczywiście, że nie — przyznała. — Ale niedługo. Nie stajesz się coraz młodszy, prawda?

Michael wpatrywał się w nią, jakby doznał szoku.

— Nie przypuszczałem, że ktoś ośmieli się mówić do mnie takim tonem.

— A twoja matka? — odcięła się z uśmieszkiem satysfakcji.

— O ile wiem — odparł z naciskiem — nie jesteś moją matką.

— I Bogu dzięki — odparowała — bo już dawno wyzionęłabym ducha. Nie rozumiem, jak ona to wytrzymuje.

Stanął jak wryty.

— Nie jestem przecież tak zły.

Lekko wzruszyła ramionami.

— Tak ci się zdaje?

Odjęło mu mowę. Takie słowne potyczki wiedli wielokrotnie, ale teraz

wyczuwał w nich coś nowego. W głosie Franceski słyszał wyraźnie uszczypliwy ton, jakąś zawziętość, której przedtem nigdy nie było.

…A może tylko tego nie zauważał?

— Nie rób takiej przerażonej miny, Michaelu — powiedziała, klepiąc go lekko po ramieniu. — Oczywiście, że masz okropną reputację. Ale jesteś wyjątkowo czarujący i dlatego zawsze uchodzi ci to bezkarnie.

Czyżby naprawdę postrzegała mnie w ten sposób? — zastanawiał się. I dlaczego właściwie jestem tym zdziwiony? Przecież właśnie w ten sposób starałem się jej przedstawić!

— …A teraz, gdy w dodatku zostałeś hrabią — ciągnęła — wszystkie mamuśki będą stawać na głowie, by wydać za ciebie swoje córunie.

— Strach mnie oblatuje — przyznał półgłosem. — I to nie na żarty.

— Wcale ci się nie dziwię — odparła bez cienia współczucia. — To będzie prawdziwe szaleństwo, możesz mi wierzyć.Masz szczęście, że wzięłam dziś rano moją matkę na stronę i zmusiłam, by przysięgła mi, że ci nie rzuci na pożarcie Eloise ani Hiacynty. Ona też by to zrobiła — dodała, wyraźnie rozkoszując się tą rozmową.

— Przypominam sobie, że i ty miałaś zwyczaj podsuwać mi pod nos swoje siostrzyczki.

Skrzywiła się lekko.

— To było dawno temu — odparła, przecinając dłonią powietrze, jakby chciała odpędzić od siebie jego słowa. — Wcale byś do niej nie pasował.

Michael nie miał najmniejszego zamiaru ubiegać się o żadną z jej sióstr, ale nie potrafił oprzeć się pokusie, by dać Francesce po nosie, oczywiście w przenośni.

— Do Eloise czy do Hiacynty? — spytał.

— Ani do jednej, ani do drugiej! — odparła z taką irytacją, że Michael uśmiechnął się mimo woli. — Ale kogoś ci znajdę, nie martw się.

— Czyżbym wyglądał na zmartwionego?

Mówiła dalej, jakby Michael w ogóle się nie odezwał:

— Chyba cię przedstawię przyjaciółce Eloise, Penelopie.

— Pannie Featherington? — spytał, przypominając sobie jak przez mgłę dość pulchną dziewuszkę, która się w ogóle nie odzywała.

— Jest oczywiście także i moją przyjaciółką — dodała Francesca. — Myślę, że przypadłaby ci do gustu.

— Już się nauczyła mówić?

Francesca przeszyła go morderczym wzrokiem.

— Zignoruję tę niemądrą uwagę. Penelopa jest prześliczną i bardzo inteligentną panną, kiedy pokona początkową nieśmiałość.

— Ciekawe, jak długo to trwa — mruknął pod nosem.

— Moim zdaniem pasowalibyście do siebie doskonale — oświadczyła Francesca.

— Nie waż się mnie swatać, Francesco — powiedział z naciskiem. — Rozumiemy się?

— Przecież ktoś…

— Tylko mi nie mów, że ktoś musi się tym zająć — przerwał jej.

Doprawdy, czytał jej w myślach równie łatwo jak dawniej. Zawsze próbowała nim rządzić.

— Michaelu — westchnęła cierpiętniczo, do czego z pewnością nie miała prawa.

— Wróciłem do Londynu zaledwie wczoraj — podkreślił. — Wczoraj. Jestem zmęczony, nie znoszę pochmurnych dni, ciągle mi zimno, nie zdążyłem się nawet rozpakować… Dajże mi choć tydzień, nim zaczniesz planować moje przyjęcie weselne.

— Tydzień, powiadasz? — podchwyciła chytrze.

— Francesco! — rzucił ostrzegawczym tonem.

— Dobrze — powiedziała, dając za wygraną. — Tylko nie skarż się potem, że cię nie ostrzegałam! Kiedy się pojawisz w towarzystwie i debiutantki cię osaczą, a ich mateczki zjawią się z bronią gotową do strzału…

Michael zadrżał na samą myśl o takiej sytuacji. Wiedział, że jej przewidywania są bardzo bliskie prawdy.

— Z pewnością będziesz mnie błagał o pomoc — zakończyła i spojrzała na niego z irytującą satysfakcją.

— Oczywiście, oczywiście… — odparł i obdarzył ją pobłażliwym, ojcowskim uśmieszkiem, którego, jak dobrze wiedział, nie znosiła. — A kiedy do tego dojdzie, przyrzekam, że ukorzę się należycie i objawię żal za grzechy, mocne postanowienie poprawy, szczerą skruchę i wszelkie inne niemiłe uczucia, jakie tylko uznasz za stosowne.

I wówczas roześmiała się, a jej śmiech rozgrzał mu serce bardziej, niż powinien. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć.

Odwróciła się do niego, uśmiechnęła i poklepała go po ramieniu.

— Jak to dobrze, że jesteś już z powrotem.

— Ja też się cieszę, że wróciłem — odparł.

Słowa spłynęły mu z ust automatycznie, zaraz jednak zorientował się, że naprawdę tak myśli. Dobrze być tu z powrotem. Niełatwo, ale naprawdę dobrze. Zresztą, związane z tym trudności niewarte były wzmianki. Od dawna do nich przywykł.

Zapuścili się już w głąb Hyde Parku; było tu trochę więcej spacerowiczów. Na gałęziach pojawiły się pączki, a w powietrzu czuło się chłód, więc nikt nie szukał cienia pod drzewami.

— Powinnam była zabrać chleb dla ptaków — mruknęła Francesca.

— Chciałaś je karmić przy Serpentine? — zdumiał się Michael.

Często spacerowali z Francescą po Hyde Parku i zazwyczaj unikali

Serpentine jak zarazy. Na brzegach tego stawu zawsze pełno było nianiek i dzieci wrzeszczących jak stado dzikusów. Niańki często zagłuszały nawet swych podopiecznych. A na dodatek jeden ze znajomych Michaela oberwał tam po głowie bochenkiem chleba…

Widać nikt nie wytłumaczył malcowi — zapewne przyszłej gwieździe angielskiego sportu — że chleb dla ptaszków należy przed rzucaniem podzielić na drobniejsze cząstki.

— Lubię karmić ptaki — oświadczyła Francesca nieco wyzywającym tonem. — Zresztą dziś nie powinno być dużo dzieci. Jeszcze na to za zimno.

— Johnowi i mnie nigdy zimno nie przeszkadzało w robieniu psikusów — stwierdził dziarsko Michael.

— Cóż… jesteście Szkotami — odparła. — Szkocka krew pozostanie gorąca, choćby ją nawet zamrozić.

Uśmiechnął się szeroko.

— Ano, krzepkie z nas chłopy. Nie ma to jak Szkocja!

Było to coś w rodzaju rodzinnego żartu. Na skutek częstych małżeństw mieszanych Stirlingowie mieli w sobie dużo krwi angielskiej, Kilmartin jednak stało dumnie na pograniczu po szkockiej stronie, toteż Stirlingowie trzymali się kurczowo swego szkockiego pochodzenia, jakby od tego zależał ich honor.

Znaleźli wolną ławkę w pobliżu stawu i usiedli na niej, od niechcenia obserwując kaczki pływające po wodzie.

— Mogłyby sobie poszukać jakiegoś cieplejszego miejsca — zauważył Michael. — Na przykład we Francji.

— I stracić te masy jedzenia, które im tu rzucamy? — Francesca uśmiechnęła się krzywo. — Kaczki też mają swój rozum!

Michael wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał udawać znawcy

ptasich obyczajów.

— Jak znosiłeś klimat w Indiach? — zagadnęła Francesca. — Czy tak tam gorąco, jak opowiadają?

— Znacznie bardziej — odparł. — A zresztą… może nie. Bo ja wiem? Przypuszczam, że większość opisów jest dość dokładna. Sęk w tym, że żaden Anglik nie ma pojęcia, co to naprawdę znaczy, póki sam nie dotrze do Indii.

Spojrzała na niego pytająco.

— „Jest tam bardziej gorąco, niż można sobie wyobrazić” — zacytował.

— To chyba znaczy… Cóż, naprawdę nie wiem, co to znaczy — przyznała.

— Gorąco nie jest najgorsze. Więcej kłopotu bywa z insektami.

— To brzmi okropnie — stwierdziła Francesca.

— Sądzę, że niezbyt by ci się to podobało. A w każdym razie nie chciałabyś zostać tam na stałe.

— Ale bardzo chciałabym podróżować po świecie — zwierzyła się szeptem. — Zawsze miałam na to ochotę.

Zamilkła i siedziała cicho, z nieobecnym wyrazem twarzy, tylko kiwając głową. Tak długo to ją podnosiła, to znów opuszczała, że Michael był pewny, iż Francesca nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Potem spostrzegł, że jego towarzyszka wpatruje się w coś w oddali. Obserwowała to coś bacznie, ale on nie mógł w żaden sposób odgadnąć, co ją tak zainteresowało. Nie dostrzegał w pobliżu absolutnie nic ciekawego. Tylko jakaś niańka o umęczonej twarzy pchała przed sobą wózek dziecięcy.

— Czemu się tak przyglądasz? — spytał w końcu Michael.

Nic mu nie odpowiedziała i gapiła się dalej.

— Francesco? Odwróciła się do niego.

— Chcę mieć dziecko.

7

…Miałem nadzieję, że do tej pory otrzymam już liścik od Ciebie, ale oczywiście poczta jest zawodna, zwłaszcza jeśli musi dotrzeć tak daleko. W zeszłym tygodniu słyszałem anegdotkę o dostarczeniu worka poczty sprzed dwóch lat! Wielu adresatów zdążyło już wrócić do Anglii. Matka pisze, że miewasz się dobrze i całkiem już doszłaś do siebie po ciężkich przeżyciach; miło mi było o tym przeczytać. Moja praca tutaj nadal jest prawdziwym wyzwaniem i sprawia mi satysfakcję. Jak większość Brytyjczyków mieszkających w Madrasie, wynająłem dom poza miastem, ale z przyjemnością je odwiedzam. Jest takie… greckie z wyglądu, a ściślej rzecz biorąc, przypomina moje młodzieńcze rojenia na temat Grecji. Nigdy tam przecież nie byłem. Niebo jest tu błękitne… tak błękitne, że ów błękit po prostu oślepia. Czegoś równie błękitnego nigdy jeszcze nie widziałem!

Hrabia Kilmartin
do hrabiny Kilmartin, sześć miesięcy
po swoim przyjeździe do Indii

S…słucham…?

Zaszokowała go. Do tego stopnia, że się zająknął. Z pewnością nie zamierzała wywołać takiego efektu, ale teraz, gdy tkwił tu z otwartymi ustami, trudno byłoby nie poczuć choć przelotnej satysfakcji.

— Chcę mieć dziecko — powiedziała, wzruszając ramionami. — Czy jest w tym coś aż tak dziwnego?

Wargi Michaela się poruszyły. Nie od razu jednak zdołał wykrztusić:

— Cóż… nie, ale…

— Mam dwadzieścia sześć lat.

— Dobrze wiem, ile masz lat — odparł z lekkim rozdrażnieniem.

— Z końcem kwietnia będę miała dwadzieścia siedem.Trudno się chyba dziwić, że chcę mieć dziecko.

Oczy Michaela stały się dziwnie szkliste.

— Tak, oczywiście, ale…

— A w ogóle to nie muszę ci się tłumaczyć!

— Wcale cię o to nie prosiłem — powiedział, spoglądając na nią z takim zdumieniem, jakby jej wyrosła druga głowa.

— Przepraszam — wymamrotała. — Zbytnio się zaperzyłam.

Nie odpowiedział nic — i to ją zirytowało. Mógłby przynajmniej zaprzeczyć! Byłoby to kłamstwo… ale zawsze dowód życzliwości i uprzejmości.

W końcu, ponieważ to milczenie było nie do wytrzymania, mruknęła:

— Większość kobiet pragnie mieć dzieci.

— To prawda — wykrztusił z trudem. — Ale najpierw powinnaś chyba… wyjść za mąż.

— Oczywiście. — Przeszyła go spojrzeniem pełnym zniecierpliwienia. — A jak myślisz, czemu przyjechałam do Londynu tak wcześnie?

Gapił się na nią, nic nie pojmując.

— Właśnie po to, żeby złapać męża.

Powiedziała to takim tonem, jakby wyjaśniała coś skończonemu matołkowi.

— Niezbyt poetyczne określenie — mruknął.

— Nazywam rzeczy po imieniu. A ty z pewnością dobrze wiesz z własnego doświadczenia, co to znaczy. Na ciebie też niebawem zaczną polować!

Zignorował ostatnią część jej wypowiedzi.

— Czy masz już kogoś upatrzonego?

Pokręciła głową.

— Jeszcze nie. Ale przypuszczam, że ktoś mi wpadnie w oko, skoro się zacznę rozglądać — usiłowała mówić lekko i z humorem, lecz prawdę rzekłszy, głos jej stawał się coraz cichszy i coraz bardziej matowy. — Moi bracia z pewnością mają jakichś przyjaciół… — wybąkała na koniec.

Zerknął na nią, zgarbił się lekko i nie odwracał już oczu od stawu.

— Znów cię zaszokowałam — zauważyła.

— Owszem.

— Kiedy indziej byłabym z tego bardzo dumna — powiedziała i uśmiechnęła się z lekką ironią.

W odpowiedzi tylko przewrócił oczami.

— Nie mogę wiecznie opłakiwać Johna — wybuchnęła. — To znaczy… oczywiście, że mogę i będę, tylko… — urwała i ogarnęła ją złość, tak bliska była płaczu. — A najgorsze, że może to wszystko na darmo: kto wie, czy w ogóle mogę mieć dzieci? Musieliśmy z Johnem czekać dwa lata, nim zaszłam w ciążę, a nawet i z niej nic nie wyszło…

— Daj spokój, Francesco — powiedział stanowczo. — Nie możesz się o to obwiniać.

Zaśmiała się gorzko.

— Wyobrażasz to sobie? Wyjdę za kogoś wyłącznie po to, żeby mieć dzieci… a potem nie będę miała żadnego.

— Czasem tak bywa — rzekł cicho.

Była to prawda, ale żadna pociecha dla Franceski. Miała przed sobą dwie drogi; nie musiała bynajmniej wychodzić za mąż! Mogła nadal prowadzić wygodne i niezależne życie jako wdowa. Jeśli zaś wyjdzie… Nie, żadne „jeśli”! Kiedy wyjdzie za mąż, nie zrobi tego z miłości, jak wówczas, gdy

się pobierali z Johnem. Po prostu niemożliwe, by dwa razy w życiu znalazła prawdziwą miłość.

Wyjdzie więc za mąż po to, żeby mieć dziecko. Nie miała jednak pewności, że je urodzi.

— Francesco?

Nie spojrzała na niego; siedziała bez ruchu i rozpaczliwie usiłowała powstrzymać napływające do oczu piekące łzy.

Michael podał jej chusteczkę, ale Francesca udawała, że tego nie dostrzega. Gdyby ją wzięła, rozpłakałaby się z pewnością. Nic by jej nie powstrzymało!

— Muszę myśleć o przyszłości — powiedziała z wyzwaniem w głosie. — Muszę. John odszedł, a ja…

I nagle wydarzyło się coś dziwnego. Choć określenie „dziwne” nie bardzo pasowało. Może raczej — „szokujące” lub „odmieniające wszystko”… Możliwe również, że stosowne byłoby tylko określenie „zapierające dech”…

Odwróciła się do Michaela i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Odwracała się do niego setki… nie, tysiące razy. I choć spędził ostatnie cztery lata w Indiach, doskonale znała jego twarz i uśmiech. Prawdę mówiąc, znała je na pamięć!

A jednak tym razem wszystko potoczyło się inaczej, niż powinno. Odwróciła się do Michaela, nie mając pojęcia, że on także odwrócił się do niej… I znaleźli się nagle tak blisko siebie, że widziała wyraźnie ciemniejsze cętki na jego srebrnoszarych tęczówkach.

Przede wszystkim jednak nie spodziewała się, że jej wzrok padnie na jego usta. Były pełne, pięknie ukształtowane. Znała je równie dobrze jak własne, a jednak nigdy dotąd nie przyjrzała się im naprawdę. Do tej pory

nie zauważyła, że obie wargi nie były identycznego koloru, a dolna wyginała się bardzo zmysłowo…

Francesca wstała nagle. Zerwała się tak spiesznie, że omal się nie przewróciła.

— Muszę już iść — powiedziała i zdumiała się, że jej głos brzmi tak zwyczajnie. — Mam umówione spotkanie. Całkiem o nim zapomniałam.

— Tak, rozumiem — odparł i również wstał z ławki.

— Spotkanie z krawcową — uzupełniła, jakby dodatkowe szczegóły mogły uczynić jej kłamstwo bardziej wiarygodnym. — Nosiłam dotąd wyłącznie półżałobne suknie…

Skinął głową potakująco.

— Zupełnie do ciebie nie pasują — dodał.

— Miło, żeś to zauważył — odparła kąśliwie.

— Powinnaś ubierać się na niebiesko — zawyrokował.

Raptownie odwróciła głowę. W dalszym ciągu ruchy miała nieskoordynowane, a nastrój fatalny.

— Dobrze się czujesz? — spytał.

— Doskonale — burknęła, po czym dodała nieco łagodniej: — Naprawdę, wszystko w porządku. Po prostu nie lubię się spóźniać.

To akurat było prawdą i Michael dobrze o tym wiedział. Może uwierzy, że w tym tkwiła przyczyna jej opryskliwości?

— Dobrze już, dobrze — odparł przyjaznym tonem.

Przez całą drogę powrotną na Bruton Street Francesca coś paplała.

Powinnam robić wrażenie beztroskiej i naturalnej, myślała gorączkowo. Nie mogła pozwolić, by Michael odgadł, jakiego objawienia doznała na tamtej ławce w pobliżu Serpentine.

Wiedziała, oczywiście, że Michael jest przystojny, nawet bardzo

przystojny. Była to jednak wiedza czysto teoretyczna, niemal abstrakcyjna. Michael był przystojny, tak jak Benedict wysoki, a oczy jej matki piękne.

Aż tu nagle… właśnie teraz…

Popatrzyła na Michaela — i stało się coś niewiarygodnego.

Dostrzegła w nim mężczyznę.

I przeraziła się nie na żarty.

Francesca była zwolenniczką dewizy: Coś jest nie tak? Natychmiast przystąp do działania. Kiedy więc wrócili do rezydencji pod numerem piątym, czym prędzej odnalazła swoją matkę i oznajmiła jej, że chce niezwłocznie spotkać się z krawcową. Postanowiła zmienić swoje kłamstwo w prawdę — im szybciej, tym lepiej.

Matka była zachwycona, że Francesca rozstanie się wreszcie z półżałobą; toteż nie minęła nawet godzina, a obie — matka i córka — jechały już wygodnym i eleganckim powozem Violetty do jednej z renomowanych pracowni krawieckich na Bond Street. W normalnych warunkach Francesca zjeżyłaby się na samą myśl o wtrącaniu się matki w jej prywatne sprawy. Potrafiła sama zadbać o swą garderobę, niczyjej pomocy nie potrzebowała. Tego dnia jednak towarzystwo matki było dla niej — o dziwo — wielką pociechą.

Co nie znaczyło, że jej matka w innej sytuacji nie byłaby prawdziwą podporą. Po prostu Francesca tak ceniła sobie niezależność, że nie znosiła, gdy utożsamiano ją z resztą rodziny. Jednak wyprawa do krawcowej napawała ją niepokojem. I choć nawet na torturach nie przyznałaby się do tego, była po prostu zatrwożona.

Choćby nawet Francesca nie doszła do wniosku, że najwyższy czas wyjść za mąż, samo zrzucenie wdowich szat oznaczało poważną zmianę w jej życiu. Zmianę, na którą chyba nie była całkiem gotowa.

Siedząc w powozie, wpatrywała się w swoje rękawy. Nie miała przed

oczyma materiału, z którego uszyto suknię, zasłoniętą teraz płaszczem; wiedziała jednak dobrze, że suknia jest w kolorze liliowym. Było w tej barwie coś kojącego, solidnego, wzbudzającego zaufanie. Nosiła takie suknie na zmianę z szarymi przez ostatnie trzy lata. A przedtem przez okrągły rok chodziła w surowej, niczym nieozdobionej czerni. Żałoba była rodzajem ubioru ochronnego i Francesca zdawała sobie z tego sprawę. Nikt nie zaczepia ani nie nagabuje kobiety, której strój woła głośno: „Jestem zbolałą wdową!”.

— Mamo… — odezwała się Francesca, zanim jeszcze uświadomiła sobie, że chce matkę o coś spytać.

Violetta zwróciła się do niej z uśmiechem.

— Słucham, kochanie?

— Dlaczego nie wyszłaś powtórnie za mąż?

Usta Violetty rozchyliły się lekko, a jej oczy (ku wielkiemu zdumieniu Franceski) nagle zajaśniały.

— Wiesz — powiedziała cicho matka — że po raz pierwszy któreś z moich dzieci zadało mi to pytanie?

— Niemożliwe — zdumiała się Francesca. — Jesteś tego pewna, mamo?

Violetta skinęła głową.

— Żadne z was nigdy mnie o to nie spytało. Zapamiętałabym to z pewnością!

— Tak, oczywiście — zgodziła się pospiesznie córka.

A jednak to wydawało się jej bardzo dziwne. I, prawdę mówiąc, pozbawione sensu. Czemu nikt nie zadał Violetcie tego pytania? Francesce wydawało się ono jak najbardziej uzasadnione. I niezmiernie intrygujące. Choćby nawet żadne z dzieci Violetty nie odczuwało zwykłej ciekawości, czyż nie uświadamiały sobie, jak ogromne znaczenie miało to dla ich matki?

Czyżby nie chcieli dowiedzieć się o niej jak najwięcej? Poznać ją lepiej.

— Kiedy umarł wasz ojciec — zaczęła Violetta. — Nie wiem, co pamiętasz… ale stało się to nagle. Nikt z nas się tego nie spodziewał.

Roześmiała się smutno, a Francesca zadała sobie w duchu pytanie, czy kiedykolwiek będzie w stanie roześmiać się, mówiąc o śmierci Johna, choćby nawet był to bolesny śmiech.

— Pszczoła go użądliła! — ciągnęła dalej Violetta i Francesca uświadomiła sobie, że nawet teraz, kiedy od śmierci Edmunda Bridgertona minęło dwadzieścia parę lat, jej matka nie mogła uwierzyć w to, co się wówczas stało. — Kto by pomyślał, że coś takiego może się wydarzyć — mówiła Violetta, kręcąc głową. — Nie wiem, jak dobrze go pamiętasz, ale twój tatuś był potężnym mężczyzną. Równie wysokim jak Benedict i chyba jeszcze szerszym od niego w ramionach. Nikt by się nie domyślił, że pszczoła…

Matka urwała, wyjęła śnieżnobiałą chusteczkę, przytknęła ją do ust i odkaszlnęła.

— A więc było to coś nieoczekiwanego. Nie wiem, co jeszcze można by powiedzieć na ten temat, z wyjątkiem tego… — Zwróciła ku córce swoje mądre, pełne bólu oczy. — Z wyjątkiem tego, że ty zrozumiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Francesca skinęła głową, nie próbując nawet powstrzymać piekących łez, które napływały jej do oczu.

— Tak czy inaczej — podjęła swą opowieść Violetta — po jego śmierci byłam jak ogłuszona. Miałam wrażenie, że poruszam się w gęstej mgle. Do dziś nie wiem, jak zdołałam przeżyć pierwszy rok bez niego… A potem kilka następnych lat. Było więc nie do pomyślenia, bym zastanawiała się wówczas nad powtórnym zamążpójściem.

— Rozumiem — powiedziała cicho Francesca.

I naprawdę rozumiała.

— A później… cóż, sama nie wiem, jak to się stało. Może po prostu nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym dzielić życie… Może za bardzo kochałam waszego ojca… — Wzruszyła ramionami. — A może nigdy nie odczuwałam takiej potrzeby? Znajdowałam się w całkiem innej sytuacji niż ty. Nie zapominaj, że byłam od ciebie starsza i miałam już ośmioro dzieci. A wasz tatuś pozostawił wszystkie swoje sprawy we wzorowym porządku i wiedziałam, że nigdy mnie i wam niczego nie zabraknie.

— John też zostawił Kilmartin w jak najlepszym porządku! — zapewniła pospiesznie Francesca.

— Ależ oczywiście — odparła Violetta, klepiąc ją po ręku. — Wybacz, kochanie. Wcale nie zamierzałam twierdzić, że było inaczej. Ale ty nie masz ośmiorga dzieci, Francesco. — Oczy matki zmieniły się; były teraz ciemnobłękitne. — Tylko całe życie przed sobą… I perspektywę, że spędzisz je samotnie.

Francesca energicznie pokiwała głową.

— Wiem — powiedziała. — Wszystko to wiem. A jednak nie potrafię… nie mogę…

— Czego nie możesz? — spytała łagodnie Violetta.

— Nie mogę… — Francesca miała spuszczone oczy. Sama nie wiedziała czemu, ale nie była w stanie oderwać wzroku od podłogi. — Nie mogę pozbyć się wrażenia, że postępuję źle, że znieważam pamięć Johna i naszego małżeństwa…

— John z pewnością pragnąłby twojego szczęścia.

— Wiem. Wiem. Oczywiście, że pragnąłby tego. Ale czy nie rozumiesz…

Podniosła oczy na twarz matki, szukając w niej czegoś — może aprobaty,

a może po prostu miłości? To bywa wielką pociechą, gdy wiemy, że na pewno odnajdziemy to, czego nam trzeba.

— Nie oczekuję podobnego szczęścia. Z pewnością nie znalazłabym kogoś takiego jak John. Pogodziłam się z tym. Tylko… wyjście za mąż z jakiejś innej, mniej ważnej przyczyny, wydaje mi się dziwnie… niestosowne.

— Nie znajdziesz nikogo takiego jak John, to prawda — odparła Violetta. — Ale możesz znaleźć mężczyznę, który będzie równie dobrze pasował do ciebie, tylko w inny sposób.

— Ty go nie znalazłaś.

— Nie znalazłam — zgodziła się matka. — Ale nie szukałam zbyt pilnie. Szczerze mówiąc, w ogóle go nie szukałam.

— Żałujesz, że tego nie zrobiłaś?

Violetta otwarła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk, nawet głośniejszy oddech. W końcu powiedziała:

— Sama nie wiem, Francesco. Doprawdy nie wiem. — Potem zaś, ponieważ w tej chwili sytuacja wymagała odprężenia, odrobiny wesołości, dodała: — W każdym razie z pewnością nie chciałam mieć więcej dzieci.

Francesca uśmiechnęła się mimo woli.

— A ja chcę — powiedziała miękko. — Bardzo chcę mieć dziecko.

— Tak właśnie przypuszczałam.

— Czemu nigdy mnie o to nie zapytałaś?

Violetta przechyliła głowę na bok.

— A dlaczego ty nigdy przedtem nie spytałaś mnie, czemu nie wyszłam powtórnie za mąż?

Francesca czuła, że jej usta same się otwierają ze zdumienia. Nie powinna aż tak dziwić się matczynej przenikliwości!

— Gdyby na twoim miejscu była Eloise albo inna z twoich sióstr, chyba

bym jej coś napomknęła — dodała Violetta. — Ale ty… — Uśmiechnęła się czule. — Nie jesteś taka jak one. Nigdy nie byłaś. Nawet jako dziecko różniłaś się od reszty. I zawsze ceniłaś sobie prywatność.

Francesca impulsywnie ścisnęła rękę matki.

— Kocham cię, wiesz?

Violetta się uśmiechnęła.

— Domyślałam się tego, prawdę mówiąc.

— Mamo!

— Dobrze. Oczywiście, byłam tego pewna. Jak mogłabyś mnie nie kochać, kiedy ja kocham cię tak bardzo, bardzo mocno?

— Rzadko zapewniałam cię o tym — bąknęła Francesca ze skruchą. — W każdym razie ostatnio…

— Nie szkodzi. — Violetta oddała córce uścisk. — Miałaś inne sprawy na głowie.

Nie wiedzieć czemu, to stwierdzenie rozśmieszyło Francescę; zaczęła cicho chichotać.

— Bardzoś to łagodnie określiła, mamo.

Violetta tylko się uśmiechnęła.

— Mogę cię jeszcze o coś spytać? — spytała Francesca.

— Oczywiście.

— Jeśli nie znajdę nikogo podobnego do Johna… idealnie pasującego do mnie… i wyjdę za kogoś, kogo będę trochę lubiła, ale nie kochała… czy to będzie w porządku?

Violetta milczała przez dłuższą chwilę, nim odpowiedziała córce.

— Obawiam się, że tylko ty możesz odpowiedzieć sobie na to pytanie — powiedziała wreszcie. — Ale nie wykluczałabym z góry takiej możliwości. Połowa wielkiego świata… więcej niż połowa, prawdę mówiąc, zawiera takie właśnie małżeństwa i sporo z nich to udane związki. Ale w swojej

sprawie tylko ty możesz wyrokować. Każdy z nas jest inny, Francesco. Podejrzewam, że wiesz o tym lepiej niż większość ludzi. A kiedy jakiś mężczyzna poprosi cię o rękę, ocenisz go według jego zalet, a nie ustalonych z góry kryteriów.

Była to, oczywiście, święta racja, ale Francesca miała już serdecznie dość borykania się z wszelkimi trudami i komplikacjami życiowymi, toteż odpowiedź matki nie spełniła jej oczekiwań.

Zresztą żadna z tych rad nie dotyczyła problemu, który najbardziej leżał jej na sercu. Co by się stało, gdyby spotkała kogoś, kto wzbudziłby w niej uczucia podobne do tych, jakie żywiła do Johna? Nie mogła sobie tego wyobrazić i uważała to za nieprawdopodobne. Gdyby jednak tak się stało… Jak mogłaby żyć, dopuściwszy się takiej zdrady?

Możność wyładowania na czymś złości dawała pewną satysfakcję, Michael postanowił więc, że nie będzie się krępować.

Przez całą drogę do domu kopał kamyk.

Warczał na każdego, kto zderzył się z nim na ulicy.

Otworzył drzwi frontowe Kilmartin House z takim impetem, że omal nie uderzyły o kamienną ścianę. Zrobiłby to, gdyby przeklęty majordomus nie był taki nadgorliwy, że otworzył, zanim Michael zdążył chwycić za klamkę.

Miał szczery zamiar trzasnąć drzwiami. Dałoby mu to nieco satysfakcji.

Potem pomaszerował na górę do swego pokoju, który nadal wydawał mu się pokojem Johna, i nic na to nie mógł poradzić, i ściągnął buty.

A raczej bezskutecznie próbował to uczynić.

— Reivers! — ryknął.

Lokaj — jak posłuszny automat — pojawił się w drzwiach.

— Słucham, milordzie?

— Możesz mnie uwolnić od tych butów? — warknął Michael i poczuł się jak rozpuszczony dzieciak. Trzy lata w wojsku, cztery w Indiach — a on

nie potrafi ściągnąć sam tych przeklętych butów! Co jest w tym cholernym londyńskim klimacie, że zmienia normalnego człowieka w jęczyduszę?

Majaczyło mu jak przez mgłę, że poprzednim razem, gdy byli w Londynie, Reivers też musiał zdejmować mu buty.

Popatrzył na swoje nogi.

To były jakieś nieznane mu buty. Ten kretyn Reivers uznał pewnie, że w zmienionej sytuacji należy zmienić również obuwie… Był zawsze idiotycznie dumny z tego, że zna się na obuwiu. Zapragnął oczywiście, by Michael jako hrabia miał wszystko według najnowszej londyńskiej mody. I widocznie…

— Reivers — zagadnął półgłosem lokaja. — Skąd wziąłeś te buty?

— Słucham, milordzie?

— Pytam o te buty. Pierwszy raz je widzę.

— Nie przywieziono jeszcze wszystkich pańskich bagaży ze statku, milordzie. Wasza lordowska mość nie miał obuwia odpowiedniego do pokazania się w Londynie, znalazłem więc te buty wśród rzeczy należących do poprzedniego hra…

— Rany boskie…

— Słucham, milordzie? Jest mi niewymownie przykro, jeśli nie pasują na waszą lordowską mość. Ale pamiętałem, że mieliście obaj ten sam numer, pomyślałem więc…

— Ściągnij je. Natychmiast!

Michael przymknął oczy i opadł na obity skórą fotel — do niedawna fotel Johna. Co za ironia losu. Jego najgorsze obawy ziściły się… i to całkiem dosłownie.

— Oczywiście, wasza lordowska mość.

Reivers wyglądał na nieco urażonego, lecz pospiesznie zabrał się do ściągania butów swojemu panu.

Michael ścisnął palcami nasadę nosa i odetchnął głęboko, zanim odezwał się znowu.

— Nie życzę sobie używać niczego z garderoby mego poprzednika — powiedział ze znużeniem.

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czemu ubrania Johna nadal tu były. Należało już dawno rozdać je służbie lub odesłać do jakiejś instytucji charytatywnej. Tę decyzję powinna jednak podjąć Francesca, nie on.

— Oczywiście, milordzie. Zajmę się tym niezwłocznie.

— Im prędzej, tym lepiej — burknął Michael.

— Czy mam te rzeczy spakować i trzymać pod kluczem?

Trzymać pod kluczem? Przecież to nie była śmiercionośna trucizna.

— Mogą zostać, gdzie są — odparł. — Tylko nie próbuj znowu ubierać mnie w nie.

— Jak pan sobie życzy, milordzie.

Reivers z trudem przełknął ślinę, grdyka mu się poruszyła niespokojnie.

— O co znów chodzi, Reivers?

— Tylko o to, że wszystkie rzeczy i drobiazgi osobiste poprzedniego lorda Kilmartin nadal tu są…

— Tutaj? — spytał Michael głucho.

— Tutaj — potwierdził Reivers, rozglądając się po pokoju.

Michael zapadł się w fotelu. Nie chodziło mu przecież o to, by zetrzeć z oblicza ziemi wszelkie ślady po stryjecznym bracie. Nikt nie tęsknił za Johnem bardziej niż on. Z pewnością nikt.

Może z wyjątkiem Franceski — przyznał — ale to całkiem inna sprawa.

Nie wyobrażał sobie jednak, jak mógłby wieść życie otoczony… nie, zasypany wszystkim, co należało niegdyś do Johna. I tak przejął już jego tytuł, wydawał jego pieniądze, mieszkał w jego domu… Czy musiał jeszcze chodzić w jego cholernych butach?

— Spakujesz to wszystko — polecił Reiversowi. — Jutro.Dziś wieczorem nie chcę, żebyś mi przeszkadzał.

…A poza tym, chyba powinien zawiadomić o swoich zamiarach Francescę!

Francescę…

Westchnął i wstał, gdy tylko lokaj się oddalił. O Boże! Reivers zapomniał zabrać ze sobą te przeklęte buty. Michael chwycił je i wystawił za drzwi. Chyba to przesada… ale, do wszystkich diabłów, nie będzie się gapił na buty Johna przez następnych sześć godzin.

Zamknąwszy drzwi stanowczym ruchem, Michael podszedł do okna, nie zastanawiając się, co robi. Parapet był solidny, oparł się więc na nim i przez cienkie firanki wpatrywał się w nieco zamglony widok za oknem. W dole biegła ulica. Widząc niańkę, prowadzącą po chodniku małe dziecko, Michael rozsunął zasłony i przyjrzał się jej z gorzkim uśmiechem.

Francesca marzyła o dziecku.

Nie wiedział, czemu go to aż tak zaskoczyło. Gdyby się zastanowił, pewnie by się nie zdziwił. Była przecież kobietą. To oczywiste, że chciała mieć dzieci. Czyż wszystkie tego nie pragną? A jednak, choć nigdy nie wmawiał sobie, że Francesca będzie opłakiwała Johna przez resztę swojego życia, nie pomyślał także, iż pewnego dnia zapragnie wyjść ponownie za mąż.

Francesca i John. John i Francesca. Stanowili jedność, przynajmniej w przeszłości. I choć śmierć Johna sprawiła, że mógł sobie wyobrazić Francescę bez męża, nadal wydawało mu się nieprawdopodobne, że mogłaby się związać z kimś innym.

Do tego dochodziły jeszcze — oczywiście mniej istotne — jego własne odczucia: czuł po prostu, jak mu skóra cierpnie na myśl o Francesce w ramionach innego mężczyzny.

Wzdrygnął się gwałtownie. A może wstrząsnął nim dreszcz…? Do wszystkich diabłów, tylko nie to.

Chyba po prostu trzeba się oswoić z tą myślą. Jeśli Francesca pragnie dzieci, to musi wyjść za mąż, nie ma rady. Byłoby co prawda lepiej, myślał, gdyby podjęła taką decyzję rok temu. Nie musiałby wówczas być świadkiem odrażającej komedii zalotów. Gdyby wyszła za mąż w ubiegłym roku, sprawa byłaby zamknięta.

Koniec, kropka.

Teraz jednak będzie musiał się temu przyglądać. Kto wie, może nawet służyć jej radą?

Do diaska!

Znów poczuł dreszcze. Może się po prostu przeziębił? Był marzec, w dodatku chłodny — nawet jeśli w kominku płonął ogień.

Michael szarpnął za krawat, który wydał mu się nieznośnie ciasny, i zerwał go z szyi. Czuł się paskudnie: to zimno, to gorąco, i te problemy z zachowaniem równowagi…

Opadł ciężko na fotel. Wydawało się to najlepszym rozwiązaniem.

W końcu przestał udawać przed sobą, że wszystko jest z nim w porządku. Ściągnął ubranie i wczołgał się do łóżka.

Czekała go długa i ciężka noc.

8

…Cudownie wspaniale uroczo [wszystkie trzy słowa wykreślone] Przyjemnie otrzymać list od Ciebie. Cieszę się, że dobrze Ci się wiedzie. John byłby z Ciebie dumny. Tęsknię za Tobą. [całe zdanie wykreślone] Brak mi go. Ciebie też. [wykreślone] Niektóre kwiaty ciągle jeszcze kwitną. Czy to nie urocze, że niektóre kwiaty jeszcze kwitną?

Hrabina Kilmartin do hrabiego Kilmartin tydzień po otrzymaniu drugiego listu od niego; jej list natomiast nigdy nie został ukończony ani wysłany.

Michael obiecał, że przyjdzie dziś do nas na kolację, prawda?

Francesca spojrzała na matkę, która stała przed nią, pełna niepokoju. Ona martwiła się tym samym i zastanawiała się, co zatrzymało ich gościa.

Przez większą część dnia myślała z lękiem o następnym spotkaniu z Michaelem, nawet jeśli nie miał pojęcia, co tak nią potężnie wstrząsnęło w parku. Wielkie nieba, on pewnie w ogóle nie zauważył, że podczas przechadzki coś ją tak poruszyło.

Po raz pierwszy w życiu Francesca była wdzięczna losowi za tępotę płci męskiej.

— Owszem, obiecał, że przyjdzie — odparła, poprawiając się na krześle.

Od pewnego czasu wraz z matką i dwiema siostrami siedziała w salonie, zajmując się jakimiś głupstewkami, i czekała na przybycie gościa.

— Może nie podałyśmy dokładnej godziny? — zastanawiała się Violetta.

Francesca zaprzeczyła ruchem głowy.

— Upewniłam się jeszcze co do tego, gdy odprowadził mnie tu po spacerze.

Francesca nie miała żadnych wątpliwości. Wyraźnie pamiętała, jak ściskało ją w żołądku, gdy rozmawiali na ten temat. Wcale nie chciała spotykać się z nim znowu, a przynajmniej nie tak prędko… ale cóż mogła na to poradzić? Jej matka zaprosiła Michaela na kolację, i koniec.

— Pewnie się spóźni — odezwała się Hiacynta, najmłodsza z sióstr. — Wcale mnie to nie dziwi. Ludzie jego pokroju zawsze się spóźniają.

Francesca od razu się najeżyła.

— A cóż to ma znaczyć?!

— Wiem, jaką ma reputację.

— Co jego reputacja ma z tym wspólnego? — spytała Francesca niemiłym tonem. — I w ogóle, cóż ty możesz o nim wiedzieć? Wyjechał z Anglii na długo przed twoim debiutem.

Hiacynta wzruszyła ramionami i wkłuła igłę w swoją robótkę, która i bez tego miała opłakany wygląd.

— Ludzie nadal o nim plotkują — odparła niedbałym tonem. — Wyobraź sobie, że damy mdleją jak skończone idiotki, gdy tylko ktoś wspomni jego nazwisko.

— Wyłącznie skończone idiotki mdleją w towarzystwie! — wtrąciła Eloise, która — choć starsza od Franceski dokładnie o rok — nadal była niezamężna.

— Może i jest hulaką — stwierdziła wyniośle Francesca — ale zawsze był punktualny, aż do przesady.

Nigdy nie mogła znieść, gdy ktoś źle się wyrażał o Michaelu. Jej samej wolno było, oczywiście, znacząco wzdychać, zżymać się i wytykać mu

błędy, ale jakim prawem ta bezczelna Hiacynta, która znała Michaela jedynie z plotek i niesmacznych aluzji, śmie go krytykować?

— Myśl sobie, co chcesz — powiedziała ostro. Nie mogła dopuścić, by ta smarkula miała ostatnie słowo! — Ale Michael nigdy by się nie spóźnił na kolację u nas w domu. Żywi zbyt wiele szacunku dla naszej matki.

— Nie mówiąc już o szczególnych względach dla ciebie, co? — odcięła się Hiacynta.

Francesca spiorunowała wzrokiem siostrę, która uśmiechnęła się ironicznie znad swego haftu.

— Michael…

Nie. Nie ma mowy. Nie będzie tu siedzieć i kłócić się z tą smarkatą, kiedy mogło stać się coś złego. Michael — choć nie brakowało mu wad — był zawsze niezwykle uprzejmy i liczył się z uczuciami innych. A przynajmniej tak się zawsze zachowywał w jej obecności. I nigdy by się nie spóźnił na proszoną kolację o… — tu zerknęła na stojący na kominku zegar — ponad pół godziny. A gdyby mu coś nagle wypadło, przesłałby wiadomość.

Francesca wstała i pospiesznie wygładziła fałdy swej popielatej spódnicy.

— Jadę do Kilmartin House — obwieściła.

— Sama? — spytała Violetta.

— Sama — odparła stanowczo. — Przecież to mój dom. Z pewnością nie dostanę się na języki, jeśli wpadnę tam z krótką wizytą.

— Cóż tak, oczywiście — przytaknęła jej matka. — Ale nie siedź zbyt długo.

— Jestem wdową, mamo. I nie zamierzam tam nocować. Chcę się tylko upewnić, czy nic się nie stało Michaelowi. Zapewniam cię, że mnie nic nie grozi.

Violetta skinęła głową, ale Francesca poznała z wyrazu jej twarzy, że

matka chętnie by do tego gestu dodała obszerny komentarz. Trwało to od lat: Violetta z przyjemnością wzięłaby znów pod swe skrzydła owdowiałą córkę, ale hamowała się, pragnąc uszanować jej niezależność.

Co prawda, nie zawsze mogła się powstrzymać od wtrącania w jej sprawy, ale Francesca widziała starania matki i była jej za to wdzięczna.

— Chcesz, żebym ci towarzyszyła? — spytała Hiacynta i oczy jej rozbłysły.

— Nie — odparła Francesca. Zdumienie sprawiło, że jej odmowa była bardziej opryskliwa, niż zamierzała. — Skąd ta nagła zachcianka?

Hiacynta wzruszyła ramionami.

— Ze zwykłej ciekawości. Chciałabym poznać osławionego uwodziciela.

— Już go poznałaś — przypomniała jej Eloise.

— Tak, ale to było wieki temu — odparła Hiacynta i westchnęła przesadnie. — Zanim zrozumiałam, co to naprawdę znaczy „uwodziciel”.

— Teraz też nie masz o tym pojęcia — zmitygowała ją ostro Violetta.

— Ależ…

— Nie masz pojęcia — powtórzyła z naciskiem Violetta.

— Masz rację, mamo. — Hiacynta zwróciła się do matki z przesłodzonym uśmieszkiem. — Nie rozumiem, kto to jest uwodziciel. Nie potrafię sama się ubrać. Ani umyć sobie zębów.

— Sama widziałam, jak Polly pomagała ci włożyć wieczorową suknię — mruknęła siedząca na kanapie Eloise.

— Nikt nie może włożyć wieczorowej sukni bez pomocy — żachnęła się Hiacynta.

— Wychodzę — oznajmiła Francesca, choć była pewna, że nikt jej nie słucha.

— Co ty wyprawiasz? — spytała z pretensją w głosie Hiacynta.

Francesca stanęła jak wryta, zanim się połapała, że siostrzyczka nie

mówiła tego do niej.

— Sprawdzam tylko, czy masz czyste zęby — odparła słodko Eloise.

— Dziewczynki! — skarciła obie córki Violetta.

Francesca mogłaby przysiąc, że potraktowanie jej na równi z Hiacyntą nie przypadło do gustu Eloise, która miała już, bądź co bądź, dwadzieścia siedem lat.

Istotnie tak było i Francesca wykorzystała zamieszanie spowodowane wybuchem oburzenia Eloise i ripostą Hiacynty, by wymknąć się niepostrzeżenie z pokoju. Następnie poprosiła lokaja, by sprowadził powóz.

Na ulicach nie było jeszcze wielkiego tłoku. Za wcześnie na to! Śmietanka towarzyska wyruszy na przyjęcia i bale dopiero za godzinę albo dwie. Powóz jechał więc szybko przez Mayfair i nim minął kwadrans, Francesca wchodziła już na frontowe schody Kilmartin House przy St. James. Jak zwykle lokaj otworzył drzwi, nim zdążyła zastukać; wkroczyła więc spiesznie do wnętrza.

— Czy lord Kilmartin jest w domu? — spytała i ze zdumieniem zorientowała się, że po raz pierwszy, mówiąc o Michaelu, użyła należnego mu tytułu. Aż dziw, jak naturalnie to zabrzmiało. Zapewne wszyscy zdążyli już przywyknąć do tej zmiany… Michael był teraz hrabią i nigdy nie będzie, jak dawniej, skromnym panem Stirlingiem.

— Tak mi się zdaje — odparł lokaj. — Wrócił wczesnym popołudniem, a nie słyszałem, żeby potem wychodził.

Francesca zmarszczyła brwi, skinieniem głowy odprawiła służącego i skierowała się w stronę schodów. Jeśli Michael istotnie był w domu, musiał przebywać na górze. Gdyby siedział w swoim gabinecie na parterze, lokaj nie miałby wątpliwości, że hrabia jest w domu.

Dotarła na drugie piętro i ruszyła korytarzem do apartamentów hrabiego, stąpając bezgłośnie (choć w bucikach) po puszystym dywanie z Aubusson.

— Michaelu — zawołała półgłosem, zbliżając się do jego pokoju. — Michaelu!

Nie otrzymała odpowiedzi, podeszła więc bliżej do drzwi, które były niedomknięte.

— Michaelu! — powtórzyła głośniej.

Nie było sensu wrzeszczeć na cały dom. A poza tym, jeśli Michael spał, nie chciała go budzić. Musiał być zmęczony po długiej podróży i tylko duma sprawiła, że nie wymówił się od zaproszenia na kolację.

Nadal nikt nie odpowiadał, pchnęła więc drzwi; rozchyliły się szerzej.

— Michaelu…

Coś wreszcie dotarło do jej uszu. Może to był szelest… a może jęk?

— Michaelu!

— Frannie…?

Był to niewątpliwie jego głos, choć niepodobny do tego, jakim zwykle przemawiał.

— Michaelu…

Wbiegła do pokoju i znalazła go zwiniętego w kłębek na łóżku. Robił wrażenie ciężko chorego. W przeciwieństwie do Johna, który nigdy nie chorował…

Tylko pewnego wieczoru położył się do łóżka i już nie obudził.

Zapewne dopiero na tamtym świecie.

— Michaelu — jęknęła. — Co z tobą?

— Nic takiego — wychrypiał. — Chyba się przeziębiłem.

Francesca spojrzała nań z niepokojem. Ciemne włosy przylgnęły mu do czoła, skóra była zaczerwieniona, plamista, buchał od niego żar.

Żeby już nie wspomnieć o charakterystycznym zapaszku choroby… Koszmarna kompozycja: ostra woń potu i leciutki powiew zgnilizny; coś równie odrażającego jak zielonkawe wymiociny.

Francesca wyciągnęła rękę, dotknęła czoła chorego i aż odskoczyła, takie było rozpalone.

— To nie jest zwykłe przeziębienie — powiedziała ostro.

Jego wargi rozciągnęły się w okropnej parodii uśmiechu.

— To może… niezwykłe?

— Przestań błaznować, Michaelu.

— O Boże… zupełnie jakbym słyszał moją matkę!

Nie czuła się wcale jak jego matka, zwłaszcza po tym, co jej się przydarzyło w parku. Teraz niemal poczuła ulgę, widząc, jaki Michael jest słaby i godny pożałowania. Zmniejszyło to poczucie zagrożenia, które ogarnęło ją dziś po południu.

— Michaelu, co ci dolega?

Wzruszył ramionami, a potem zakopał się jeszcze głębiej w pościeli. Całe jego ciało trzęsło się z wysiłku.

— Michaelu! — Chwyciła go za ramię. Niezbyt delikatnie. — Nie nabierzesz mnie na te swoje sztuczki. Zbyt dobrze je znam. Zawsze udajesz, że wszystko w porządku, a wszelkie zło spływa po tobie, jak woda po kaczce…

— Woda naprawdę spływa po kaczce — wymamrotał. — To prawo przyrody, słowo daję…

— Michaelu! — Uderzyłaby go z całej siły, gdyby nie był taki chory. — Nie próbuj mi wmawiać, że to nic takiego. Rozumiesz? Masz mi natychmiast powiedzieć, co ci dolega.

— Jutro będę się czuł znacznie lepiej — zapewnił.

— O, z pewnością — odparła Francesca z taką dozą sarkazmu, na jaką mogła się zdobyć.

— Naprawdę — upierał się Michael, wiercąc się niespokojnie i pojękując. — Słowo daję, że jutro będzie mi lepiej.

Coś w tym sformułowaniu wydało się Francesce podejrzane.

— A co będzie pojutrze? — spytała, mrużąc oczy.

Spod kołdry dobiegł chrapliwy śmiech.

— Pojutrze? Będę znów chory jak diabli, oczywiście!

— Michaelu — powtórzyła po raz nie wiedzieć który. Strach tak ją przytłaczał, że mówiła cicho i niewyraźnie. — Co ci naprawdę dolega?

— Nie domyśliłaś się jeszcze? — Wysunął znów głowę z pościeli. Wyglądał na tak bardzo chorego, że omal się nie rozpłakała. — To malaria.

— O Boże — jęknęła Francesca, cofając się odruchowo.

— Pierwszy raz słyszę, że używasz imienia boskiego nadaremno — zauważył. — Chyba mi pochlebia, że to przeze mnie.

Nie miała pojęcia, jak on mógł w tej chwili żartować.

— Michaelu, ja…

Wyciągnęła rękę, ale go nie dotknęła. Sama już nie wiedziała, co robić.

— Nie bój się — uspokoił ją, kuląc się znowu. Wstrząsnęła nim kolejna fala dreszczy. — Nie zarazisz się ode mnie.

— Naprawdę? — zamrugała oczami. — To znaczy… wiem o tym, oczywiście…

Choćby nawet miała się od niego zarazić, nie odstraszyłoby jej to od pielęgnowania go. Przecież to Michael. Był dla niej… cóż, trudno określić, kim dla niej właściwie jest, ale łączyła ich nierozerwalna więź. I wyglądało na to, że ani cztery lata rozłąki, ani tysiące mil nie zdołały jej osłabić.

— To z powodu złego powietrza — wyjaśnił znużonym głosem. — Można się nabawić tej choroby, oddychając powietrzem z bagien. Nazwali tę przypadłość malarią. Gdyby się tym można było zarazić jak katarem, do tej pory cała Anglia chorowałaby na to paskudztwo.

Francesca skinęła głową w odpowiedzi na jego wyjaśnienia.

— Czy ty… Czy ci… grozi… ?

Nie była w stanie zadać mu tego pytania. W żaden sposób.

— Nie — zaprzeczył. — W każdym razie lekarze uważają, że nie.

Poczuła taką ulgę, że aż osłabła i musiała usiąść. Nie wyobrażała sobie świata bez Michaela. Nawet wtedy, gdy wyjechał tak daleko, zawsze wiedziała, że gdzieś jest, znajduje się na tej samej planecie co ona, chodzi po tej samej ziemi. I nawet w tamtych strasznych dniach, bezpośrednio po śmierci Johna, gdy nienawidziła Michaela za to, że ją opuścił, kiedy była na niego tak wściekła, że miała ochotę wrzeszczeć, pewną pociechę stanowiła dla niej świadomość, że Michael żyje, jest zdrów i wróciłby do niej natychmiast, gdyby go tylko poprosiła.

Był tutaj. Żył. A teraz, kiedy John odszedł… Gdyby straciła ich obu, po prostu nie mogłaby żyć.

Znowu wstrząsnęły nim gwałtowne dreszcze.

— Nie powinieneś zażyć lekarstwa? — spytała, przytomniejąc nagle. — Masz chyba jakieś lekarstwo?

— Już je wziąłem — odparł, szczękając zębami.

Francesca czuła, że musi coś zrobić.

Nigdy nie czuła takiej nienawiści do siebie, żeby się obwiniać o zaniedbanie czegoś, co mogłoby uratować Johna od śmierci. Nawet w najcięższym okresie żałoby nie dręczyły jej podobne urojenia. Zawsze jednak myślała z bólem o tym, że nieszczęście wydarzyło się akurat podczas jej nieobecności. Prawdę mówiąc, odejście z tego świata było jedyną ważką decyzją, jaką John podjął bez niej… Tak więc nie mogła pozwolić, by Michael — wprawdzie bardzo chory, ale nie umierający — cierpiał w samotności.

— Przyniosę ci jeszcze coś do przykrycia — oświadczyła i nie czekając na odpowiedź, wbiegła przez wewnętrzne drzwi do swojej sypialni, znajdującej się tuż obok.

Ściągnęła ze swojego łóżka kołdrę. Była pasteloworóżowa. Być może urazi to jego męską dumę, gdy Michael poczuje się na tyle dobrze, by zwracać uwagę na takie głupstwa. Wtedy jednak — postanowiła twardo — musi sam się z tym uporać.

Gdy powróciła do sypialni Michaela, leżał bez ruchu; myślała więc, że zasnął. Zdołał jednak podziękować jej, gdy otulała go dodatkową kołdrą.

— Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? — spytała i przyciągnąwszy do łóżka zwykłe drewniane krzesło, siadła przy chorym.

— Nic więcej.

— Przecież musi być jakiś sposób — upierała się. — Nie możemy czekać, aż choróbsko samo minie!

— Nie ma innej rady — odparł słabym głosem. — Trzeba to przeczekać.

— Nie wierzę.

Otworzył jedno oko.

— Chcesz być mądrzejsza od największych sław medycznych?

Zacisnęła zęby i skuliła się na krześle.

— To może zażyjesz następną dawkę tego leku?

— Dopiero za kilka godzin.

— Gdzie jest to lekarstwo? — spytała.

Jeśli jedyną rzeczą, jaką mogła zrobić dla niego, było odnalezienie tego lekarstwa i trzymanie go w pogotowiu, żeby mógł je zażyć, kiedy tylko zechce, to zrobi przynajmniej tyle.

Ledwo dostrzegalnym ruchem obrócił głowę w lewo. Francesca spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła po drugiej stronie pokoju mały stolik. Stała na nim, na złożonej gazecie, butelka z lekarstwem. Francesca natychmiast wstała i przeniosła ją bliżej łóżka. Przeczytała napis na etykietce i wróciła na swoje krzesło.

— Chinina — mruknęła. — Słyszałam o niej.

— Cudowny lek — odparł Michael. — Tak ją nazywają.

Francesca spojrzała na niego sceptycznie.

— Popatrz na mnie — powiedział z krzywym, bardzo słabym uśmiechem. — Jestem żywym dowodem jego skuteczności.

Jeszcze raz przyjrzała się butelce i proszkowi, który przesypywał się w środku, gdy ją przechyliła.

— Jakoś nie mogę uwierzyć, że to aż takie cudo.

Spróbował unieść ramię w beztroskim geście.

— Przecież jeszcze zipię.

— To wcale nie jest zabawne!

— Właśnie, że tak — sprzeciwił się. — Trzeba się śmiać, póki można. Pomyśl tylko: gdybym wyciągnął kopyta, tytuł hrabiowski, jak zawsze podkreśla Janet, przeszedłby na…

— …boczną linię, tych okropnych Debenhamów! — zakończyli zgodnym chórem, a Francesca, ku swemu najwyższemu zdumieniu, uśmiechnęła się.

Michael zawsze potrafił ją rozśmieszyć.

Wzięła go za rękę.

— Jakoś przez to przebrniemy — powiedziała.

Skinął głową, a potem zamknął oczy.

Kiedy była już przekonana, że zasnął, powiedział szeptem:

— Od razu mi się polepszyło, odkąd tu jesteś…

Następnego ranka Michael obudził się nieco silniejszy i choć jeszcze nie całkiem wrócił do formy, czuł się zdecydowanie lepiej niż poprzedniej nocy. Z konsternacją stwierdził, że Francesca nadal siedzi na twardym krześle przy jego łóżku. Głowa jej opadała na bok, jakby wypiła za dużo wina. Z pewnością nie było jej wygodnie, choćby dlatego, że była cała skręcona, szyję miała wygiętą pod dziwnym kątem.

Spała. Nawet pochrapywała, co wydało mu się rozczulające. Nie miał pojęcia, że Francesca chrapie, choć — wstyd przyznać — wiele razy wyobrażał ją sobie pogrążoną we śnie.

Chyba rzeczywiście łudził się głupio, sądząc, że zdoła ukryć przed nią swoją chorobę. Francesca była na to zbyt spostrzegawcza i zanadto wścibska. A choć pewnie należało okazać samodzielność i nie pozwolić, by troszczyła się o niego, jej obecność była dla niego tej nocy wielką pociechą. Nie powinien się na to zgodzić — ale po prostu nie mógł się oprzeć pokusie.

Usłyszał, że Francesca się poruszyła, i obrócił się na bok, żeby ją lepiej widzieć. Nigdy jeszcze nie był świadkiem jej przebudzenia. Właściwie nie wiedział, dlaczego wydało mu się to takie dziwne; nie towarzyszył jej przecież w tak intymnych sytuacjach, jak ranne wstawanie. Może czuł się taki jej bliski, gdyż towarzyszyła mu we wszystkich snach i marzeniach? Nigdy jednak nie wyobrażał sobie Franceski takiej jak teraz: cichutko pochrapującej, skulonej w niewygodnej pozie. Po raz pierwszy był świadkiem jej porannego ziewania i drgania powiek, zanim oczy całkiem się otwarły.

Była taka piękna.

Wiedział o tym od lat, ale nigdy dotąd jego zachwyt nie był aż tak głęboki.

Przedmiotem jego podziwu nie były włosy Franceski — gęste, bujne, kasztanowate fale, które niesłychanie rzadko widywał rozpuszczone. Nie chodziło też o jej oczy, tak promiennie błękitne, że pisano o nich wiersze (ku nieustającej uciesze Johna). Nieistotne były nawet rysy twarzy i niezwykle delikatna struktura kości. Gdyby to go oczarowało, Michael miałby obsesję na punkcie wszystkich sióstr Bridgerton — tak bardzo do siebie podobnych, przynajmniej zewnętrznie.

Urzekło go coś w sposobie poruszania się Franceski.

W jej sposobie oddychania.

To nieuchwytne „coś” sprawiające, że była taka, jaka była.

I wiedział, że nigdy nie otrząśnie się z tego zauroczenia.

— Michael…? — wyszeptała, przecierając zaspane oczy.

— Dzień dobry — odezwał się, mając nadzieję, że uzna chrapliwość jego głosu za objaw zmęczenia.

— Wyglądasz o wiele lepiej.

— Bo czuję się lepiej.

Przełknęła ślinę i zawahała się, zanim powiedziała:

— Przywykłeś już do tego choróbska, prawda?

Skinął głową.

— Może nie aż tak, żeby pogodzić się z losem… ale przywykłem do malarii. Wiem, jak się zachować, co robić…

— Jak długo jeszcze to potrwa?

— Trudno powiedzieć. Po prostu będę miał ataki febry co drugi dzień, póki się to nie skończy, całkiem nagle. Może tak trwać tydzień albo dwa. Trzy tygodnie, jeśli będę miał wyjątkowego pecha.

— A co potem?

Wzruszył ramionami.

— Potem będę czekał i miał nadzieję, że to się nigdy więcej nie powtórzy.

— Czy to możliwe? — Usiadła prosto na krześle. — Że nigdy się już nie powtórzy?

— To dziwna, nieprzewidywalna choroba.

Zmrużyła oczy.

— Tylko nie mów: jak kobieta!

— Nawet mi to do głowy nie przyszło, zanim sama mi tego nie

podsunęłaś!

Zacisnęła usta, ale odprężyła się i spytała:

— Ile czasu upłynęło od poprzedniego… — Zamrugała. — Jak nazywasz takie nawroty choroby?

Znów wzruszył ramionami.

— Mówię po prostu „ataki”, bo naprawdę czuję się po nich jak po szturmie. Od ostatniego minęło sześć miesięcy.

— To doskonale. — Przygryzła zębami dolną wargę. — Prawda?

— Też tak uważam. Poprzedni nastąpił po trzech miesiącach przerwy.

— A ile już miałeś tych ataków?

— Ten jest trzeci. Ogólnie rzecz biorąc, to całkiem nieźle… w porównaniu z tym, co widziałem u innych.

— I to ma być pociecha?

— Dla mnie tak — odparł bez ogródek. — Choć ze mnie prawdziwy okaz chrześcijańskich cnót.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego czoła.

— Znacznie chłodniejsze — zauważyła.

— Tak właśnie być powinno. Ta niezwykła choroba zawsze przestrzega ustalonych reguł… przynajmniej w czasie ataków. Byłoby jeszcze lepiej, gdybym wiedział, kiedy mam oczekiwać następnego…

— A jutro, bez wątpienia, znów będziesz miał gorączkę i dreszcze przez cały dzień?

— Bez wątpienia — potwierdził.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, potem zaś stwierdziła:

— Nie uda ci się ukryć tego przed rodziną.

Michael poderwał się nagle.

— Na litość boską, Francesco! Nie mów mojej matce ani…

— Będą tu lada dzień — przerwała mu. — Kiedy opuszczałam Szkocję,

zapowiedziały, że przyjadą do Londynu tydzień po mnie. O ile znam Janet, znaczy to, że będą tu za trzy dni. Naprawdę łudzisz się, że niczego nie zauważą? Masz co drugi dzień, jak na zamówienie…

— Z pewnością tego nie zamawiałem — stwierdził kwaśno.

— Wszystko jedno — odparowała. — Naprawdę sądzisz, że nie zauważą, jak ciężko jesteś chory co drugi dzień? Na litość boską, Michaelu, nie odmawiaj im odrobiny inteligencji.

— Dobrze — ustąpił, opadając na poduszki. — Dopuścimy je do tajemnicy. Ale nikogo więcej. Nie chcę uchodzić w Londynie za słabeusza, a w dodatku za wybryk natury.

— Z pewnością nie jesteś jedyną osobą w Anglii, która choruje na malarię.

— Nie chcę niczyjej litości — odparował. — A zwłaszcza twojej.

Odskoczyła do tyłu, jakby ją uderzył, on zaś poczuł się skończonym głupcem.

— Wybacz mi — przeprosił. — Źle się wyraziłem…

Spiorunowała go wzrokiem.

— Nie chcę twojej litości — powiedział ze skruchą — lecz twoja troska o mnie i twoja życzliwość są mi bardzo potrzebne.

Francesca unikała jego wzroku, ale i tak zorientował się, że nie jest pewna, czy może mu wierzyć.

— Mówię szczerze — zapewnił. Nie miał dość energii, by ukryć, jak bardzo jest wyczerpany. — Cieszę się, że byłaś tu ze mną. Nieraz już przez to przechodziłem…

Spojrzała na niego przenikliwie. Wydawało się, że zadaje mu bezgłośnie jakieś pytanie, ale nie miał pojęcia jakie.

— Nieraz już przez to przechodziłem — powtórzył — a jednak… tym

razem było inaczej. Lepiej. Łatwiej. — Odetchnął głęboko. Ulżyło mu, bo znalazł właściwe słowo. — Tak, łatwiej. Tym razem było mi łatwiej.

— O! — Poruszyła się na krześle. — Bardzo… Bardzo się cieszę.

Spojrzał na okna. Były zasłonięte kotarami, dostrzegł jednak w szparach złoty blask słońca.

— Czy twoja matka nie martwi się o ciebie?

— O Boże — jęknęła Francesca i zerwała się na nogi z takim impetem, że niechcący uderzyła ręką w nocny stolik. — Au!…

— Nic ci się nie stało? — spytał Michael troskliwie, choć było jasne, że nie wyrządziła sobie żadnej poważnej krzywdy.

Potrząsała ręką, próbując w ten sposób uśmierzyć ból.

— Zupełnie zapomniałam o mojej mamie. Spodziewała się, że wrócę jeszcze przed nocą…

— Nie przesłałaś jej wiadomości?

— Owszem — potwierdziła. — Zawiadomiłam ją, że jesteś chory, a ona mi odpisała, że zjawi się tu jutro rano, to znaczy dziś, by zaoferować swoją pomoc. Która godzina?… Masz tu zegar?… Musisz przecież mieć!

Odwróciła się szybko w stronę niewielkiego zegara na obramowaniu kominka.

Był to niegdyś pokój Johna… Nie, to w dalszym ciągu był — prawie niezmieniony — pokój Johna. Nic dziwnego, że Francesca wiedziała, gdzie szukać zegara.

— Dopiero ósma — oznajmiła z westchnieniem ulgi. — Mama nigdy nie wstaje przed dziewiątą, chyba w razie nagłego wypadku… Miejmy nadzieję, że nie uznała twojej choroby za coś takiego. Starałam się, by mój list jej nie przestraszył.

Znając Francescę, Michael był pewny, że przekazała wiadomość ze

spokojem i z zimną krwią, z której słynęła. Uśmiechnął się. Pewnie skłamała, że wynajęła dla niego pielęgniarkę.

— Nie ma powodu do paniki — powiedział.

Zwróciła ku niemu oczy, pełne niepokoju.

— Ale mówiłeś, że nikt nie może się dowiedzieć o twojej malarii.

Otworzył usta ze zdumienia. Nawet mu się nie śniło, że Francesca tak bardzo weźmie sobie do serca jego życzenie.

— Zachowałabyś to w tajemnicy przed swoją matką? — spytał miękko.

— Oczywiście! To ty masz prawo decydować, kogo wtajemniczymy, nie ja.

Było to doprawdy wzruszające, chwytało wręcz za serce…

— Uważam, że zwariowałeś — dodała ostro.

Może nie aż tak bardzo chwytało za serce.

— …Ale uszanuję twoje życzenie. — Wzięła się pod boki i popatrzyła na niego z wyraźną pretensją. — Jak mogłeś pomyśleć, że postąpiłabym inaczej?

— Nie mam pojęcia — mruknął.

— Doprawdy, Michaelu — sarknęła. — Sama już nie wiem, co ci tak odjęło rozum.

— Może bagienne powietrze? — wysilił się na dowcip.

Tylko zmierzyła go spojrzeniem. Pełnym pogardy.

— Wracam do matki — oświadczyła, wciągając szare buciki. — Jeśli tego nie zrobię, zjawi się tu z całym Królewskim Kolegium Medycznym.

Michael uniósł brew.

— Zawsze tak robi, ilekroć źle się poczujesz?

Francesca wydała stłumiony dźwięk — ni to prychnięcie, ni stęknięcie — pełen irytacji.

— Wrócę niebawem. Nigdzie nie wychodź.

Michael uniósł ręce, wskazując z lekką ironią na swoje łoże boleści.

— Nie byłabym wcale pewna, czy uleżysz spokojnie — mruknęła.

— Cóż za wzruszająca wiara w moje nadludzkie siły.

Zatrzymała się w drzwiach.

— Słowo daję, Michaelu, jesteś najbardziej irytującym pacjentem ze wszystkich, jakich znałam.

— Zawsze do usług! — zawołał, gdy wyszła już na korytarz.

Był całkiem pewny, że gdyby miała pod ręką coś nadającego się na pocisk, rzuciłaby tym czymś w drzwi jego sypialni. Z całej siły.

Opadł znów na poduszki i się uśmiechnął. Mógł być irytującym pacjentem, ale ona była jędzowatą pielęgniarką.

I bardzo dobrze.

9

…Możliwe, że nasze listy zaginęły w drodze, ale znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że po prostu nie chcesz ze mną korespondować. Przyjmuję Twoją decyzję do wiadomości i nie mam do Ciebie pretensji. Nie będę Ci się więcej naprzykrzał. Mam nadzieję, że wiesz, iż zawsze przyjmę z radością Twoją decyzję, gdybyś zmieniła zdanie.

Hrabia Kilmartin do hrabiny Kilmartin osiem miesięcy po swoim przyjeździe do Indii

Niełatwo było ukrywać chorobę. Kontakty z wielkim światem nie stanowiły wielkiego problemu: Michael po prostu odrzucał wszelkie zaproszenia, a Francesca rozpuściła wieści, że Kilmartin chce się najpierw zadomowić w nowej rezydencji, zanim weźmie czynny udział w życiu towarzyskim.

Ze służbą sprawa była znacznie trudniejsza. Służący oczywiście plotkowali zarówno we własnym gronie, jak i ze służbą z innych rezydencji. Francesca musiała więc zadbać o to, by tylko najbardziej zaufani domownicy mieli dostęp do pokoju chorego. Bardzo trudno było tego dopilnować, zwłaszcza że Francesca nie mieszkała oficjalnie w Kilmartin House aż do przyjazdu Janet i Helen.

Najgorsze jednak było to, że najbardziej nieznośna, nieprawdopodobnie wścibska i trudna do utrzymania na dystans okazała się jej własna rodzina. W domu Bridgertonów zawsze było trudno utrzymać coś w sekrecie.

— Czemu codziennie biegasz do Kilmartin House? — dopytywała się podczas śniadania Hiacynta.

— Wcale nie biegam, tylko tam mieszkam — odpowiedziała Francesca i ugryzła kęs maślanej bułeczki, co dla każdego rozsądnego rozmówcy byłoby wyraźnym znakiem, że hrabina Kilmartin nie życzy sobie dalszej rozmowy.

Hiacynta jednak nigdy nie odznaczała się zbytnim rozsądkiem.

— Przecież mieszkasz tutaj — zwróciła uwagę starszej siostrze.

Francesca przełknęła bułkę i popiła ją herbatą. To zwlekanie z odpowiedzią pozwoliło jej zachować pozorny spokój.

— Tutaj jedynie sypiam — odparła chłodno.

— Czy to nie to samo?

Francesca rozsmarowała trochę więcej konfitur na bułeczce.

— Nie widzisz, że jem, Hiacynto?

Młodsza z sióstr wzruszyła ramionami.

— Ja też, ale to mi nie przeszkadza w prowadzeniu inteligentnej rozmowy.

— Chyba ją zamorduję — powiedziała głośno Francesca, nie zwracając się do nikogo bezpośrednio.

Nawiasem mówiąc, nikt — oprócz nich dwu — nie był obecny.

— Z kim rozmawiasz? — zainteresowała się Hiacynta.

— Z Panem Bogiem — rzekła sucho Francesca. — I święcie wierzę, że pozwolił mi ciebie zamordować.

— Hm… — mruknęła w odpowiedzi Hiacynta. — Gdyby to było takie proste, dawno temu zgładziłabym z boską pomocą połowę tych nudziarzy z wielkiego świata.

Francesca doszła do wniosku, że nie wszystkie uwagi Hiacynty zasługują

na odpowiedź. Prawdę powiedziawszy, jej paplanina rzadko kiedy była tego godna.

— O, to ty, Francesco — dał się słyszeć głos Violetty, który, na szczęście, przerwał konwersację obu sióstr. — Tutaj jesteś!

Francesca podniosła wzrok na matkę wchodzącą do pokoju śniadaniowego. Zanim jednak zdążyła powiedzieć choć słowo, wtrąciła się Hiacynta:

— Francesca przed chwilą zamierzała mnie zabić.

— W takim razie weszłam w bardzo odpowiednim momencie — odparła Violetta, zajmując miejsce przy stole. Zwróciła się znów do starszej córki. — Chcesz udać się dziś rano do Kilmartin House?

Francesca skinęła głową.

— Oczywiście, przecież tam mieszkam.

— Moim zdaniem mieszka tutaj — odezwała się Hiacynta i osłodziła sobie herbatę, nie żałując cukru.

Violetta zignorowała uwagę młodszej córki.

— W takim razie udam się tam razem z tobą.

Francesca omal nie upuściła widelca.

— Po co?

— Chciałabym się zobaczyć z Michaelem — odparła Violetta, lekko wzruszając ramionami. — Hiacynto, możesz mi podać bułeczki?

— Nie wiem, jakie ma plany na dziś — odparła pospiesznie Francesca.

Michael miał ubiegłej nocy kolejny atak febry — po raz czwarty w tym cyklu, oboje żywili nadzieję, że na tym się skończy. Chociaż dziś z pewnością czuł się lepiej niż wczoraj, ale nadal wyglądał okropnie. Jego skóra nie nabrała żółtawego odcienia, który świadczył o tym, że choroba wchodzi w ostatnie, przedśmiertne stadium; ale i bez żółtaczki wyglądał na

ciężko chorego. Francesca wiedziała, że jej matce wystarczy jedno spojrzenie. Będzie przerażona i wściekła.

Violetta Bridgerton nie znosiła, gdy coś przed nią ukrywano — zwłaszcza jeśli to dotyczyło spraw życia i śmierci.

— Jeśli go nie zastanę, wrócę po prostu do domu — odparła Violetta. — Proszę o konfitury, Hiacynto.

— Ja też wybiorę się z wami — oświadczyła jej najmłodsza latorośl.

Ostrze noża ześlizgnęło się po powierzchni bułki. Francesca doszła do wniosku, że musi otruć siostrę. Nie było innego wyjścia.

— Nie masz nic przeciwko temu, żebym się z wami wybrała, prawda, mamo? — upewniła się Hiacynta.

— Nie umówiłaś się wcześniej na spacer z Eloise? — spytała pospiesznie Francesca.

Hiacynta zastanowiła się i zamrugała.

— Nie przypominam sobie.

— Nie wybierałyście się razem na zakupy? Może do modystki?

Hiacynta jeszcze przez chwilę się zastanawiała, nim doszła do ostatecznego wniosku.

— Jestem całkiem pewna, że nie. W zeszłym tygodniu kupiłam sobie nowy czepek. Całkiem ładny. Zielony, ozdobiony koronką écru. — Popatrzyła na grzankę na swoim talerzu, po czym sięgnęła po marmoladę pomarańczową. — Mam już dość zakupów — dodała.

— Kobieta nigdy nie ma dość zakupów — odparowała Francesca z nutą desperacji w głosie.

— Ta kobieta ma dość! A poza tym hrabia… — Hiacynta przerwała w środku zdania i zwróciła się do matki. — Mogę mówić mu po imieniu?

— Powinnaś jego o to spytać — odparła Violetta, zabierając się do jajka.

Hiacynta zwróciła się znów do Franceski.

— Jest w Londynie od tygodnia, a ja go jeszcze nie widziałam. Moje przyjaciółki wciąż o niego wypytują, a ja nie mam im nic do powiedzenia.

— Plotkowanie nie jest w dobrym tonie, Hiacynto — zwróciła jej uwagę Violetta.

— To nie żadne plotkowanie — odparowała Hiacynta — tylko przekazywanie wiarygodnych informacji.

Francesca miała coraz bardziej znękaną minę.

— Powinnaś była, mamo — stwierdziła, kręcąc głową — poprzestać na siódemce.

— Dzieci? — domyśliła się Violetta, popijając herbatę. — Niekiedy i mnie się tak wydaje.

— Mamo! — oburzyła się Hiacynta.

Violetta uśmiechnęła się do niej.

— Mogłabyś mi podać sól?

— Mama próbowała do ośmiu razy, żeby wreszcie osiągnąć właściwy rezultat — obwieściła jej najmłodsza pociecha, wtykając matce solniczkę do ręki i nie okazując przy tym ani należytej gracji, ani dobrych manier.

— Czy to znaczy, że i ty zamierzasz dochować się ośmiorga dzieci? — spytała słodko Violetta.

— Boże broń — odparła Hiacynta z głębokim przekonaniem.

I obie z Francescą zaczęły się śmiać.

— Nie używaj imienia boskiego nadaremno, Hiacynto — skarciła ją Violetta takim samym tonem, jakim ostrzegała córkę przed plotkowaniem. — Może wpadniemy do Kilmartin House zaraz po południu? — spytała Francescę, kiedy obie córki przestały chichotać.

Francesca spojrzała na zegar. Tylko godzina, by doprowadzić Michaela do jakiego takiego stanu. A na dobitkę matka użyła liczby mnogiej — „my”. Jakby nie chodziło tylko o nią! Czyżby naprawdę zamierzała zabrać

ze sobą Hiacyntę, która miała wyjątkowy talent do przemieniania niezręcznej sytuacji w katastrofę?!

— Muszę już iść — oświadczyła bez ogródek Francesca, zrywając się z miejsca. — Przekonam się, czy Michael ma dziś czas na gości.

Ku jej zdziwieniu, matka również wstała.

— Odprowadzę cię do drzwi — oświadczyła Violetta tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Doprawdy?

— Tak.

Hiacynta zaczęła podnosić się z krzesła.

— Sama — dodała Violetta, nie patrząc nawet na młodszą córkę.

Hiacynta usiadła z powrotem. Nawet ona wiedziała, że nie warto się sprzeczać z mamą, gdy uśmiecha się spokojnie i przemawia stanowczym tonem.

Francesca przepuściła matkę, gdy wychodziły z pokoju, a następnie szły razem w milczeniu, póki nie dotarły do frontowego holu, gdzie Francesca musiała zaczekać, aż lokaj przyniesie jej płaszcz.

— Nie masz przypadkiem ochoty z czegoś mi się zwierzyć? — spytała Violetta.

— Nie wiem, o co ci chodzi, mamo.

— Chyba wiesz.

— Zapewniam cię, że nie — odparła Francesca.

Wyglądała przy tym jak uosobienie niewinności.

— Spędzasz ostatnio bardzo dużo czasu w Kilmartin House.

— Przecież tam mieszkam — wyjaśniła Francesca chyba po raz setny.

— Nie, teraz tam nie mieszkasz… i obawiam się, że zaczną się plotki.

— Nikt nie napomknął o tym ani słowem — zapewniła ją Francesca. —

Nawet w kolumnie „Ploteczki z towarzystwa”. A gdyby ludzie gadali, z pewnością któraś z nas już by o tym słyszała.

— To, że dziś ludzie siedzą cicho, wcale nie oznacza, że nie rozpuszczą języków jutro — stwierdziła Violetta.

Francesca sapnęła z irytacją.

— Nie musisz mnie tak strzec, jakbym była czystą jak śnieg dziewicą.

— Francesco!

Francesca skrzyżowała ramiona na piersi.

— Bardzo mi przykro, mamo, że powiedziałam bez ogródek, co myślę, ale tak wygląda prawda.

W tym momencie zjawił się lokaj z płaszczem Franceski i powiadomił ją, że powóz zaraz zajedzie przed drzwi frontowe.

Violetta zaczekała, aż służący wyjdzie na dwór, by czekać na powóz. Potem odwróciła się do córki i spytała:

— Jakie dokładnie stosunki łączą cię z Michaelem?

Francesca aż jęknęła.

— Ależ mamo!

— To całkiem uzasadnione pytanie — stwierdziła Violetta.

— To najbardziej bezsensowne… nie, to po prostu najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek słyszałam. Michael to mój bliski krewny.

— Był bratem stryjecznym twojego męża — poprawiła ją matka.

— Jeśli Johna, to i moim — odparła ostro Francesca. — A poza tym to mój przyjaciel. Wielkie nieba! Żeby ze wszystkich ludzi akurat jego podejrzewać. Nawet bym czegoś takiego nie mogła sobie wyobrazić. Michael, też coś.

Prawdę mówiąc, mogła to sobie wyobrazić. Całkiem dobrze. Co prawda choroba Michaela pomogła jej nieco okiełznać wyobraźnię. Francesca była zbyt zajęta pielęgnowaniem przyjaciela i podtrzymywaniem go na duchu,

by mieć czas na rozmyślania o wstrząsającym objawieniu w parku, kiedy coś w niej zapłonęło i przebudziło się znowu do życia.

To coś, co — mogłaby przysiąc — przed czterema laty umarło w niej raz na zawsze.

Ale słyszeć, jak jej własna matka wysuwa takie podejrzenia… dobry Boże, cóż za upokorzenie… Przecież nie mogła, w żaden sposób nie mogła czuć pociągu do Michaela. To byłoby coś złego… Bardzo złego. Nie można tego wyrazić inaczej.

— Mamo — odezwała się Francesca, starając się mówić spokojnie. — Michael nie czuł się dobrze. Wspominałam ci o tym.

— Siedem dni to trochę za długo jak na zwykłe przeziębienie.

— Może przywiózł z Indii jakąś egzotyczną odmianę przeziębienia? — tłumaczyła Francesca. — Nie wiem. Myślę, że jest już prawie zdrowy. Pomagam mu także zadomowić się w Kilmartin House. Nie było go bardzo długo w Anglii, jak sama wiesz, i spadło na jego barki mnóstwo nowych obowiązków związanych z tytułem hrabiowskim. Uznałam za swą powinność dopomóc mu w tym.

Popatrzyła na matkę rezolutnie, całkiem zadowolona z przemowy, ale Violetta powiedziała tylko:

— Spotkamy się za godzinę.

I odeszła, pozostawiając Francescę bliską paniki.

Michael cieszył się właśnie ciszą i spokojem (samej ciszy, co prawda, nie brakowało mu, ale malaria nie pozwalała radować się prawdziwym spokojem ciała i ducha), gdy Francesca wpadła do jego sypialni zdyszana i z obłędem w oczach.

— Masz… dwa wyjścia — powiedziała, a raczej wysapała.

— Tylko dwa? — mruknął, choć nie miał pojęcia, o czym ona właściwie mówi.

— Nie rób sobie żartów.

Podniósł się do pozycji siedzącej.

— Francesco… — zaczął ostrożnie, gdyż wiedział z doświadczenia, że zawsze należy obchodzić się delikatnie z kobietą, kiedy jest wzburzona. — Dobrze się czu…

— Moja matka zaraz tu będzie — oznajmiła.

— Tutaj?

Skinęła głową potakująco.

Sytuacja nie była wymarzona, ale to jeszcze nie powód do takiego zdenerwowania.

— Z jakiego powodu się tu wybiera? — spytał grzecznie.

— Bo myśli… — urwała, by złapać dech. — Ona uważa… O Boże, nigdy w to nie uwierzysz.

Kiedy nie dodała nic więcej, Michael zrobił wielkie oczy i wyciągnął ręce niecierpliwym gestem, jakby pytał: Możesz mówić jaśniej?

— Ona uważa — powiedziała Francesca i aż się wzdrygnęła, odwracając do niego — że mamy ze sobą romans!

— A dopiero tydzień, jak przyjechałem do Londynu! — mruknął z podziwem. — Jestem widać szybszy, niż myślałem.

— Jak możesz z tego żartować? — oburzyła się Francesca.

— A ty jak możesz brać to poważnie? — odparował.

Zrozumiał, że ona nigdy nie będzie robić z tego żartów. Dla niej było to nie do pomyślenia. Za to dla niego… Patrzył na sprawę całkiem inaczej.

— Jestem przerażona — oświadczyła.

Michael po prostu uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami, choć poczuł się nieco urażony. Nie oczekiwał, ma się rozumieć, że Francesca zacznie go inaczej postrzegać… ale takie przerażenie na samą myśl

o czymś podobnym nie wpłynęło dodatnio na jego poczucie męskiej godności.

— Jakie więc mam dwa wyjścia? — zagadnął nagle.

Spojrzała na niego, nie pojmując, o co mu chodzi.

— Sama powiedziałaś, że mam dwa wyjścia.

Zamrugała i pewnie by uznał, że jest rozkosznie zamroczona, gdyby nie żywił do niej pewnej urazy.

— Nie pamiętam… — stwierdziła w końcu. — O Boże wielki — jęknęła. — Co ja teraz zrobię?!

— Może na początek usiadłabyś? — rzucił tak ostro, że spojrzała na niego ze zdumieniem. — Zastanów się i pomyśl, Frannie. Przecież tu chodzi o nas. Twoja matka zrozumie, jakie gada głupstwa, jak tylko się nad tym zastanowi.

— To właśnie jej tłumaczyłam — przytaknęła z zapałem. — Co za idiotyczny pomysł! Możesz sobie coś podobnego wyobrazić?

Mógł, jak najbardziej, i zawsze stanowiło to dla niego poważny problem.

— To po prostu nie do pomyślenia — irytowała się Francesca, krążąc po pokoju. — Jak ja bym mogła! — Odwróciła się i przesadnym gestem wskazała na niego. — Albo ty… — Przystanęła i wzięła się pod boki, ale widać nie mogła stać spokojnie i znów zaczęła krążyć po pokoju. — Jak można w ogóle pomyśleć o czymś takim?

— Chyba jeszcze nigdy nie widziałem, żeby coś cię tak wytrąciło z równowagi — zauważył Michael.

Zatrzymała się raptownie i popatrzyła na niego, jakby był skończonym matołem. W dodatku z dwiema głowami.

A może nawet z ogonem!

— Stanowczo powinnaś się uspokoić — poradził, choć wiedział dobrze,

iż jego słowa będą miały wręcz odwrotny skutek. Kobiety nie znosiły, kiedy ktoś je namawiał, żeby się uspokoiły. Zwłaszcza kobiety pokroju Franceski.

— Uspokoić? — powtórzyła i omal nie rzuciła się na niego w furii. — Uspokoić?… Dobry Boże! Masz znów gorączkę, Michaelu?

— Nic podobnego — odparł spokojnie.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Jakżeby inaczej — odciął się, okazując jej akurat tyle uprzejmości, na ile mógłby się zdobyć każdy mężczyzna, gdyby wątpiono w jego męskie cechy.

— Przecież to szaleństwo! — pieniła się Francesca. — Czyste szaleństwo… Spójrz tylko na siebie.

Doprawdy, mogłaby równie dobrze chwycić nóż i go wykastrować.

— Wyobraź sobie, Francesco — zwrócił się do niej z wystudiowaną grzecznością — że jest w Londynie sporo kobiet, które byłyby uradowane, mogąc nawiązać ze mną romans.

Usta Franceski, jeszcze otwarte po jej ostatnim wybuchu, zamknęły się gwałtownie.

Michael uniósł brwi i opadł na poduszki.

— Niektóre z nich uznałyby to nawet za zaszczyt.

Francesca spiorunowała go wzrokiem.

— A inne — kontynuował, dobrze wiedząc, że nie powinien drażnić się z nią w ten sposób — skłonne byłyby nawet do walki, byle mieć sposobność…

— Przestań! — warknęła. — Wielkie nieba, Michaelu, zbytnia pewność siebie, zwłaszcza jeśli chodzi o dowody własnej… sprawności, nie dodaje ci uroku.

— Zapewniano mnie, że mogę mieć wszelkie powody do dumy — odparł z leniwym uśmieszkiem.

Poczerwieniała jak rak.

Całkiem mu się to spodobało. Kochał ją, bez wątpienia, ale był na nią wściekły za to, jak się z nim obeszła. A nie odznaczał się aż taką wielkodusznością, żeby od czasu do czasu nie odczuwać pewnej satysfakcji na widok udręki Franceski.

Ostatecznie to, co przeżywała, było mikroskopijną cząstką męczarni, jakie sam znosił każdego dnia.

— Nie mam ochoty słuchać o twoich miłosnych wyczynach — odparła sztywno Francesca.

— Zabawne… niegdyś sama bez przerwy o nie wypytywałaś. — Przerwał i napawał się jej upokorzeniem. — O cóż to zawsze mnie prosiłaś…?

— Ja nic…

— „Opowiedz mi coś o swoich grzeszkach” — zacytował, udając, że właśnie sobie przypomniał, podczas gdy w rzeczywistości pamiętał każde jej słowo. — Opowiedz coś o swoich grzeszkach — powtórzył, tym razem znacznie wolniej. — Dokładnie tak mówiłaś. Bawiło cię, że tak się zachowywałem. I zawsze byłaś ciekawa moich wyczynów.

— To było, zanim…

— Zanim co, Francesco? — spytał.

Zapadła nagła cisza. Potem Francesca znów się odezwała.

— Zanim… tamto się wydarzyło — szepnęła. — Przed tym, co teraz…

— Jak mam to rozumieć?

Jedyną odpowiedzią było gniewne spojrzenie Franceski.

— Dobrze — powiedział. — Chyba się przygotuję na wizytę twojej matki. Nie powinno być z tym wielkiego kłopotu.

Francesca spojrzała na niego z powątpiewaniem.

— Wyglądasz okropnie.

— Już wiem, dlaczego tak mi przypadłaś do serca — rzekł sucho. — W twoim towarzystwie z pewnością nie wpadnę w pychę.

— Bądźże poważny.

— Niestety, jestem jak najbardziej poważny.

Zrobiła groźną minę.

— A teraz ty masz dwa wyjścia — stwierdził. — Mogę wstać z łóżka przy tobie i zapoznać cię przy tym z fragmentami mojej anatomii, których chyba wolałabyś nie oglądać… albo możesz wyjść stąd i zaczekać na dole na moje efektowne wejście.

Francesca czmychnęła.

Zaskoczyło go to. Francesca, którą znał, nie uciekłaby przed niczym.

I nie dopuściłaby do tego, żeby on miał ostatnie słowo.

A przede wszystkim nie pozwoliłaby mu aż tak się przechwalać.

Ostatecznie nie doszło do wizyty lady Bridgerton w Kilmartin House, której tak obawiała się Francesca. Nie minęło dwadzieścia minut od jej wyjścia z sypialni Michaela, a otrzymała liścik od matki z informacją, że jej syn Colin, który od miesięcy podróżował po krajach śródziemnomorskich, wrócił właśnie do domu i Violetta musi odłożyć swoją wizytę u Michaela. Tego samego dnia, późnym wieczorem — zgodnie z przewidywaniami Franceski — przybyły do Londynu Janet i Helen; uśmierzyło to obawy Violetty co do postępowania dwojga młodych, pozbawionych przyzwoitki.

„Obie mamy” — jak Francesca i Michael od dawna je nazywali — były zachwycone nieoczekiwanym powrotem Michaela, choć wystarczyło jedno spojrzenie na jego wymizerowaną twarz, aby starsze damy przejął iście macierzyński niepokój. Skłoniło to Michaela, by wziąć Francescę na stronę i błagać ją, żeby nie zostawiała go samego z mamusiami, bo zagłaszczą go na śmierć. Nawiasem mówiąc, Janet i Helen zjawiły się — całkiem przypadkowo — w bardzo odpowiednim momencie, jako że Michael miał

akurat stosunkowo dobry dzień przed kolejnym nawrotem febry. Nim zaczął się ów przewidywany atak, Francesca wzięła obie matrony na bok i opowiedziała im, co trzeba na temat malarii, tak że w chwili, gdy choroba objawiła się w całej swej grozie, były już na to przygotowane.

W odróżnieniu od Franceski obu mam nie trzeba było specjalnie przekonywać do tego, by utrzymały chorobę Michaela w tajemnicy. Trudno przypuścić, by taki bogaty i przystojny hrabia nie cieszył się niezwykłym powodzeniem u niezamężnych dam w Londynie… ale kto by się specjalnie chwalił malarią, wyruszając na poszukiwanie żony?

Ze wszystkich zaś spraw, które Janet i Helen postanowiły koniecznie załatwić, nim rok dobiegnie końca, ożenienie Michaela znajdowało się na pierwszym miejscu. Chciały za wszelką cenę skłonić go, by stanął na ślubnym kobiercu i stanowczym ruchem włożył obrączkę na palec nowej hrabiny Kilmartin.

Francesca odczuwała wyraźną ulgę. Mogła teraz siedzieć spokojnie i przysłuchiwać się, jak Janet i Helen wygłaszają Michaelowi kazania o konieczności zawarcia świętego związku małżeńskiego. Przynajmniej nie będą się zbytnio interesowały jej osobą. Nie miała pojęcia, jak obie starsze panie ustosunkują się do jej matrymonialnych planów, choć sądziła, że przyjmą je raczej życzliwie. Bynajmniej jednak nie pragnęła, by wpadłszy w szał swatania, próbowały ją kojarzyć z każdym żałosnym starym kawalerem na matrymonialnym targowisku.

Boże, będzie miała dość kłopotów z własną matką, która z pewnością nie oprze się pokusie i zacznie się wtrącać w sprawy córki, gdy tylko się dowie, że ta zamierza znaleźć sobie męża jeszcze w tym roku!

Tak więc Francesca przeniosła się znów do Kilmartin House, a rezydencja Stirlingów stała się jeszcze pilniej strzeżonym schronieniem Michaela, który nadal odrzucał zaproszenia na wszelkie imprezy, dając

wszakże do zrozumienia, że zamierza rzucić się w wir życia towarzyskiego, gdy tylko odpocznie po długiej podróży i zadomowi się na dobre w swej londyńskiej siedzibie. Wszystkie trzy damy od czasu do czasu pojawiały się w towarzystwie i nawet Francesca — aczkolwiek spodziewała się wielu pytań na temat nieuchwytnego hrabiego — zdumiewała się, że jest nimi aż tak zasypywana.

Wyglądało na to, że wszyscy potracili głowy dla Michaela, dawnego beztroskiego hulaki, zwłaszcza że teraz spowijała go mgiełka tajemniczości. Nie wspominając już o tym, że odziedziczył tytuł hrabiowski i związane z nim sto tysięcy funtów. Bagatela!

Francesca pokręciła głową, zastanawiając się nad tym. Nawet słynna powieściopisarka, pani Radcliffe, nie powołała do życia bohatera wyposażonego w tak liczne zalety. Kiedy tylko Michael wróci do zdrowia, rozpęta się istne szaleństwo.

A potem — z dnia na dzień — Michael rzeczywiście wyzdrowiał.

Francesca nie przypuszczała, że stanie się to tak niespodziewanie; sądziła raczej, że ataki febry stopniowo będą coraz słabsze i krótsze. Jednego dnia Michael był blady i półżywy, a następnego zdrowie wróciło mu w pełni i chodził po domu, pragnąc czym prędzej wyrwać się na świeże powietrze i słońce.

— To zasługa chininy — oświadczył z leniwym wzruszeniem ramion, gdy Francesca przy śniadaniu zrobiła jakąś uwagę na temat radykalnej zmiany w jego wyglądzie. — Zażywałbym to cholerstwo sześć razy na dzień, gdyby nie miało takiego ohydnego smaku.

— Jak ty się wyrażasz, Michaelu — upomniała go półgłosem matka, dziobiąc kiełbaskę widelcem.

— Próbowałaś kiedyś chininy, mamo? — spytał.

— Oczywiście, że nie.

— A więc spróbuj — zaproponował — i wtedy zobaczymy, czy nie wyrwie ci się jakieś niewłaściwe słówko.

Francesca zachichotała, zasłaniając usta serwetką.

— Ja spróbowałam chininy — oznajmiła Janet.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej.

— Naprawdę? — zdumiała się Francesca.

Sama się na to nie odważyła. Już zapach wystarczył, by trzymała butelkę z lekarstwem szczelnie zakorkowaną.

— Oczywiście — odparła Janet. — Byłam po prostu ciekawa. — Odwróciła się do Helen. — Jest naprawdę obrzydliwa w smaku.

— Gorsza od tych wywarów, które kucharka przyrządzała dla nas w zeszłym roku na… hm…?

Tu Helen rzuciła bratowej spojrzenie mówiące wyraźnie: Wiesz na co!

— O wiele gorsza — zapewniła ją Janet.

— Czy zażyłaś chininę zgodnie z receptą? — zaciekawiła się Francesca.

Sproszkowaną chininę należało zmieszać z przegotowaną wodą; Francesca przypuszczała jednak, że Janet wzięła po prostu odrobinę proszku na język.

— Rozumie się, że zmieszałam ją z wodą. Czy nie tak należy przyjmować to lekarstwo?

— Niektórzy wolą zapić chininę dżinem — oznajmił Michael.

Helen się wzdrygnęła.

— Z pewnością nie byłoby to gorsze od samej chininy — orzekła Janet.

— Ale jeśli już ktoś musi zapijać to lekarstwo trunkiem — protestowała Helen — to czy nie mógłby przynajmniej popić go dobrą whisky?

— I obrzydzić sobie whisky do końca życia?! — oburzył się Michael i zabrał się do jajka.

— Chinina nie może być aż tak okropna — protestowała Helen.

— Może — odpowiedzieli zgodnym chórem Michael i Janet.

— To szczera prawda — dodała Janet. — Ja też sobie nie wyobrażam, że ktoś mógłby tak sprofanować dobrą whisky. Dżin pasuje do tego obrzydlistwa idealnie.

— Próbowałaś kiedyś dżinu? — zainteresowała się Francesca.

Dżinu nie uważano za trunek odpowiedni dla wyższych sfer, a zwłaszcza dla dam.

— Raz czy drugi — przyznała Janet.

— A ja myślałam, że wszystko o tobie wiem.

— Każdy ma swoje sekrety — odparła filuternie Janet.

— To doprawdy dziwna konwersacja przy śniadaniu! — stwierdziła Helen.

— Istotnie — przytaknęła Janet i zwróciła się do swego bratanka: — Michaelu, ogromnie się cieszę, że widzę cię znów na nogach. Wyglądasz tak ładnie i zdrowo.

Skinieniem głowy podziękował za komplement.

Delikatnie dotknęła serwetką kącików ust.

— A teraz musisz zająć się swoimi nowymi obowiązkami.

Michael jęknął.

— Nie użalaj się tak nad sobą — skarciła go Janet. — Nikt nie zamierza cię torturować. Chciałam ci tylko powiedzieć, że powinieneś iść do krawca i zamówić sobie strój wieczorowy.

— To już chyba wolałbym tortury.

— Uważam — odparła Janet — że większy będzie z ciebie pożytek, jeśli pozostaniesz w całości.

Michael nie ugiął się pod jej wzrokiem.

— Zastanówmy się… Mam już przygotowany plan zajęć na dziś, a chciałbym dodać, że to pierwszy dzień po wstaniu z łoża boleści. A zatem:

spotkanie z premierem dotyczące wprowadzenia mnie do Izby Lordów. Potem konferencja z doradcą prawnym na temat naszych zasobów i inwestycji finansowych. I rozmowa z głównym rządcą, któremu poleciłem przybyć do Londynu w celu omówienia stanu wszystkich siedmiu rodzinnych posiadłości. Czy naprawdę chcecie, bym jakoś wtłoczył pomiędzy te spotkania wizytę u krawca?

Wszystkim trzem damom odebrało mowę.

— Może powiadomić premiera, że spotkanie z nim muszę przełożyć na czwartek? — spytał spokojnie.

— Kiedy zdołałeś się umówić na te wszystkie spotkania? — zdumiała się Francesca, nieco zawstydzona, że tak ją zaskoczył swą pracowitością.

— Myślałaś, że przez cały czas gapiłem się w sufit?

— Och nie… — odparła, choć, prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co robił. Może czytał?

Sama w ten właśnie sposób umilałaby sobie czas.

Kiedy nikt nie dodał już nic więcej, Michael odsunął krzesło od stołu.

— A teraz panie wybaczą — rzekł, odkładając serwetkę. — Chyba już wyjaśniłem, że czeka mnie pracowity dzień.

Ale nie zdążył nawet wstać z krzesła, gdy Janet spokojnie zapytała:

— A co z krawcem, Michaelu?

Skamieniał.

Janet uśmiechnęła się słodko.

— Jutrzejszy dzień byłby jak najbardziej odpowiedni.

Francesca miała wrażenie, że słyszy zgrzytnięcie zębów.

Janet przechyliła lekko głowę na bok.

— Naprawdę potrzebujesz wieczorowego stroju. Nie chciałbyś chyba opuścić balu z okazji urodzin lady Bridgerton?

Francesca pospiesznie zabrała się do jajka, żeby nikt nie zauważył, jak

szeroko się uśmiechnęła. Ależ z tej Janet chytruska. Urodziny mamy były zapewne jedyną uroczystością, w której Michael czuł się w obowiązku wziąć udział. Każde inne zaproszenie odrzuciłby bez namysłu.

Ale urodziny Violetty?

Francesca nie przypuszczała, żeby się na to zdobył.

— Kiedy to będzie? — westchnął.

— Jedenastego kwietnia — odparła ze słodyczą Francesca. — Wszyscy się pojawią.

— Wszyscy? — powtórzył jak echo.

— Wszyscy Bridgertonowie.

Wyraźnie poweselał.

— I cała reszta — dodała, wzruszając ramionami.

Spojrzał na nią ostro.

— Co to właściwie znaczy?

Nie ulękła się jego spojrzenia.

— Po prostu wszyscy.

Osunął się na krzesło.

— Czy nie zasługuję przynajmniej na odroczenie wyroku?

— Oczywiście, że tak — odparła Helen. — I uzyskałeś je w ubiegłym tygodniu. Łaska boska przybrała tym razem formę malarii.

— A tak się cieszyłem na powrót do zdrowia — mruknął pod nosem.

— Bez obawy — pocieszyła go Janet. — Będziesz się doskonale bawił na przyjęciu, jestem tego pewna.

— I może spotkasz jakąś piękną damę… — dorzuciła Helen z nadzieją w głosie.

— A prawda — mruknął Michael. — Nie zapominajmy o głównym celu mego życia, jakim jest zapewnienie ciągłości rodu.

— To nie jest taki zły cel — wtrąciła Francesca, nie mogąc oprzeć się

pokusie podroczenia z Michaelem.

— Doprawdy? — spytał, odwracając głowę, by spojrzeć jej w twarz.

Napotkawszy jego wzrok, Francesca pomyślała, że może lepiej go nie prowokować.

— Jak najbardziej — odparła jednak, bo nie mogła się przecież wycofać.

— A twoje życiowe cele? Jak się przedstawiają? — zapytał ze słodyczą.

Kątem oka Francesca spostrzegła, że Janet i Helen przysłuchują się tej wymianie zdań z żywym i nieukrywanym zainteresowaniem.

— O, są rozmaite — odparła Francesca i beztrosko machnęła ręką. — W tej chwili chcę przede wszystkim skończyć śniadanie. Jest pyszne, nie uważasz?

— Jajka na miękko, a na dodatek para wtrącalskich mamuś?

— Nie zapominaj o kuzynce — odparła i sama siebie kopnęła w kostkę pod stołem, ledwie wypowiedziała te słowa. Wszystko w zachowaniu Michaela wołało wielkim głosem: Nie prowokuj mnie! — a ona nie potrafiła oprzeć się pokusie.

Niczego w świecie nie lubiła tak bardzo jak drażnienia się z Michaelem; gdy tylko nadarzyła się taka sposobność, nie była w stanie się jej wyrzec.

— A jak zamierzasz wykorzystać ten sezon? — spytał Michael, przechylając głowę na bok; poznała po jego minie, że będzie zawzięcie drążył temat.

— Chyba rozpocznę go udziałem w przyjęciu urodzinowym mojej matki.

— A cóż tam będziesz robić?

— Złożę jej najlepsze życzenia.

— I nic więcej?

— Cóż… Nie zamierzam jej pytać, ile lat skończyła, jeśli o to chodzi — odparła Francesca.

— Tylko nie to — jęknęła Janet, a Helen zawtórowała jej równie

żarliwym ostrzeżeniem:

— Za żadne skarby.

Wszystkie trzy zwróciły się do Michaela z identycznym wyrazem oczekiwania na twarzach. Teraz jego kolej, powinien się odezwać.

— Wychodzę — oświadczył; krzesło, na którym siedział zaskrzypiało, gdy wstawał.

Francesca otwarła usta, by powiedzieć coś wyjątkowo prowokującego — najprzyjemniej było droczyć się z nim, kiedy był poirytowany — ale zabrakło jej słów.

Michael się zmienił.

Dawniej… Trudno powiedzieć, że dawniej był nieodpowiedzialny. Po prostu nie spoczywała na nim żadna odpowiedzialność. A teraz Francesca nie mogła wprost uwierzyć, jak wspaniale potrafił stanąć na wysokości zadania, i to zaraz po powrocie do Anglii.

— Michaelu — powiedziała cicho, ale jej głos natychmiast przyciągnął jego uwagę. — Życzę ci powodzenia podczas spotkania z lordem Liverpoolem.

Ich spojrzenia znów się spotkały. Ujrzała jakiś błysk w oczach Michaela. Może to było uznanie… albo wdzięczność?

A może nic konkretnego, tylko poczucie wzajemnego zrozumienia?

Takiego, jakie łączyło ją i Johna.

Francesca przełknęła ślinę, niezadowolona z tego niespodziewanego odkrycia. Sięgnęła po herbatę powolnym, przemyślanym ruchem, jakby panując nad własnym ciałem, mogła ujarzmić także swój umysł.

Co się właściwie wydarzyło przed chwilą?

To był przecież tylko Michael, prawda?

Po prostu przyjaciel, długoletni powiernik…

Czyż to nie wszystko?

A jeżeli nie?

10

…….…

— Nic prócz kropek — śladów nerwowego stukania pióra hrabiny Kilmartin o papier, dwa tygodnie po otrzymaniu trzeciego listu od hrabiego Kilmartin

Czy on tu jest?

— Nie ma go.

— Jesteś tego pewna?

— Całkiem pewna.

— Ale przyjdzie?

— Powiedział, że przyjdzie.

— O!… A kiedy?

— Doprawdy nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie.

— Cóż… A oto i moja córka!… Bardzo miło było cię spotkać, Francesco.

Francesca przewróciła oczami (na ogół nie robiła tego, ale niekiedy sytuacja aż się o to prosiła), spoglądając za panią Featherington, jedną z największych plotkarek w eleganckim towarzystwie, która dreptała w stronę swojej córki Felicyty, gawędzącej milutko z przystojnym, acz nieutytułowanym młodzieńcem na drugim końcu sali balowej.

Konwersację z panią Featherington można by nawet uznać za zabawną, gdyby nie była siódmą… a raczej ósmą z kolei, jeśli wliczyć także

rozmowę z rodzoną matką Franceski. Wszystkie dialogi brzmiały niemal identycznie, z tą różnicą, że nie zawsze rozmówczynie zwracały się do niej po imieniu.

Odkąd Violetta Bridgerton rozpuściła wieść, że nieuchwytny hrabia Kilmartin zamierza pojawić się w wielkim świecie, przychodząc na jej przyjęcie urodzinowe, Francesca miała wrażenie, że podobne indagacje nigdy się nie skończą. Nękały ją zwłaszcza przedsiębiorcze matki panien na wydaniu. Michael był najlepszą partią w tym sezonie — a nie pojawił się dotąd na żadnym przyjęciu.

— Lady Kilmartin!

Francesca podniosła wzrok. Prosto na nią sunęła lady Danbury. Była to niezwykle ekscentryczna stara dama, rąbiąca każdemu prawdę w oczy, raczej postrach niż ozdoba sal balowych Londynu. Francesca jednak lubiła ją, toteż uśmiechnęła się do nadciągającej starej hrabiny. Zauważyła przy tym, że goście po obu stronach groźnej matrony na sam jej widok umykają w nieznanym kierunku.

— Jak miło, że zechciała nas pani odwiedzić, lady Danbury — powitała ją Francesca. — Dobrze się pani bawi?

Lady D. uderzyła laską o podłogę bez wyraźnego powodu.

— Bawiłabym się znacznie lepiej, gdyby ktoś mi wyjawił, ileż to lat stuknęło właśnie twojej mamie.

— Nigdy bym się nie ośmieliła tego uczynić.

— Też coś! O co tyle hałasu? Nie ma przecież tylu lat, co ja.

— A ile lat liczy sobie pani hrabina? — spytała Francesca słodko, acz z chytrym uśmieszkiem.

Na pomarszczonej twarzy lady D. ukazał się szeroki uśmiech.

— He, he! Sprytna z ciebie dziewczyna. Ale chyba nie sądzisz, że ci to zdradzę.

— W takim razie z pewnością rozumie pani, czemu okazuję dyskrecję w kwestii wieku mojej matki.

— Hm… — mruknęła w odpowiedzi lady Danbury i znów uderzyła laską o podłogę, zapewne dla podkreślenia wagi swoich następnych słów. — Po co urządzać przyjęcie urodzinowe, jeśli nikt nie wie, co właściwie świętujemy?

— Może cud życia i długowieczności?

Stara dama zbyła tę sugestię prychnięciem, po czym spytała:

— Gdzie się podziewa ten twój hrabia?

Proszę, proszę… Lady D. rzeczywiście zmierza prosto do celu.

— To wcale nie mój hrabia — zwróciła jej uwagę Francesca.

— Bardziej twój niż czyjkolwiek inny.

Było to zapewne zgodne z prawdą, ale Francesca nie zamierzała tego potwierdzać, odparła więc tylko:

— Przypuszczam, że jego lordowska mość uważa, iż nie należy do nikogo, z wyjątkiem siebie samego. I wolałby, żeby o tym pamiętano.

— Jego lordowska mość? Czy nie nazbyt oficjalnie go tytułujesz? Myślałam, że się przyjaźnicie.

— Owszem, przyjaźnimy się — odparła Francesca. I dodała w myśli, że to jeszcze nie powód, by szafować publicznie jego imieniem. Po co wzbudzać plotki? Zwłaszcza że chciała, by jej reputacja nadal była czysta jak łza. Tak będzie łatwiej znaleźć męża. — Mój John nie miał przed nim tajemnic — powiedziała. — Byli dla siebie jak bracia.

Lady Danbury wyglądała na nieco rozczarowaną niewinnym charakterem jej stosunków z Michaelem. Zacisnęła więc tylko usta i obiegła wzrokiem tłum gości.

— Przydałoby się trochę ich rozruszać — mruknęła i znów łupnęła laską o podłogę.

— Nie mów tego przypadkiem mojej matce — rzekła bardzo cicho Francesca.

Violetta spędziła wiele tygodni na dopracowywaniu najdrobniejszych szczegółów tego przyjęcia — i doprawdy nikt nie mógłby się do niczego przyczepić. Oświetlenie było łagodne i romantyczne, muzyka wprost cudowna, nawet jedzenie dobre, co było nie byle jakim osiągnięciem na londyńskim balu. Francesca zdążyła do tej pory spałaszować dwa eklerki i zastanawiała się, jakby tu znów przemknąć niepostrzeżenie do bufetu i uraczyć się czymś słodkim, a nie wyjść przy tym na skończonego obżartucha.

Niestety, wszędzie czyhały na nią wścibskie matrony.

— To nie jest wina twojej matki — przyznała lady D. — Nie ponosi odpowiedzialności za to, że nasze towarzystwo w większej części składa się z nudziarzy. Violetta starała się, jak mogła. Urodziła was aż ośmioro, i ani jednego matołka! — Starsza pani rzuciła Francesce przeciągłe spojrzenie. — To komplement, żebyś wiedziała.

— Jestem doprawdy wzruszona.

Usta lady Danbury zacisnęły się w zatrważająco srogą linię.

— Trzeba koniecznie coś z tym zrobić.

— Z czym?

— Z przyjęciem.

Francesca poczuła skurcz w żołądku ze strachu. Nigdy dotąd nie słyszała, by stara hrabina z premedytacją zniszczyła czyjeś przyjęcie… ale, gdyby zechciała, zdecydowanie stać by ją było na wyrządzenie poważnej szkody.

— Co konkretnie zamierza pani zrobić? — spytała Francesca, starając się nie okazywać lęku.

— Och, nie patrz na mnie tak, jakbym chciała zabić twojego kota.

— Nie mam kota.

— Ale ja mam. I zapewniam cię, że byłabym wściekła, gdyby ktoś próbował go skrzywdzić.

— O czym pani mówi, lady Danbury?

— Sama nie wiem — odparła stara dama i machnęła niecierpliwie ręką. — Możesz być pewna, że gdybym chciała wam zaszkodzić, już bym to zrobiła. Ale z pewnością nie wywołam skandalu na przyjęciu twojej mamy. — Zadarła głowę do góry i lekceważąco pociągnęła nosem. — Ja miałabym zranić uczucia kochanej Violetty? Też coś!

Te słowa złagodziły trochę niepokój Franceski.

— Dobrze… Ale cokolwiek pani zrobi, proszę działać ostrożnie…

— Francesco Stirling — odparła lady D. z chytrym uśmieszkiem. — Czyżbyś się o mnie niepokoiła?

— O panią ani trochę — odparła zuchwale Francesca. — Drżę o los całej reszty ludzkości.

Lady Danbury zachichotała.

— Dobrze powiedziane, lady Kilmartin. Zasłużyłaś na wybawienie. Ode mnie — dodała, na wypadek gdyby do Franceski nie dotarło znaczenie jej słów.

— To pani jest dla mnie wybawieniem — szepnęła Francesca.

Stara dama jednak rozglądała się dokoła i najwidoczniej nie dosłyszała jej słów; oświadczyła bowiem ni stąd, ni zowąd:

— Chyba podokuczam teraz twojemu bratu.

— Któremu?

Co prawda każdemu z nich dobrze by zrobiło, gdyby trochę pocierpiał.

— Temu! — Wskazała na Colina. — Wrócił właśnie z Grecji, prawda?

— A dokładniej, z Cypru.

— Grecja, Cypr… to dla mnie jedno i to samo.

— Ale nie dla nich, jak sądzę — mruknęła Francesca.

— Dla kogo? Masz na myśli Greków?

— Albo Cypryjczyków.

— E tam!… Zresztą, jeśli któryś z nich zjawi się tu dziś wieczorem, zostawiam mu wolną rękę: niech wyjaśni tę różnicę. Póki jednak tego nie dokona, mam zamiar pławić się we własnej ignorancji. — I z tymi słowy lady Danbury, stuknąwszy raz jeszcze laską o podłogę, odwróciła się w stronę Colina i huknęła: — Panie Bridgerton!

Francesca obserwowała z rozbawieniem, jak jej brat rozpaczliwie usiłuje udawać, że nie słyszy wołania starej damy. Była rada, że lady D. wybrała na swą ofiarę właśnie Colina. Bez wątpienia zasłużył sobie na to. Francesca jednak, gdy znów została sama, doceniła w pełni, jak skutecznie obecność lady Danbury chroniła ją przed tłumem przedsiębiorczych matek, które widziały w niej jedyną szansę dotarcia do nieuchwytnego Michaela.

Dobry Boże. Znów jakieś trzy matrony zmierzają w jej stronę…

Najwyższy czas brać nogi za pas.

Francesca błyskawicznie obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swej siostry Eloise, którą bez trudu rozpoznała w tłumie po intensywnie zielonej sukni. Szczerze mówiąc, Francesca chętnie minęłaby Eloise bez słowa i skierowała się do drzwi, ale jeśli chciała traktować poważnie swoje plany matrymonialne, powinna obracać się wśród ludzi i dać wyraźnie do zrozumienia, że jest znów do wzięcia i poważnie myśli o nowym związku.

Co prawda, w tej chwili jej plany nikogo nie obchodziły… może z wyjątkiem Michaela. Francesca mogłaby ogłosić publicznie, że zamierza osiedlić się w głębi Afryki i przejść na ludożerstwo, a wszyscy, jak jeden mąż, spytaliby tylko:

— A czy hrabia Kilmartin też się tam wybiera?

— Dobry wieczór — przywitała się Francesca, dołączając do niewielkiej grupki dam.

Wszystkie należały do klanu Bridgertonów; Eloise rozmawiała przyjaźnie z dwiema bratowymi — Kate i Sophie.

— Witaj, Francesco — odparła Eloise. — A gdzie…

— Nie waż się!

— Co się stało? — zaniepokoiła się Sophie.

— Jeśli jeszcze jedna osoba spyta mnie, gdzie jest Michael, przysięgam, że wybuchnę jak bomba.

— To by zdecydowanie zepsuło miły nastrój — zauważyła Kate.

— A ile przysporzyłoby kłopotu służbie — dodała Sophie.

Francesca wydała groźny pomruk.

— A więc gdzie on jest? — domagała się odpowiedzi Eloise. — I nie patrz na mnie, jakbym…

— …chciała zamordować twojego kota?

— Nie mam kota. Co ty pleciesz?

Francesca westchnęła i się poddała.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest. Powiedział, że tu będzie.

— Jeśli ma choć trochę sprytu, ukrywa się pewnie w holu — zawyrokowała Sophie.

— Dobry Boże. Chyba masz rację.

Francesca bez trudu mogła wyobrazić sobie Michaela omijającego salę balową i zaszywającego się w pokoju dla palaczy.

Inaczej mówiąc — jak najdalej od płci pięknej.

— Jest jeszcze wcześnie — wtrąciła optymistycznie Kate.

— Wcale nie uważam, że jest wcześnie — sarknęła Francesca. — Chciałabym, żeby wreszcie tu dotarł, bo wtedy ludzie przestaliby mnie o niego pytać.

Eloise roześmiała się jej w nos, podła zdrajczyni.

— Masz złudzenia, moja biedna Francesco — stwierdziła. — Kiedy się

tu zjawi, będą jeszcze bardziej rozpytywać o niego. Tyle że nie: Gdzie on jest? lecz: Opowiedz nam o nim coś więcej!

— Obawiam się, że Eloise ma rację — powiedziała Kate.

— Rany boskie — jęknęła Francesca, szukając wzrokiem ściany, o którą mogłaby się oprzeć… albo po niej osunąć.

— Czy ty przypadkiem nie bluźnisz? — spytała Sophie, mrugając ze zdumienia.

Francesca westchnęła.

— Ostatnio skandalicznie często nadużywam imienia boskiego.

Sophie popatrzyła na nią ze współczuciem. I nagle wykrzyknęła:

— Ubrałaś się na niebiesko!

Francesca spojrzała na swoją nową suknię wieczorową. Była z niej bardzo zadowolona, choć nikt — z wyjątkiem Sophie — nie zauważył tej kreacji. Utrzymana była w jednym z najbardziej twarzowych odcieni błękitu — coś pośredniego między szafirem a turkusem. Niezwykle elegancka w swojej prostocie suknia miała dekolt wykończony jedwabiem nieco jaśniejszej barwy. Francesca czuła się w niej jak księżniczka… a jeśli nawet nie jak księżniczka, to w każdym razie nie jak żywa relikwia — nietykalna wdowa.

— A więc twoja żałoba nareszcie dobiegła końca? — spytała Sophie.

— Prawdę mówiąc, oficjalna żałoba skończyła się kilka lat temu — wyznała Francesca.

Teraz, gdy ostatecznie pożegnała się z wszelkimi odcieniami szarości i rozmytym fioletem półżałoby, czuła się trochę głupio: czemu tak długo trzymała się tych nieciekawych kolorów?

— Wiedzieliśmy, że bywasz w towarzystwie — powiedziała Sophie — ale ubierałaś się wiecznie w to samo i… Nieważne. Jakże się cieszę, że nareszcie widzę cię na niebiesko.

— Czy to znaczy, że myślisz o powtórnym zamążpójściu? — spytała prosto z mostu Kate. — W końcu minęły już cztery lata.

Francesca się wzdrygnęła. Ach, ta Kate! Zawsze zmierzała najprostszą drogą do celu. Nie mogła jednak wiecznie ukrywać swoich zamiarów, jeśli chciała je zrealizować; odpowiedziała więc krótko:

— Tak.

Przez chwilę żadna z nich się nie odezwała. A potem, oczywiście, zaczęły mówić równocześnie. Posypały się gratulacje, dobre rady i rozmaite niemądre uwagi, które Francesce niezbyt trafiały do przekonania, ale były wypowiadane z życzliwością, w najlepszych intencjach. Uśmiechała się więc, kiwała głową i przyjmowała ich serdeczne życzenia.

A potem Kate zawyrokowała:

— Musimy wszystkich o tym powiadomić.

Francesca się spłoszyła.

— Co takiego?

— Włożenie przez ciebie niebieskiej sukni było uroczym, subtelnym znakiem — wyjaśniła Kate. — Ale czy naprawdę sądzisz, że nasi panowie są wystarczająco inteligentni, by właściwie odczytać ten sygnał? Z pewnością nie — odpowiedziała na własne pytanie, zanim ktoś inny zdołałby to uczynić. — Mogłabym przefarbować Sophie na brunetkę, a większość mężczyzn, by tego nie zauważyła.

— Benedict z pewnością by zauważył — zaprotestowała Sophie, wiedziona małżeńską lojalnością.

— Tak… ale on jest twoim mężem, a poza tym malarzem. Jego profesja wymaga, by orientował się w otaczającym go świecie. Podczas gdy większość mężczyzn… — Kate zamilkła na chwilę, nieco zirytowana obrotem, jaki przyjęła konwersacja. — Rozumiecie chyba, o co mi chodzi?

— Oczywiście — mruknęła Francesca.

— Nie da się zaprzeczyć — perorowała dalej Kate — że przeważająca większość ludzi ma znacznie więcej włosów niż rozumu. Jeśli chcesz, by panowie dowiedzieli się, iż jesteś znowu do wzięcia, musisz im to oznajmić, jasno i wyraźnie. A raczej… to my ich oświecimy co do twoich zamiarów.

Francesca oczami duszy ujrzała potworną wizję: jej krewniaczki naganiały mężczyzn, którzy uciekali z okrzykami przerażenia.

— Co właściwie… chcesz zrobić…?

— Tylko mi tu nie wymiotuj!

— Kate! — wykrzyknęła zgorszona Sophie.

— Sama popatrz, czy nie wygląda, jakby zaraz miała się pożegnać z obiadem?

Sophia przewróciła oczami.

— Tak… Ale nie musisz od razu nazywać rzeczy po imieniu.

— A mnie się podoba, gdy ktoś nazywa rzeczy po imieniu — wtrąciła Eloise.

Francesca przeszyła siostrę wściekłym spojrzeniem. Czuła, że musi na kimś wyładować swój gniew, a najłatwiej zrobić to na najbliższych krewnych.

— Uczynimy to z wyjątkowym taktem i dyskrecją — zapewniła Kate.

— Możesz nam zaufać — dorzuciła Eloise.

— Cóż… Nie mogę wam tego zabronić — odpowiedziała Francesca bez większego entuzjazmu.

Zauważyła, że nawet Sophie nie próbowała temu zaprzeczyć.

— Doskonale — powiedziała z rezygnacją. — W takim razie idę do bufetu i zjem jeszcze jednego eklerka.

— Już ich nie ma — odparła Sophie i spojrzała na nią ze współczuciem.

Francesca poczuła, że nadzieja w niej gaśnie.

— A czekoladowe biszkopty?

— Też pożarli.

— Więc co zostało?

— Ciasto migdałowe.

— To całkiem bez smaku, jak trociny?

— Właśnie — podsumowała Eloise. — To był jedyny deser, którego mama nie skosztowała przed przyjęciem. Ostrzegałam ją, ma się rozumieć, ale kto mnie tam słucha.

Francesca całkiem oklapła. To doprawdy żałosne, tylko nadzieja na coś słodkiego podtrzymywała ją na duchu.

— Głowa do góry, Frannie — odezwała się Eloise, która wypatrywała kogoś w tłumie. — Michael już jest!

I rzeczywiście był. Stał w przeciwległym końcu sali i wyglądał niezwykle elegancko w czarnym wieczorowym stroju. Otaczał go wianuszek kobiet, co bynajmniej nie zdziwiło Franceski. Połowę z nich stanowiły panienki na wydaniu i ich matki.

Druga połowa — młode mężatki — najwyraźniej zamierzała go wykorzystać w znacznie mniej zbożnych celach.

— Już zapomniałam, jaki jest przystojny — westchnęła Kate.

— Niesamowicie opalony — dodała Sophie.

— Był w Indiach — burknęła Francesca. — Nic dziwnego, że się opalił.

— Jesteś dziś bardzo podminowana — zauważyła Eloise.

Francesca najwyższym wysiłkiem woli przybrała obojętny i nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Zmęczyły mnie te wieczne pytania o Michaela. Znam ciekawsze tematy do rozmowy.

— Czyżbyście się posprzeczali? — spytała Sophie.

— Nic podobnego — zaprzeczyła Francesca, orientując się

poniewczasie, że wywarła nie takie wrażenie, jak chciała. — Ale musiałam przez cały wieczór rozmawiać tylko o nim. Słowo daję, wolałabym już konwersować o pogodzie.

— Hm…

— Właśnie!

— Masz całkowitą rację.

Francesca nie orientowała się, która z nich co mówi, zwłaszcza że wszystkie cztery stały i gapiły się na Michaela i otaczający go rój niewiast.

— On jest naprawdę przystojny — westchnęła Sophie. — Te cudowne, gęste, czarne włosy…

— Sophie! — upomniała ją Francesca.

— Ale on jest bardzo, ale to bardzo przystojny — obstawała przy swoim Sophie. — A poza tym, kiedy Kate zauważyła to samo, nic jej nie odpowiedziałaś.

— Obie jesteście przecież zamężne — wymamrotała Francesca.

— Czy to znaczy, że ja, stara panna, mam prawo robić uwagi o jego wyglądzie? — odezwała się Eloise.

Francesca zwróciła się do siostry, nie wierząc własnym uszom.

— Michael zupełnie by do ciebie nie pasował.

— Skąd ta pewność?

Tym razem odezwała się Sophie, ale Francesca zauważyła, że Eloise równie pilnie czeka na jej odpowiedź.

— Bo jest niepoprawnym kobieciarzem — odparła.

— Zabawne — mruknęła pod nosem Eloise. — O mało nie urwałaś Hiacyncie głowy, kiedy wyskoczyła z czymś podobnym dwa tygodnie temu.

Eloise zawsze musi wszystko pamiętać!

— Hiacynta nie wiedziała, co mówi — odparła Francesca. — Jak

zwykle. A oprócz tego rozmawiałyśmy wtedy o punktualności Michaela, a nie o tym, czy się nadaje na męża.

— Z jakiego powodu, według ciebie, nie nadaje się absolutnie na męża? — spytała Eloise.

Francesca w skupieniu zmierzyła wzrokiem starszą siostrę. Eloise chyba oszalała, jeśli sądzi, że uda się jej złapać Michaela.

— A więc? — dopytywała się Eloise.

— Bo nie potrafi dochować wierności żadnej kobiecie — odpowiedziała Francesca. — Bardzo wątpię, czy chciałabyś się godzić z jego ustawicznymi zdradami.

— Raczej nie — mruknęła Eloise. — Chyba że on nie miałby nic przeciwko ciężkim obrażeniom ciała.

Po tej wymianie zdań wszystkie cztery zamilkły, ale nie przestały bezwstydnie gapić się na Michaela i towarzyszące mu damy. Nachylił się właśnie i szepnął jednej z nich coś do ucha. Dama zarumieniła się, zaczęła chichotać i zasłoniła usta ręką.

— Niezły z niego flirciarz — orzekła Kate.

— Zdecydowanie jest w nim coś — przytaknęła Sophie. — A te biedulki nie mają najmniejszych szans.

Michael uśmiechnął się do jednej ze swych towarzyszek, leniwie i urzekająco. Nawet kobiety z klanu Bridgertonów westchnęły mimo woli.

— Nie mamy nic lepszego do roboty niż podpatrywanie Michaela?

— Nie.

— Nie!

— Chyba naprawdę nie — podsumowała Kate. — W każdym razie nie w tej chwili.

— Powinnaś podejść i porozmawiać z nim — powiedziała Eloise, trącając Francescę łokciem.

— Dlaczego miałabym to robić, u licha?

— Bo przyszedł tu z wizytą.

— Podobnie jak stu innych — odparowała Francesca. — Prędzej bym wyszła za pierwszego lepszego z nich.

— Ja tam widzę najwyżej trzech, nad którymi można by się zastanowić — mruknęła Eloise. — A nawet co do nich mam poważne wątpliwości.

— Choćby to było nie wiem jak trudne — odpowiedziała Francesca, bo nie chciała, by Eloise miała ostatnie słowo — przybyłam tu, żeby znaleźć sobie męża. Nie mogę więc zajmować się Michaelem, z którego nie miałabym żadnego pożytku.

— A ja myślałam, że przybyliśmy tu wszyscy po to, żeby złożyć mamie życzenia z okazji urodzin — mruknęła Eloise.

Francesca przeszyła siostrę morderczym spojrzeniem. Z całego rodzeństwa ona i Eloise były sobie najbliższe wiekiem: dzielił je tylko jeden rok. Francesca dałaby się, rzecz jasna, zabić za Eloise. Żadna inna kobieta w świecie nie znała tylu jej tajemnic… Bywały jednak chwile, kiedy z przyjemnością udusiłaby swoją starszą siostrzyczkę.

Choćby teraz właśnie.

— Eloise ma słuszność — stwierdziła Sophie. — Powinnaś podejść i przywitać się z Michaelem. Zwykła uprzejmość tego wymaga, zwłaszcza że tak długo bawił za granicą.

— Przecież mieszkamy pod tym samym dachem od przeszło tygodnia — odparła Francesca. — Dawno zdążyliśmy przywitać się ze sobą.

— Tak, ale nie oficjalnie — odparła Sophie. — I nie w twoim rodzinnym domu. Jeśli nie podejdziesz i nie przywitasz się z nim, cały Londyn będzie jutro gadał na ten temat. Dojdą do wniosku, żeście się pokłócili. Albo, co gorsza, że nie uznajesz jego praw do tytułu hrabiowskiego.

— Oczywiście, że je uznaję — zapewniła Francesca. — Zresztą, choćby

mi się to nawet nie podobało, jakież to ma znaczenie? Kolejność sukcesji nie budzi żadnych
wątpliwości.

— Powinnaś okazać wobec wszystkich, że masz o nim jak najlepsze mniemanie — oświadczyła Sophie, po czym dodała z nieodgadnionym wyrazem twarzy: — Chyba że tak nie jest…

— Ależ mam o nim dobre mniemanie, jak najbardziej — odparła z westchnieniem Francesca.

Sophie miała słuszność. Nigdy się nie myliła, jeśli chodziło o niuanse właściwego zachowania. Naprawdę należało podejść do Michaela i przywitać się z nim. Zasługiwał na oficjalne powitanie w Londynie, na oczach wszystkich — choćby się to wydawało nie wiem jak głupie, jako że parę ostatnich tygodni spędziła na pielęgnowaniu go podczas ataków malarii. Ale mierziła ją myśl o przebijaniu się do Michaela przez tłum jego wielbicielek.

Dawniej wydawało się jej zabawne, że był kobieciarzem. Może dlatego, że sama była odseparowana od tego rodzaju spraw. Czasami miała wrażenie, że jest ponad to. Wyczyny Michaela mogły być jedynie przedmiotem prywatnych żartów pomiędzy ich trójką — nią, Johnem i tym beztroskim hulaką. On sam zresztą nigdy nie traktował poważnie żadnej z tych kobiet, więc i Francesca czyniła podobnie.

Z tym, że teraz nie spoglądała na to z wyższej i bezpiecznej pozycji damy zamężnej, i to szczęśliwie. A Michael nie był już niefrasobliwym lekkoduchem, który zawdzięczał swą pozycję w towarzystwie jedynie dowcipowi i urokowi osobistemu.

Teraz Michael był hrabią, a ona po prostu wdową — bezbronną i nic nieznaczącą.

Nie stało się tak z winy Michaela, rzecz jasna.

Francesca wiedziała o tym równie dobrze, jak zdawała sobie sprawę z tego, że Michael będzie kiedyś dla jakiejś biedaczki bardzo złym mężem. A jednak — nie wiedzieć czemu — nie potrafiła opanować niechęci. Jeśli już nie w stosunku do niego, to do stada rozchichotanych samiczek, które go otaczały.

— Francesco — zaproponowała Sophie — może wolisz, żeby jedna z nas podeszła razem z tobą?

— Co…? Oczywiście, że nie. — Francesca wyprostowała się, zażenowana tym, że została przyłapana podczas rozmowy na myśleniu o niebieskich migdałach. — Sama poradzę sobie z Michaelem — oświadczyła stanowczo.

Zrobiła dwa kroki w jego stronę, po czym zawróciła znów do Kate, Sophie i Eloise.

— Ale najpierw muszę zadbać o własne, bardzo osobiste potrzeby — stwierdziła.

I z tymi słowy udała się do damskiej toalety. Jeśli już musi się uśmiechać i być uprzejma dla Michaela i mizdrzących się do niego kobieciątek, to przynajmniej nie będzie przy tym przestępować z nogi na nogę.

Odchodząc, usłyszała jednak szept Eloise:

— Tchórz.

Z najwyższym wysiłkiem Francesca opanowała się i nie przygwoździła siostry morderczą repliką.

Być może postąpiła tak dlatego, że Eloise — niestety — miała rację.

To, że stchórzyła, było dla Franceski ogromnie upokarzające. W dodatku z powodu Michaela. Kto by pomyślał?

11

…Dostałam list od Michaela. Prawdę mówiąc, trzy listy. Nie odpisałam mu do tej pory. Byłbyś ze mnie niezadowolony, jestem tego pewna. Ale ja…

Hrabina Kilmartin do swego zmarłego męża, dziesięć miesięcy po wyjeździe Michaela do Indii. Na koniec zmięła w ręku zapisaną kartkę, wyszeptała: „Co za szaleństwo!” i rzuciła list do ognia.

Michael zauważył Francescę, gdy tylko wszedł na salę balową. Stała na drugim końcu, gawędząc z siostrami. Była w niebieskiej sukni i miała nową fryzurę.

Zauważył od razu także i to, że wyszła na korytarz. Pewnie do damskiej toalety, która — jak wiedział — znajdowała się w pobliżu.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że nie miał żadnych wątpliwości, iż równie szybko zauważy jej powrót — chociaż prowadził ożywioną konwersację z tuzinem innych dam, a każda z nich była przeświadczona, że właśnie ona przyciąga bez reszty całą jego uwagę.

Ten szósty zmysł dręczył go niczym uporczywa choroba. Nie mógł przebywać w tym samym pomieszczeniu co Francesca, nie wiedząc dokładnie, gdzie ona się znajduje. Było tak od chwili, gdy spotkali się po raz pierwszy — i jedyną pociechę stanowiła pewność, że Francesca nie ma o tym pojęcia.

Dlatego właśnie — przede wszystkim — tak cieszył się z pobytu w Indiach, że nie był wiecznie świadomy obecności Franceski. Prześladowała go jednak nawet i tam: od czasu do czasu pochwycił błysk

światła na czyichś kasztanowatych włosach, posłyszał kobiecy śmiech… i przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to ona. Wstrzymywał dech i szukał jej wzrokiem, choć dobrze wiedział, że nie mogło jej tam być.

Przeżywał wówczas prawdziwe piekło i przeważnie ratował się kieliszkiem czegoś mocniejszego lub spędzał noc z najnowszą przyjaciółeczką.

Albo jedno i drugie.

Teraz jednak rozstał się ostatecznie z Indiami, powrócił do Anglii i nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością wszedł znowu w rolę beztroskiego lekkoducha. W Londynie przez ten czas niewiele się zmieniło; niektóre twarze znikły, inne się pojawiły, ale, ogólnie rzecz biorąc, charakter londyńskiego towarzystwa nie uległ zmianie. Przyjęcie urodzinowe lady Bridgerton okazało się dokładnie takie, jak przewidywał. Zaskoczyło go tylko, jak wielkie zainteresowanie budził jego powrót do Londynu. Wszystko wskazywało na to, że beztroski hulaka awansował do roli urzekającego hrabiego. Nie minął kwadrans od jego przybycia, a już był otoczony przez co najmniej osiem — nie, dziewięć: nie zapominajmy o lady Bridgerton we własnej osobie — szacownych matron, nadskakujących mu i, oczywiście, usiłujących zainteresować go swymi czarującymi, niezamężnymi córkami.

Michael nie był pewien, czy przypomina mu to farsę, czy raczej piekło. W końcu jednak doszedł do wniosku, że jest to na razie zabawne, ale już w przyszłym tygodniu będzie z pewnością nie do zniesienia.

Po kolejnym kwadransie zawierania nowych i odświeżania dawnych znajomości oraz po otrzymaniu lekko zawoalowanej propozycji — chwalić Boga, ze strony pewnej wdówki, nie zaś od jednej z debiutantek czy którejś z ich matek — Michael oświadczył, że musi zamienić kilka słów z panią domu i umknął gromadzie swych wielbicielek.

I wówczas znów zobaczył Francescę. Znajdowała się daleko od niego, w połowie sali, a to oznaczało, że musiałby przedzierać się przez tłum, gdyby chciał z nią porozmawiać. W ciemnoniebieskiej sukni wyglądała pięknie. Przypomniał sobie, że napomknęła o zamiarze obstalowania sobie nowej garderoby, i uświadomił sobie, że dopiero teraz rozstała się z półżałobą.

Było to jak uderzenie obuchem. Francesca w końcu zrezygnowała z żałobnych strojów — i z pewnością znów wyjdzie za mąż. Będzie się śmiała, flirtowała, ubierała na niebiesko i znajdzie sobie męża!

Zapewne dokona tego w ciągu miesiąca. Kiedy już raz dała wyraźnie do zrozumienia, że ponownie chce wyjść za mąż, konkurenci zaczną się dobijać do jej drzwi. Każdy marzy o poślubieniu takiej kobiety. Może nie była młodziutka jak część panienek polujących na męża, ale miała coś, czego brakowało debiutantkom: iskrę ożywienia i błysk inteligencji w oczach, dzięki czemu przyćmiewała każdą bezmyślną piękność.

Francesca także dostrzegła Michaela i usta jej wygięły się w lekkim uśmiechu, a oczy zabłysły, kiedy pierwsza ruszyła ku niemu. Zaparło mu dech.

Nie powinien być aż tak zdumiony, a jednak zaskoczyła go kompletnie. Za każdym razem, gdy myślał, że wie o niej już wszystko i zna ją na wylot, dostrzegał w niej coś nowego — i czuł się znów pokonany i urzeczony.

Nigdy nie zdoła wyrwać się spod uroku tej kobiety. Nigdy jej nie ucieknie — i nigdy jej nie zdobędzie. Nawet teraz, gdy Johna już nie było, wydawało się to Michaelowi nieprawdopodobne i do gruntu złe. Zbyt wiele się wydarzyło. Nigdy nie uwolniłby się od myśli, że ukradł Johnowi żonę.

Albo — co gorsza — że życzył mu śmierci. Pragnął, by John odszedł, usunął mu się z drogi. Pożądał jego tytułu, żony i całej reszty…

Michael ruszył w jej kierunku i spotkali się w pół drogi.

— Cudownie znów cię widzieć, Francesco — szepnął, starając się mówić gładko i swobodnie.

— Ciebie też — odpowiedziała.

Uśmiechnęła się z lekkim rozbawieniem; miał wrażenie, że pokpiwa z niego. Ale nie zamierzał zdradzać, że zdaje sobie z tego sprawę. Dowiódłby jedynie, jak bardzo świadom jest najdrobniejszej zmiany w jej głosie czy wyrazie twarzy. Spytał więc tylko:

— Dobrze się bawisz?

— Oczywiście! A ty?

— Oczywiście.

Uniosła brew.

— Nawet teraz, bez eskorty?

— Co proszę?

Wzruszyła od niechcenia ramionami.

— Ostatnio, kiedy cię widziałam, oblegał cię rój kobiet.

— Jeśli mnie widziałaś w tak trudnej sytuacji, czemu nie przyszłaś z pomocą?

— Z pomocą? — odparła ze śmiechem. — Widać było, że świetnie się bawisz.

— Czyżby?

— Dajże spokój, Michaelu — odparła, rzucając mu znaczące spojrzenie. — Wszyscy wiedzą, że żyjesz po to tylko, by dobrze się bawić i uwodzić.

— W tej kolejności?

Znowu wzruszyła ramionami.

— Nie bez powodu nazywają cię beztroskim hulaką.

Szczęki same mu się zacisnęły. Uwaga Franceski zabolała go, a świadomość tego, jak bardzo poczuł się zraniony, pogorszyła jeszcze sprawę.

Francesca wpatrywała się w jego twarz z tak bliska, że niemal nie mógł tego znieść. I nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Tobie naprawdę to nie odpowiada — stwierdziła ze zdumieniem. To odkrycie omal nie pozbawiło jej tchu. — Wielkie nieba! Ciebie to wcale nie bawi…

Wyglądała tak, jakby doznała objawienia na iście biblijną skalę, ale ponieważ cała sprawa zakrawała na szyderstwo, mógł jedynie się skrzywić, jakby spróbował octu.

Roześmiała się, co jeszcze pogorszyło sprawę.

— O Boże — jęknęła, trzymając się za brzuch ze śmiechu. — Czujesz się jak lis podczas polowania i wcale ci się to nie podoba. Oj, nie mogę! Po tym, jak sam uganiałeś się za kobietami…

Wszystko pojmowała opacznie, rzecz jasna. Niewiele go obeszło, że matrony z towarzystwa uznały Michaela za najlepszą zdobycz tego sezonu i w związku z tym ścigały go zażarcie. To było głupstwo, które z pewnością nie odebrałoby mu humoru.

Nie obchodziło go również niemądre przezwisko. Nie przejmował się tym, że uważano go za lekkoducha i rozpustnika.

Ale jeśli Francesca była tego samego zdania…

To paliło jak żrący kwas.

Najgorsze zaś było to, że mógł obwiniać tylko siebie. Przez całe lata kształtował taki, a nie inny wizerunek własnej osoby. Trwonił godziny na słownych potyczkach i flirtach. I za każdym razem starał się, by Francesca to widziała. I żeby nigdy nie domyśliła się prawdy.

A może robił to również z myślą o sobie, gdyż wcielając się w rolę beztroskiego hulaki, przynajmniej kimś był? Gdyby nie ta rola, byłby nikim — żałosnym głupcem, beznadziejnie zakochanym w cudzej żonie. A wreszcie, do wszystkich diabłów, nieźle sprawdził się jako kobieciarz,

zdobywał serca samym tylko uśmiechem. Miał się przynajmniej czym poszczycić.

— Nie możesz mi zarzucić, że cię nie ostrzegałam — oświadczyła Francesca, bardzo z siebie zadowolona.

— Nie ma nic złego w tym, że ktoś się otacza pięknymi kobietami — powiedział właściwie tylko po to, żeby ją zirytować. — A najlepiej jeśli przychodzi mu to bez wysiłku.

Podziałało: dostrzegł bolesny grymas jej ust.

— Jestem pewna, że to rozkoszne zajęcie, ale powinieneś być ostrożny i nie zapominać się — odparła ostrym tonem. — Młode damy, z którymi teraz się zadajesz, to nie kobiety tego pokroju, co zwykłe twoje konkiety.

— Nie wiedziałem, że poluję na jakiś szczególny gatunek kobiet.

— Doskonale wiesz, co mam na myśli, Michaelu. Inni mogą uważać cię za skończonego łajdaka, ale ja wiem lepiej.

— Doprawdy?

Omal nie parsknął śmiechem. Sądziła, że zna go tak dobrze, a w gruncie rzeczy nie wiedziała o nim nic. I nigdy nie pozna całej prawdy.

— Cztery lata temu miałeś swoje zasady — mówiła dalej. — Nigdy byś nie uwiódł kobiety, która doznałaby przez to krzywdy nie do naprawienia.

— A dlaczego sądzisz, że teraz byłbym do tego zdolny?

— O, nie sądzę, żebyś zrobił coś takiego z rozmysłem — odparła. — Przedtem jednak nigdy nie interesowałeś się panienkami na wydaniu. Nie miałeś więc możliwości popełnienia fałszywego kroku i zniszczenia niechcący czyjegoś życia.

Niejasne, ale dokuczliwe uczucie irytacji, które zaczynało dochodzić w nim do głosu, rosło i potężniało.

— Za kogo ty mnie uważasz? — spytał.

Czuł, jak cały sztywnieje z urazy, której by nawet nie potrafił dokładnie

sprecyzować. Był wściekły, że Francesca może myśleć o nim w taki sposób. Po prostu wściekły.

— Michaelu…

— Naprawdę uważasz mnie za tępaka, który mógłby przypadkiem zrujnować reputację młodej damy?

Rozchyliła wargi, które leciutko zadrżały, nim odpowiedziała na jego pytanie.

— Nie jesteś tępy, Michaelu. Oczywiście, że nie. Tylko…

— Do tego stopnia beztroski? — rzucił zjadliwie.

— Nie, nawet nie to… Myślę po prostu…

— Cóż takiego, Francesco? — dopytywał się nieustępliwie. — Co naprawdę o mnie myślisz?

— Myślę, że jesteś jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znam — odparła cicho.

Tylko ona potrafiła go rozbroić jednym zdaniem. Wpatrywał się w nią — nic więcej, tylko patrzył, usiłując dociec, co, u diabła, chciała przez to powiedzieć…

— Naprawdę — powiedziała i lekko wzruszyła ramionami. — Ale myślę również, że bywasz nierozsądny, a czasem niestały… I sądzę, że złamiesz tej wiosny więcej serc, niż zdołałabym zliczyć.

— Nie musisz ich liczyć — rzucił cicho i twardo.

— Chyba nie… — Obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła się krzywo. — Ale przecież i tak się na tym skończy, prawda?

— A to dlaczego?

Wydawało się, że Francesca nie wie, co odpowiedzieć. A jednak, kiedy był już pewny, że nie doda nic więcej, szepnęła:

— Bo nie zdołam się powstrzymać.

Minęło kilka sekund. Stali plecami do ściany i udawali zawzięcie, że

obserwują pozostałych gości. W końcu Francesca przerwała ciszę, mówiąc:

— Powinieneś zatańczyć.

Odwrócił się żywo do niej.

— Z tobą?

— Tak, przynajmniej raz. Ale powinieneś też zatańczyć z kimś odpowiednim. Z kimś, z kim mógłbyś się ożenić.

Z kimś, z kim mógłby się ożenić. Z byle kim, tylko nie z nią.

— Będzie to widomy znak dla całego świata, że nie odrzucasz całkowicie możliwości zawarcia małżeństwa — dodała Francesca. Kiedy nic na to nie odpowiedział, spytała: — Czy nie tak?

— Pytasz, czy liczę się z możliwością ożenku?

— Tak.

— No cóż, jeśli tak uważasz… — odparł z nonszalancją.

Tego musi się trzymać! Tylko w ten sposób zdoła ukryć gorycz przepełniającą jego serce.

— Zatańcz z Felicytą Featherington — poradziła mu Francesca, wskazując ruchem głowy prześliczną młodą damę, znajdującą się w odległości może dziesięciu jardów od nich. — To będzie doprawdy najlepszy wybór. Bardzo rozsądny. Felicyta nie zakocha się w tobie do nieprzytomności.

Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

— A gdybym ja sam — Boże broń! — się zakochał?

Usta Franceski rozchyliły się, a jej oczy stały się ogromne.

— Tego właśnie pragniesz? — spytała. — Zakochać się?

Wydawała się oczarowana taką perspektywą. Zachwycona tym, że mógłby znaleźć dla siebie idealną parę.

Znalazł ją przecież! Jego wiara w siły nadprzyrodzone znowu się nasiliła.

Doprawdy, takie przebłyski absolutnej doskonałości — tyle że ukazane w krzywym zwierciadle — nie mogły być dziełem przypadku.

— Michaelu…? — zagadnęła Francesca.

Oczy jej jaśniały, płonęły blaskiem… Najwyraźniej marzyła o tym, by spotkało go coś cudownego i radosnego…

A on miał ochotę wrzeszczeć wniebogłosy.

— Nie mam pojęcia — odparł cierpko. — Nie mam bladego pojęcia.

— Michaelu!

Wydawała się zaszokowana, ale tym razem niewiele go to obchodziło.

— Wybacz, proszę — powiedział ostro. — Czuję, że już najwyższy czas zatańczyć z tą Featherington.

— Co się stało, Michaelu? — dopytywała się Francesca. — Co takiego powiedziałam?

— Nic — odparł. — Po prostu nic.

— Nie bądź taki.

Gdy odwrócił się do niej, poczuł, że ogarnia go dziwne zobojętnienie. Dzięki temu udało mu się znowu osłonić twarz maską, uśmiechnąć się gładko i rzucić Francesce jedno z tych osławionych spojrzeń spod półprzymkniętych powiek. Był znów w każdym calu uwodzicielem, może nie całkiem beztroskim, ale za to wytwornym i doświadczonym.

— Jaki? — spytał z uśmiechem, ni to niewinnym, ni protekcjonalnym. — Robię dokładnie to, czego sobie życzyłaś. Miałem zatańczyć z panną Featherington, nieprawdaż? Spełniam twe polecenia co do joty.

— Jesteś zły na mnie — wyszeptała.

— Ależ skąd! — odparł, ale oboje wiedzieli, że jego zaprzeczenie jest zdawkowe, zbyt gładkie. — Po prostu przyjąłem do wiadomości, że ty, Francesco, wiesz lepiej. Dotychczas słuchałem własnego rozumu

i sumienia, i co mi to dało? A Bóg raczy wiedzieć, jak daleko bym zaszedł, gdybym przed laty zaczął słuchać ciebie!

Zaparło jej dech. Cofnęła się raptownie.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Idź, jeśli musisz — odparł.

Uniosła nieco wyżej głowę.

— Bardzo wielu tu mężczyzn.

— Istotnie.

— Powinnam sobie znaleźć męża.

— Powinnaś — przytaknął.

Zacisnęła usta, ale po chwili dodała:

— Kto wie, czy nie znajdę go dziś wieczór?

Niewiele brakowało, a uśmiechnąłby się kpiąco. Zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

— Kto wie? — rzucił dokładnie w tym momencie, gdy Francesca była już pewna, że ich rozmowa dobiegła końca.

Zdążyła odejść na tyle, że musiałaby krzyknąć, gdyby uparła się coś mu odpowiedzieć. Zorientował się jednak, że usłyszała jego pożegnalną kwestię, po tym, jak przystanęła i nagle zesztywniała.

Oparł się znów plecami o ścianę i się uśmiechnął. Należy korzystać z każdej, choćby najmniejszej przyjemności, jaka się nadarza.

Nazajutrz Francesca czuła się po prostu okropnie. A co gorsza, dręczyły ją wyrzuty sumienia, których nie mogła stłumić, choć to przecież nie ona, ale Michael zachował się wczoraj wieczorem tak paskudnie.

Cóż w końcu mu takiego powiedziała, że aż tak zareagował? I jakie miał prawo zachować się po grubiańsku wobec niej? Wyraziła tylko nadzieję, że Michael znajdzie szczęście w wiernym, pełnym miłości małżeństwie, zamiast trwonić czas na wątpliwe uroki rozpusty.

Najwidoczniej jednak myliła się co do niego. Michael przez cały wieczór, zarówno przed ich rozmową, jak i po niej, czarował wszystkie niewiasty obecne na przyjęciu. Do tego stopnia, że przyglądająca się temu Francesca omal się nie pochorowała.

Najgorsze zaś było to, że nie mogła powstrzymać się od liczenia jego najnowszych podbojów, jak to sama w złą godzinę przewidziała. Jedna, dwie, trzy… — szeptała, obserwując, jak Michael czaruje swoim uśmiechem trzy siostry naraz. Cztery, pięć, sześć… To były dwie wdowy i jakaś hrabina. Po prostu niesmaczne. Najbardziej zaś irytowało Francescę własne zachowanie: że też coś podobnego tak ją fascynowało!

A potem Michael zaczął — co jakiś czas — zerkać w jej stronę. Rzucał jej kpiące spojrzenie spod półprzymkniętych powiek, ona zaś nie mogła oprzeć się myśli, że Michael robi to z rozmysłem. I że oczarowuje jedną kobietę po drugiej wyłącznie po to, by ona, Francesca, miała co rachować: kolejny tuzin czy ileś tam nowych zdobyczy.

Dlaczego wymknęła się jej ta głupia uwaga o liczeniu złamanych serc? Co ją podkusiło?

A może rzuciła to bezmyślnie, ot tak? To wydawało się jedynym rozsądnym wyjaśnieniem. Z całą pewnością nie chciała dać mu do zrozumienia, że nie powstrzyma się od liczenia jego podbojów. Te słowa same wymknęły się z jej ust, zanim uświadomiła sobie, że przyszły jej do głowy. I nawet teraz nie była pewna, co właściwie miały znaczyć.

Czemu ją to interesowało? Co, u licha, było ciekawego w tym, ile dam zdołał oczarować? Nigdy dotąd nie przejmowała się takimi sprawami.

A na dobitkę ogólna fascynacja osobą Michaela stawała się coraz większa. Kobiety dostawały kompletnego bzika na jego punkcie. Gdyby zasady obowiązujące w wytwornym towarzystwie zostały odwrócone,

myślała kwaśno Francesca, salon w Kilmartin House byłby teraz zasypany kwiatami przysłanymi przez wielbicielki urzekającego hrabiego.

I bez tego życie towarzyskie stanie się z pewnością nie do wytrzymania. Ich rezydencji groziło istne oblężenie; tego Francesca była pewna. Każda dama w Londynie zechce złożyć jej wizytę w nadziei, że Michael może przypadkiem zajrzy do salonu. Francesca przygotowała się już na to, że przyjdzie jej znów odpowiadać na setki pytań, znosić cierpliwie różne aluzje i insynuacje, i…

— Wielkie nieba! — Zatrzymała się jak wryta, mierząc zdumionym wzrokiem wnętrze salonu. — Co to wszystko ma znaczyć?!

Kwiaty. Wszędzie kwiaty.

Zupełnie jakby urzeczywistniły się jej koszmarne wizje. Czyżby naprawdę zmieniono reguły obowiązujące w wielkim świecie i zapomniano ją o tym powiadomić?

Fiołki, irysy, stokrotki… holenderskie tulipany. Cieplarniane storczyki. I róże. Wszędzie róże. W każdym kolorze. Ich zapach był oszałamiający.

— Priestley! — zawołała Francesca, dostrzegłszy majordoma po przeciwnej stronie pokoju; stawiał właśnie na stole wysoki wazon, pełen lwich paszczy. — Skąd się tu wzięły te kwiaty?

Ostatnim muśnięciem palca poprawił bukiet: odgiął jedną z łodyżek tak, by lepiej widać było kwiaty, po czym odwrócił się i podszedł do Franceski.

— Przysłano je dla pani, milady.

Zamrugała.

— Dla mnie?

— Jak najbardziej. Czy pani hrabina zechciałaby się zapoznać z bilecikami ofiarodawców? Zostawiłem je przy bukietach, by mogła się pani przekonać, co kto przysyła…

— O…

Nic więcej nie była w stanie powiedzieć. Czuła się jak ostatnia gąska, gdy tak zasłaniała ręką otwarte usta, a oczy jej biegały od wiązanki do wiązanki.

— Gdyby milady sobie tego życzyła, mogę odczepić od bukietu każdy bilecik czy list. Wówczas mogłaby pani przeczytać wszystkie od razu. — Kiedy Francesca nie odpowiedziała, majordomus zaproponował: — Może pani hrabina zechce usiąść przy biureczku? Z przyjemnością zaniosę tam wszystkie liściki.

— Nie, nie — odpowiedziała, nadal nie mogąc otrząsnąć się z zaskoczenia.

Na litość boską, była przecież wdową. Mężczyźni nie obdarzali wdów kwiatami… A może jednak?

— Milady?

— Ja… ja… — Odwróciła się do Priestleya, wyprostowała i zmusiła swój mózg do logicznego myślenia. A przynajmniej starała się tego dokonać. — Ja tylko… rzucę okiem na…

Sięgnęła po najbliższy bukiet — śliczną, delikatną kompozycję szafirków i stefanotisów. „To jedynie blade odbicie Pani oczu” — przeczytała na bileciku. Poniżej widniał podpis markiza Chester.

— Och! — jęknęła Francesca.

Lord Chester owdowiał dwa lata temu; wszyscy wiedzieli, że rozgląda się za nową żoną.

Z trudem pokonując coraz silniejszy zawrót głowy, Francesca podeszła wolno do kolejnego daru, wiązanki róż. Wzięła do ręki bilecik, starając się w obecności majordoma nie okazywać zbyt wielkiego zainteresowania.

— Ciekawam, od kogo to może być — rzekła z pozorną obojętnością.

Wiersz. Jeden z sonetów Szekspira, o ile pamięć jej nie myliła. Przesłał go wraz z różami wicehrabia Trevelstam.

Trevelstam…? Spotkali się zaledwie raz. Wicehrabia był młody, bardzo przystojny. Wieść głosiła, że jego ojciec roztrwonił niemal cały majątek rodzinny. Odziedziczywszy po nim tytuł, młody wicehrabia zamierzał bogato się ożenić. Tak przynajmniej mówiono.

— Wielkie nieba!

Francesca odwróciła się i ujrzała stojącą za nią Janet.

— Co to ma znaczyć?!

— To samo pytanie zadałam, kiedy tu weszłam — mruknęła Francesca.

Podała Janet oba bileciki i przyglądała się uważnie teściowej, gdy czytała starannie wypisane na nich słowa.

John był jedynym dzieckiem Janet… Jak jego matka zareaguje na to, że wokół synowej zaczną się kręcić inni mężczyźni?

— Mój Boże! — odezwała się wreszcie Janet, podnosząc na nią oczy. — Wygląda na to, że zostałaś gwiazdą sezonu. Ani chybi, obwołają cię „Niezrównaną”.

— Och, nie mów głupstw… — zaprotestowała Francesca i zarumieniła się.

Zarumieniła…? Co się z nią dzieje?! Nie miała zwyczaju się rumienić. Nawet podczas pierwszego sezonu, gdy naprawdę obwołano ją „Niezrównaną”.

— Jestem o wiele za stara na coś takiego — burknęła.

— Jak widać, wcale nie — odparła Janet.

— W holu jest tego jeszcze więcej — ośmielił się wtrącić Priestley.

Janet zwróciła się do Franceski.

— Przejrzałaś już wszystkie bileciki?

— Jeszcze nie. Ale wydaje mi się…

— Że wszystkie są na jedną modłę?

Francesca skinęła głową.

— Czy to… nie sprawia ci przykrości?

Janet uśmiechnęła się smutno, ale jej oczy były pełne serdeczności i mądrości.

— Czy chciałabym, żebyś nadal była żoną mojego syna? Oczywiście, tak. Czy chcę, byś spędziła resztę życia związana nierozerwalnie z jego cieniem? Oczywiście, nie. — Wzięła synową za rękę. — Jesteś dla mnie jak córka, Francesco. Pragnę twojego szczęścia.

— Nigdy nie przyniosę wstydu pamięci Johna — zapewniła ją Francesca.

— Oczywiście, że nie! Gdybyś była dziewczyną tego pokroju, John nigdy by się z tobą nie ożenił. Ani ja — dodała i zerknęła na nią chytrze — nigdy bym mu na to nie pozwoliła.

— Tak bym chciała mieć dzieci… — wyznała Francesca.

Czuła, że musi usprawiedliwić swoją decyzję, przekonać teściową, że zależy jej przede wszystkim na macierzyństwie, a nie na tym, żeby znów być żoną.

Janet skinęła głową, odwróciła się i otarła oczy koniuszkami palców.

— Musimy zapoznać się z resztą bilecików — odezwała się raźnym tonem na znak, że pali się do tego. — I przygotować się na istne oblężenie w porze popołudniowych wizyt.

Francesca ruszyła za nią. Janet zwróciła uwagę na olbrzymi pęk tulipanów i wzięła do ręki załączony do nich liścik.

— Myślę, że odwiedzą nas przede wszystkim kobiety — zauważyła Francesca. — I będą się dopytywać o Michaela.

— Może i masz słuszność — odparła Janet. Trzymając nadal bilecik w ręku, spytała: — Mogę przeczytać?

— Oczywiście.

Janet czym prędzej zapoznała się z treścią wiadomości, po czym podniosła wzrok i wyszeptała tylko jedno słowo:

— Cheshire!

Francesce zaparło dech.

— Chyba nie… książę Cheshire?

— We własnej osobie.

Francesca odruchowo przycisnęła rękę do serca.

— Coś takiego… — wyszeptała. — Jego książęca mość…

— Widzę, moja droga, że naprawdę uznano cię za największą zdobycz sezonu.

— Ale ja…

— Co to ma znaczyć, do diabła?

Zadał to pytanie, rzecz jasna, Michael, chwytając w ostatniej chwili wazon, którego o mały włos nie przewrócił. Hrabia był wyraźnie zirytowany i zdezorientowany.

— Dzień dobry, Michaelu — powitała go pogodnym tonem Janet.

Powitał ją lekkim ukłonem, po czym odwrócił się do Franceski i burknął:

— Masz taką uroczystą minę jak wasal ślubujący dozgonną wierność swemu suwerenowi.

— I pewnie wyobrażasz sobie, że ty byłbyś tym suwerenem? — odcięła się, szybko opuszczając rękę, którą nadal bezwiednie przyciskała do serca.

— Miałabyś dużo szczęścia, gdyby tak było — mruknął.

Francesca zmierzyła go wzrokiem.

W odpowiedzi uśmiechnął się z wyższością.

— Czyżbyśmy otwierali kwiaciarnię?

— Nie, choć z pewnością moglibyśmy to uczynić — odparła Janet. — To kwiaty dla Franceski — dodała w formie wyjaśnienia.

— Jasne, że dla niej — burknął. — Choć nie rozumiem, czemu aż tylu idiotów wybrało róże?

— Lubię róże! — ujęła się za nimi Francesca.

— Nic ciekawszego nie potrafią wymyślić — rzucił pogardliwym tonem. — Jakie to banalne i staroświeckie. — Wskazał na żółte róże od wicehrabiego. — A te kto przysłał?

— Trevelstam — odparła Janet.

Michael prychnął z pogardą i odwrócił się, by spojrzeć w twarz Francesce.

— Nie zamierzasz chyba wyjść za tego chłystka, co?

— Raczej nie, ale nie rozumiem, o co…

— Nie ma grosza przy duszy — oznajmił bez ogródek.

— Skąd możesz wiedzieć? — spytała Francesca. — Wróciłeś niespełna miesiąc temu…

Michael wzruszył ramionami.

— Ale zdążyłem zajrzeć do klubu.

— Cóż… może Trevelstam nie ma ani grosza, ale to z pewnością nie jego wina — zwróciła mu uwagę Francesca. Nie poczuwała się do szczególnej lojalności względem lorda Trevelstam, lecz starała się być sprawiedliwa. Wszyscy wiedzieli, że młody wicehrabia przez ostatni rok usiłował wszelkimi sposobami podreperować rodzinny majątek, poważnie nadszarpnięty przez ojca rozrzutnika.

— Nie wyjdziesz za Trevelstama i koniec! — obwieścił Michael tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Francesca powinna czuć się urażona jego arogancją, ale, prawdę mówiąc, była nią raczej ubawiona.

— Doskonale — odparła, a usta jej drżały od powstrzymywanego śmiechu. — Znajdę sobie kogoś innego.

— No i dobrze! — odburknął.

— A doprawdy ma w czym wybierać — wtrąciła Janet.

— Widzę — odparł zjadliwym tonem.

— Zajrzę do Helen — oświadczyła Janet. — Byłaby wielka szkoda, gdyby nie zobaczyła tego wszystkiego.

— Nie sądzę, żeby kwiaty wyfrunęły przez okno, zanim mama wstanie — zauważył Michael.

— Oczywiście — odparła słodko Janet i macierzyńskim gestem poklepała go po ramieniu.

Francesca szybko ukryła uśmiech. Michael byłby wściekły, doskonale o tym wiedziała.

— Helen ubóstwia kwiaty — zauważyła Janet. — Czy mogę zanieść jej na górę któryś z bukietów?

— Ależ oczywiście — zgodziła się Francesca.

Janet sięgnęła po róże Trevelstama, potem jednak się rozmyśliła.

— Lepiej nie — powiedziała, odwracając się znowu do Michaela i Franceski. — Wicehrabia może tu zajrzeć z wizytą… Nie chcielibyśmy chyba, żeby pomyślał, iż wyrzuciliśmy jego kwiaty!

— Tak — zgodziła się z nią Francesca. — Oczywiście!

Michael tylko coś mruknął.

— W każdym razie pójdę do Helen i opowiem jej o wszystkim — oświadczyła Janet.

Odwróciła się, wyszła z salonu i pospieszyła na górę.

Michael kichnął i spojrzał groźnie na Bogu ducha winną wiązankę mieczyków.

— Musimy pootwierać okna — oznajmił zrzędliwym tonem.

— I zamarznąć z zimna?

— Włożę płaszcz — syknął przez zaciśnięte zęby.

Francesca uśmiechnęła się lekko, choć miała ochotę pokazać w szerokim uśmiechu całe swe uzębienie.

— Czyżbyś był zazdrosny? — spytała z fałszywą skromnością.

Odwrócił się raptownie. Wyraz osłupienia na jego twarzy całkiem zbił Francescę z tropu.

— Ależ… nie o mnie! — wyjaśniła z pośpiechem i omal się znów nie zaczerwieniła na samą myśl o takim podejrzeniu. — Słowo daję, nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

— Więc o co? — spytał zwięźle.

— Cóż… Ja po prostu… to znaczy… — Wskazała na kwiaty, niezbity dowód jej nagłej popularności. — Obojgu nam przyświeca w tym sezonie podobny cel, nieprawdaż?

Spoglądał na nią tak, jakby nie miał pojęcia, o czym Francesca mówi.

— Małżeństwo — wyjaśniła.

Wielkie nieba, ależ on był niedomyślny tego ranka.

— Do czego zmierzasz?

Westchnęła zniecierpliwiona.

— Nie wiem, czy się nad tym zastanawiałeś, ale ja naturalnie przewidywałam, że to ty będziesz poszukiwany i oblegany. Nigdy mi się nie śniło, że mogłabym…

— Okazać się równie cenną zdobyczą?

Nie był to najtaktowniejszy sposób wyrażenia tego, co miała na myśli, ale dość zbliżony do prawdy, toteż powiedziała tylko:

— Cóż… chyba tak.

Michael przez chwilę nie mówił nic, tylko przyglądał się jej dziwnie, niemal z wrogością. Potem powiedział cicho:

— Tylko skończony głupiec nie chciałby się z tobą ożenić.

Francesca otworzyła usta ze zdumienia.

— To… — powiedziała, z trudem szukając właściwych słów. — To najmilsza rzecz, jaką mogłeś mi powiedzieć… w tej właśnie chwili.

Michael westchnął i przeciągnął ręką po włosach. Jego palce pozostawiły

na nich smugę żółtego pyłku. Uznała, że lepiej mu o tym nie wspominać.

— Francesco… — szepnął.

Wydawał się taki zmęczony, wyczerpany… i coś jeszcze.

Pełen żalu?

Nie, to niemożliwe! Michael nie należał do tych, którzy coś robią, a potem tego żałują.

— Nigdy nie zazdrościłbym ci powodzenia — zapewnił. — W pełni… — Odchrząknął. — W pełni zasługujesz na największe szczęście.

— Ja… — Jakże niezwykła była to chwila, zwłaszcza że wczoraj starli się ze sobą tak ostro. Francesca nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć, toteż zmieniła temat. — Wkrótce i tobie poszczęści się tak samo.

Popatrzył na nią jakby ze zdziwieniem.

— Prawdę mówiąc, już ci się poszczęściło — ciągnęła dalej. — Wczoraj wieczorem zarzucało mnie pytaniami więcej twoich wielbicielek niż konkurentów do mojej ręki. A gdyby kobiety mogły przesyłać panom kwiaty, byłbyś nimi dosłownie zasypany.

Uśmiechnął się, ale tylko samymi wargami. W jego oczach nie było wesołości. Co prawda nie spoglądały gniewnie, ale wydawały się puste.

Cóż za dziwaczne określenie, pomyślała.

— Wczoraj wieczorem… — powiedział, poprawiając krawat. — Jeśli powiedziałem coś, co sprawiło ci przykrość…

Patrzyła mu prosto w twarz — tak drogą, tak dobrze jej znaną. Czteroletnia rozłąka nie zdołała zatrzeć w jej pamięci rysów Michaela. Teraz jednak ta twarz wydała się jej jakaś inna. Michael zmienił się, ale nie umiałaby powiedzieć, na czym ta zmiana polega.

Ani co ją spowodowało.

— Już dobrze — zapewniła go.

— Mimo wszystko, przepraszam — rzekł szorstko.

Przez resztę dnia Francesca zastanawiała się, czy Michael wiedział, za co ją przeprasza. Nie mogła również oprzeć się wrażeniu, że i ona nie jest tego pewna.

12

…Może się wydać śmieszne, że piszę do Ciebie, ale po tylu miesiącach spędzonych na Wschodzie moje poglądy na temat śmierci i życia pozagrobowego uległy takiej przemianie, że nasz proboszcz, MacLeish, oszalałby chyba ze zgrozy. A poza tym, gdy się przebywa tak daleko od Anglii, nietrudno wyobrazić sobie, że nadal żyjesz i odbierzesz ten list, podobnie jak te wszystkie, które Ci wysyłałem z Francji… Nagle jednak ktoś woła: Kilmartin! i przypominam sobie, że to ja teraz tak się nazywam, a Ty znajdujesz się w miejscu, dokąd nie dociera królewska poczta…

Hrabia Kilmartin do swego zmarłego poprzednika, a zarazem stryjecznego brata, rok i dwa miesiące po swoim wyjeździe do Indii.

Po zakończeniu listu hrabia spalił go nad świecą.

Nie zależy mi przecież na tym, by robić z siebie osła, dumał Michael, siedząc w swoim klubie i obracając w ręku kieliszek koniaku. A jednak ostatnimi czasy, zwłaszcza w obecności Franceski, mimo woli zachowuję się jak zwierzę.

Ot, choćby na przyjęciu z okazji urodzin lady Bridgerton, Francesca była taka rada ze względu na niego, taka zachwycona, gdyż — jak się jej zdawało — zdradził się ze swymi marzeniami o miłości… A on po prostu nie mógł tego znieść.

Zbyt dobrze wiedział, co Francesce chodzi po głowie, jak szuka już w myślach idealnej pary dla niego, podczas gdy w rzeczywistości…

Cóż… rzeczywistość była tak przygnębiająca, że trudno to wyrazić

słowami.

Przeprosił, oczywiście, za swoje zachowanie i gotów był przysięgać, że nigdy więcej nie zachowa się jak idiota. Ale pewnie w najbliższej przyszłości przyjdzie mu znów kajać się i błagać o wybaczenie, ona zaś ponownie mu wybaczy, składając winę na jego trudny charakter — choć za życia Johna mógł z powodzeniem uchodzić za wzór dobrego humoru i opanowania.

Michael wychylił koniak jednym haustem. A niech to wszystko szlag!

Niebawem skończy się ta groteskowa sytuacja. Francesca znajdzie sobie kogoś, wyjdzie za niego i wyprowadzi się z domu. Pozostaną, rzecz jasna, w przyjaźni — Francesca z pewnością tego dopilnuje — ale przynajmniej nie będzie już spotykał jej codziennie przy śniadaniu. Zapewne ich spotkania staną się znacznie rzadsze niż przed śmiercią Johna. Nowy mąż chyba nie pozwoli jej spędzać tyle czasu w towarzystwie osławionego bawidamka — bez względu na to, czy był, czy też nie był jej bliskim krewnym.

— Witaj, Stirling! — huknął ktoś znienacka, po czym odchrząknął ze zmieszaniem i poprawił się: — Chciałem powiedzieć: Kilmartin. Wybacz, stary.

Michael podniósł wzrok i ujrzał sir Geoffreya Fowlera; znali się jeszcze z czasów studiów w Cambridge.

— Nie ma o czym mówić — odparł Michael i wskazał baronetowi krzesło naprzeciw siebie.

— Miło znów cię widzieć — stwierdził sir Geoffrey, siadając. — Jak ci minęła podróż? Mam nadzieję, że bez przykrych niespodzianek.

Po wymianie kilku oklepanych frazesów baronet przeszedł do rzeczy.

— Słyszałem, że lady Kilmartin rozgląda się za mężem — zauważył niezbyt taktownie.

Michael miał wrażenie, że ktoś zdzielił go pałką w łeb. Mimo całej tej okropnej wystawy kwiatowej w salonie nie oswoił się jeszcze z nową sytuacją, a tego rodzaju sformułowanie z ust kogoś w gruncie rzeczy obcego brzmiało wyjątkowo niesmacznie.

Zwłaszcza że mówiący te słowa był młody, dość przystojny i najwyraźniej rwał się do żeniaczki.

— Cóż… — Michael zdobył się w końcu na odpowiedź. — Chyba tak.

— Znakomicie.

Sir Geoffrey zatarł ręce, a Michael poczuł nagłą chęć rozkwaszenia mu gęby.

— Za byle kogo nie wyjdzie — stwierdził niezbyt życzliwym tonem.

Baronet jakoś się tym nie przejął.

— Masz zamiar ją wyposażyć?

— Co takiego? — warknął Michael.

Uświadomił sobie nagle, że jest teraz jej najbliższym krewnym ze strony Stirlingów. Pewnie będzie musiał poprowadzić ją do ołtarza.

A niech to wszyscy diabli!

— Więc dasz jej posag? — dopytywał się sir Geoffrey.

— Pewnie — odburknął Michael.

Baronet cmoknął z aprobatą.

— Jej brat też to obiecał.

— Stirlingowie z pewnością o niej nie zapomną — stwierdził Michael sztywno.

Sir Geoffrey wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że Bridgertonowie również.

Michael zacisnął zęby z całej siły.

— Coś ty taki skwaszony? — zdziwił się sir Geoffrey. — Z podwójnym

posagiem znajdzie sobie męża raz-dwa. Pewien jestem, że chcesz się czym prędzej pozbyć tego ciężaru.

Michael przechylił głowę, zastanawiając się, z której strony poręczniej będzie dać mu po pysku.

— Musi to być dla ciebie nieliche obciążenie — kontynuował beztrosko sir Geoffrey. — Z pewnością kupa forsy idzie na same fatałaszki!

Michael zastanawiał się poważnie, jakie poniósłby konsekwencje, gdyby skręcił kark baronetowi… Pewnie tę zachciankę przypłaciłby głową.

— A poza tym, gdybyś sam się ożenił — gadał jak najęty sir Geoffrey, kompletnie nieświadom tego, że Michael zaciska pięści i mierzy wzrokiem jego kark — twoja pani z pewnością nie życzyłaby sobie poprzedniej hrabiny Kilmartin pod tym samym dachem. Lepiej, żeby się kwoki nie kłóciły o grzędę, racja?

— Racja — wykrztusił z trudem Michael.

— Tak też myślałem — oświadczył baronet i wstał. — Miło się z tobą gada, Kilmartin, ale muszę już lecieć. Trzeba przekazać nowinę Shively’emu. Nie zależy mi na konkurencji, ma się rozumieć, ale i tak nie da się utrzymać długo sekretu. Równie dobrze mogę sam to wszystkim rozgłosić.

Michael zmroził go spojrzeniem, ale sir Geoffrey był zbyt podniecony nowiną, którą zaraz obwieści całemu światu, by zwrócić na to uwagę.

Michael spojrzał na swój kieliszek. I opróżnił go do dna.Cholera jasna.

Skinął na kelnera, by podał mu następny koniak, i rozsiadł się wygodniej. Miał szczery zamiar przeczytać gazetę, w którą zaopatrzył się przy wejściu. Zanim jednak zdążył przejrzeć nagłówki, usłyszał, że znów ktoś go woła. Podniósł wzrok, nie starając się nawet ukryć rozdrażnienia.

Trevelstam. Ten od żółtych róż. Michael poczuł, że jego ręka odruchowo zaciska się na gazecie.

— Dobry wieczór, Kilmartin — powitał go wicehrabia.

Michael skinął głową.

— A, to ty, Trevelstam.

Znali się dość dobrze. Nie łączyła ich bliska przyjaźń, ale wypadało zamienić kilka uprzejmych słów.

— Siadaj — zaprosił, wskazując mu miejsce naprzeciw siebie.

Trevelstam usiadł i odstawił na stół opróżniony do połowy kieliszek.

— Co tam u ciebie? — zagadnął. — Prawie się nie widywaliśmy od twego powrotu.

— Wszystko w porządku — burknął Michael.

Z wyjątkiem tego, dodał w myśli, że muszę gadać z lalusiem, który ostrzy sobie zęby na posag Franceski. Na jej podwójny posag. Plotki z całą pewnością już się rozeszły. Trevelstam usłyszał najświeższe nowiny od sir Geoffreya.

Wicehrabia okazał więcej delikatności niż jego poprzednik. Zdobył się nawet na salonową konwersację. Całe trzy minuty. Spytał Michaela o wrażenia z Indii, o trudy drogi powrotnej, i tak dalej, i tak dalej… W końcu jednak, ma się rozumieć, przeszedł do sedna sprawy.

— Złożyłem dziś po południu wizytę lady Kilmartin — oznajmił.

— Doprawdy? — mruknął Michael.

Nie było go w domu od rana. Za żadne skarby nie chciał być świadkiem parady konkurentów Franceski.

— Jak najbardziej. Czarująca kobieta.

— Rzeczywiście — zgodził się Michael.

Był rad, że podano mu następny kieliszek koniaku. Wkrótce jednak zadowolenie minęło, gdy zorientował się, że — choć koniak zjawił się zaledwie przed dwiema minutami — zdążył go wypić.

Trevelstam kaszlnął znacząco.

— Założę się, że już wiesz, iż zamierzam się starać o jej rękę.

— Teraz już wiem.

Michael wpatrywał się w swój kieliszek w złudnej nadziei, że może pozostało w nim kilka kropel trunku.

— Nie byłem pewien, kogo powinienem powiadomić o swoich intencjach, ciebie czy jej brata.

Michael nie wątpił, że Anthony Bridgerton, najstarszy z braci Franceski, potrafi odsiać bez trudu niepożądanych konkurentów; powiedział jednak:

— Wystarczy, jeśli powiesz mnie.

— Doskonale — mruknął Trevelstam i wypił znów łyk ze swego kieliszka. — Ja…

— O, Trevelstam! — rozległ się czyjś grzmiący głos. — I Kilmartin także!

Był to wielki i muskularny lord Hardwick, jeśli nawet nie zalany w pestkę, to z pewnością nie całkiem trzeźwy.

Obaj mężczyźni przywitali przybysza.

Hardwick złapał za krzesło i przyciągnął je do ich stołu, głośno szurając po posadzce.

— Miło mi was widzieć, chłopaki — wysapał. — Kapitalne nowiny, co? Znakomite! Świetnie się składa, słowo daję.

Michael nie miał pojęcia, o czym Hardwick gada, ale skinął głową potakująco. Lepsze to od wypytywania, o co chodzi. Michael był pewny, że nie wystarczyłoby mu cierpliwości na słuchanie wyjaśnień.

— Thistlewaite przyjmuje już, o, tam! — zakłady na gonitwy psów… Słyszałem też o lady Kilmartin. Jest dziś o czym pogadać w klubie — stwierdził, kiwając głową z aprobatą. — Nie znoszę, kiedy panuje milczenie jak w rodzinnym grobowcu.

— Więc co z tymi psami? — spytał Michael.

— Podobno już po żałobie, wiecie?

— Psiej?

— Nie, lady Kilmartin — zarechotał Hardwick. — He, he, he! Udało ci się, chłopie!

Michael znowu skinął, by mu podano koniak. Poczuł, że bez tego nie wytrzyma.

— Wczoraj ubrała się na niebiesko — relacjonował z zapałem Hardwick. — Wszyscy widzieli.

— Prześlicznie wyglądała — dodał Trevelstam.

— Co prawda, to prawda — potwierdził Hardwick. — Kobietka jak się patrzy. Sam bym do niej uderzył, gdyby nie moja kula u nogi, lady Hardwick, he, he!

Dzięki Ci, Boże, choć za to, pomyślał Michael.

— Ileż to lat opłakiwała starego Kilmartina? — zagadnął Hardwick. — Sześć?

Jako że „stary Kilmartin” dożył zaledwie dwudziestu ośmiu lat, Michael uznał to określenie za wysoce obraźliwe. Nie było jednak sensu prostować mylnych poglądów lorda Hardwicka ani wytykać mu wyjątkowego chamstwa, tym bardziej że do młodzieży nie należał, a sądząc z tuszy i krwistoczerwonej twarzy, mógł w każdej chwili wykorkować na apopleksję.

A niechby i zaraz, pomyślał mściwie Michael.

Spojrzał z nadzieją przez stół. Hardwick nadal żył.

Psiakrew!

— Tylko cztery — sprostował zwięźle. — Mój stryjeczny brat zmarł cztery lata temu.

— Cztery, sześć, co za różnica? — odparł Hardwick, wzruszając ramionami. — Stanowczo za długo, żeby paradować w żałobie.

— Od pewnego czasu lady Kilmartin nosiła półżałobę — wtrącił znów Trevelstam.

— Naprawdę? — Hardwick siorbnął z kieliszka i otarł usta mocno używaną chustką. — Ale żałoba czy półżałoba, jeden diabeł, jak się nad tym zastanowić. Co nosiła, to nosiła, ale nie rozglądała się za mężem.

— Istotnie — powiedział Michael, gdy Hardwick zamilkł na kilka sekund.

— Chłopy zlecą się do niej jak pszczoły do miodu — prorokował Hardwick, choć miał niejakie trudności z wyartykułowaniem nazwy tych pracowitych owadów. — Powiadam wam, jak pszczoły do miodu. Wszyscy wiedzą, jaka była oddana staremu Kilmartinowi. Absolutnie wszyscy.

Przyniesiono Michaelowi następny koniak. Bogu dzięki!

— I nigdy nie było żadnych plotek na jej temat — dorzucił jeszcze Hardwick.

— Oczywiście, że nie — poparł go Trevelstam.

— Nie jest taka jak niektóre wdówki — perorował Hardwick, pociągając znów z kieliszka. Zarechotał przy tym i trącił Michaela łokciem. — Wiesz, co mam na myśli?

Michael pił w milczeniu.

— To całkiem tak… — Hardwick pochylił się ku niemu konfidencjonalnie. Liczne podbródki trzęsły mu się jak galareta, a twarz wykrzywił obleśny uśmieszek. — To całkiem…

— Na litość boską, wykrztuś to wreszcie — burknął Michael pod nosem.

— Co powiadasz? — Hardwick nie dosłyszał.

Michael tylko się skrzywił.

— Mówię ci, ten, co się z nią ożeni — stwierdził Hardwick, łypiąc obrzydliwie okiem — to całkiem jakby wziął sobie dziewicę… taką, co to wie, jak to się robi!

Michael spojrzał nań przeciągle.

— Coś ty powiedział? — spytał z niezwykłym spokojem.

— To całkiem jak…

— Na twoim miejscu, Hardwick, nie powtarzałbym tego — przerwał mu pospiesznie Trevelstam, zerkając niespokojnie na coraz bardziej mroczną twarz Michaela.

— Przecież to żadna obraza — obruszył się Hardwick i jednym haustem opróżnił do reszty swój kieliszek. — Była mężatką, więc zna się na rzeczy, ale nie gziła się z byle…

— Zamknij się! — Michael zgrzytnął zębami.

— Co takiego? Przecież wszyscy o tym gadają.

— Nie w mojej obecności — odparował Michael. — Chyba że komuś pilno na tamten świat.

— Przecie nie mówię, że „dziewicą to ona nie jest!” — Hardwick zarechotał. — To by dopiero był despekt.

Michael rzucił się na niego.

— Dobry Boże! — stęknął Hardwick i zwalił się na podłogę. — Co cię ugryzło?

Michael sam nie wiedział, jak i kiedy jego ręce zacisnęły się na szyi Hardwicka, ale dało mu to pewną satysfakcję.

— Nigdy więcej nie wycieraj sobie nią gęby — syknął. — Zrozumiano?

Hardwick rozpaczliwie kiwał głową, ale ten ruch zmniejszył jeszcze dopływ powietrza do jego płuc. Policzki zaczęły mu sinieć.

Michael puścił go i wstał, z taką pasją ocierając ręce, jakby przylgnęło do nich coś obrzydliwego.

— Nie pozwolę szargać nazwiska lady Kilmartin — zagroził. — Czy to jasne?

Hardwick przytaknął automatycznie. Świadkowie tego wydarzenia

powtórzyli jego gest.

— Lepiej to zapamiętaj! — warknął Michael i uznał, że najwyższy czas wynieść się stąd.

Miał nadzieję, że gdy on dotrze do domu, Francesca będzie w łóżku. Albo jeszcze nie wróci z przyjęcia. Wszystko jedno, byle nie musiał się z nią spotykać.

Bez pośpiechu ruszył w stronę wyjścia, ale gdy był już jedną nogą na korytarzu, znów usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się. Cóż to za idiota zaczepia go akurat teraz, kiedy jest w takim stanie…

Colin Bridgerton. Brat Franceski. Jasna cholera!

— Cześć, Kilmartin — odezwał się Colin z charakterystycznym dla niego pogodnym uśmieszkiem na przystojnej twarzy.

— Cześć, Bridgerton.

Dyskretnym ruchem głowy Colin wskazał przewrócony stolik.

— Niezłe przedstawienie.

Michael nic na to nie odpowiedział. Colin Bridgerton zawsze działał mu na nerwy. Obaj cieszyli się podobną opinią beztroskich zawadiaków. Jednakże Colin był mimo to ulubieńcem matron z towarzystwa, które rozpływały się nad jego przemiłym sposobem bycia; do Michaela zwykle odnoszono się z większą rezerwą — dopóki nie odziedziczył hrabiowskiego tytułu.

Michael wszakże od dawna podejrzewał, że pod niezmiennie pogodną powierzchownością Colina kryje się kawał twardziela, w dodatku niezwykle bystrego. Pod wieloma względami byli do siebie podobni, toteż Michael zawsze się obawiał, że jeśli ktoś domyśli się jego prawdziwych uczuć do Franceski, to chyba właśnie ten z jej braci.

— Miałem zamiar napić się czegoś w spokoju, gdy zaczęło się to

zamieszanie — stwierdził Colin, kierując się do prywatnego salonu. — Dotrzymaj mi towarzystwa, dobrze?

Michael marzył tylko o tym, żeby wynieść się czym prędzej z klubu, ale Colin — brat Franceski — był kimś w rodzaju krewniaka, któremu należało okazać przynajmniej pozory uprzejmości. Zacisnął więc zęby i wszedł do zarezerwowanego na prywatny użytek pokoju. Miał najszczerszy zamiar napić się czegoś i wyjść stamtąd przed upływem dziesięciu minut.

— Przyjemny wieczór, nieprawdaż? — zagadnął Colin, gdy Michael usiadł już z pozorną swobodą. — Nie licząc oczywiście Hardwicka i tego, co nawyrabiał. — Z niewymuszonym wdziękiem usadowił się w fotelu. — Skończony z niego cymbał.

Michael potwierdził tę opinię lekkim skinieniem głowy, starając się nie zwracać uwagi na to, że brat Franceski — z miną niewiniątka — obserwuje go, jak zwykle, bystrym wzrokiem. Colin pochylił nieco głowę na bok, zupełnie jakby chciał zajrzeć swemu rozmówcy w głąb duszy.

— Niech to wszystko cholera weźmie — mruknął pod nosem Michael i zadzwonił na kelnera.

— Tak cię suszy? — zaciekawił się Colin.

Michael bez pośpiechu odwrócił się twarzą do niego.

— A ty nie masz ochoty na jeszcze jednego? — spytał, starając się mówić jak najwyraźniej; nie było to łatwe, gdyż każde słowo musiało się przedzierać przez zaciśnięte zęby.

— Oczywiście! — odparł Colin, uosobienie przyjaznych uczuć i pogody ducha.

Michael ani przez chwilę nie ufał tej jowialnej fasadzie.

— Masz jakieś konkretne plany na resztę wieczoru? — spytał Colin.

— Żadnych.

— Dobrze się składa, bo ja też — mruknął Colin.

Cholera! Znowu wpadłem. Czy człowiek nie może mieć chwili spokoju?

— Dzięki, żeś się ujął za Francescą — powiedział Colin bez patosu.

W pierwszej chwili Michael miał ochotę warknąć, że nie potrzebuje żadnych podziękowań. Ma prawo — tak samo jak każdy z Bridgertonów — bronić honoru Franceski. Jednakże zielone oczy Colina wydawały się tego wieczoru jeszcze bardziej przenikliwe niż zwykle, toteż w końcu Michael tylko skinął głową.

— Twoja siostra zasługuje na to, żeby ją traktować z najwyższym szacunkiem — dodał po chwili, gdy był już pewny, że głos go nie zawiedzie.

— Ma się rozumieć — odparł Colin i podkreślił to jeszcze ruchem głowy.

Podano im zamówione trunki. Michael zwalczył przemożną chęć opróżnienia kieliszka jednym haustem. Pociągnął jednak wystarczająco duży łyk, by zapiekło go w gardle.

Colin ze swej strony wydał pomruk zadowolenia i odchylił się na oparcie fotela.

— Znakomita whisky — stwierdził z całkowitą aprobatą. — Najcenniejszy produkt Wysp Brytyjskich. A przynajmniej jeden z najcenniejszych. Na Cyprze nie dostaniesz nic podobnego.

Michael odpowiedział niewyraźnym mruknięciem. Uznał, że to całkiem wystarczy.

Colin uniósł kieliszek na wysokość nosa, napawając się równocześnie aromatem i smakiem trunku.

— Aaach! — westchnął, odstawiając wreszcie whisky. — Niemal tak rozkoszna, jak piękna kobieta.

Michael znowu mruknął potakująco i podniósł swój kieliszek do ust.

I wówczas Colin odezwał się ni stąd, ni zowąd:

— Powinieneś się z nią ożenić, wiesz?

Michael omal się nie udławił.

— C… co takiego?

— Ożenić się z nią — powtórzył Colin, wzruszając ramionami. — To by cholernie uprościło sprawę.

Nie było co się łudzić, że Colin ma na myśli kogoś innego, a nie Francescę. Michael jednak, mimo wszystko, zwrócił się do niego najbardziej lodowatym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

— Wolno spytać, o kim mówisz?

Colin uniósł brwi do góry.

— Naprawdę musimy się w to bawić?

— Nie mogę ożenić się z Francescą — wykrztusił Michael.

— A to dlaczego?

— Dlatego że… — zaczął i urwał. Były niezliczone powody, dla których nie mógł się z nią ożenić, ale żaden z nich nie nadawał się do otwartej dyskusji. Powiedział więc tylko: — Była żoną mego stryjecznego brata.

— O ile mi wiadomo, taki związek nie jest sprzeczny z prawem.

To prawda… Jednak byłoby to z gruntu niemoralne. Michael pragnął Franceski od lat, kochał ją od wieków. Nawet wtedy, gdy John jeszcze żył. Oszukiwał podle swojego stryjecznego brata, pożądając jego żony, a teraz miałby ją sobie niecnie przywłaszczyć?

Byłoby to ukoronowaniem odrażającego obdzierania ósmego hrabiego Kilmartin ze wszystkiego, co było jego wyłączną własnością — począwszy od tytułu, który nigdy, przenigdy, nie powinien był przypaść Michaelowi. W ogóle nie należało mu się nic z tego, co uchodziło teraz za jego własność. A jednak, z wyjątkiem tych cholernych butów Johna (które kazał schować na dno szafy) i jego żony, nie pozostało nic, co by nie przeszło do tej pory w ręce jego następcy.

Śmierć Johna zapewniła mu ogromne bogactwo. Dała mu władzę, wysoką pozycję i hrabiowski tytuł.

Gdyby zdobył w ten sposób również Francescę, jak mogłoby ostać się jego przeświadczenie, że nigdy — nawet we śnie — nie pragnął śmierci Johna?… A gdyby i to się nie ostało, jak zdołałby z tym żyć?

— Ona i tak za kogoś wyjdzie — perswadował Colin.

Michael podniósł głowę, uświadomiwszy sobie, że od dłuższej chwili milczy, pogrążony we własnych myślach. I że Colin przez cały ten czas pilnie go obserwował.

Wzruszył ramionami, siląc się na nonszalancję, choć podejrzewał, że nie zmyli tym mężczyzny, który siedział naprzeciw niego.

— Zrobi, co zechce — odparł. — Z nią tak zawsze.

— Może zdecydować się zbyt pochopnie — mruknął Colin. — Chce koniecznie mieć dzieci, nim będzie na to za stara.

— Wcale nie jest za stara.

— Pewnie, że nie, ale chyba tak się jej wydaje. A może gryzie się tym, że inni tak pomyślą? Nie doczekała się potomstwa z twoim bratem stryjecznym. Prawie, ale nie całkiem.

Michael złapał za róg stołu, żeby się nie zerwać z miejsca.

Choćby mu to sam Szekspir klarował, i tak by nie zrozumiał, czemu uwaga Colina aż tak go rozjuszyła.

— Jeśli podejmie decyzję bez namysłu — dodał Colin niemal od niechcenia — może wyjść za jakiegoś brutala, który będzie ją dręczył.

— Francesca? — spytał Michael tonem najwyższego zdumienia.

Jakaś inna kobieta mogła być taka głupia, ale nie jego Francesca.

Colin wzruszył ramionami.

— Takie rzeczy się zdarzają.

— Gdyby nawet tak było — odparował Michael — nie pozostałaby

nigdy w takim związku.

— Cóż innego mogłaby zrobić?

— Przecież to Francesca — powiedział tylko Michael. Jego zdaniem to stwierdzenie wyjaśniało wszystko.

— Pewnie masz słuszność — zgodził się Colin i znów umoczył usta w trunku. — Zawsze by znalazła pomoc i schronienie u Bridgertonów. Nigdy byśmy jej nie zmuszali, żeby wróciła do kogoś takiego. — Odstawił kieliszek na stół i znów rozsiadł się wygodnie. — Zresztą po co toczyć tę akademicką dyskusję? Nie ma o czym gadać, prawda?

W tonie Colina było coś dziwnego, jakby zamaskowana prowokacja. Michael spojrzał na niego badawczo. Mimo woli szukał w twarzy swego rozmówcy potwierdzenia własnych podejrzeń.

— A to dlaczego? — spytał.

Colin znów wypił łyczek whisky. Michael zauważył, że poziom płynu w jego kieliszku pozostawał ciągle ten sam. Przez dłuższą chwilę obracał kieliszek w palcach, zanim podniósł wzrok i spojrzał Michaelowi prosto w twarz. Każdy inny rozmówca dostrzegłby jedynie dobroduszną minę Bridgertona… a jednak było w jego spojrzeniu coś, co sprawiło, że Michael zaczął się wiercić niespokojnie na krześle. Colin miał wzrok bystry i przenikliwy, a jego oczy — choć innej barwy — kształtem ogromnie przypominały oczy Franceski.

Wrażenie było niesamowite.

— Dlaczego uznałem, że nie ma o czym gadać? — mruknął Colin w zadumie. — No cóż… najwyraźniej nie chcesz się z nią ożenić.

Michael otwierał już usta, by zaprotestować, ale zamknął je, gdy uświadomił sobie z konsternacją, że omal nie wykrzyknął: Oczywiście, że chcę!

I naprawdę tak było.

Z całego serca pragnął się z nią ożenić.

Tylko myślał, że jeśli to zrobi, nie upora się z własnym sumieniem.

— Dobrze się czujesz? — spytał Colin.

Michael zamrugał oczami.

— Znakomicie, bo co?

Głowa Colina przechyliła się lekko na bok.

— Przez chwilę wyglądałeś… — Pokręcił głową. — Nieważne.

— Jak wyglądałem, Bridgerton? — Michael był o krok od wybuchu.

— Na zaskoczonego — odparł Colin. — Prawdę mówiąc, na niebotycznie zdumionego. Pomyślałem, że to trochę dziwne.

Dobry Boże, jeszcze chwila, a ten cholerny Colin Bridgerton wydobędzie z niego wszystkie tajemnice. Michael odsunął krzesło od stołu.

— Muszę już iść — rzucił szorstko.

— Ma się rozumieć — odparł dobrodusznie Colin, jakby przez cały czas gawędzili wyłącznie o koniach i o pogodzie. Michael wstał i skinął głową. Nie było to szczególnie serdeczne pożegnanie, zwłaszcza wśród krewnych czy powinowatych. Ale w tych okolicznościach nie stać go było na nic lepszego.

— Pomyśl o tym, co ci powiedziałem — dorzucił półgłosem Colin w chwili, gdy tamten już wychodził.

Michael zaśmiał się chrapliwie, pchnął drzwi i znalazł się na korytarzu. Jak mógłby myśleć o czymś innym.

Przez resztę życia.

13

…U nas wszystko w porządku, nawet doskonale, a Kilmartin po prostu kwitnie pod troskliwym zarządem Franceski. Biedactwo, nadal opłakuje Johna, ale to przecież zupełnie zrozumiałe; wszyscy tęsknimy za nim, także i Ty, jestem tego pewna. Może napisałbyś do niej?

Wiem, że brakuje jej Twego towarzystwa. Przekazuję jej oczywiście wszystko, czego się od Ciebie dowiem, ale jestem pewna, że zrelacjonowałbyś to jej całkiem inaczej niż swojej starej matce…

Helen Stirling do syna, hrabiego Kilmartin, dwa lata po jego wyjeździe do Indii

Reszta tygodnia upłynęła irytująco w istnej powodzi kwiatów i słodyczy. Jedyne urozmaicenie stanowił amatorski recital poetycki, bardzo niskiej jakości. Michael wspominał z dreszczem obrzydzenia ten występ domorosłego poety na frontowych schodach Kilmartin House.

Nie ulegało wątpliwości, że Francesca zakasowała wszystkie młodziutkie debiutantki o świeżych twarzyczkach. Liczba kandydatów do jej ręki być może nie podwajała się z każdym dniem, ale Michael odnosił takie właśnie wrażenie, wiecznie natykając się w holu na coraz to innego usychającego z miłości młodziana.

To mogło każdego przyprawić o mdłości!

Oczywiście Michael również miał swoje wielbicielki. Nie było jednak w zwyczaju, by damy składały wizyty dżentelmenom, toteż przeważnie

miewał z owymi paniami do czynienia tylko wtedy, gdy sam tego zapragnął, a nie ilekroć postanowiły zjawić się niezapowiedziane, bez żadnej rozsądnej przyczyny, po to tylko, by porównać oczy swojego bóstwa do…

O ile warto porównywać do czegokolwiek jego zwykłe, szare oczy. Co za idiotyczny pomysł… Musiał wysłuchiwać niejednego wielbiciela Franceski rozwodzącego się nad pięknem jej oczu.

Czy któryś z tych matołów miał w głowie choćby jedną oryginalną myśl? Pomijając już to, że dosłownie każdy czepiał się kurczowo właśnie jej oczu, przynajmniej jeden mógłby okazać choć tyle pomysłowości, by porównać je do czegoś innego, nie tylko do wody lub nieba.

Michael prychnął z niesmakiem. Każdy, kto poświęciłby trochę czasu na przyjrzenie się oczom Franceski, wiedziałby doskonale, że miały wyjątkową, niepowtarzalną barwę.

A kolor nieba nawet się do niej nie umywał!

Co gorsza, ta budząca w nim najwyższe obrzydzenie, nieustanna defilada konkurentów Franceski nie pozwalała Michaelowi zapomnieć o ostatniej rozmowie z Colinem.

Ożenić się z Francescą? Nigdy dotąd nie dopuszczał do siebie podobnej myśli.

A jednak ta sugestia utkwiła w jego mózgu z taką siłą i nękała go tak uparcie, że omal nie zbiła go z nóg.

Ożenić się z Francescą? Dobry Boże! Wszystko przemawiało przeciw temu.

Z jednym wyjątkiem: bardzo tego pragnął…

Cóż to za piekielne męki — wiecznie mieć ją przed oczami, rozmawiać z nią, mieszkać w tym samym domu. Dawniej sądził, że ciężko byłoby mu kochać kogoś, kto nigdy nie będzie należał do niego, ale to…

To było tysiąc razy gorsze.

Colin znał jego tajemnicę.

Musiał ją znać, bo po co by dawał mu taką radę?

Przez wszystkie lata ratowało Michaela od szaleństwa tylko jedno: pewność, że nikt nie wie o jego miłości do Franceski.

A teraz wygląda na to, że nawet ten ostatni strzęp jego godności osobistej był jedynie złudzeniem.

Colin wiedział o wszystkim, a przynajmniej domyślał się prawdy. Michael nie był w stanie zapanować nad panicznym strachem, jaki wzbierał w jego piersi.

Co by się stało, gdyby ten drań powiedział o wszystkim Francesce?

To pytanie dręczyło nieustannie Michaela, nawet teraz, gdy stał nieco z boku w sali balowej w rezydencji Burwicków. Od pamiętnego spotkania z Colinem minął już prawie tydzień.

— Pięknie dziś wygląda, prawda? — zadźwięczał mu nad uchem głos matki.

Widać zapomniał udawać, że Francesca nic a nic go nie interesuje, i zagapił się na nią. Odwrócił się pospiesznie do matki i skłonił się lekko.

— Miło cię widzieć, mamo.

— Czyż nie jest piękna? — drążyła uparcie Helen.

— Ależ oczywiście — przytaknął od razu, by można było sądzić, że zgodził się z nią z czystej uprzejmości.

— Ślicznie jej w zielonym.

Francesce było ślicznie we wszystkim, ale nie zamierzał przekonywać o tym matki. Skinął tylko głową i wymamrotał coś, co mogło oznaczać potwierdzenie.

— Powinieneś z nią zatańczyć.

— Może i tak zrobię — odparł i wypił łyk szampana.

Dałby nie wiem co, by przebiec przez całą salę balową i przemocą wyciągnąć Francescę z kręgu jej irytujących wielbicieli. Nie mógł jednak zdradzić się przed matką ze zbytnim zainteresowaniem. Dodał więc: — Jak tylko skończę szampana.

Helen zacisnęła wargi.

— Do tego czasu w jej karnecie nie będzie ani jednego wolnego tańca. Stanowczo powinieneś podejść do niej natychmiast.

Uśmiechnął się do matki tym nieodpartym uśmiechem, który sprawiał, że zapominała o wszystkim.

— Po cóż miałbym to robić — spytał, odstawiając kieliszek na pobliski stolik — kiedy mogę zatańczyć z tobą, mamo?

— Ach, ty nicponiu! — skarciła go Helen, ale nie stawiała oporu, gdy prowadził ją na parkiet.

Michael wiedział, że będzie musiał za to jutro odpokutować. Matrony z towarzystwa już krążyły wokół niego jak drapieżne ptaki… A nie było nic, na co byłyby bardziej łase niż niepoprawny hulaka, będący zarazem czułym synem.

Żywy, skoczny taniec nie pozwalał na prowadzenie konwersacji. Wykonując różne obroty, przyklękając i kłaniając się, Michael zerkał na Francescę, promienną w szmaragdowej sukni. Nikt jakoś tego nie zauważył, więc obserwowanie szło mu jak z płatka. Jedynie w przedostatniej figurze musiał na chwilę odwrócić się do Franceski tyłem.

Kiedy znowu mógł spojrzeć na nią, przekonał się, że znikła.

Zmarszczył brwi. Coś tu nie pasowało. Można by przypuścić, że wymknęła się dyskretnie do damskiej toalety, ale śledził ją nieustannie, żałosny głupiec, i doskonale wiedział, że odwiedziła ten przybytek dwadzieścia minut wcześniej.

Gdy taniec dobiegł końca, Michael podziękował matce ukłonem,

a potem, niby to od niechcenia, ruszył w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą widział Francescę. Poruszał się szybko, żeby ktoś go przypadkiem nie zatrzymał. Przemykając przez tłum, nadstawiał ciekawie ucha. Nikt jednak nie plotkował na jej temat.

Kiedy dotarł do miejsca, gdzie niedawno stała, zauważył francuskie okno wychodzące prawdopodobnie na ogród za domem. Było zasłonięte kotarą i zamknięte, rzecz jasna. Wieczory w kwietniu nie są tak ciepłe, by można było wpuścić na salę nocne powietrze, nawet jeśli tłoczyło się na niej trzysta zgrzanych osób. Francuskie okno wzbudziło w Michaelu natychmiastowe podejrzenia. Zbyt często sam wywabiał kobiety do ogrodów, by nie wiedzieć, co może się wydarzyć pod osłoną nocnych ciemności.

Wymknął się na dwór tak dyskretnie, że nikt tego nie zauważył. Jeśli Francesca istotnie wyszła do ogrodu z jakimś dżentelmenem, z pewnością nie chciał ściągnąć im na głowy tłumu żądnych sensacji świadków.

Gwar rozmów docierał aż tu z wnętrza domu — i w porównaniu z nim noc wydawała się niezwykle cicha.

Nagle usłyszał głos Franceski.

Poczuł taki ból, jakby przeszyło go ostrze noża.

Francesca wydawała się spokojna i zadowolona, wręcz szczęśliwa w towarzystwie mężczyzny, który wywabił ją z sali balowej w mroki nocy. Michael nie słyszał jej słów, ale nie ulegało wątpliwości, że Francesca się śmieje. Był to śmiech melodyjny, dźwięczący jak srebrne dzwoneczki… A potem dał się słyszeć gorący, kusicielski szept.

Palce Michaela zacisnęły się na klamce francuskiego okna. Powinien stąd odejść. Francesca nie życzyłaby sobie jego obecności.

Stał jednak jak wrośnięty w ziemię.

Nigdy nie podpatrywał jej, gdy była z Johnem. Nigdy nie starał się

podsłuchać rozmowy nieprzeznaczonej dla jego uszu. Jeśli znalazł się przypadkiem w zasięgu ich głosów, natychmiast się wycofywał. Ale tym razem to było co innego. Nie umiałby wyjaśnić, na czym polegała różnica, ale nie mógł się zmusić do odejścia.

Jeszcze tylko jedną minutę, przysięgał sobie w duchu. Nie więcej. Jedną minutę, by upewnić się, że nic jej nie grozi, i…

— Nie, nie!

To był głos Franceski.

Michael nadstawił ucha i postąpił o krok czy dwa w stronę, skąd dolatywał jej głos. Nie wydawała się zaniepokojona, ale niewątpliwie protestowała. Oczywiście mogła to być reakcja na zbyt swawolny żart albo okrzyk niedowierzania po usłyszeniu niemądrej plotki.

— Naprawdę muszę… Nie!

To wystarczyło, by Michael ruszył pędem w tamtą stronę.

Francesca wiedziała, że nie powinna wychodzić do ogrodu z sir Geoffreyem Fowlerem, ale zachowywał się tak czarująco i uprzejmie… a w zatłoczonej sali balowej było trochę za gorąco. Nie odważyłaby się na nic podobnego jako niezamężna debiutantka, lecz wdowy nie musiały tak ściśle przestrzegać tego, co stosowne i niezbyt stosowne. A poza tym sir Geoffrey zapewniał, że zostawi drzwi uchylone.

Przez pierwszych kilka minut było bardzo przyjemnie. Jej towarzysz potrafił rozweselić ją i sprawić, że czuła się naprawdę piękna… Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jej brakowało adoracji. Śmiała się więc, flirtowała i postanowiła nie myśleć o niczym i radować się chwilą. Pragnęła znów poczuć się kobietą. Może nie w pełnym znaczeniu tego słowa, ale zawsze… Czy to aż tak niestosowne czuć upojny zawrót głowy na myśl, że wzbudza męskie pożądanie?

Może wszystkim jej konkurentom zależało tylko na podwójnym posagu

albo na koneksjach z dwoma nie byle jakimi rodami (należała przecież zarówno do Bridgertonów, jak do Stirlingów), ale przez ten jeden cudowny wieczór pragnęła wierzyć, że chodzi wyłącznie o nią.

Później jednak sir Geoffrey przysunął się stanowczo za blisko. Francesca cofnęła się najdalej jak mogła. Ale on postąpił znów o krok… i zanim się obejrzała, była już przyciśnięta plecami do potężnego drzewa, a on oparł ręce o pień po obu stronach jej głowy, co nie było ani przyzwoite, ani wygodne.

— Sir Geoffreyu — powiedziała Francesca, starając się być uprzejma, jak długo się da — obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie. Chciałabym wrócić na salę balową.

Mówiła lekko, przyjaznym tonem, żeby nie sprowokować go do czegoś, czego by z pewnością pożałowała.

Baronet jeszcze bardziej nachylił się ku niej.

— Daj spokój, po co miałabyś tam wracać? — szepnął.

— Nie, nie! — zaprotestowała, usiłując mu się wymknąć, gdy coraz bardziej pchał się na nią. — Z pewnością zauważą, że mnie nie ma… — Niech to licho, pomyślała. Będzie musiała nadepnąć mu na nogę albo unieszkodliwić go w taki sposób, jakiego nauczyli ją bracia, kiedy była jeszcze podlotkiem. — Sir Geoffreyu — odezwała się znowu, po raz ostatni siląc się na uprzejmość. — Naprawdę muszę…

W tejże chwili jego usta, wilgotne i gąbczaste, zgoła nieapetyczne, wylądowały na jej ustach.

— Nie! — zapiszczała.

A on dalej pastwił się nad jej ustami. Francesca wywijała się jak mogła, ale okazał się silniejszy, niż sądziła, i ani myślał jej puścić. Wyrywając się w dalszym ciągu, Francesca uniosła zgiętą nogę tak, by jak najłatwiej było

wyrżnąć natręta kolanem w krocze. Zanim jednak zdołała tego dokonać, sir Geoffrey zniknął jej nagle sprzed oczu.

— O…!

Z ust Franceski wydobył się okrzyk zdumienia. Nastąpiła jakaś kotłowanina, dało się słyszeć energiczne plaśnięcie i przejmujący okrzyk bólu. Zanim Francesca pojęła, co się dzieje, sir Geoffrey leżał jak długi na ziemi, klnąc, ile wlezie, a jakaś imponująca męska postać stała nad nim… z nogą na piersi powalonego przeciwnika.

— Michael? — zdumiała się Francesca, nie wierząc własnym oczom.

— Jeszcze jedno słowo — zwrócił się Michael do pokonanego wroga głosem, jakiego nigdy z jego ust nie słyszała — a połamię ci żebra.

— Nie! — zaprotestowała spiesznie Francesca.

Bez najmniejszych wyrzutów sumienia wyrżnęłaby sir Geoffreya kolanem w czułe miejsce, nie chciała jednak, żeby Michael go zabił.

A sądząc z wyrazu twarzy Michaela, zrobiłby to z dużą przyjemnością.

— Nie trzeba — tłumaczyła Francesca, podbiegając do swego obrońcy i aż się cofnęła na widok jego groźnie błyszczących oczu. — Może po prostu mu powiemy, żeby się wyniósł?

Przez chwilę Michael stał bez ruchu i wpatrywał się w nią.Uparcie, prosto w oczy i z takim natężeniem, że całkiem jej zaparło dech. Potem nacisnął jeszcze mocniej butem na klatkę piersiową sir Geoffreya. Nie tak, żeby ją całkiem zgruchotać, ale dość mocno, by leżący stęknął boleśnie.

— Naprawdę chcesz, żebym go puścił? — spytał ostro Michael.

— Tak, bardzo cię proszę. Nie rób mu krzywdy — odparła Francesca. Co by to było, gdyby ich ktoś teraz zobaczył. Z jej reputacji nie zostałyby nawet strzępki… a co by ludzie mówili o Michaelu? Rzucił się na szanowanego baroneta… — Nie powinnam była wychodzić z nim do ogrodu — dodała.

— Rzeczywiście, nie powinnaś — odparł Michael. — Ale to jeszcze nie powód, żeby cię molestował!

Zdjął nogę z piersi sir Geoffreya, bez ceremonii dźwignął nieszczęśnika i postawił go na nogi. Chwyciwszy następnie Fowlera za klapy, przyparł go do drzewa tak, że stali nos w nos.

— Niezbyt to przyjemne, co? — spytał urągliwie.

Sir Geoffrey nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w przeciwnika z przerażeniem.

— Nie masz nic do powiedzenia tej damie?

Sir Geoffrey zaprzeczył na migi, ale zdecydowanie.

Michael potrząsnął nim tak, że baronet tyłem głowy uderzył o pień.

— Zastanów się lepiej — warknął gniewnie Michael.

— Przepraszam! — zapiszczał sir Geoffrey.

Zupełnie jak dziewczyna, pomyślała Francesca bez cienia współczucia. Podejrzewała już wcześniej, że sir Geoffrey nie byłby dobrym mężem, a teraz upewniła się co do tego ostatecznie.

Ale Michael jeszcze z nim nie skończył.

— Jeśli znowu zbliżysz się do lady Kilmartin, wypatroszę cię osobiście.

Nawet Francesca się wzdrygnęła.

— Zrozumiałeś? — syknął Michael przez zaciśnięte zęby.

Odpowiedział mu kolejny pisk. Tym razem sir Geoffrey wydawał się bliski płaczu.

— Wynoś się stąd — burknął Michael, puszczając wystraszonego młodzieńca. — I nie wracaj do Londynu co najmniej przez miesiąc.

Sir Geoffrey spojrzał na niego, zaszokowany.

Michael stał nieugięty i gniewny; po chwili nonszalancko wzruszył ramionami.

— Nikt nawet nie zauważy, że cię tu nie ma — mruknął pod nosem.

Francesca dopiero teraz się zorientowała, że wstrzymuje dech. Michael był groźny i wspaniały. Wstrząsnęło to nią do głębi, tym bardziej że zupełnie nie znała go od tej strony.

Nie miała pojęcia, że mógłby się tak zachować.

Sir Geoffrey uciekł. Popędził przez trawnik do tylnej bramy, pozostawiając Francescę sam na sam z Michaelem. Po raz pierwszy od czasu, gdy się poznali, nie wiedziała, co powiedzieć.

Wybąkała tylko:

— Bardzo mi przykro…

Michael zwrócił się do niej z taką gwałtownością, że omal nie straciła równowagi.

— Nie tłumacz się — warknął.

— Nie mam zamiaru — odparła. — Ale powinnam być rozsądniejsza.

— To on powinien być rozsądniejszy — odparł z gniewem.

Miał słuszność, a Francesca z pewnością nie zamierzała brać na siebie winy za tę napaść. Pomyślała jednak, że lepiej nie podsycać gniewu Michaela; przynajmniej nie w tej chwili. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Prawdę mówiąc, nie widziała dotąd nikogo ogarniętego taką furią. W każdej chwili groził wybuch. Początkowo myślała, że Michael całkowicie stracił nad sobą panowanie. Teraz, gdy obserwowała go uważnie, tak zaniepokojona, że bała się niemal odetchnąć, uświadomiła sobie, że sprawy się mają wręcz odwrotnie.

Michael panował nad sobą z niezwykłą siłą. Gdyby nie ta żelazna samokontrola, z sir Geoffreya pozostałaby krwawa miazga.

Francesca otwarła usta, by powiedzieć coś jeszcze — coś uspokajającego, może nawet zabawnego… Ale zabrakło jej konceptu. Mogła tylko wpatrywać się w Michaela, którego podobno tak dobrze znała.

Jak zahipnotyzowana, nie mogła oderwać od niego oczu. Oddychał

ciężko i bez wątpienia nadal usiłował zdusić w sobie gniew. A poza tym — stwierdziła ze zdumieniem — nie był całkiem przytomny. Oczy miał błędne, utkwione w jakiś odległy punkt, i wyglądał jak…

Jak na torturach.

— Michaelu? — szepnęła.

Żadnej reakcji.

— Michaelu?

Tym razem wyciągnęła rękę i go dotknęła. Wzdrygnął się i odwrócił tak raptownie, że zatoczyła się do tyłu i omal nie przewróciła.

— O co chodzi? — spytał szorstko.

— O nic… — wyjąkała, nie wiedząc, co właściwie chciała mu powiedzieć. I czy w ogóle była w stanie coś powiedzieć, z wyjątkiem jego imienia.

Przymknął na chwilę oczy, otworzył je… Wyraźnie czekał na jej dalsze słowa.

— Chyba wrócę do domu — powiedziała.

Przyjęcie straciło dla niej cały urok. Pragnęła znaleźć się w dobrze znanym domu, gdzie mogłaby czuć się bezpieczna.

W tej chwili nawet Michael nie wydawał się jej bezpieczny ani dobrze znany.

— Przekażę Burwickom, że musiałaś nagle wrócić i bardzo ci przykro — powiedział oficjalnym tonem.

— Zaraz odeślę z powrotem powóz dla ciebie i obu matek — obiecała Francesca.

Janet i Helen doskonale się bawiły, kiedy je ostatni raz widziała. Nie chciała psuć im przyjemności.

— Mam cię odprowadzić do tylnej bramy, czy wolisz wrócić przez salę balową?

— Chyba wolę tylną bramą — odparła.

Zrobił, jak sobie życzyła, i odprowadził ją aż do powozu. Przez całą drogę czuła na plecach palący dotyk jego ręki. Kiedy dotarli do powozu, zamiast skorzystać z jego pomocy przy wsiadaniu, odwróciła się nagle do Michaela i zadała mu pytanie, które nagle przyszło jej do głowy:

— Skąd wiedziałeś, że byłam w ogrodzie?

Nic na to nie odpowiedział. A może po prostu nie zdążył odpowiedzieć, bo zaraz spytała znowu:

— Śledziłeś mnie?

Jego wargi się wygięły; nie był to jednak uśmiech ani nawet zalążek uśmiechu.

— Bez przerwy cię śledzę — przyznał posępnym tonem.

I pozostawił ją samą z tym zaskakującym oświadczeniem, które nie dawało jej spokoju przez resztę wieczoru.

14

…Czy to Francesca powiedziała, że brak jej mego towarzystwa? A może tylko Tobie tak się wydaje?

Hrabia Kilmartin do matki, Helen Stirling, dwa lata i dwa miesiące po swoim wyjeździe do Indii

Trzy godziny później Francesca, siedząc znowu w swojej sypialni w Kilmartin House, usłyszała, że Michael wrócił właśnie do domu. Janet i Helen zjawiły się znacznie wcześniej i kiedy Francesca — trochę naumyślnie — wpadła na nie na korytarzu, powiadomiły ją, że Michael postanowił na zakończenie wieczoru zajrzeć jeszcze do swego klubu.

Zapewne po to, by uniknąć spotkania ze mną, pomyślała Francesca, choć właściwie było mało prawdopodobne, by zetknęli się o tak późnej porze. Wyszła jednak z balu u Burwicków z przeświadczeniem, że Michael nie życzy sobie jej towarzystwa. Stanął, co prawda, w obronie jej honoru z męstwem i stanowczością prawdziwego bohatera, nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że zrobił to niezbyt chętnie, raczej z obowiązku niż z przekonania.

A co gorsza, czuła, że ona sama stała się dlań osobą, której towarzystwo musi znosić, nie zaś drogą przyjaciółką, choć zawsze myślała, że nią jest.

Zabolało ją to.

Przysięgła sobie, że kiedy Michael wróci do Kilmartin House, zostawi go w spokoju. Podejdzie najwyżej do drzwi swojej sypialni, by usłyszeć jego kroki na korytarzu. Była zbyt uczciwa, by udawać przed sobą, że nigdy się

nie zniżyła do podsłuchiwania. Prawdę mówiąc, nie umiała się oprzeć tej pokusie. Potem podkradnie się na paluszkach do ciężkich dębowych drzwi między ich pokojami… Były zamknięte z obu stron od czasu, gdy wróciła od matki. Nie obawiała się oczywiście Michaela, ale co nie wypada, to nie wypada. Postoi tam przez kilka minut i posłucha.

Nie miała pojęcia, co mogłaby usłyszeć ani co by jej dało wsłuchiwanie się w kroki Michaela krążącego po pokoju, ale po prostu nie mogła się od tego powstrzymać. Tego wieczoru coś się zmieniło… A może nic się nie zmieniło? To byłoby jeszcze gorsze. Czy możliwe, by Michael nigdy nie był taki, jak sądziła? Czy możliwe, że była z nim tak blisko przez tyle lat i uważała go za jednego ze swych najbliższych przyjaciół (nawet wtedy, gdy tak się oddalili od siebie), ale w gruncie rzeczy zupełnie go nie znała?…

Nigdy by nie uwierzyła, że Michael ukrywa jakąś tajemnicę. I to przed nią. Może przed wszystkimi innymi, ale nie przed nią.

Wskutek tych rozważań w uczuciach Franceski panował kompletny zamęt. Zupełnie jakby ktoś zakradł się do Kilmartin House i zrzucił stertę cegieł pod południową ścianą rezydencji, tak że cała konstrukcja przechyliła się na bok jak pijana. Bez względu na to, co Francesca teraz robiła czy myślała, czuła się tak, jakby nieustannie zsuwała się po pochyłości. Nie wiedziała dokąd — i wolała nie snuć domysłów.

Po prostu nie miała już pewności, że stąpa po solidnym, stałym gruncie.

Sypialnia Franceski znajdowała się od frontu, toteż gdy wokół panowała cisza, mogła dosłyszeć stuk drzwi frontowych, zwłaszcza gdy wchodzący zamykał je energicznie. Nie musiał trzaskać z całej siły, ale…

W każdym razie Michael miał dość krzepy, gdyż do Franceski wyraźnie dotarł odgłos zamykanych drzwi, potem zaś cichy szmer rozmowy.

Zapewne Priestley pozwolił sobie na jakąś uwagę, pomagając panu hrabiemu zdjąć płaszcz.

A zatem Michael wrócił szczęśliwie do domu, ona zaś mogła wreszcie położyć się do łóżka i przynajmniej udawać, że śpi. Wieczór dobiegł wreszcie końca. Powinna teraz zapomnieć o wszystkim, pozostawić to za sobą, może nawet udawać, że nic się nie wydarzyło.

Kiedy jednak usłyszała kroki na schodach, zrobiła coś całkiem nieoczekiwanego.

Otworzyła drzwi swego pokoju i wybiegła na korytarz.

Nie miała pojęcia, czemu to robi. W chwili gdy poczuła pod bosymi stopami chodnik na korytarzu, była tak zaszokowana własnym postępowaniem, że zlodowaciała i zabrakło jej tchu.

Michael był najwyraźniej bardzo zmęczony. Zdumiony. I niezwykle przystojny w rozluźnionym pod szyją krawacie, z burzą czarnych kędziorów opadających na czoło. Francesca znowu zaczęła się zastanawiać, kiedy właściwie zauważyła, jak bardzo jest pociągający? Teoretycznie zawsze o tym wiedziała, ale nigdy dotąd nie miało to dla niej większego znaczenia.

Ale teraz…

Wstrzymała dech. Nieodparta siła jego uroku unosiła się w powietrzu wokół nich, drażniła jej skórę, sprawiała, że robiło się jej na przemian zimno i gorąco.

— To ty, Francesco? — odezwał się Michael.

W jego głosie słychać było przede wszystkim znużenie.

A Francesca — o dziwo — nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. To było takie niepodobne do niej, ale tego wieczoru wcale się nie czuła sobą. Była taka niespokojna, niezrównoważona… Jedyną jej świadomą myślą, zanim wypadła z pokoju, było: Muszę go zobaczyć! Chciała choć przez chwilę

popatrzeć na Michaela i usłyszeć jego głos. Gdyby się przekonała, że nadal jest tym, za kogo go uważała, może nabrałaby pewności, że i ona pozostała nadal sobą?

Bo teraz wcale nie była tego pewna. I to właśnie wstrząsnęło nią do głębi.

— Tak, Michaelu — odpowiedziała, odzyskawszy wreszcie głos. — To ja… Dobry wieczór.

Spojrzał na nią przelotnie i uniósł brew, słysząc to — doprawdy nie rewelacyjne — oświadczenie.

Odchrząknęła nerwowo.

— Chciałam się upewnić, że… hm… dobrze się czujesz.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to niezbyt przekonująco, ale nic lepszego nie zdołała wymyślić na poczekaniu.

— Czuję się doskonale — burknął. — Jestem tylko zmęczony.

— Tak… — odparła. — Oczywiście.

Uśmiechnął się, ale nie był to wesoły uśmiech.

— Właśnie.

Z trudem przełknęła ślinę, a potem spróbowała się uśmiechnąć. Rezultat był dość mizerny.

— Nie podziękowałam ci jeszcze — powiedziała.

— Za co?

— Za to, że przyszedłeś mi z pomocą. — odparła i zdziwiła się. Jak mógł o to pytać? — Co prawda obroniłabym się sama… — W odpowiedzi na jego sceptyczne spojrzenie dodała nieco wyzywającym tonem: — Bracia nauczyli mnie, jak to się robi.

Michael skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią z niemal ojcowskim pobłażaniem.

— Zapewne oberwałby tak, że do końca życia przemawiałby sopranem.

Francesca zacisnęła usta.

— Mimo to — ciągnęła dalej, jakby nie słyszała jego sarkastycznej uwagi — jestem ci bardzo wdzięczna, że nie musiałam… hm…

Zarumieniła się. O Boże, jakże nienawidziła tej kobiecej słabości.

— Walnąć go kolanem prosto w przyrodzenie? — podsunął usłużnie Michael, unosząc jeden kącik ust w kpiącym uśmieszku.

— Właśnie — syknęła przez zaciśnięte zęby, święcie przekonana, że jej policzki zmieniły barwę z różowej na szkarłatną, pomijając wszelkie odcienie pośrednie.

— Miło mi, że mogłem na coś się przydać — odparł zdawkowo i kiwnął głową na znak, że konwersacja dobiegła końca. — A teraz wybacz, ale…

Najwyraźniej chciał odejść, lecz Francesca — licho wie czemu — nie zamierzała jeszcze kończyć rozmowy.

— Zaczekaj! — zawołała za nim i nagle poczuła ściskanie w gardle na myśl, że musi wymyślić jakiś temat do dalszej dyskusji.

Michael odwrócił się do niej bez zbytniego pośpiechu.

— O co chodzi?

— Ja… ja tylko…

Czekał bez słowa, podczas gdy ona mamrotała coś nieskładnie. W końcu spytał:

— Nie można się z tym wstrzymać do rana?

— Nie! Zaczekaj chwilę.

Chwyciła go za ramię.

Skamieniał.

— Czemu jesteś taki zły na mnie? — szepnęła.

Pokręcił tylko głową, jakby nie zrozumiał pytania. Nie odrywał oczu od jej ręki, zaciśniętej na jego ramieniu.

— O czym ty mówisz? — spytał.

— Czemu jesteś taki zły na mnie? — powtórzyła i uświadomiła sobie, że nawet nie wiedziała, że właśnie to ją dręczy, zanim te słowa nie wyrwały się same z jej ust. Coś się popsuło między nimi i musiała się dowiedzieć, jaka była tego przyczyna.

— Nie bądź śmieszna — mruknął. — Wcale nie jestem na ciebie zły, tylko zmęczony i chcę się położyć.

— Właśnie, że jesteś zły. Przecież widzę!

W jej głosie brzmiała pewność. Teraz, kiedy już to powiedziała, nie miała wątpliwości, że to prawda. Michael próbował ukryć swą irytację; od dawna przywykł do przepraszania, ilekroć się z tym niechcący zdradził, ale z całą pewnością był zły — i to właśnie na nią.

Poczuła jego rękę na swojej i aż jej dech zaparło, takie ogarnęło ją gorąco. Jednak Michael po prostu zsunął jej dłoń ze swego ramienia.

— Idę spać — oznajmił.

— Nie! Nie możesz.

Pobiegła za nim bez zastanowienia, bez rozwagi.

Prosto do jego sypialni.

Jeśli nawet przedtem nie był na nią zły, teraz z pewnością ogarnął go gniew.

— Co ty wyprawiasz? — spytał ostro.

— Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo — odcięła się.

Popatrzył na nią twardym wzrokiem.

— Jesteś w mojej sypialni — powiedział, zniżając głos. — Radzę ci wyjść.

— Nie wyjdę, póki mi nie powiesz, co się popsuło między nami.

Michael stał bez ruchu. Każdy jego mięsień zesztywniał. I całe szczęście, bo gdyby sobie pozwolił na jeden, jedyny ruch — gdyby w ogóle był

w stanie się poruszyć — rzuciłby się na nią. A co by się potem stało, łatwo się domyślić.

Został doprowadzony do ostateczności. Najpierw przez jej brata, potem przez sir Geoffreya, a teraz przez Francescę, która prowokowała go bez najmniejszego powodu.

Cały jego świat stanął na głowie z powodu tamtej nieprawdopodobnej sugestii.

„Powinieneś się z nią ożenić”.

Niczym dorodne jabłko podsunięto mu pod nos ewentualność, której w żadnym wypadku nie powinien brać pod uwagę.

John! — podszeptywało mu sumienie. John! Nie zapominaj o Johnie!

— Francesco — rzekł Michael twardym, opanowanym głosem. — Jest dobrze po północy, a ty znajdujesz się w sypialni mężczyzny, który nie jest twoim mężem. Radzę ci stąd wyjść.

Ale nie wyszła. Niech ją diabli, nawet się nie ruszyła! Po prostu stała zaledwie o trzy stopy od nadal otwartych drzwi i wpatrywała się w niego, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

Starał się nie zwracać uwagi na to, że miała rozpuszczone włosy. Nie dostrzegać, że okrywają ją tylko koszula nocna i szlafrok. Co prawda były skromne, ale i tak aż się prosiły, żeby je z niej zedrzeć. Nie mógł oderwać oczu od rąbka jedwabnej koszuli, spod którego wystawały kusząco paluszki bosych stóp…

Gapił się na jej palce u nóg. Do tego już doszedł?

— Czemu jesteś na mnie zły? — spytała znowu.

— Nie jestem zły — warknął. — Chcę tylko, żebyś stąd, do chol… — Pohamował się w ostatniej chwili. — …Żebyś opuściła mój pokój.

— Dlatego, że chcę wyjść ponownie za mąż? — spytała głosem pełnym emocji. — O to ci chodzi?

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc tylko patrzył na nią wilkiem.

— Uważasz, że zdradzam Johna — mówiła oskarżycielskim tonem. — Uważasz, że powinnam przez resztę życia nosić po nim żałobę.

Michael przymknął oczy.

— Nie, Francesco — odparł ze znużeniem. — Nigdy bym…

Ona jednak go nie słuchała.

— Myślisz, że po nim nie płaczę? — spytała z wyrzutem. — Myślisz, że nie wspominam go każdego dnia? Myślisz, że nie wiem, iż moja następna przysięga ślubna to będą kpiny z sakramentu małżeństwa?

Spojrzał na nią. Oddychała z trudem. Przemawiał przez nią gniew, a zapewne i ból po stracie męża.

— Wiem, że tego, co nas łączyło z Johnem — mówiła, drżąc na całym ciele — nie znajdę u żadnego z tych mężczyzn, którzy teraz przysyłają mi kwiaty. I sama myśl o ponownym zamążpójściu wydaje mi się świętokradztwem… i szczytem egoizmu. Gdybym nie pragnęła dziecka tak strasznie, tak… cholernie.

Urwała, może z nadmiaru emocji, a może ze wstydu, że zaklęła na głos. Stała, mrugając oczyma, z lekko rozchylonymi, drżącymi ustami, i wydawała się taka krucha, jakby najlżejsze dotknięcie mogło ją złamać.

Wiedział, że powinien okazać jej więcej współczucia, pocieszyć ją… i zrobiłby to, gdyby byli w jakimś innym pomieszczeniu, a nie w jego sypialni. Ponieważ jednak znajdowali się właśnie tam, mógł tylko z całej siły wziąć się w garść.

I panować nad sobą.

Znów spojrzała na niego; jej oczy były ogromne i tak niewiarygodnie błękitne, że aż zapierało dech.

— Nic nie rozumiesz — powiedziała i się odwróciła. Podeszła do długiej, niskiej komody i oparła się o nią. Jej palce wpiły się w drewno. —

Po prostu nic nie rozumiesz… — wyszeptała, nadal odwrócona plecami do Michaela.

Nie wiedzieć czemu, to właśnie okazało się kroplą przepełniającą czarę. Francesca wtargnęła tu i domagała się odpowiedzi, chociaż sama nie wiedziała, o co pyta. Wdarła się do jego sypialni, doprowadziła go do ostateczności, a teraz zamierzała zbyć go byle czym. Miała czelność odwrócić się do niego plecami i oświadczyć, że to on nic nie rozumie!

— Czegóż to nie rozumiem? — natarł na nią, biegnąc przez pokój. Jego kroki były ciche i szybkie, i zanim się opamiętał, znalazł się za jej plecami — tak blisko, że niemal się stykali. Tak blisko, że mógłby zagarnąć ją w ramiona i…

Odwróciła się błyskawicznie.

— Ty…

I nagle zamilkła. Nie wydała żadnego dźwięku. Nie poruszyła się. Tylko patrzyła mu prosto w oczy.

— Michaelu… — wyszeptała po chwili.

Nie wiedział, co to miało znaczyć. Czy było to zdziwienie? A może prośba?

Stała tak bez ruchu i słychać było tylko jej oddech. Nie odrywała oczu od jego twarzy.

Poczuł mrowienie w palcach. Całe jego ciało stanęło w ogniu. Była tak blisko… Nigdy jeszcze nie znajdowali się tak blisko siebie. I gdyby to była inna kobieta, nie Francesca, mógłby przysiąc, że pragnie, by ją pocałował.

Wargi miała rozchylone, oczy zamglone. Uniosła lekko głowę, jakby czekała, pełna nadziei, niecierpliwie, kiedy wreszcie Michael pochyli się nad nią i przypieczętuje jej los pocałunkiem.

Przyłapał się na tym, że szepcze coś bezwiednie. Może powtarzał jej imię? Poczuł ucisk w piersi, serce waliło mu jak szalone — i nagle to, co

niemożliwe, stało się nieuchronne. Pojął, że tym razem się nie powstrzyma. Tym razem nie było mowy o samokontroli, poświęceniu ani o poczuciu winy.

Tym razem nadeszła jego chwila.

Pocałuje ją!

Kiedy później zastanawiała się nad tym, jedynym usprawiedliwieniem wydało się jej to, że nie miała pojęcia, jak blisko stał Michael. Dywan był gruby i miękki, nie usłyszała więc jego kroków — tym bardziej że krew szumiała jej w uszach. Nie wiedziała o tej bliskości. Nie mogła o niej wiedzieć, gdyż wówczas nigdy by się nie odwróciła, by zmiażdżyć go swoją ripostą. Chciała powiedzieć mu coś okropnego, zranić go… Zależało jej na tym, by poczuł się winny, żeby mu się zrobiło przykro, ale gdy się odwróciła…

Stał tuż za nią.

Blisko, tak bardzo blisko. W odległości zaledwie paru cali. Od lat nikt nie zbliżył się do niej aż tak — a już z pewnością nie Michael.

Nie była w stanie mówić ani myśleć, ani wykonać żadnego ruchu — tylko oddychała gorączkowo i wpatrywała się w jego twarz, w pełni świadoma tego, jak bardzo pragnie, żeby ją pocałował.

Michael…

Wielki Boże, pragnęła go!

Ta myśl była jak pchnięcie nożem. Jak mogła odczuwać coś podobnego? Jak mogła czuć pociąg do kogokolwiek? A zwłaszcza do Michaela!

Musi natychmiast stąd wyjść. Co tam wyjść, uciec ile sił w nogach! Stała jednak, jakby wrosła w ziemię. Nie była w stanie oderwać od niego oczu, nie mogła się powstrzymać od zwilżenia językiem warg, a kiedy oparł jej ręce na ramionach, nie protestowała.

Nawet się nie cofnęła.

Co więcej, chyba przysunęła się do niego odrobinę. Coś głęboko w niej ukrytego przypomniało sobie podobne chwile i reguły tego odwiecznego tańca mężczyzny i kobiety.

Tyle już czasu upłynęło, odkąd po raz ostatni była o włos od pocałunku… ale są widać sytuacje i gesty, których kobiece ciało nie zapomina.

Michael dotknął jej podbródka i leciutko uniósł jej twarz ku sobie…

A ona nadal nie protestowała.

Wpatrzona w niego znów zwilżyła językiem wargi i czekała…

Czekała na dotknięcie jego ust, bo choć to było przerażające i grzeszne, wiedziała, że będzie zarazem cudowne.

I takie też było.

Jego wargi dotknęły jej warg leciutką, zwiewną pieszczotą. Był to pocałunek zniewalający swą delikatnością; sprawił, że poczuła mrowienie w całym ciele i rozpaczliwie zapragnęła czegoś więcej. Gdzieś na samym dnie świadomości czaiło się poczucie, że to, co robi, jest złe. Gorzej niż złe, to szaleństwo! Nie mogła się jednak poruszyć, choćby piekielne ognie lizały jej stopy.

Była jak w transie, obezwładniona dotykiem jego ust. Niezdolna do wykonania żadnego świadomego ruchu, kołysała się tylko leciutko, instynktownie. W żaden sposób nie próbowała mu się wyrwać.

Wstrzymując dech, czekała, żeby odważył się na coś więcej.

I się odważył. Rozpostarta dłoń dotknęła talii Franceski; poczuła żar bijący od jego palców. Nie przyciągnął jej do siebie, ale wyczuwała nacisk jego ręki i dzieląca ich przestrzeń zmniejszyła się sama, aż wreszcie jego wieczorowe ubranie zetknęło się z jedwabiem jej szlafroczka.

Zrobiło się jej gorąco. Topniała w jego objęciach.

Grzesznica!

Usta Michaela stały się śmielsze, a jej wargi się rozchyliły, pozwalając mu wtargnąć do wnętrza. Skorzystał z tego w całej pełni: jego język wślizgnął się do jej ust i rozpoczął niebezpieczny taniec, drażniąc ją i kusząc, podsycając jej pożądanie, aż poczuła, że nogi się pod nią uginają i musiała wesprzeć się na nim, objąć go z własnej woli, dowodząc tym samym, że i ona bierze czynny udział w pocałunkach.

Że pragnie tego.

Wyszeptał jej imię głosem ochrypłym z pożądania i czegoś jeszcze, co graniczyło z bólem. Ona jednak mogła tylko trzymać się go kurczowo, pozwalać, by ją całował i — mój Boże! — całować go także.

Wodziła dłonią po jego karku, rozkoszując się ciepłem jego skóry. Włosy Michaela — nieco dłuższe, niż dyktowała najnowsza moda — zwijały się w jej palcach, gęste i kędzierzawe. Jakże pragnęła cała się w nich zanurzyć!

Dłoń Michaela sunęła w górę jej pleców, pozostawiając za sobą ognisty szlak. Palce drugiej ręki pieściły ramię Franceski, ześlizgiwały się po nim — aż dotarły do piersi.

Francesca zesztywniała.

Ale Michael był zbyt roznamiętniony, by to zauważyć; objął jej pierś, cichutko jęknął i ścisnął delikatnie.

— Nie — zaprotestowała szeptem Francesca.

To było zbyt zuchwałe. Zbyt intymne.

Tylko Michael mógł ośmielić się na coś takiego.

— Francesco… — szeptał, sunąc wargami po jej policzku w stronę ucha.

— Nie — powtórzyła i wyrwała mu się. — Nie mogę.

Nie chciała na niego patrzeć, ale i nie mogła powstrzymać się od patrzenia. A gdy patrzyła, ogarniał ją wstyd.

Michael spuścił głowę, odwrócił się nieco, ale nadal wpatrywał się w nią. Jego oczy były gorące i pełne napięcia.

Spojrzenie Michaela paliło ją.

— Nie mogę — wyszeptała.

Nic nie odpowiedział.

Słowa padały teraz z jej ust nieco szybciej, ale nie było ich wiele.

— Nie mogę. Nie mogę… Ja…

— Więc odejdź — wykrztusił. — Natychmiast!

Rzuciła się do ucieczki.

Schroniła się w swoim pokoju, nazajutrz zaś przeniosła się do matki.

Dzień później uciekła jeszcze dalej — aż do Szkocji.

15

…Rada jestem, że tak dobrze wiedzie Ci się w Indiach, może jednak pomyślałbyś o powrocie do domu? Nam wszystkim bardzo Ciebie brakuje, a poza tym masz obowiązki, których nie można wypełniać z odległości tylu tysięcy mil!

Helen Stirling do syna, hrabiego Kilmartin, dwa lata i cztery miesiące po jego wyjeździe do Indii

Z Franceski zawsze była sprytna kłamczucha, myślał Michael, czytając pozostawiony przez nią list do Janet i Helen.

Jeszcze lepiej wychodzi jej to na piśmie niż w kontakcie oko w oko z oszukiwanymi.

„Wzywają mnie do Kilmartin nieoczekiwane kłopoty” — fantazjowała Francesca, opisując z godną podziwu dokładnością wybuch plamistej gorączki wśród owiec. Ów dopust boży wymagał rzekomo jej natychmiastowego przyjazdu. — „Nie ma powodu do niepokoju” — uspokajała jednak starsze damy. Zapewniała je, że powróci niebawem i obiecywała przywieźć wspaniałe konfitury malinowe (specjalność kucharki z Kilmartin), do których nie umywają się żadne londyńskie smakołyki.

Nieważne, że Michael nigdy nie słyszał o gorączce plamistej szerzącej się wśród owiec ani w ogóle wśród hodowlanego bydła. Ciekawe, gdzie właściwie biedne owce miały te plamy…

Wszystko to było sprytnie pomyślane i ucieczka poszła Francesce jak po

maśle. Michael zastanawiał się, czy ta chytruska nie zaaranżowała także wyjazdu obu starszych pań z miasta pod koniec tygodnia, dzięki czemu nie musiała spotykać się z nimi bezpośrednio przed swą ucieczką i łgać im w żywe oczy.

W każdym razie była to ucieczka. Bez wątpienia. Michael ani przez chwilę nie wierzył, że Francescę wezwano nagle do Kilmartin. Gdyby tak było, czułaby się w obowiązku poinformować go o całej sprawie. Może i zarządzała od lat hrabiowskimi dobrami, ale on — hrabia Kilmartin — był przecież właścicielem tych dóbr. Z pewnością Francesca nie zamierzała uzurpować sobie pozycji głowy rodu ani podważać autorytetu Michaela zwłaszcza teraz, gdy wrócił do kraju.

A poza tym pocałował ją, a co więcej — widział wyraz jej twarzy zaraz po tym pocałunku.

Gdyby tylko mogła, uciekłaby na Księżyc!

Janet i Helen nie wydawały się specjalnie przejęte jej wyjazdem, choć gadały — i to bez końca — o tym, jak im brak Franceski.

Michael zaś przesiadywał w swoim gabinecie i nieustannie się zadręczał.

Pocałował ją.

Nie najlepszy sposób działania, myślał kwaśno, dla kogoś, kto stara się ukryć swoje uczucia.

Znał Francescę od sześciu lat. I przez sześć lat zachowywał wszystko w tajemnicy, bezbłędnie odgrywając swoją rolę. Przez sześć lat — a potem zniszczył wszystko jednym pocałunkiem.

Tylko że to nie był zwykły pocałunek.

Jak to możliwe, by pocałunek mógł do tego stopnia przewyższać wszelkie jego sny i marzenia?… Mając sześć lat na fantazjowanie, mógł przecież wyobrażać sobie naprawdę niezwykłe pieszczoty.

A jednak ten pocałunek okazał się czymś więcej. Znacznie więcej. To

był…

To był po prostu pocałunek Franceski.

Zdumiewające, do jakiego stopnia wszystko zmienił. Można przez całe lata, dzień w dzień, marzyć o kobiecie, wyobrażać sobie, jak cudownie byłoby trzymać ją w ramionach… ale nie miało to nawet porównania z rzeczywistością.

Teraz znalazł się w znacznie gorszej sytuacji niż poprzednio. Tak, pocałował ją i był to najcudowniejszy pocałunek w całym jego życiu.

Ale to się skończyło.

I nigdy się nie powtórzy.

Teraz, gdy to się wreszcie wydarzyło, teraz, gdy zakosztował doskonałości, cierpiał znacznie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Teraz wiedział dokładnie, co utracił. Z przerażającą wyrazistością zrozumiał, czym było to, czego nigdy nie zazna.

I odtąd nic już nie będzie takie jak przedtem.

Nigdy nie wrócą do dawnej przyjaźni. Francesca nie należała do kobiet, które traktują lekko zbliżenie fizyczne. A że nie znosiła niezręcznych sytuacji, zrobi wszystko, żeby go odtąd unikać.

Do wszystkich diabłów! Przebyła całą drogę do Szkocji tylko po to, żeby się go pozbyć. Nie sposób jaśniej wyrazić swoje uczucia.

Albo ten liścik do niego… Znacznie oszczędniejszy w słowach niż epistoła, którą pozostawiła dla obu matek.

To był błąd. Wybacz!

Z jakiej racji Francesca prosiła go o wybaczenie? Nie mógł tego pojąć. Przecież to on ją pocałował. Mogła wtargnąć do sypialni wbrew jego woli, ale miał wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że nie zrobiła tego, żeby ją obściskiwał. Na litość boską, chodziło jej wyłącznie o to, że gniewał się na nią, jak sądziła…

Postąpiła nierozważnie, ale tylko dlatego, że zależało jej na nim i ceniła sobie jego przyjaźń.

A on to wszystko zniszczył.

Nadal nie bardzo wiedział, jak to się stało. Wpatrywał się w nią; nie mógł oderwać od niej oczu. Ten obraz utrwalił się na zawsze w jego mózgu: różowy jedwabny szlafroczek Franceski i sposób, w jaki zaciskały się jej paluszki, gdy coś do niego mówiła. Rozpuszczone włosy spływały jej na jedno ramię, a oczy miała ogromne i wilgotne z przejęcia.

A potem odwróciła się od niego…

I wszystko uległo zmianie. Zbudziło się w nim coś, czego nie potrafiłby określić — i nogi same go poniosły. Nagle znalazł się po przeciwnej stronie pokoju, tuż za nią; dzieliło ich zaledwie parę cali. Był tak blisko, że mógł jej dotknąć, chwycić ją w ramiona…

Wówczas ona znów się odwróciła — twarzą ku niemu. A on stracił głowę.

W tym momencie nie było mowy o hamowaniu się czy słuchaniu głosu rozsądku. Żelazna samokontrola, dzięki której od lat powściągał swoją namiętność, po prostu przestała istnieć. Musiał pocałować Francescę.

To było takie proste — nie mogło być mowy ani o dokonaniu wyboru, ani o wolnej woli… Może gdyby Francesca protestowała, gdyby się cofnęła… ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Stała bez słowa, w ciszy słychać było tylko jej oddech, i czekała.

Czekała na pocałunek? Czy na to, by Michaelowi wrócił rozum i się odsunął?

Nieważne, pomyślał i niecierpliwie zgniótł w ręku kolejną kartkę papieru. Cała podłoga wokół jego biurka była nimi pokryta. Wpadł w niszczycielski szał, a na nich najłatwiej było wyładować swój gniew.

Chwycił następny kremowobiały arkusik, leżący na blacie biurka, i od niechcenia rzucił nań okiem, zanim zmiął go w garści. Było to zaproszenie.

Michael pochylił się nad nim i przyjrzał uważniej. Zaproszenie na dzisiejszy wieczór; zapewne je przyjął. Był prawie pewien, że Francesca zamierzała wziąć udział w tym przyjęciu — pani domu była jej długoletnią przyjaciółką.

Może powinien powlec się na górę i przebrać w strój wieczorowy? A potem wyjść z domu i poszukać sobie żony?… Pewnie, że nie uleczy w ten sposób tego, co go dręczy, ale i tak w końcu musi się ożenić. I z dwojga złego było to lepsze rozwiązanie niż siedzenie za biurkiem i upijanie się.

Michael wstał i raz jeszcze spojrzał na zaproszenie. Westchnął. Naprawdę nie miał ochoty na pogaduszki z setką osób, które zaczną go wypytywać o Francescę. Na dodatek, pewnie na przyjęciu będzie się roiło od braci Bridgertonów, a także — co gorsza — dam z tej rodziny, bardzo podobnych do siebie z tymi kasztanowatymi włosami i szerokim uśmiechem. Żadna z nich nawet się nie umywała do Franceski. Wszystkie były nazbyt przyjacielskie, takie szczere i wesolutkie. Brakowało im mgiełki tajemniczości, która otaczała Frannie, i nieco ironicznego błysku w oczach.

Nie, stanowczo nie miał ochoty na wieczór w eleganckim towarzystwie.

Postanowił więc zastosować na swe kłopoty to samo lekarstwo co zawsze: znajdzie sobie jakąś kobietę.

Trzy godziny później Michael stał przed głównym wejściem do swojego klubu. Był w fatalnym nastroju.

Wybrał się do La Belle Maison. Był to — co tu ukrywać? — burdel, ale przynajmniej luksusowy i dyskretny. Miało się tu pewność, że dziewczęta są czyste i uprawiają swój fach z własnej nieprzymuszonej woli. Michael

zaglądał tam od czasu do czasu, gdy mieszkał w Londynie; większość jego znajomych także odwiedzała La Belle (jak najczęściej nazywano ów przybytek radości) z takiej czy innej okazji. Nawet John tam bywał, zanim się ożenił z Francescą.

Michael został powitany przez madame niezwykle ciepło, zupełnie jakby był synem marnotrawnym. Zapewniała, że jego odwiedziny to dla nich zaszczyt. A poza tym bardzo go im brakowało. Dziewczęta zawsze za nim przepadały; należał do nielicznych klientów, którzy dbają nie tylko o własną, ale i o ich przyjemność.

Z jakiegoś powodu te pochlebstwa budziły w Michaelu wyraźny niesmak. Nie czuł się wcale jak legendarny kochanek, miał dość sławy uwodziciela i niewiele go obchodziło, czy tej nocy kogoś uszczęśliwi, czy nie. Trzeba mu było po prostu kobiety, która sprawi, że w jego mózgu — choćby na chwilę — zapanuje błoga pustka.

Madame szczebiotała, że mają dziewczynę w sam raz dla niego. Jest nowa i wszyscy się o nią dobijają. Z pewnością przypadnie mu do gustu. Michael wzruszył tylko ramionami i pozwolił się zaprowadzić do drobniutkiej jasnowłosej pięknotki, która — jak go zapewniano — była ekstraklasa.

Już miał ją objąć, ale ręce same mu opadły. Ta dziewczyna wcale się nie nadawała. Za jasna. Nie chciał jasnej blondynki.

— W porządku! — odpowiedziano mu i zamiast niej pojawiła się kusząca brunetka.

Zbyt egzotyczna.

Może ruda?

Też mu nie pasowała.

Proponowano mu następne, jedną po drugiej, ale wszystkie były nieodpowiednie: za młode, za stare, za grube, zbyt chude… W końcu

wybrał jakąś na chybił trafił, zdecydowany zamknąć oczy i uporać się z tym jak najszybciej.

Wytrwał dwie minuty.

Potem drzwi La Belle zamknęły się za nim.

Był bliski mdłości i wpadł niemal w panikę. Zdał sobie sprawę, że nic z tego nie będzie.

Nie był w stanie kochać się z tą kobietą. Okropność. I co za wstyd! Do diabła. Równie dobrze mógłby chwycić za nóż i się wykastrować.

Dawniej zażywał rozkoszy z wieloma kobietami, żeby zapomnieć o tej jednej. Odkąd jednak zakosztował jej smaku — nawet jeśli wymienili tylko przelotny pocałunek — był skończony.

Udał się więc do swego klubu, gdzie przynajmniej wiedział, że nie natknie się na żadną spódniczkę. Chodziło mu jedynie o to, by zapomnieć o Francesce, i miał nadzieję, że alkohol poskutkuje tam, gdzie zawiodły urocze dziewczęta z La Belle Maison.

— Cześć, Kilmartin!

Michael obejrzał się, kto go woła.

Colin Bridgerton.

— A, to ty, Bridgerton — burknął.

Jasna, ciężka cholera! Colin był ostatnią osobą, jaką chciałby teraz zobaczyć. Nawet duch Napoleona, przybywającego z zaświatów, by ściąć Michaelowi głowę swoim rapierem, byłby milej widziany.

— Przysiądź się — rzucił Colin, wskazując mu krzesło naprzeciw siebie.

Nie było wyjścia. Michael mógł co prawda skłamać, że umówił się z kimś, ale nie był to jeszcze powód, żeby nie napić się z Colinem, czekając na owego znajomka. Michael zacisnął więc zęby i usiadł, żywiąc nadzieję, iż Bridgerton też ma się z kimś spotkać — powiedzmy, za trzy minuty.

Colin wziął do ręki kieliszek, przyjrzał mu się z niezwykłą uwagą,

obrócił w palcach, aż bursztynowy trunek zawirował, po czym wypił niewielki łyk.

— Słyszałem, że Francesca wróciła do Szkocji?

Michael mruknął coś i skinął głową.

— Zdumiewające. Co jej strzeliło do głowy? Sezon dopiero się zaczął.

— Nie czytam w jej myślach.

— Oczywiście, że nie — odparł miękko Colin. — Żaden jako tako inteligentny mężczyzna nie udaje znawcy kobiecej duszy.

Michael nic nie odpowiedział.

— Co prawda minęły zaledwie — ileż to, dwa tygodnie, odkąd przyjechała?

— Trochę więcej — odwarknął Michael.

Francesca przybyła do Londynu tego samego dnia co on.

— Masz rację, oczywiście. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, prawda?

Michael rzucił mu ostre spojrzenie. U licha, do czego Colin zmierzał?

— Dobrze! — Colin wzruszył niedbale jednym ramieniem. — Jestem pewien, że Francesca niebawem tu wróci. Mało prawdopodobne, żeby znalazła sobie w Szkocji męża… a na tym jej ostatnio zależy, nieprawdaż?

Michael od niechcenia kiwnął głową, wpatrując się w stolik po przeciwnej stronie pokoju. Był wolny. Rozkosznie wolny. Czarująco pusty. Wiele by dał, żeby siedzieć teraz przy nim.

— Nie jesteśmy zbyt rozmowni tego wieczoru, nieprawdaż? — spytał Colin, przerywając Michaelowi jego, jakże niewinne, marzenia.

— Rzeczywiście — odparł Michael, niezbyt zachwycony protekcjonalną nutką w głosie rozmówcy. — Nie jesteśmy.

Colin roześmiał się i wypił ostatni łyk ze swego kieliszka.

— Cóż, chciałem cię tylko wypróbować — powiedział, odchylając się na

oparcie krzesła.

— Żeby sprawdzić, czy rozdzielę się spontanicznie na dwa niezależne byty? — odciął się Michael.

— Ależ skąd — zaprotestował Colin z podejrzanie beztroskim uśmiechem. — To widać gołym okiem. Chciałem się przekonać, w jakim jesteś nastroju.

Michael uniósł brew w wyjątkowo nieprzyjazny sposób.

— I co odkryłeś?

— Że w takim jak zwykle — odparł Colin, ani trochę nieporuszony.

Michael obrzucił go tylko morderczym spojrzeniem, jako że zjawił się kelner, niosąc trunki.

— Piję za szczęście! — oznajmił Colin, unosząc swój kieliszek do góry.

Zaraz go uduszę, zdecydował się ostatecznie Michael. Sięgnę przez stół i chwycę go za gardło tak, że mu te wredne zielone oczy same wyskoczą z głowy!

— A ty nie wypijesz za szczęście? — spytał Colin.

Michael wydał jakiś nieartykułowany pomruk i jednym haustem opróżnił swój kieliszek.

— Co to było? — zagadnął lekkim tonem Colin. Pochylił się i zajrzał Michaelowi do kieliszka. — Z pewnością coś wyjątkowo dobrego.

Michael zwalczył pokusę rozbicia mu na łbie opróżnionego kieliszka.

— W porządku — stwierdził Colin, wzruszając ramionami. — Sam wypiję za własne szczęście.

Pociągnął łyk, odchylił się do tyłu i znów przytknął kieliszek do ust.

Michael zerknął na zegar.

— Jak to dobrze się składa, że nigdzie mi się nie spieszy, prawda? — rozważał na głos Colin.

Michael z głośnym brzękiem odstawił swój kieliszek na stół.

— Czy te wszystkie zagrywki mają jakiś sens? — rzucił zadziornie.

Przez chwilę wyglądało na to, że Colin, który bez trudu potrafił przegadać każdego, tym razem zachowa milczenie. Kiedy jednak Michael był już gotów odrzucić wszelkie względy uprzejmości, wstać i wyjść, Bridgerton się odezwał.

— Postanowiłeś już, co zrobisz?

Michael znieruchomiał.

— W jakiej sprawie?

Colin uśmiechnął się z taką wyższością, że Michael miał ochotę porządnie go walnąć.

— W sprawie Franceski, rzecz jasna — odparł.

— Czy nie ustaliliśmy dopiero co, że wyjechała do Szkocji? — spytał ostrożnie Michael.

Colin wzruszył ramionami.

— Do Szkocji nie jest znów tak daleko.

— Ale i nie blisko — burknął Michael.

Z pewnością było dość daleko, żeby jej wyjazd świadczył dobitnie o chęci zerwania wszelkich kontaktów. Zwłaszcza z nim.

— Będzie tam cholernie samotna — zauważył z westchnieniem Colin.

Michael zmrużył tylko oczy i popatrzył na niego. Twardym wzrokiem.

— Nadal jestem zdania, że powinieneś… — zaczął Colin i urwał z pełnym rozmysłem. Michael nie miał co do tego wątpliwości. — Cóż… dobrze wiesz, co o tym myślę — zakończył po chwili i znów pociągnął niewielki łyczek.

Michael pożegnał się ostatecznie z uprzejmością.

— Co ty wiesz, Bridgerton.

Colin uniósł brwi, słysząc warknięcie Michaela.

— Zabawne — mruknął. — Ludzie ciągle mi to powtarzają. Zwłaszcza

moje siostry.

Michael dobrze znał tę taktykę; zręczny unik Colina był manewrem tego rodzaju, jakich dokonywał sam, ze zręcznością i wprawą. I — być może — właśnie z tego powodu jego prawica zacisnęła się pod stołem w pięść. Nic tak nie irytuje, jak cudze zachowanie będące lustrzanym odbiciem naszego.

Twarz Colina znajdowała się tak kusząco blisko…

— Jeszcze jedną whisky? — zaproponował Bridgerton, niszcząc bezpowrotnie cudowną wizję Michaela o podbiciu mu zielonych oczu.

Michael nie miał nic przeciwko temu, by upić się do nieprzytomności, ale stanowczo nie zamierzał dokonać tego w towarzystwie Colina Bridgertona, toteż odpowiedział krótkim „Nie!” i odsunął się z krzesłem od stołu.

— Rozumiesz chyba, Kilmartin — tłumaczył Colin głosem tak łagodnym, że aż strach ogarniał — iż nic nie stoi na przeszkodzie waszemu małżeństwu. Absolutnie nic. Oprócz, ma się rozumieć — dodał jakby od niechcenia — wytworów twojej wyobraźni.

Michael poczuł, jak coś mu chrupnęło w piersi. Zapewne serce mu pęka, ale tak już do tego przywykł, że aż dziw, iż w ogóle to zauważył.

A tymczasem Colin wcale nie chciał się przymknąć.

— Jeśli ci to nie odpowiada — mówił z namysłem — to się oczywiście nie żeń, ale…

— Mogłaby odmówić — dotarł do Michaela jego własny głos: chrapliwy, zdławiony, nie do poznania.

Gdyby nawet wskoczył na stół i wrzasnął, że kocha Francescę, nie byłoby to bardziej oczywiste.

Colin pochylił lekko głowę na bok, dając do zrozumienia, że dotarł do niego cały podtekst wypowiedzi Michaela.

— Pewnie, że tak — mruknął. — Prawdę mówiąc, bardzo możliwe, że to

zrobi. Kobiety często odrzucają oświadczyny za pierwszym razem.

— A ty ile razy się oświadczałeś?

Colin uśmiechnął się leniwie.

— Tylko raz, prawdę mówiąc. Dziś po południu, jeśli chcesz wiedzieć dokładnie.

Ta informacja była tak nagła i zaskakująca, że zdołała przebić się przez gęstą mgłę skłębionych emocji spowijających szczelnie Michaela.

— Co takiego? — zdumiał się i szczęka mu opadła.

Przecież to był Colin Bridgerton, najstarszy z nieżonatych Bridgertonów, niezrównany mistrz w sztuce wymykania się z groźnej pułapki małżeństwa.

— Słuch cię nie myli — odparł łagodnie Colin. — Pomyślałem, że już na to najwyższy czas, choć, jeśli mam być szczery, moja wybranka nie wystawiła mnie na ciężką próbę powtórnych oświadczyn. Ale, jeśli ci to poprawi humor, dodam, że trwało dobrych kilka minut, nim wydobyłem z niej wyraźne „tak”.

Michael wpatrywał się w niego w osłupieniu.

— Moje oświadczyny tak ją zaskoczyły, że rymnęła jak długa na ziemię — przyznał Colin.

Michael usiłował zwalczyć impuls, który nakazywał mu rozejrzeć się bacznie — czy przypadkiem nie wylądował na scenie w samym środku jakiejś farsy.

— Nic jej się nie stało? — spytał.

— Nic a nic — uspokoił go Colin i wziął znów do ręki kieliszek.

Michael odchrząknął, zmieszany.

— Mogę spytać o nazwisko szczęśliwej wybranki?

— Penelopa Featherington.

Ta niemowa? — omal nie wykrzyknął głośno Michael. Cóż za niedobrana para!

— Widzę, że jesteś naprawdę zdumiony — zauważył Colin, na szczęście nie tracąc dobrego humoru.

— Nie miałem pojęcia, że postanowiłeś się ustatkować — pospiesznie tłumaczył się Michael.

— Ja też nie miałem o tym pojęcia — odparł Colin z uśmiechem. — Zabawne, jak to czasem nieoczekiwanie na człowieka spada.

Michael otworzył usta, by mu złożyć gratulacje, ale zamiast tego spytał:

— Czy ktoś powiadomił o tym Francescę?

— Zaręczyłem się dopiero dziś po południu — przypomniał mu Colin, także nieco rozkojarzony.

— Z pewnością chciałaby się o tym dowiedzieć.

— Chyba! Dość się nacierpiała przeze mnie w dzieciństwie. Z pewnością chętnie potraktowałaby mnie z okazji zaślubin jakąś wyjątkowo złośliwą psotą.

— Ktoś powinien ją o tym zawiadomić — stwierdził Michael z przekonaniem, całkowicie ignorując dziecięce wspomnienia swego rozmówcy.

Colin znowu odchylił się do tyłu i westchnął lekko.

— Pewnie matka do niej napisze.

— Wasza matka będzie miała pełne ręce roboty. Wątpię, by w pierwszej kolejności zabrała się do pisania listu do Franceski.

— Nie zamierzam bawić się w proroka.

Michael zmarszczył brwi.

— Ktoś stanowczo powinien donieść jej o tym.

— Istotnie — odparł Colin z uśmiechem. — Ktoś powinien. Sam bym się do niej wybrał… Całe wieki nie byłem w Szkocji. Ale czuję, że będę teraz uwiązany w Londynie z racji przygotowań do ślubu… I z tego właśnie powodu zwróciłem się do ciebie, rozumiesz?

Michael rzucił mu spojrzenie pełne oburzenia. Złościło go, że Colin jest przekonany, że tak zręcznie nim manipuluje. Nie wiedział jednak, jak mógłby pozbawić go tych złudzeń, nie przyznając się zarazem do tego, że rozpaczliwie pragnie udać się do Szkocji i zobaczyć z Francescą.

— Kiedy ślub? — spytał.

— Jeszcze nie wiem dokładnie — odparł Colin. — Mam nadzieję, że dość szybko.

Michael skinął głową.

— W takim razie trzeba ją powiadomić bez zwłoki!

Colin leniwie się uśmiechnął.

— Właśnie.

Michael się nastroszył.

— Nie musisz się z nią od razu żenić — perswadował mu Colin. — Zawiadom ją tylko o moim rychłym ślubie.

Michael znowu pomyślał, że dobrze byłoby udusić Colina Bridgertona, ten pomysł coraz bardziej mu się podobał.

— Do miłego zobaczenia! — zawołał za nim Colin, gdy Michael zmierzał już do drzwi. — Za jakiś miesiąc, co?

Najwyraźniej nie spodziewał się w najbliższym czasie spotkać Michaela w Londynie.

Michael zaklął pod nosem, ale nie zaprzeczył. Mógł żywić do siebie pogardę, lecz miał już pretekst, by udać się do Franceski — i nie potrafił oprzeć się pokusie.

Ważniejsze jednak było pytanie, czy zdoła oprzeć się samej Francesce.

I drugie, jeszcze bardziej istotne: czy w ogóle zamierzał się opierać.

Kilka dni później Michael stał przed głównym wejściem do Kilmartin — domu swego dzieciństwa. Ileż to lat upłynęło, odkąd po raz ostatni był tutaj? Więcej niż cztery. Nagle zaparło mu dech, gdy uprzytomnił sobie, że

wszystko — dwór, pola, cały majątek — należy teraz do niego. Jakoś do tej pory nie mógł w to uwierzyć; protestował nie tyle jego rozum, co serce.

Wiosna jeszcze nie zawitała na szkockie pogranicze i powietrze, choć już nie mroźne, było na tyle chłodne, że Michael musiał rozcierać ręce zziębnięte mimo rękawiczek. W powietrzu wisiała mgła, niebo było szare, a jednak coś w tutejszej atmosferze przemawiało do Michaela, przypominając jego znużonej duszy, że właśnie tu, a nie w Londynie czy w Indiach, jest jego dom.

Jednakże poczucie więzi z Kilmartin nie wystarczyło, by gotów był stawić czoło wszystkiemu, co go tu czeka. Wybiła godzina, by stanąć twarzą w twarz z Francescą.

Od swej rozmowy w Londynie z Colinem Bridgertonem Michael przygotowywał się na tę chwilę i ćwiczył tę scenę tysiące razy — co powie Francesce, jakie argumenty jej przedstawi… Miał wrażenie, że obmyślił wszystko dokładnie. Przecież zanim przekona Francescę, musiał przekonać samego siebie.

Ożeni się z nią na pewno.

Skłoni ją, by wyraziła na to zgodę. Nie zamierzał zmuszać jej do małżeństwa. Z pewnością Francesca wysunie mnóstwo zastrzeżeń, ale on w końcu ją przekona.

Pobiorą się.

Nigdy przedtem nie pozwalał sobie na podobne marzenia.

Im dłużej jednak się nad tym zastanawiał, tym rozsądniejsza wydawała mu się ta decyzja. Zapomni o tym, że ją kochał, i to od lat. Francesca wcale nie musi o tym wiedzieć. Czułaby się tylko zażenowana, a on wyszedłby na ostatniego głupca.

Jeśli jednak przedstawi jej sprawę rozsądnie, umotywuje, dlaczego powinni się pobrać, z pewnością Francesca dostrzeże dobre strony tego

pomysłu. Może nie zrozumiałaby targających nim uczuć, których nie podziela, ale ma sprytną główkę i potrafi dostrzec wyraźne korzyści.

On zaś — teraz, gdy wreszcie mógł marzyć o ich wspólnym życiu — nie pozwoli jej się wymknąć. Doprowadzi do tego, że marzenia się urzeczywistnią. Z pewnością tego dokona.

I wszystko będzie dobrze. Co prawda nigdy nie posiądzie jej w pełni, nie zdobędzie jej serca (o tym wiedział), ale będzie ją miał… połowicznie. I to mu wystarczy.

I tak osiągnie znacznie więcej, niż ma teraz.

A nawet połowiczne posiadanie Franceski to przecież szczyt szczęścia!

Czyż nie?

16

…ale jak sama pisałaś, Francesca zarządza Kilmartin z godną podziwu zręcznością. Nie zamierzam zaniedbywać swych obowiązków i zapewniam Cię, że gdybym nie miał tak utalentowanej zastępczyni, powróciłbym bez zwłoki!

Hrabia Kilmartin do matki, Helen Stirling, dwa lata i sześć miesięcy po swoim wyjeździe do Indii. W trakcie pisania tego listu hrabia mruczał pod nosem: „Nie odpowiedziała na moje pytanie!”

Francesca nie chciała zachowywać się jak tchórz, ale mając do wyboru tchórzostwo i popełnienie kolosalnego głupstwa, bez wahania zdecydowała się na to pierwsze.

Byłaby skończoną idiotką, pozostając w Londynie — w dodatku pod tym samym dachem co Michael Stirling — po tym, jak się z nim całowała.

To było…

Nie, nie będzie o tym myśleć. Ilekroć się nad tym zastanawiała, dręczył ją wstyd i wyrzuty sumienia. Jak mogła czuć pociąg właśnie do Michaela?

Nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek poczuje coś takiego. Miała nadzieję, że z przyszłym mężem połączy ją nić łagodnej sympatii. Jego pocałunek może być przyjemny, ale z pewnością nie wywrze na niej wstrząsającego wrażenia.

I to powinno jej całkowicie wystarczyć.

Michael ją pocałował. A co gorsza, ona oddała mu pocałunek. I od tamtej pory nieustannie wyobrażała sobie jego usta na swoich, a potem wędrujące po całym jej ciele. W nocy zaś, gdy leżała samotnie w swoim ogromnym

łożu, marzenia stawały się jeszcze bardziej wyraziste, a jej ręka sama sunęła w dół ciała, zatrzymując się dopiero na skraju przepaści.

Nie powinna… Absolutnie nie może snuć podobnych fantazji na temat Michaela. To grzech! Gdyby nękały ją takie pragnienia związane z kimś innym, też czułaby się okropnie… ale tu przecież chodziło o Michaela.

Był stryjecznym bratem Johna. Jego najserdeczniejszym przyjacielem. A także jej przyjacielem. Jak mogła się z nim całować?

Ale to było takie cudowne, myślała z westchnieniem.

I właśnie dlatego uznała, że lepiej być tchórzem niż skończoną idiotką — i uciekła do Szkocji. Nie ufała sobie samej, nie wierzyła, że potrafi mu się oprzeć.

Przebywała już w Kilmartin od tygodnia, starając się odzyskać spokój w regularnym, codziennym rytmie życia starej siedziby. Zawsze można tu było znaleźć coś do roboty — a to przejrzeć raporty rządców, to znów odwiedzić dzierżawców… Tylko że wypełnianie tych obowiązków nie sprawiało obecnie Francesce takiej satysfakcji, jak zwykle. Regularny tryb wiejskiego życia powinien działać uspokajająco, a sprawiał, że była niespokojna i nie mogła skupić myśli na jakiejś jednej sprawie.

Czuła się wiecznie zdenerwowana i rozkojarzona, często nie wiedziała, co ze sobą począć. Nie potrafiła usiedzieć na jednym miejscu, opuszczała więc dwór na długie godziny i wdziawszy najwygodniejsze buty, włóczyła się po okolicy aż do wyczerpania.

Nie zapewniło jej to, niestety, spokojnego snu w nocy, ale przynajmniej próbowała się czymś zająć.

Tego dnia zdecydowała się na wspinaczkę i zdobyła właśnie szczyt najwyższego w okolicy wzniesienia. Ciężko dysząc z wysiłku, spoglądała w ciemniejące niebo i starała się odgadnąć, która godzina i czy będzie padało.

Było niewątpliwie późno i zanosiło się na deszcz.

Francesca zmarszczyła brwi. Pora wracać do domu! Nie czekała jej długa droga: musiała tylko zejść do podnóża góry, a potem przeciąć na skos łąkę pokrytą gęstą trawą. Nim jednak znalazła się pod majestatycznym frontowym portykiem, zaczęło mżyć i twarz jej pokryły drobniutkie kropelki deszczu. Stanąwszy u celu, Francesca zdjęła czepek i strząsnęła z niego wilgoć, rada, że nie zapomniała włożyć go przed wyjściem. Nie zawsze bywała taka przezorna! Już miała udać się na górę do swej sypialni i uraczyć tam czekoladą z biszkoptami, gdy nagle wyrósł przed nią Davies, majordomus.

— Milady…

Najwyraźniej miał jej coś do przekazania.

— Słucham?

— Ma pani hrabina gościa.

— Gościa?

Francesca zmarszczyła czoło, zbierając myśli. Zdecydowana większość znajomych, którzy mogliby zjawić się z wizytą w Kilmartin, udała się do Edynburga czy do Londynu, by wziąć udział w sezonie.

— To znaczy… niezupełnie gościa, milady.

Michael! To musiał być on. Właściwie nie była zaskoczona; przyszło jej już do głowy, że mógłby przyjechać tu za nią. Uznała jednak, że Michael uczyni to natychmiast albo da temu spokój. Teraz, po upływie tygodnia, doszła do wniosku, że może się już nie obawiać jego odwiedzin.

Ani własnej reakcji na jego przyjazd.

— Gdzie on jest? — spytała Daviesa.

— Pan hrabia?

Skinęła głową.

— Czeka na powrót jaśnie pani w różanym salonie.

— Od dawna?

— Nie, milady.

Francesca odprawiła służącego skinieniem głowy i zmusiła swoje oporne nogi, by zaniosły ją przez hol do salonu. Nie powinna aż tak się lękać. Na litość boską, przecież to po prostu Michael.

Była jednak pełna obaw, iż Michael nigdy już nie będzie dla niej „po prostu Michaelem”.

Nie znaczyło to wcale, że nie zastanawiała się, i to często, co mu powie, gdyby się tu zjawił. Teraz wszelkie utarte frazesy i gładkie wyjaśnienia wydawały się niewystarczające, by użyć ich w rozmowie.

Jak miło cię widzieć, Michaelu! — mogłaby powiedzieć, udając, że nic się między nimi nie wydarzyło. Albo: Rozumiesz chyba, że to niczego nie zmieni! — choć w rzeczywistości wszystko uległo zmianie.

Mogłaby również, udając, że jest w doskonałym humorze, tak oto zacząć rozmowę: Ależ to zabawne, nieprawdaż? Wprost nie do wiary!

Szczerze mówiąc, bardzo wątpiła, czy któreś z nich dwojga naprawdę się tym ubawi.

Postanowiła więc, że coś wymyśli na poczekaniu, i weszła do słynącego z urody różanego salonu w Kilmartin.

Michael stał przy oknie — może wypatrywał jej powrotu? — i nie odwrócił się, gdy weszła. Widać było, że jest prosto z podróży — w pogniecionym ubraniu, z włosami w nieładzie. Niemożliwe, by odbył konno całą drogę do Szkocji! Na coś takiego mógł się zdecydować tylko ostatni głupiec lub ktoś, kto ściga zakochaną parę zmierzającą do Gretna Green! Dość często jednak podróżowała w towarzystwie Michaela, by domyślić się, że spędził zapewne większość drogi na koźle, obok woźnicy. Nie znosił długiej jazdy w zamkniętym powozie i wolał zmoknąć na deszczu, niż dusić się we wnętrzu karetki pocztowej jak inni podróżni.

Nie powitała go od razu. Może powinna była to zrobić? Nie zyskiwała wiele na czasie. Nawet bez powitalnego okrzyku Michael lada chwila odwróci się do niej. Potrzebowała jednak tej chwili, by oswoić się z jego obecnością, uspokoić swój zdyszany oddech i upewnić się, że nie zrobi czegoś wyjątkowo głupiego — nie zaleje się łzami i nie wybuchnie histerycznym śmiechem.

— To ty, Francesco — stwierdził, nawet się nie odwracając.

Wyczuł jej obecność. Oczy Franceski rozszerzyły się, choć właściwie nie powinna być zaskoczona. Od czasu, gdy wrócił z wojska, Michael odznaczał się niemal kocią zdolnością wyczuwania wszelkich zmian w otoczeniu. Zapewne ta umiejętność pozwoliła mu przetrwać wojnę. Wydawało się, że nikt by nie zdołał zaatakować go od tyłu.

— Tak, to ja — odparła Francesca. Potem zaś pomyślała, że powinna powiedzieć coś więcej, dodała więc: — Miałeś przyjemną podróż, mam nadzieję?

Odwrócił się do niej.

— Jak najbardziej!

Z trudem przełknęła ślinę. Starała się nie zwracać uwagi na to, jak bardzo jest przystojny.

W Londynie dosłownie zapierał jej dech, ale tu, w Szkocji, wydawał się jakiś inny. Nieujarzmiony, żywiołowy…

I jeszcze bardziej niebezpieczny niż zwykle.

— Czy w Londynie coś się wydarzyło? — spytała w nadziei, że jego wizyta ma jakiś konkretny powód.

Gdyby odpowiedział przecząco, znaczyłoby to, że przyjechał wyłącznie dla niej, a taka perspektywa trwożyła ją nie na żarty.

— Nie stało się nic złego — odparł — choć istotnie przywożę nowiny.

Przechyliła głowę, czekając na wyjaśnienie.

— Twój brat się zaręczył.

— Colin? — spytała ze zdumieniem.

Ten z jej braci trwał tak niezłomnie w kawalerskim stanie, że nie zaszokowałaby jej bardziej wieść, iż szczęśliwym oblubieńcem jest prawie o dziesięć lat młodszy od niego Gregory.

Michael skinął głową.

— Z Penelopą Featherington — dodał.

— Z Pene… Cóż za niespodzianka! A raczej prawdziwy cud. Uważam, że idealnie do siebie pasują — uradowała się Francesca.

Michael zrobił krok w jej stronę; ręce miał założone do tyłu.

— Pomyślałem, że chciałabyś się o tym dowiedzieć.

I nie przyszło mu do głowy, że można jej donieść o tym listownie?

— Bardzo dziękuję — powiedziała. — I doceniam twoją troskliwość. Już od dawna nie było wesela w naszej rodzinie. Chyba od…

Omal nie powiedziała: od mojego ślubu! Oboje byli tego świadomi.

Nagłe milczenie wkradło się do salonu i zaciążyło im jak niepożądany gość. Po chwili Francesca przerwała je, mówiąc:

— Cóż… od bardzo dawna. Mama musi być zachwycona.

— Jak najbardziej — potwierdził Michael. — A przynajmniej tak zapewniał mnie twój brat. Nie miałem okazji porozmawiać z nią osobiście.

Francesca odkaszlnęła i usiłowała zachować się swobodnie w sytuacji pełnej napięcia. Poruszyła lekko ręką i spytała:

— Zabawisz dłużej w Kilmartin?

— Jeszcze nie wiem — odparł i znów przybliżył się o krok. — To zależy.

Przełknęła ślinę.

— Od czego?

Dzieląca ich przestrzeń zmniejszyła się nagle o połowę.

— Od ciebie — rzekł cicho.

Francesca wiedziała, co miał na myśli, a przynajmniej wydawało się jej, że wie. Nie zamierzała jednak wspominać o tym, co zaszło między nimi w Londynie. Cofnęła się więc o krok, starając się, by nie wyglądało to na ucieczkę w popłochu, i udała, że opacznie pojęła słowa Michaela.

— Nie bądź niemądry — rzuciła lekko. — Kilmartin należy do ciebie. Możesz tu przyjeżdżać i odjeżdżać, kiedy tylko zechcesz. Ja nie mam na to żadnego wpływu.

Na ustach Michaela pojawił się krzywy uśmiech.

— Naprawdę tak myślisz? — szepnął.

Ona zaś zdała sobie sprawę, że przestrzeń między nimi po raz wtóry zmniejszyła się o połowę.

— Każę przygotować pokój dla ciebie — oświadczyła pospiesznie. — Który ci najbardziej odpowiada?

— Wszystko mi jedno.

— W takim razie zajmiesz sypialnię pana domu — mówiła gorączkowo, zdając sobie sprawę ze swej nerwowej paplaniny. — To ci się słusznie należy! A ja przeniosę się do któregoś z dalszych pokoi. Najlepiej w innym skrzydle — szepnęła na koniec.

Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę.

— Może nie będzie to konieczne.

Spojrzała na niego w popłochu. Co też on sugeruje? Nie myśli chyba, że jeden pocałunek w Londynie daje mu prawo do skorzystania z wewnętrznych drzwi pomiędzy sypialniami pana i pani domu…

— Lepiej je zamknij — powiedział, wskazując ruchem głowy na znajdujące się za jej plecami otwarte drzwi salonu.

Francesca zerknęła do tyłu, choć wiedziała doskonale, co tam zobaczy.

— Nie jestem pewna…

— Ale ja tak. — Potem zaś, głosem przypominającym stal owiniętą

aksamitem, powtórzył: — Zamknij je!

Spełniła jego życzenie. Była prawie pewna, że to fatalny pomysł, a jednak posłuchała Michaela. Wolała, by to, co zamierzał jej powiedzieć, nie dotarło do uszu służby.

Kiedy jednak puściła klamkę, przemknęła obok Michaela na sam środek salonu i stanęła w bezpiecznej odległości, oddzielona od niego sporą grupą mebli.

Wyglądał na ubawionego jej poczynaniami, ale nie pozwolił sobie na kpiny. Powiedział zamiast tego:

— Poważnie się zastanawiałem nad tą sprawą od twego wyjazdu z Londynu.

Z Francescą było podobnie; nie uznała jednak za stosowne o tym wspominać.

— Nie miałem zamiaru całować się z tobą… — zaczął.

— Jeszcze by też! — odparła, podnosząc głos. — To znaczy… oczywiście, że nie.

— …ale kiedy już do tego doszło… i pocałowaliśmy się…

Aż się wzdrygnęła, słysząc to „my”. Michael nie zamierzał podtrzymywać fikcji, że ona, Francesca, nie uczyniła tego z własnej woli.

— …Skoro już do tego doszło — kontynuował — rozumiesz chyba, że wszystko uległo zmianie?

Spojrzała na niego. Dotychczas nie odrywała oczu od wzoru z kremowo-różowych lilii burbońskich na pokrytej adamaszkiem sofie.

— Oczywiście! — odparła Francesca, starając się nie zwracać uwagi na ściskanie w gardle.

Palce Michaela zacisnęły się na oparciu krzesła w stylu Hepplewhite’a tak mocno, że kłykcie mu zbielały.

Jest zdenerwowany, pomyślała Francesca ze zdziwieniem. Nie

spodziewała się tego po Michaelu. Nigdy dotąd nie widziała, by coś wytrąciło go z równowagi. Niezmiennie mógł służyć za wzór wielkoświatowej elegancji i swobody; jego urok był niewymuszony, a dowcip zawsze na podorędziu.

Tym razem wyglądał inaczej. Wydawał się odarty z osłonek. Niespokojny. Francesca poczuła się dzięki temu… może nie lepiej, ale nieco pewniej. Nie miała już wrażenia, że ona jedna wystawia się na pośmiewisko.

— Poważnie zastanowiłem się nad całą sprawą — zapewnił.

Michael się powtarzał. Niewiarygodne.

— …i doszedłem do wniosku, który zdumiał mnie samego — kontynuował. — Aczkolwiek teraz, po przemyśleniu sprawy, uważam, że to najlepsze rozwiązanie.

Z każdym jego słowem Francesca stawała się coraz bardziej opanowana i coraz mniej zmieszana. Nie można powiedzieć, że pragnęła, by Michael czuł się nieswojo — choć byłoby to całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, ile wycierpiała w ciągu ostatniego tygodnia! — jednak niewątpliwie było coś kojącego w świadomości, że nie tylko ona czuje się skrępowana i że Michael jest równie poruszony, a nawet wstrząśnięty.

A w każdym razie nie podchodzi do tego z całkowitą obojętnością.

Michael odchrząknął i poruszył brodą, jakby chciał rozprostować szyję.

— Uważam… — zaczął i nagle spojrzał jej prosto w oczy — że powinniśmy się pobrać.

Wargi Franceski się rozchyliły.

I wreszcie zdołała wypowiedzieć:

— Co takiego?

Żadne uprzejme „Co proszę?” czy „Wybacz, ale…”. Prosto z mostu: „Co takiego?”

— Jeśli posłuchasz uważnie moich argumentów — powiedział — przekonasz się, że to rozsądny pomysł.

— Czyś ty oszalał?

Cofnął się o krok.

— Bynajmniej.

— Ależ ja nie mogę wyjść za ciebie!

— Czemu?

Czemu nie?… Przecież…

— Bo nie mogę! — wybuchnęła w końcu. — Na litość boską! Kto jak kto, ale ty powinieneś zrozumieć, że to czyste szaleństwo.

— Przyznam, że w pierwszej chwili pomysł wydaje się dziwaczny, ale jeśli posłuchasz mnie uważnie, sama zobaczysz, jakie to rozsądne rozwiązanie.

Spoglądała na niego w najwyższym zdumieniu.

— Jakim sposobem może się to wydać rozsądne? Jeszcze nigdy nie słyszałam o czymś równie niedorzecznym.

— Nie będziesz musiała przenosić się do innego domu — zaczął wyliczać na palcach wszystkie zalety takiego układu. — Zachowasz swój tytuł i pozycję.

Owszem, byłoby to dogodne, ale to jeszcze nie powód, żeby poślubić Michaela, który… cóż… był Michaelem, i tyle.

— Wychodząc za mnie, możesz mieć pewność, że będziesz traktowana z czułością i szacunkiem — dodał. — Gdybyś wyszła za kogoś innego, upewnienie się o tym zajmie ci wiele czasu, a pierwsze wrażenia mogą się okazać zwodnicze.

Patrzyła badawczo, usiłując wyczytać z jego twarzy, co kryje się za tymi słowami. Musi w tym tkwić jakiś ukryty sens. Nie mogła uwierzyć, że Michael naprawdę się jej oświadcza. To kompletne szaleństwo! To…

Dobry Boże, sama już nie wiedziała, jak to określić… Jakie słowa mogą być odpowiednie w sytuacji, gdy ziemia dosłownie usuwa się nam spod nóg?

— Dam ci dzieci — powiedział miękko. — A w każdym razie zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś je miała.

Zaczerwieniła się jak piwonia. Poczuła to od razu: policzki piekły ją nieznośnie. Nie będzie sobie wyobrażać Michaela razem z nią w łóżku! Przez cały ostatni tydzień rozpaczliwie starała się odegnać od siebie podobne myśli.

— A ty co będziesz z tego miał? — spytała szeptem.

W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony jej pytaniem, zaraz jednak oprzytomniał i wyjaśnił:

— Będę miał żonę, która od lat zarządzała moimi posiadłościami. Nie jestem aż tak zarozumiały, by nie skorzystać z twojego doświadczenia.

Skinęła głową potakująco. Tylko jedno kiwnięcie, ale był to dla niego wystarczający znak, że warto mówić dalej.

— Dobrze cię znam i mam do ciebie zaufanie — kontynuował. — Jesten pewien, że nigdy byś mnie nie zdradziła.

— Nie jestem w stanie myśleć teraz o tym wszystkim — zaprotestowała, kryjąc twarz w dłoniach.

W głowie jej wirowało i miała wrażenie, że to się nigdy nie skończy.

— To naprawdę ma sens — przekonywał Michael. — Musisz tylko rozważyć…

— Nie! — sprzeciwiła się, rozpaczliwie usiłując zdobyć się na stanowczość. — Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Sam o tym wiesz. — Odwróciła się, by nie patrzeć na niego. — Nie mogę uwierzyć, że w ogóle bierzesz pod uwagę taką możliwość.

— Ja też byłem tego zdania — przyznał — gdy po raz pierwszy o tym

myślałem. Ale gdy zacząłem sprawę rozważać, wciągnęło mnie to i wkrótce uświadomiłem sobie, jaki to rozsądny pomysł.

Przycisnęła palce do skroni. Na litość boską, czemu Michael ciągle mówi, że to takie rozsądne? Czuła, że jeśli on powtórzy to jeszcze raz, zacznie krzyczeć!

I jak on może być taki opanowany? Nie była pewna, jak powinien się zachować — nigdy, rzecz jasna, nie wyobrażała sobie podobnej sceny — a jednak coś w tych beznamiętnych oświadczynach doprowadzało ją do szału. Michael mówił chłodno, wszystko sobie tak starannie poukładał… Z początku trochę się niepokoił, ale najwyraźniej w najmniejszym stopniu nie zaangażował swych uczuć.

Gdy tymczasem ona miała wrażenie, że jej świat wiruje jak szalony.

Krzycząca niesprawiedliwość!

Przez krótką chwilę czuła nienawiść do Michaela. To przez niego czuła się tak okropnie.

— Idę na górę — oznajmiła nagle. — Porozmawiamy jutro rano.

Prawie udało się jej umknąć. Była już w połowie drogi do drzwi, gdy poczuła dłoń Michaela na swoim ramieniu. Uścisk jego ręki był delikatny, ale nieustępliwy.

— Zaczekaj — powiedział i Francesca stanęła jak wryta.

— Czego chcesz? — wyszeptała.

Nie patrzyła na niego, a mimo to widziała przed sobą jego twarz, czarne jak noc włosy opadające na czoło, półprzymknięte oczy, okolone rzęsami tak długimi, że nawet anioł mógłby się rozpłakać z zazdrości.

A jego usta… Najwyraźniej ze wszystkiego widziała doskonały zarys jego ust i kształtne wargi, wygięte w diabelskim uśmieszku, jakby poznał cały świat tak, jak zwykły, naiwny śmiertelnik nigdy go poznać nie zdoła…

Ręka Michaela sunęła po jej ramieniu aż do barku, potem jeden z jego

palców zakreślił leciutką jak piórko linię na jej szyi…

A głos Michaela, gdy wreszcie do niej dotarł, był niski i gardłowy. Czuła, że przenika do samego jej wnętrza.

— Nie masz ochoty na kolejnego całusa?

17

…Tak, oczywiście. Francesca to prawdziwy cud. Ale o tym wiesz od dawna, nieprawdaż?

Helen Stirling do syna, hrabiego Kilmartin, dwa lata i dziewięć miesięcy po jego wyjeździe do Indii

Michael nie był pewny, kiedy stało się dla niego jasne, że będzie musiał uwieść Francescę. Próbował odwołać się do jej rozsądku i wrodzonego zmysłu praktycznego, ale nic to nie pomogło. Na nic by się również zdało apelowanie do uczuć, gdyż te — jak dobrze wiedział — były jednostronne.

Musiał więc wykorzystać potęgę namiętności.

Pragnął Franceski. Z gwałtownością, o jakiej nie miał dawniej pojęcia, całował ją przed tygodniem w Londynie. A jednak nawet wówczas, gdy krew wrzała w nim pożądaniem, namiętnością i najszczerszą miłością, jego umysł nie przestawał kalkulować — i Michael wiedział, że jeśli chce związać Francescę ze sobą nierozerwalnie, musi to uczynić w taki właśnie sposób. Nie wystarczy przekonywanie jej słowami, nęcenie wizjami beztroskiej przyszłości. Francesca mogłaby wyplątać się z takich sideł, twierdząc, że nie jest dość zaangażowana uczuciowo.

Jeśli jednak uczyni ją swą własnością, odciśnie na niej nieścieralne piętno, to pozostanie z nią już na zawsze.

A ona będzie należała do niego.

Wyślizgnęła mu się teraz zręcznie i cofała się ukradkiem, póki nie

znalazła się w odległości kilku kroków od niego.

— Nie masz ochoty na kolejnego całusa, Francesco? — szepnął, podchodząc do niej z lekkością i swobodą drapieżnika.

— To był błąd! — rzuciła łamiącym się głosem.

Odsunęła się znowu i zatrzymała dopiero wtedy, gdy stół zagrodził jej drogę.

Michael znów się do niej zbliżył.

— Nie ma mowy o błędzie, jeśli się pobierzemy.

— Dobrze wiesz, że nie mogę za ciebie wyjść!

Wziął Francescę za rękę i niby to od niechcenia wodził po niej kciukiem.

— Dlaczego?

— Bo ja… ty… Bo jesteś, kim jesteś!

— To prawda — powiedział, podnosząc jej rękę do ust i całując wnętrze dłoni. Korzystając ze sposobności, przesunął językiem po jej przegubie. — A w tej chwili, po raz pierwszy od bardzo dawna — mówił dalej, spoglądając na nią spod rzęs — nie zamieniłbym się z nikim!

— Michaelu — wyszeptała, odchylając się do tyłu.

Widział jednak, że go pragnie. Poznał to po jej przyspieszonym oddechu.

— „Tak, Michaelu” czy „Nie, Michaelu”? — szepnął, składając całusa w zgięciu jej łokcia.

— Nie wiem — jęknęła.

— Przynajmniej szczerze.

Posunął się jeszcze wyżej i tak wytrwale próbował unieść jej brodę, że nie miała innego wyjścia i odrzuciła głowę do tyłu.

Wówczas, nie widząc już innego wyjścia, obsypał jej szyję pocałunkami.

Całował bez pośpiechu, raz koło razu, nie pozostawiając ani kawałeczka skóry, który by się uchronił przed tą rozkoszną napaścią. Jego usta sunęły w górę, do linii szczęki, następnie popieściły płatek ucha, by w końcu

zsunąć się znowu aż do dekoltu sukni. Chwycił w zęby brzeżek materiału. Usłyszał jęk Franceski, ale nie kazała mu przestać, ciągnął więc dalej i ciągnął… aż pierś wyskoczyła z dekoltu.

Ubóstwiał te najnowsze fasony sukien!

— Michaelu…? — wyszeptała Francesca.

— Ciii…

Nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania. Nie chciał też, by Francesca na tyle oprzytomniała, by zadać mu choć jedno.

Przesunął językiem po jej piersi od spodu, rozkoszując się słonawo-słodkim smakiem jej skóry, a potem wyciągnął rękę i objął delikatny wzgórek. Za pierwszym razem, gdy się całowali, dotykał jej piersi przez suknię i myślał wówczas, że znalazł się w raju… ale nic nie mogło równać się z tą chwilą, gdy poczuł tę pierś w swojej dłoni, gorącą i nagą.

— O Boże! — jęknęła Francesca. — Ooch!

Dmuchnął leciutko na sutek.

— Mam pocałować?

Podniósł na nią wzrok. Wiedział, że podejmuje ryzyko, czekając na odpowiedź. Chyba nie powinien zadawać jej tego pytania, ale choć miał szczery zamiar uwieść Francescę, nie mógł się poważyć na to bez wyraźnego przyzwolenia z jej strony.

— Więc jak, pocałować? — szepnął znowu i dla zachęty leciutko musnął sutek językiem.

— Tak! — wybuchnęła. — Tak! Na litość boską, tak!

Uśmiechnął się leniwie, rozkoszując się tą chwilą triumfu.

A potem pozwolił, by Francesca, drżąc z niecierpliwości, czekała nieco dłużej, niż to było konieczne. Wreszcie nachylił się i z taką pasją, jakby chciał odbić sobie całe lata beznadziejnego pożądania, pastwił się rozkosznie nad Bogu ducha winną piersią.

Francesca nie miała najmniejszej szansy, by oprzeć się takiemu atakowi.

— O Boże! — pojękiwała, trzymając się kurczowo stołu, podczas gdy całe jej ciało prężyło się i wyginało do tyłu. — Wielkie nieba!… Michaelu! O Boże!

Wykorzystał odurzenie Franceski, by ująwszy ją za biodra, posadzić na stole; nogi miała rozchylone. Potem ulokował się między nimi jak w kolebce.

Krew w jego żyłach tętniła triumfem, nawet jeśli ciało głośno domagało się zaspokojenia. Był uszczęśliwiony, że zyskał taką władzę nad Francescą i potrafi skłonić ją do tego, by krzyczała, jęczała i łkała z pożądania. Była zawsze taka silna, spokojna i opanowana — a jednak teraz należała całkowicie do niego, była niewolnicą swoich pragnień, uzależnioną od jego wyrafinowanych pieszczot.

Michael całował, lizał, drażnił i szarpał zębami. Dręczył ją tak, że była o włos od eksplozji. Jej oddech stał się głośny i przerywany, a wymawiane z jękiem słowa coraz bardziej niespójne.

Przez cały ten czas ręce Michaela chyłkiem sunęły po nogach Franceski w górę, obejmując najpierw kostki, potem łydki i podciągając coraz wyżej jej spódnice, aż wreszcie spiętrzyły się górą zmiętych falban na jej kolanach.

Dopiero wówczas Michael odsunął się i pozwolił Francesce nieco odpocząć.

Spoglądała na niego — oczy miała szkliste, wargi gorąco różowe, rozchylone. Nic nie mówiła; Michael bardzo wątpił, czy byłaby w stanie cokolwiek powiedzieć. Dostrzegł jednak pytanie w jej oczach. Mogła być pozbawiona mowy, ale sporo jej jeszcze brakowało do kompletnego szaleństwa.

— Pomyślałem, że dręczenie cię dłużej byłoby okrucieństwem —

powiedział, obejmując leciutko jej sutek kciukiem i palcem wskazującym.

Francesca jęknęła.

— …ale to ci się z pewnością podoba.

Było to stwierdzenie oczywistego faktu, więc niezbyt odkrywcze… liczyło się jednak tylko to, że miał do czynienia z Francescą, a nie z jedną z bezimiennych kobiet, z którymi spółkował, zamknąwszy oczy i wyobrażając sobie, że to ona. Nic więc dziwnego, że teraz, gdy pomiaukiwała z rozkoszy, serce skakało mu z radości.

— Podoba ci się — powtórzył, uśmiechając się z satysfakcją.

— Tak… — wymamrotała. — Tak…

Nachylił się i przytknął usta do jej ucha.

— To ci się też spodoba!

— Co takiego? — spytała.

Zaskoczyło go to. Nie przypuszczał, że Francesca może zadać mu pytanie, w dodatku całkiem wyraźnie.

Podciągnął jej spódnicę trochę wyżej, by nie zsunęła się z kolan.

— Chciałabyś o tym posłuchać? — mruknął, wsuwając ręce pod fałdy sukni, tuż nad kolanami Franceski. Naciskał przy tym lekko na jej uda i kciukami zataczał kręgi na jej skórze. — Z pewnością chcesz się dowiedzieć!

Skinęła głową.

Znów przysunął się bliżej i lekko dotknął ustami jej ust. Byli tak blisko siebie, że ich ciała niemal się stykały, ale wystarczająco daleko, by mógł mówić bez trudu.

— Zawsze byłaś ciekawska — szepnął. — Zadawałaś tyle pytań…

Prześlizgnął się wargami po jej policzku w stronę ucha, nie przestając szeptać.

— „Michaelu” — mówił, naśladując kobiecy głos. — „Opowiedz mi

o swoich grzeszkach! Coś tam znów nabroił?”

Francesca się zaczerwieniła. Nie mógł tego zobaczyć, ale wyczuł gorącą falę krwi pod jej skórą.

— …ale nigdy nie opowiadałem ci tego, co naprawdę chciałaś usłyszeć, prawda? — spytał, szczypiąc leciutko zębami płatek jej ucha. — Zawsze pozostawiałem cię przed zamkniętymi drzwiami sypialni.

Przerwał, nie w oczekiwaniu na odpowiedź Franceski, ale po to, by wsłuchać się w jej oddech.

— Dziwiło cię to? — spytał cicho. — Zastanawiałaś się potem, czego nie dopowiedziałem? — Przybliżył się do niej tak, że czuła dotyk jego warg szepczących jej do ucha. — Chciałaś wiedzieć — pytał szeptem — na czym dokładnie polegały moje grzeszki?

Nie zmuszał jej do odpowiedzi — to byłoby nie w porządku! Mimo woli jednak wracał pamięcią w przeszłość i przypominał sobie, jak często przekomarzał się z Francescą, robiąc jedynie lekkie aluzje do swoich wyczynów.

W dodatku sam nigdy nie proponował, że jej coś opowie; Francesca zawsze musiała go o to pytać.

— Chcesz, żebym ci teraz coś opowiedział? — Zauważył, że poruszyła się, zaskoczona. Roześmiał się. — Nie o tamtych kobietach, Francesco! O tobie. Tylko o tobie.

Odwróciła się, na skutek czego wargi Michaela osunęły się po jej policzku. Przybliżył się znowu, żeby widzieć jej twarz, i dostrzegł w jej oczach wyraźne pytanie: Co to ma znaczyć?

Poruszył dłońmi, naciskając przy tym znów na jej uda. Rozchyliły się nieco szerzej.

— Powiedzieć ci, co teraz zamierzam zrobić? — Pochylił głowę i musnął

językiem jej sutek, który stwardniał i naprężył się w chłodnym powietrzu późnego popołudnia. — Z tobą? — dodał.

Francesca z trudem przełknęła ślinę. Uznał to za potwierdzenie.

— Jest tyle możliwości — mówił gardłowym głosem, a jego dłonie przesunęły się o dalszych kilka cali wyżej. — Doprawdy nie wiem, od czego zacząć,

Zamilkł, by popatrzeć na nią przez chwilę.

Oddychała z trudem. Wargi miała rozchylone, obrzmiałe od jego pocałunków. Była całkowicie pod jego urokiem, jak zahipnotyzowana.

Raz jeszcze się nachylił, przybliżając usta do drugiego ucha Franceski. Chciał mieć pewność, że jego słowa dotrą — gorące i wilgotne — do głębi jej duszy.

— Chyba powinienem zacząć od tego, czego pragniesz najgoręcej. Najpierw więc pocałuję cię… — tu przycisnął kciuki do delikatnej, wewnętrznej strony jej uda — …tutaj.

Umilkł, zresztą tylko na chwilkę, a Francescę przeniknął dreszcz pożądania.

— Chcesz tego? — spytał cicho. Zadał to pytanie jedynie po to, by ją podrażnić. — Tak, widzę, że chcesz. Ale to nie wystarczy ani tobie, ani mnie — rozważał półgłosem — wobec tego będę musiał pocałować cię o, tu! — Kciuk powędrował w górę i dotarł do pełnej żaru szczeliny między jej nogami, a wówczas Michael znowu nacisnął lekko, by wiedziała dokładnie, o jakie miejsce chodzi. — Myślę, że taki pocałunek sprawi ci przyjemność niemal tak wielką — kciuk Michaela sunął w dół, był coraz bliżej ośrodka jej kobiecości, nie docierając tam całkowicie — …jaką sprawi mi pocałowanie cię tutaj!

Oddech Franceski stał się nieco szybszy.

— Tu zatrzymam się na dłużej — mruknął — i posłużę się raczej

językiem niż wargami. Warto nim przesunąć po tej krawędzi! — Użył paznokcia, by wyjaśnić jej, co ma na myśli. — I przez cały czas będę cię kusił, byś otwierała się coraz szerzej. Może tak?

Odsunął się nieco, jakby podziwiał z perspektywy rezultat własnych starań. Widok był niesłychanie podniecający: Francesca siedziała na samym brzegu stołu, z nogami rozchylonymi, choć jeszcze nie tak szeroko, jakby tego pragnął. Spódnica nadal zwisała pomiędzy jej udami, osłaniając Francescę przed jego wzrokiem, ale to — nie wiedzieć czemu — czyniło ją jeszcze bardziej godną pożądania. Michael uświadomił sobie, że nie musi oglądać Franceski bez osłonek, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Jej poza była wystarczająco zmysłowa, a pikanterii dodawał widok nadal obnażonej piersi — naprężony różowy sutek wprost domagał się dalszych pieszczot.

Jednakże nic, ale to nic, nie mogło napełnić Michaela większym pożądaniem niż wyraz twarzy Franceski. Rozchylone wargi, pociemniałe z namiętności oczy… Zdawało się, że każdym swym oddechem woła do niego: Weź mnie!

Niewiele brakowało, by Michael zapomniał o swych przebiegłych uwodzicielskich planach i zagłębił się w niej bez zwłoki.

A jednak nie! Postanowił przecież działać powoli. Miał ją drażnić i dręczyć, doprowadzać do ekstazy i utrzymywać na tych wyżynach, jak długo zdoła. Miał się postarać, by oboje zrozumieli, iż nie mogą już żyć bez tej namiętności.

Nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza to nieludzkie opanowanie, jakim miał się odznaczać.

— Jak ci się zdaje, Francesco — szepnął, po raz ostatni naciskając na jej uda — bo ja mam wrażenie, że nie otworzyłaś się jeszcze jak należy, prawda?

Francesca wydała jakiś nieartykułowany pomruk. Michael nie umiałby

go opisać, ale ten pomruk rozpalił go do białości.

— Może jednak spróbujesz? — powiedział łagodnie. I póty nalegał, bez pośpiechu, lecz nieustępliwie, aż rozchyliła nogi znacznie szerzej. Jej spódnica opięła się na udach. Widząc to, Michael mruknął: — To z pewnością nie jest wygodne. Pozwól, że ci pomogę.

Chwycił za rąbek spódnicy i podciągnął ją aż do pasa.

Teraz Francesca była już całkowicie odsłonięta.

Michael jeszcze się temu nie przyjrzał. Oczy miał nadal utkwione w jej twarzy. Jednak sama świadomość jej nagości sprawiła, że oboje zadrżeli — on z pożądania, ona z niecierpliwości. Michael musiał użyć całej siły woli, by zachować panowanie nad sobą. Nie nadeszła jeszcze jego wielka chwila. Wkrótce nadejdzie, z całą pewnością. Był przekonany, że nie przeżyłby tego, gdyby nie mógł posiąść Franceski jeszcze tej nocy.

Na razie jednak liczyło się jedynie dalsze instruowanie Franceski i to, jakie emocje zdoła w niej rozbudzić.

Przyłożył usta do jej ucha.

— Nie jest ci zimno, prawda?

Jedyną odpowiedzią był rwący się oddech Franceski.

Michael dotknął ośrodka jej kobiecości i zaczął ją głaskać.

— Nie mogę pozwolić, żebyś przy mnie zmarzła. To byłby z mojej strony szczyt złego wychowania.

Jego palec zataczał leniwe kręgi. Był taki gorący w zetknięciu z jej ciałem…

— Gdybyśmy znajdowali się poza domem — rozważał Michael — okryłbym cię swoim płaszczem. Tu jednak… — Zagłębił w niej koniuszek palca. Francesce zaparło dech. — … Mogę cię ogrzać jedynie swymi ustami.

Wydała znów nieartykułowany pomruk; tym razem przypominało to

zdławiony krzyk.

— Tak — zapewnił perfidnie. — To właśnie zamierzam zrobić. Pocałuję cię dokładnie tam, bo w ten sposób sprawię ci największą przyjemność!

Francesca nie była w tej chwili zdolna do żadnej reakcji.Mogła tylko oddychać.

— Chyba najpierw posłużę się wargami — mruczał do siebie Michael — ale potem użyję języka, żeby poznać cię dokładniej. — Podrażnił ją palcami, by zademonstrować, czego zamierza dokonać za pomocą ust. — Mniej więcej w ten sposób, tylko będzie to znacznie gorętsze. — Liznął wnętrze jej ucha. — I bardziej wilgotne.

— Michaelu! — jęknęła Francesca.

Wymówiła jego imię. Nic więcej. Zbliżała się do kresu wytrzymałości.

— Zakosztuję twego smaku… Wyliżę cię do ostatniej kropli! A potem, gdy już będę miał pewność, że poznałem cię dokładnie, sprawię, że otworzysz się dla mnie jeszcze szerzej! — Palcami rozchylał płatki jej ciała w oburzający sposób i drażnił je paznokciem. — Na wszelki wypadek, gdybym wcześniej coś pominął…

— Michaelu! — jęknęła znowu.

— Kto wie, jak długo to potrwa? — szeptał. — Może nie będę mógł oderwać się od tego? — Pochylił się i przytulił twarz do jej szyi. — A może ty nie pozwolisz mi odejść? — Zamilkł i zanurzył w niej jeszcze jeden palec. Potem zapytał cicho: — Chcesz, żebym przestał?

Przypominało to igranie z ogniem; ilekroć zadawał Francesce takie pytanie, miała możność wyrażenia sprzeciwu. Gdyby Michael był zimny i wyrachowany, napierałby na nią całą swą uwodzicielską siłą i mógłby ujarzmić Francescę, zanimby się zorientowała, co robi. Unoszona falą namiętności całkiem by się zatraciła, on byłby już w niej i już należałaby do niego, ostatecznie i nieodwracalnie.

Michael jednak wzdragał się na myśl o takiej bezwzględności. Przecież to była Francesca! Potrzebował jej przyzwolenia, chociażby wyraziła je tylko ruchem głowy czy westchnieniem.

Mogłaby później gorzko tego żałować… a gdyby nawet tak się nie stało, nie chciał, by mówiła (czy choćby myślała), że była temu przeciwna, że nie wyraziła zgody.

Bardzo mu zależało na jej aprobacie… Kochał Francescę od lat i od tak dawna marzył, by jej dotknąć. Teraz zaś, gdy nadeszła wreszcie ta chwila, wątpił, czy zdoła znieść jej niechęć i wzgardę. Męskiego serca nie można łamać bez końca — i Michael czuł, że nie wytrzymałby jeszcze jednego ciosu.

— Mam przestać? — szepnął znowu i tym razem rzeczywiście przestał. Nie cofnął rąk, ale już nimi nie poruszał. Po prostu znieruchomiał i dał jej chwilę wytchnienia, by mogła udzielić mu odpowiedzi. Odsunął też głowę w taki sposób, by musiała spojrzeć mu w twarz. A przynajmniej… żeby sam mógł patrzeć na nią.

— Nie — odpowiedziała szeptem, unikając jego oczu.

Serce podskoczyło mu w piersi.

— W takim razie zabieram się do tego, o czym ci mówiłem — mruknął.

I jak powiedział, tak zrobił. Opadł na kolana i całował ją. Całował, gdy drżała na całym ciele, całował, kiedy to on dygotał. Całował nawet wtedy, gdy chwyciła go za włosy i ciągnęła z całej siły, i całował kiedy go puściła, a jej ręce miotały się dziko w poszukiwaniu nowej zdobyczy.

Całował ją na wszelkie sposoby, tak jak obiecał, całował do chwili, gdy była bliska orgazmu.

Tylko bliska.

Powinien był doprowadzić rzecz do końca, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Pragnął ją mieć. Pragnął tego od tak dawna… Marzył o tym, by

powtarzała nieprzytomnie jego imię i drżała w jego ramionach. Ale pragnął być wtedy wewnątrz niej, przynajmniej za pierwszym razem. Pragnął czuć ją wokół siebie, pragnął… Do wszystkich diabłów, po prostu chciał, żeby to było właśnie w ten sposób. A jeśli to znaczyło, że nie ma za grosz samokontroli, to niech i tak będzie!

Trzęsącymi się rękoma rozpiął spodnie, oswobadzając wreszcie swoją męskość.

— Michaelu…? — wyszeptała Francesca.

Oczy miała zamknięte, lecz gdy Michael odsunął się i zostawił ją samą, podniosła powieki. Spojrzała na niego i zrobiła wielkie oczy.

Nie ulegało wątpliwości, co się zaraz stanie.

— Muszę cię mieć! — rzekł chrapliwie. A gdy nie zareagowała w żaden sposób, tylko nadal się w niego wpatrywała, powtórzył: — Muszę cię mieć, natychmiast!

Ale nie na stole. Nawet on nie miał takich talentów akrobatycznych. Chwycił więc Francescę na ręce, zadrżał z zachwytu, gdy objęła go nogami, i złożył ją na pluszowym dywanie. Nie było to łóżko… nie potrafił wyczarować tego mebla na poczekaniu, a poza tym — szczerze mówiąc — nie przypuszczał, by któremuś z nich dwojga specjalnie na nim zależało. Podciągnął jej spódnice aż do pasa i nakrył ją swoim ciałem.

I wszedł w nią.

Zamierzał zrobić to powoli, ale była taka wilgotna i gotowa na jego przyjęcie, że po prostu wślizgnął się do środka. Francesca zatchnęła się, zaskoczona nagłością tego wtargnięcia.

— Zabolało? — wykrztusił.

Pokręciła głową.

— Nie odchodź! — jęknęła. — Proszę cię.

— Nigdy! — zaklinał się. — Nigdy!

Poruszał się w jej wnętrzu, ona zaś poruszała się pod nim. Oboje byli już tak pobudzeni, że w chwilę później równocześnie szczytowali.

I wówczas Michael, który sypiał przecież z niezliczonymi kobietami, przekonał się nagle, że był dotąd zwyczajnym nieopierzonym żółtodziobem.

Nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego.

Tamto wszystko było zwykłą uciechą dla ciała. To — przepełniało szczęściem jego duszę.

18

…jak najbardziej!

Tak hrabia Kilmartin zapewniał w liście do matki, Helen Stirling, trzy lata po swoim wyjeździe do Indii

Następny ranek był zdecydowanie najgorszy ze wszystkich, jakie Francesca pamiętała.

Chciało się jej tylko płakać, ale nawet to przekraczało jej siły. Zresztą łzy były dla niewinnych, a ona już się do nich nie zaliczała.

Tego ranka czuła wstręt do samej siebie za to, że zdradziła swą wielką miłość i podeptała wszelkie zasady dla jednej chwili grzesznej namiętności.

Była wściekła na siebie za to, że zapragnęła kogoś innego niż John, a jeszcze bardziej za to, że to nowe pożądanie było o wiele silniejsze niż wszystko, co czuła do swojego zmarłego męża. Ich małżeńskie współżycie pełne było radosnego śmiechu i namiętności, ale nie mogło się równać z występnym dreszczem, który ją przeniknął, gdy Michael, przytknąwszy wargi do jej ucha, plótł okropności o tym, co zamierza z nią uczynić…

Ani z eksplozją, która nastąpiła, gdy spełnił swe obietnice.

Francesca była wściekła, że to wszystko się wydarzyło, w dodatku z Michaelem. Wskutek tego sytuacja przedstawiała się po trzykroć gorzej.

Ale najbardziej była wściekła na niego za to, że dosłownie na każdym kroku (nawet wtedy, gdy jego palce drażniły ją niemiłosiernie) upewniał się, iż sama tego pragnie. Nie mogła więc utrzymywać, że — bezbronna ofiara — została zmuszona wbrew swojej woli.

A teraz był już ranek następnego dnia i Francesca zdawała sobie sprawę, że nie ma mowy o wyborze między tchórzostwem a głupotą, przynajmniej jeśli chodzi o nią.

Bez wątpienia okazała się zarówno tchórzliwa, jak i głupia, a kto wie, czy nie należałoby jeszcze dorzucić do tego „żałośnie niedojrzała".

Myślała przecież tylko o ucieczce.

Nie potrafiła ponieść konsekwencji własnych czynów.

A z całą pewnością powinna była stawić im czoło.

Ona jednak, tak samo jak przedtem, wzięła nogi za pas.

Nie mogła opuścić Kilmartin — przecież dopiero tu przyjechała. Zresztą, jeśli nie zamierzała bez końca uciekać na północ — przez Orkady prosto do Norwegii — z konieczności musiała pozostać tam, gdzie jest.

Ale mogła przynajmniej wymknąć się z domu i uczyniła to o brzasku. Nic dziwnego, zwłaszcza po żenującym zakończeniu poprzedniego wieczoru, gdy — niemal natychmiast po występnych igraszkach z Michaelem — wypadła z różanego salonu, bąkając jakieś nieskładne usprawiedliwienia, potem zaś zabarykadowała się na resztę nocy w swojej sypialni.

Nie chciała za żadne skarby stanąć znów twarzą w twarz z tym człowiekiem. Przynajmniej na razie.

Chyba w ogóle nie była do tego zdolna.

Ona, która zawsze szczyciła się opanowaniem i równowagą ducha, przeistoczyła się w ledwie zdolną wybąkać parę słów kretynkę, mamroczącą do siebie, jakby jej całkiem rozum odjęło, i obawiającą się spotkania z mężczyzną, przed którym nie mogła przecież wiecznie się chować.

Mówiła sobie, że gdyby zdołała ukryć się przed nim na cały dzień, to już byłoby coś. Co się zaś tyczy jutra, to pomyśli o nim kiedy indziej. Może

właśnie jutro? W tej chwili chciała po prostu uciec na jakiś czas od dręczących ją problemów.

Odwaga była stanowczo nazbyt wychwalaną cnotą.

Francesca nie bardzo wiedziała, dokąd zamierza się udać, i było jej to w zasadzie obojętne — byle jak najdalej od domu. I tam, gdzie nie natknie się na Michaela.

Mniej więcej po godzinie — zapewne po to, by przekonać Francescę ostatecznie, że od żadnej siły wyższej nie może się spodziewać wsparcia — rozpadał się deszcz. Początkowa mżawka szybko zmieniła się w prawdziwą ulewę. Francesca schroniła się pod rozłożystym drzewem, zdecydowana pozostać tam, aż się wypogodzi. Ostatecznie, po dwudziestu minutach przestępowania z nogi na nogę, przysiadła ciężko na mokrej ziemi. Do diabła ze schludnością.

Wszystko wskazywało na to, że utknęła tu na dłuższy czas; mogła więc przynajmniej wygodnie usiąść, jeśli nie było żadnej nadziei na ogrzanie się czy osuszenie.

I tam, oczywiście, dwie godziny później wypatrzył ją Michael.

Najwyraźniej wyruszył na jej poszukiwanie. Czy nie mogła nawet liczyć na to, że łajdak zachowa się, jak na łajdaka przystało, zwłaszcza że bardzo by jej to poprawiło humor?

— Znajdzie się tu trochę miejsca dla mnie? — zawołał zza osłony deszczu.

— Nie dla ciebie i twego konia — burknęła nieżyczliwie.

— Co powiadasz?

— Że nie! — wrzasnęła.

Nie posłuchał jej, ma się rozumieć, i wpakował się razem z koniem pod drzewo. Zeskoczył ze swego wałacha i uwiązał go do jednej z niższych gałęzi.

— Rany boskie, Francesco! — zaatakował ją bez wstępów. — Co tu robisz?

— Ja też się bardzo cieszę, że cię widzę — warknęła.

— Masz pojęcie, jak długo cię szukam?

— Chyba nie dłużej, niż ja się tu kulę pod drzewem — odcięła się.

Powinna chyba być zadowolona, że przybył jej na ratunek. Jej drżące z zimna ciało aż się prężyło, gotowe wskoczyć na konia i odjechać stąd czym prędzej… Jednak reszta jej istoty była nadal w fatalnym humorze, gotowa moknąć, byle zrobić mu na złość.

Nic nie budzi w kobiecie takiej furii jak świadomość, że naprawdę się wygłupiła.

Zresztą, mówiła sobie w duchu z irytacją, Michael nie był bez winy, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór. A jeśli doszedł do wniosku, że pochopne samooskarżenia, którymi zbytnio szafowała w przystępie paniki, uwalniają go od wszelkiej odpowiedzialności, to bardzo się mylił.

Z uporem wpatrywała się w dal, gdzieś nad jego ramieniem.

— Deszcz już ustaje.

— Może w Chinach.

— Bardzo mi tu wygodnie — zełgała.

— Na litość boską, Francesco — rzucił szorstko. — Wściekaj się na mnie, ile chcesz, ale nie zachowuj się jak idiotka.

— Trochę za późno na takie rady — mruknęła pod nosem.

— Może i tak — zgodził się, udowadniając, że ma irytująco czuły słuch — ale cholernie mi zimno i chciałbym jak najprędzej wrócić do domu. Możesz mi wierzyć albo nie, ale w tej chwili znacznie bardziej mnie nęci gorąca herbata niż igraszki z tobą.

Ta wypowiedź, zamiast uspokoić Francescę, wzbudziła w niej pragnienie, by dać Michaelowi po łbie kamieniem.

Niebawem jednak — może na dowód, że jej dusza nie została nieodwołalnie skazana na skwarne piekło — deszcz naprawdę zaczął słabnąć. Nie ustał całkiem, ale zelżał na tyle, że kłamstwo Franceski nabrało pozorów prawdy.

— Lada chwila słońce wyjdzie zza chmur — oświadczyła, wskazując wdzięcznym gestem siąpiący wciąż kapuśniaczek. — Naprawdę jest mi tu bardzo wygodnie.

— Zamierzasz wyciągnąć się na gołej ziemi i przeleżeć z sześć godzin, zanim ubranie na tobie wyschnie? — wycedził. — Aż tak ci tęskno do zapalenia płuc?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

— Okropny z ciebie drań — stwierdziła.

Roześmiał się.

— Dziś pierwszy raz udało ci się powiedzieć prawdę.

— Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że chcę zostać sama? — odgryzła się.

— A ty naprawdę nie widzisz, że chcę cię ocalić od ciężkiej choroby? Wsiadaj na konia, Francesco! — polecił tonem, jakim się zwracał do swych podkomendnych podczas wojny z Francją. — Kiedy już dotrzemy do domu, możesz się zabarykadować w swoim pokoju choćby na dwa tygodnie, jeśli zechcesz, ale nie moknijmy już dłużej na tym przeklętym deszczu.

Ta doprawdy kusząca perspektywa zirytowała Francescę jeszcze bardziej, gdyż Michael mówił z sensem, a ona nie chciała mu przyznać racji pod żadnym względem. Zwłaszcza że nękało ją niemiłe przeczucie, iż potrwa to znacznie dłużej niż dwa tygodnie, zanim się pogodzi z wydarzeniami poprzedniego wieczoru. Wyglądało na to, że będzie się tym zadręczała do końca życia.

— Michaelu — wyszeptała w nadziei, że wzbudzi w nim szlachetniejsze

uczucia, na przykład litość dla nieszczęsnych, drżących z zimna niewiast. — Zrozum, mnie teraz zbyt trudno znieść twoją obecność.

— Nie wytrzymasz nawet dwudziestominutowej przejażdżki? — warknął.

I zaraz potem, nim oprzytomniała na tyle, by zaprotestować choćby krzykiem, brutalnie poderwał ją na nogi, chwycił w pasie i podsadził na konia.

— Michaelu!

— Jakie to smutne — odparł sucho. — Wczoraj wieczorem brzmiało to zupełnie inaczej.

Dała mu w twarz.

— Zasłużyłem sobie na to — stwierdził, zajmując miejsce na końskim grzbiecie tuż za nią. Kształt siodła zmuszał ją do tego, by siedziała Michaelowi na podołku. — Ale ty jeszcze bardziej zasłużyłaś na tęgie lanie. Co za głupota!

Francesce odebrało mowę.

— Jeśli chciałaś mnie ujrzeć u swoich stóp, żebrzącego o wybaczenie — mówił, przysuwając znów bezwstydnie usta do jej ucha — nie powinnaś była zachowywać się jak idiotka i wybiegać na deszcz.

— Nie padało, kiedy wychodziłam z domu — tłumaczyła się dziecinnie i wydała nagły okrzyk zdumienia, gdy ponaglił konia do biegu.

A wtedy, oczywiście, gorzko pożałowała, że to uda Michaela zapewniają jej równowagę w siodle.

Nie odpowiadało jej także i to, że jego ramię obejmuje ją tak ciasno pod biustem. Jej piersi dosłownie leżały na jego przedramieniu.

Nie wspominając już o tym, że była dosłownie wklinowana między jego nogi, a jej siedzenie przylegało do…

Cóż, nawet deszcz ma pewne zalety; w takich warunkach pogodowych

Michael — czy chciał tego, czy nie — był skurczony i zziębnięty, co w poważnym stopniu osłabiało grzeszną wyobraźnię Franceski i pozwalało utrzymać w ryzach skłonne do upadku ciało.

Tylko że, niestety widziała już Michaela poprzedniej nocy w takim negliżu, w jakim nigdy nie spodziewała się go ujrzeć — w pełnym blasku jego męskości.

I to było najgorsze ze wszystkiego. Takie zwroty jak „w pełnym blasku jego męskości” powinny być jedynie szyderstwem; należało wymawiać je z sarkazmem albo z chytrym, złośliwym uśmieszkiem.

Tymczasem do Michaela to określenie pasowało jak ulał.

Równie dobrze, jak ciała ich dwojga pasowały do siebie.

A Francesca traciła nędzne resztki zdrowego rozsądku, jakie jej jeszcze pozostały.

Jechali w milczeniu. Może nie w kompletnej ciszy, ale w każdym razie nie rozmawiali. Bywają jednak inne dźwięki, znacznie bardziej niepokojące. Francesca była boleśnie świadoma każdego oddechu Michaela, rozbrzmiewającego w jej uszach. Mogłaby też przysiąc, że słyszy, jak jego serce bije tuż za jej plecami. I nagle…

— Jasna cholera!

— Co się stało? — spytała, usiłując się odwrócić i spojrzeć mu w twarz.

— Felix okulał — burknął i zeskoczył z konia.

— Coś poważnego? — dopytywała się, przyjmując bez protestu jego pomoc przy zsiadaniu.

— Nic mu nie będzie — uspokoił ją Michael i ukląkł na deszczu, by zbadać lewą przednią nogę swego wałacha. Kolana Michaela natychmiast zagłębiły się w grząskiej ziemi, co nie wyszło na dobre jego bryczesom do konnej jazdy. — Nie ma jednak mowy o tym, by dźwigał nas oboje. Obawiam się, że nawet ciebie nie uniesie. — Wstał z klęczek, rozejrzał się

dokoła i zorientował się, gdzie dokładnie się znajdują. — Musimy schronić się w domku ogrodnika — oznajmił, niecierpliwie odgarniając do tyłu opadające na oczy mokre włosy.

— W domku ogrodnika? — powtórzyła jak echo Francesca, choć wiedziała dokładnie, o czym Michael mówi. Był to mały, jednoizbowy budynek, pusty od czasu, gdy ogrodnik, którego żona obdarzyła bliźniętami, przeniósł się do większego domu na drugim końcu majątku. — Nie lepiej wrócić do domu? — spytała z nutką desperacji w głosie.

Wcale sobie nie życzyła sam na sam z Michaelem w ciasnej przestrzeni przytulnej izby, której znaczną część zajmowało (o ile jej pamięć nie myliła) pokaźnych rozmiarów łóżko.

— Powrót do domu pieszo zająłby nam ponad godzinę — odparł Michael posępnym tonem. — A lada chwila rozszaleje się burza.

Miał słuszność, niech go licho! Niebo przybrało dziwną, zielonkawą barwę, a spod warstwy chmur przebłyskiwało niesamowite światło; zapowiadało to wyjątkowo silną burzę.

— Cóż, dobrze… — ustąpiła Francesca, starając się zapomnieć o swym niepokoju.

Sama nie wiedziała, co trwoży ją bardziej — myśl o tym, że burza zaskoczy ich pod gołym niebem, czy perspektywa pozostania Bóg wie jak długo w malutkim domku razem z Michaelem.

— Jeśli pobiegniemy, zajmie to nam tylko kilka minut — stwierdził Michael. — Ale, prawdę mówiąc, tylko ty możesz tam pobiec. Ja poprowadzę Felixa. Nie wiem, jak długo potrwa, nim się tam konisko dowlecze.

Francesca zwróciła się do niego, mrużąc podejrzliwie oczy.

— Zrobiłeś to naumyślnie?

Spojrzał na nią tak groźnie, że jego mina przestraszyła ją nie mniej niż

wielka błyskawica, która właśnie przecięła niebo.

— Przepraszam — wycofała się pospiesznie Francesca, zawstydziwszy się swoich podejrzeń. Są czyny, o które po prostu nie można oskarżyć brytyjskiego dżentelmena. Przede wszystkim o rozmyślne okaleczenie należącego doń zwierzęcia, choćby mogło to być nie wiem jak korzystne. — Bardzo przepraszam — dodała jeszcze, gdy ziemią wstrząsnęło uderzenie pioruna. — Naprawdę!

— Trafisz do domku?! — wrzasnął Michael, usiłując przekrzyczeć odgłosy burzy.

Skinęła głową.

— Może rozpalisz ogień, zanim się zjawię?

— Spróbuję.

— To biegnij! — polecił jej zwięźle. — I ogrzej się. Wkrótce tam dotrę.

Puściła się biegiem, nie całkiem pewna, czy chce schronić się przed burzą, czy uciec od Michaela.

Zresztą, jakież to miało znaczenie, jeśli on i tak dogoni ją za kilka minut?

Kiedy biegła na obolałych nogach, czując w płucach ogień, odpowiedź na to pytanie nie wydawała się zbyt istotna. Wyczerpywał ją wysiłek, do jakiego nie przywykła, a deszcz siekł ją boleśnie po twarzy. Ale wszystko to Francesca uznała za zasłużoną karę; widać nie była godna lepszego losu.

Chyba naprawdę tak jest, pomyślała z rozpaczą.

Zanim Michael dotarł do domku ogrodnika, przemókł do suchej nitki i trząsł się z zimna. Zaprowadzenie Felixa w bezpieczne miejsce zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał, a potem jeszcze musiał, rzecz jasna, postarać się o przyzwoite schronienie dla okaleczonego zwierzęcia; nie mógł go przecież uwiązać pod drzewem podczas burzy z piorunami. W końcu udało się Michaelowi przekształcić stary kurnik w prowizoryczny koński boks. Skutek był jednak taki, że gdy wreszcie skierował się w stronę

opuszczonej chaty, ręce mu krwawiły, a buty miał upaprane obrzydlistwem, którego ulewny deszcz jakoś nie wypłukał z kurnika.

Francesca klęczała obok kominka, usiłując rozpalić ogień. Sądząc z jej gniewnego mamrotania, szło jej nie najlepiej.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła na widok Michaela. — Co ci się stało?

— Miałem kłopoty ze znalezieniem bezpiecznego schronienia dla Felixa — pożalił się. — Musiałem w końcu zbudować mu coś w rodzaju boksu.

— Gołymi rękami?

— Innych narzędzi nie miałem — odparł, wzruszając ramionami.

Francesca zerknęła z niepokojem w stronę okna.

— Będzie tam bezpieczny?

— Mam nadzieję — odparł Michael i usiadł na stołku o trzech nogach, żeby zdjąć buty. — Nie mogłem przecież klepnąć go po zadzie i kazać mu wracać do domu, kiedy biedak tak kuleje.

— Nie mogłeś — przyznała. — Oczywiście, że nie.

Nagle na jej twarzy odmalował się przestrach. Zerwała się na równe nogi i wykrzyknęła:

— Tobie też chyba nic nie grozi?

W normalnych warunkach jej troska sprawiłaby Michaelowi przyjemność; teraz jednak nie miał pojęcia, o czym Francesca mówi.

— Co masz na myśli? — spytał uprzejmie.

— Malarię — wyjaśniła z pośpiechem. — Jesteś cały mokry, a nie tak dawno miałeś atak febry. Nie chciałabym, żebyś… — urwała, odchrząknęła i z niejakim trudem wyprostowała plecy. — Mój niepokój wcale nie oznacza, że jestem do ciebie lepiej usposobiona niż godzinę temu, ale na pewno nie życzę ci kolejnego ataku choroby.

Michaelowi przemknęło przez głowę, że mógłby skłamać, by wzbudzić w niej współczucie, ale ostatecznie powiedział tylko:

— Zmoknięcie z pewnością mi nie zaszkodzi.

— Jesteś tego pewien?

— Jak najbardziej. Przeziębienie nie spowoduje ataku malarii.

— O! — Przez chwilę przetrawiała tę informację. — Cóż, w takim razie… — Nie dokończyła, jej usta zacisnęły się w niezbyt życzliwym grymasie. — Więc rób dalej, co trzeba — powiedziała w końcu.

Michael bezczelnie jej zasalutował i wrócił do zdejmowania butów. Mocnym szarpnięciem pozbył się drugiego buta i ująwszy oba ostrożnie za cholewki, postawił je przy drzwiach.

— Lepiej ich nie dotykaj — ostrzegł Francescę z niejakim roztargnieniem, podchodząc do kominka. — Brudne jak licho.

— Nie mogę rozpalić ognia — przyznała bezradnie. — Bardzo mi przykro. Nie mam, niestety, doświadczenia w takich sprawach. Znalazłam tylko w kącie trochę drewna na podpałkę.

Wskazała na palenisko, na którym ułożyła kilka szczap.

Michael zabrał się do rozpalania ognia. Ręce nadal go piekły; podrapał je, usuwając kolące gałęzie jeżyn ze starego kurnika, gdy szykował boks dla Felixa. Witał jednak ten niewielki ból niemal z radością, gdyż pomagał mu oderwać myśli od stojącej za nim kobiety.

Była na niego zła.

Powinien był to przewidzieć — i rzeczywiście, spodziewał się tego, ale nie przypuszczał, że tak boleśnie zrani to jego dumę, a także — jeśli miał być całkiem szczery — jego serce. Wiedział, ma się rozumieć, że po przelotnym wybuchu namiętności Francesca nie wyzna mu nagle, że zakochała się w nim na śmierć i życie… a mimo to był tak naiwny, że jakaś mała cząstka jego „ja” spodziewała się takiego właśnie szczęśliwego zakończenia.

Kto by pomyślał, że po tylu latach grzesznego życia okaże się, iż jest

nieuleczalnym romantykiem.

A jednak — wcześniej czy później — Francesca odzyska rozum. Był tego prawie pewny. To się nie może skończyć inaczej. Została skompromitowana, i to jak! — pomyślał z pewną satysfakcją. I choć nie była dziewicą, coś podobnego zawsze ma wielkie znaczenie dla kobiety z zasadami, takiej jak Francesca.

Musiał teraz podjąć decyzję: czy lepiej przeczekać jej gniew, czy też drażnić ją i atakować tak długo, aż pogodzi się w końcu z tym, co nieuchronne? To drugie rozwiązanie będzie go kosztowało wiele bólu i wysiłku; uważał jednak, że dawało większe szanse na osiągnięcie sukcesu. Gdyby zostawił Francescę w spokoju, będzie roztrząsała problem i roztrząsała, aż wreszcie o nim zapomni. Może nawet zdoła sobie wmówić, że nic się nie stało.

— Udało ci się rozpalić? — dobiegł jej głos z drugiego końca izby.

Michael zdołał w ciągu paru sekund skrzesać i rozdmuchać kilka iskier. Westchnął z satysfakcją, gdy pomarańczowe płomyki zaczęły migotać i lizać drwa.

— Muszę jeszcze przez chwilę pilnować ognia — wyjaśnił, odwracając się do niej. — Ale powinno się niebawem porządnie rozpalić.

— To dobrze — odparła lakonicznie. Cofnęła się o kilka kroków i natknęła się na łóżko. — Ja zostanę tutaj.

Michael nie zdołał powstrzymać krzywego uśmiechu. W domku ogrodnika była tylko jedna izba. Dokąd, zdaniem Franceski, miał się więc udać?

— A ty — oznajmiła z miną wyjątkowo antypatycznej guwernantki — możesz zostać tam!

Spojrzał na przeciwległy kąt izby, który wskazywała mu palcem.

— Doprawdy? — wycedził.

— Uważam, że tak będzie najlepiej.

Wzruszył ramionami.

— Niech ci będzie.

— Zgadzasz się?

— Jak najbardziej.

Zajął wskazane miejsce i zaczął się rozbierać.

— Co ty wyprawiasz? — jęknęła.

Uśmiechnął się pod nosem, odwrócony plecami do Franceski.

— Trzymam się swego kąta — rzucił lekko przez ramię.

— Ale zdejmujesz ubranie! — zaprotestowała tonem, w którym oburzenie mieszało się z przerażeniem.

— Radzę ci zrobić to samo — odparł i zmarszczył brwi, dostrzegając krew na rękawie.

Psiakrew, ależ sobie poharatał ręce.

— Mowy nie ma — odparowała Francesca.

— Trzymaj! — polecił, rzucając jej swoją koszulę. Wrzasnęła, gdy lekki pocisk ugodził ją w pierś, co sprawiło Michaelowi niemałą uciechę.

— Michaelu! — wykrzyknęła oburzona, odrzucając mu koszulę.

— Przepraszam — odparł bez cienia skruchy. — Pomyślałem, że mogłabyś użyć jej jako ręcznika i wytrzeć się nią.

— Natychmiast włóż ją z powrotem — syknęła przez zęby.

— Żeby się zaziębić na śmierć? — spytał, unosząc arogancko jedną brew. — Z malarią czy bez malarii, wcale nie marzę o przeziębieniu. Zresztą nie ma nic takiego, czego byś już nie widziała — Gdy Francesca zatchnęła się z oburzenia, dodał: — Nie, chwileczkę! Najmocniej przepraszam. Nie oglądałaś wszystkiego ubiegłej nocy. Nie zdążyłem zdjąć niczego prócz spodni, nieprawdaż?

— Wyjdź stąd! — zażądała zdławionym, pełnym furii głosem.

Michael tylko się roześmiał i odwrócił głowę do okna.Deszcz bębnił o szyby.

— Nie ma mowy, Francesco. Obawiam się, że przez jakiś czas jesteś skazana na moje towarzystwo.

Jakby na potwierdzenie jego słów, mały domek zatrząsł się w posadach, gdy w pobliżu uderzył piorun.

— Może będzie lepiej, jak się odwrócisz? — poradził Michael lekkim tonem. Oczy Franceski rozszerzyły się, najwyraźniej nie rozumiała, o co chodzi. Wyjaśnił więc: — Zaraz zdejmę spodnie.

Wydała pomruk oburzenia, ale się odwróciła.

— I zejdź z tego koca! — zawołał, ściągając przemoczone ubranie. — Całkiem go przemoczysz.

Przez sekundę myślał, że Francesca przyciśnie koc pupą jeszcze mocniej, byle tylko postawić na swoim, ale widać zdrowy rozsądek zwyciężył, gdyż wstała, zdjęła przykrycie z łóżka i strzepnęła z niego krople wody.

Michael podszedł bliżej — wystarczyły cztery duże kroki — i zabrał z łóżka drugi koc dla siebie. Nie był tak gruby jak ten, który Francesca trzymała w ręku, ale wystarczył, żeby się nim owinąć.

— Już jestem przyzwoicie okryty! — zawołał, powróciwszy do swego kąta.

Francesca odwróciła się do niego. Co prawda z oporami i zerkała tylko jednym okiem.

Michael miał ochotę pogrozić jej palcem jak dziecku, które stroi fochy. Doprawdy ten popis skromności był mocno spóźniony, biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Ale jeśli Francesca czuła się lepiej, trzymając się kurczowo strzępów swej dziewiczej cnoty, nie będzie jej pozbawiał tej przyjemności przez resztę dzisiejszego ranka.

— Cała dygoczesz — zauważył.

— Zimno mi.

— Nic dziwnego. Suknię masz zupełnie mokrą.

Francesca nic na to nie odpowiedziała. Rzuciła mu tylko spojrzenie mówiące wyraźnie, że nie myśli zdejmować ubrania.

— Rób, jak chcesz — powiedział. — Ale przynajmniej usiądź bliżej ognia.

Wyraźnie się wahała.

— Na litość boską, Francesco! — Zirytował się, jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. — Przyrzekam uroczyście, że cię nie zgwałcę. W każdym razie nie dziś rano. I nie dotknę cię bez twojej zgody.

Z jakiegoś powodu policzki zaczęły ją jeszcze bardziej piec; miała jednak widocznie trochę zaufania do niego, bo przeszła przez pokój i siadła przy ogniu.

— Cieplej? — spytał tylko po to, żeby ją zirytować.

— Dużo cieplej.

Przez następnych kilka minut dokładał drew do ognia ostrożnie, żeby nie zdusić płomyków. Od czasu do czasu zerkał na profil Franceski. Po chwili, gdy twarz jej nieco złagodniała, postanowił spróbować szczęścia i powiedział cicho:

— Ubiegłej nocy nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Nawet się nie odwróciła do niego.

— Jakie?

— Jeśli dobrze pamiętam, spytałem cię, czy zgodzisz się zostać moją żoną.

— Nic podobnego — odparła zimno. — Powiadomiłeś mnie tylko, że twoim zdaniem powinniśmy się pobrać i zacząłeś mi wyjaśniać powody.

— Doprawdy? — mruknął. — Co za uchybienie z mojej strony.

— Tylko nie potraktuj tego jako zachęty do ponawiania oświadczyn —

odpowiedziała ostro.

— Miałbym zmarnować taką okazję? — wycedził.

Nie był całkiem pewny, ale zdawało mu się, że jej zaciśnięte wargi lekko drgnęły.

— W porządku — zgodził się możliwie najbardziej wyniośle. — Nie poproszę cię, żebyś za mnie wyszła. Zapomnij o tym, że dżentelmen winien nalegać po tym wszystkim, co się wydarzyło…

— Gdybyś był dżentelmenem — weszła mu w słowo — nic by się nie wydarzyło.

— Było nas tam dwoje, Francesco — przypomniał jej łagodnie.

— Wiem — odparła tak gorzko, iż Michael pożałował, że się z nią drażnił.

Niestety, gdy podjął decyzję, że nie będzie jej więcej prowokował, nie zostało mu nic więcej do powiedzenia. Świadczyło to o nim nie najlepiej, ale taka była prawda. Milczał więc, otulając szczelniej wełnianym kocem swe niemal nagie ciało, i ukradkiem spoglądał na Francescę, starając się odgadnąć, czy się jednak nie przeziębiła.

Trzymał mocno za zębami swój zjadliwy język, żeby nie ranić jej uczuć. Gdyby jednak z głupoty narażała swoje zdrowie, nie zamierzał się krępować!

Ale Francesca nie dygotała z zimna ani nie zdradzała innych objawów nadmiernego wychłodzenia organizmu — prócz tego, że przysuwała się do ognia to przodem, to tyłem, to znów bokiem, starając się (bez większych zresztą rezultatów) wysuszyć spódnicę. Od czasu do czasu zerkała na Michaela, jakby chciała coś powiedzieć, potem jednak znów zamykała usta, zwilżała wargi językiem i wzdychała cichutko.

Wreszcie, nie patrząc na niego, powiedziała:

— Zastanowię się nad tym.

Uniósł brew pytająco i czekał na wyjaśnienie.

— Nad małżeństwem z tobą — oświeciła go, w dalszym ciągu nie odrywając oczu od ognia. — Ale nie mogę ci odpowiedzieć od razu.

— Może spodziewasz się już mojego dziecka — powiedział miękko.

— Jestem tego w pełni świadoma. — Objęła ramionami uniesione kolana. — Odpowiem ci, kiedy będę miała pewność.

Michael zacisnął tak mocno ręce, że paznokcie wbiły się w ciało. Kochał się z Francescą między innymi po to, by nakłonić ją do małżeństwa (nie dało się ukryć tej niemiłej prawdy), nie zamierzał jednak zapładniać jej wbrew woli. Pragnął przywiązać ją do siebie namiętnością, a nie obarczyć ciążą.

A teraz Francesca mówi mu bez osłonek, że jeśli wyjdzie za niego, to tylko ze względu na dziecko.

— Rozumiem — powiedział i zdumiał się, jak obojętnie to zabrzmiało, choć wrzał w nim gniew.

Może i nie miał prawa aż tak się gniewać, ale mimo to złość w nim kipiała. A nie był takim wzorem dżentelmena, by okazać się wyższym ponad to.

— W takim razie wielka szkoda, że przyrzekłem nie zbliżać się do ciebie dzisiejszego ranka — dodał głosem, w którym brzmiały niepokojące nuty; nie oparł się też pokusie i uśmiechnął się drapieżnie.

Francesca błyskawicznie odwróciła głowę, by spojrzeć mu w twarz.

— Mógłbym, jak to mówią — rozważał półgłosem, przesuwając lekko palcem po brodzie — przypieczętować sprawę. A przynajmniej zabawić się setnie, usiłując tego dokonać.

— Michaelu…

— Ale szczęściem dla mnie — przerwał jej — na moim zegarku… — Michael znajdował się wystarczająco blisko swego rzuconego na stół

surduta, by wyjąć zegarek z kieszeni. — … Do południa brakuje tylko pięciu minut.

— Nie zrobisz tego — szepnęła.

Nie ubawiło go to zbytnio, ale się uśmiechnął.

— Nie zostawiasz mi innego wyjścia.

— Dlaczego? — spytała, a on nie wiedział, o co Francesca właściwie pyta, lecz wyjawił jej jedyną cząstkę prawdy, której nie był w stanie ukryć.

— Po prostu muszę.

Zrobiła wielkie oczy.

Znajdowała się zaledwie pięć stóp od niego, oboje siedzieli na podłodze. Przysunął się bliżej, a serce biło mu jak szalone, gdy Francesca nie cofnęła się w popłochu.

— Dasz się pocałować? — spytał szeptem.

Nie poruszyła się.

Pochylił się ku niej.

— Przyrzekłem, że nic nie zrobię bez twojej zgody — szepnął gardłowym głosem, niemal dotykając ustami jej ust.

W dalszym ciągu się nie odsuwała.

— Pocałujesz mnie, Francesco? — spytał znowu.

Zawahała się.

I wtedy zrozumiał, że już ją ma.

19

…Mam wrażenie, że Michael zastanawia się nad powrotem do domu. Nie mówi tego wyraźnie w swoich listach, lecz podpowiada mi to moja matczyna intuicja — a jej nie należy lekceważyć! Wiem, że nie powinnam go na siłę wyciągać z Indii, gdzie odnosi takie sukcesy, ale myślę, że tęskni za nami. Czy nie byłoby cudownie mieć go z powrotem w domu?

Helen Stirling do hrabiny Kilmartin, dziewięć miesięcy przed powrotem hrabiego Kilmartin z Indii

Czując jego usta na swoich, Francesca mogła już tylko zdumiewać się, jak dalece postradała rozum. Michael raz jeszcze pytał ją o zgodę. Raz jeszcze umożliwił jej wyjście z trudnej sytuacji; mogła go odtrącić i trzymać się na bezpieczną odległość. A mimo to jej umysł został sromotnie pokonany w walce z ciałem, ona zaś po prostu nie miała dość sił, by oprzeć się temu, co przyspieszało jej oddech i skłaniało jej serce do szaleńczego galopu.

Ogarnęła ją leniwa fala gorąca i rosło w niej oczekiwanie, gdy duże i silne ręce Michaela ślizgały się po jej ciele, coraz bliżej ośrodka jej kobiecości.

— Michaelu — szepnęła.

Oboje wiedzieli, że nie jest to wyraz protestu. Nie prosiła go, żeby ją puścił; wręcz przeciwnie, zaklinała, by tego nie czynił, lecz — jak

poprzedniej nocy — obdarował ją rozkoszą. By uświadamiał jej, jak cudownie być kobietą i jak upajające może być poczucie własnej mocy.

— Mm — mruknął tylko w odpowiedzi.

Jego palce uwijały się przy guzikach jej sukni i choć wilgotny materiał nie poddawał się łatwo, rozebrał Francescę w rekordowym tempie. Pozostała tylko w cienkiej bawełnianej koszulce, tak przemoczonej, że była niemal przezroczysta.

— Jakaś ty piękna — wyszeptał, spoglądając na jej piersi, wyraźnie widoczne pod białą bielizną. — Nie mogę… nie powinienem…

Nie dodał nic więcej, co zaskoczyło Francescę. Spojrzała mu prosto w twarz i nagle zrozumiała, że nie były to dla niego puste słowa. Gardło miał ściśnięte i zmagał się z jakimś potężnym uczuciem, którego nie widziała dotąd na jego twarzy.

— Michaelu? — szepnęła znowu.

Choć było to pytanie, nie bardzo wiedziała, o co go właściwie pyta.

On zaś — tego była niemal pewna — nie miał pojęcia, jak jej odpowiedzieć. W każdym razie nie słowami. Pochwycił ją w ramiona, zaniósł na łóżko i posadził na brzegu siennika, by ściągnąć z niej koszulkę.

Teraz powinnam położyć temu kres, pomyślała Francesca. Było to jak najbardziej wykonalne. Michael co prawda pragnął jej, i to bardzo; widziała to wyraźnie. Odsunąłby się jednak, gdyby zaprotestowała choć słowem.

Ale ona nie mogła się na to zdobyć. Bez względu na to, jak głośno odzywał się w niej rozsądek, rwała się na spotkanie ust Michaela, żądna jego pocałunków, rozpaczliwie złakniona dalszych pieszczot.

Pragnęła ich. Pragnęła Michaela. I choć wiedziała, że to grzech, była zbyt zepsuta, by położyć temu kres.

To wina Michaela, że stała się taka.

Że pragnęła tarzać się w nieprawości.

— Nie! — sprzeciwiła się nagle.

Słowo to padło z jej ust z brutalną szczerością.

Ręce Michaela znieruchomiały.

— Ja to zrobię! — oświadczyła Francesca.

Spoglądali na siebie i Francesca miała wrażenie, że tonie w srebrzystej głębi. W spojrzeniu Michaela wyczytała setki pytań; nie była jednak gotowa odpowiedzieć na żadne z nich. Zresztą, jeżeli chodzi o nią, wiedziała tylko jedno, lecz nie zamierzała nigdy wyjawić tego otwarcie. Gdyby to zrobiła, nie zdołałaby okiełznać swoich pragnień i nie cofnęłaby się przed niczym. Zakosztuje więc tego, czego pragnęła, ukradkiem i po cichu, żeby potem — o ile zdoła odzyskać rozum i położyć kres temu szaleństwu — zachować wspomnienie jedynego, przesyconego erotyzmem popołudnia, swej krótkiej, płomiennej przygody, kiedy decydowała o wszystkim.

A poza tym to Michael obudził w niej rozpustnicę, więc chciała się na nim odegrać.

Położyła rękę na jego piersi i popchnęła go na łóżko. Michael spoglądał na nią płonącymi oczyma, usta rozchyliły mu się z pożądania, gdy wpatrywał się w nią, nie wierząc własnym oczom.

Cofnęła się o krok, a potem pochyliła i ujęła lekko w palce rąbek koszulki.

— Chcesz, żebym ją zdjęła? — spytała szeptem.

Skinął głową.

— Mów głośno! — zażądała.

Chciała się przekonać, czy całkiem odebrało mu mowę. I czy zdoła doprowadzić go do szaleństwa, uczynić zeń niewolnika namiętności — tak samo, jak on postąpił z nią.

— Tak — powiedział chrapliwym, łamiącym się głosem.

Francesca nie była niewiniątkiem. Przez dwa lata współżyła z młodym, zdrowym mężczyzną o bujnym temperamencie, który nauczył ją cenić te radości. Potrafiła więc być zuchwała w miłości, wiedząc, jak to podnieca. Wszystko to jednak nie przygotowało jej na piorun z jasnego nieba, na występny dreszcz, jakiego doznała na myśl o rozebraniu się na oczach Michaela. Ani na zbijającą z nóg falę nagłego gorąca, kiedy obserwowała Michaela, który nie był w stanie oderwać od niej oczu.

Dopiero wówczas uświadomiła sobie, jaką ma nad nim władzę.

I była tym zachwycona.

Z rozmyślną powolnością unosiła koszulkę do góry — najpierw tylko trochę nad kolana, potem wyżej i wyżej — prawie do bioder.

— Wystarczy? — drażniła się z nim, ze zmysłowym uśmieszkiem oblizując wargi.

Pokręcił głową.

— Jeszcze! — zażądał.

Zażądał?… Nie spodobało się to Francesce.

— Poproś — poleciła mu szeptem.

— Jeszcze — powtórzył pokorniejszym tonem.

Skinęła zgodą na znak aprobaty, ale nim zdążył dostrzec kępkę jej włosów łonowych, odwróciła się do niego plecami i wywijając koszulką, to odkrywała, to znów zasłaniała pupę. Następnie pochwaliła się nagimi plecami i wreszcie zdjęła koszulkę przez głowę.

Oddech Michaela stał się gorący i ciężki; Francesca słyszała, jak świszczał, i niemal czuła, jak owiewał jej plecy. Nadal jednak się nie odwracała. Zamiast tego wydała przeciągłe, uwodzicielskie westchnienie i przesunęła dłońmi po swoich bokach, oraz — zapuszczając się na tyły — po pośladkach. Potem jej ręce powędrowały do piersi. Ścisnęła je lekko, dobrze wiedząc, że Michael nie może tego zobaczyć.

Na pewno się domyśli, co zrobiła!

Powinno go to doprowadzić do szaleństwa.

Usłyszała szelest od strony łóżka. Skrzypiała stara rama.

— Nie ruszaj się! — rzuciła ostro.

— Francesco — jęknął.

Głos Michaela wydawał się wyraźniejszy. Musiał widocznie usiąść. Lada chwila po nią sięgnie.

— Połóż się — ostrzegła go łagodnie.

— Francesco — powtórzył, ale tym razem w jego głosie była nutka desperacji.

Francesca się uśmiechnęła.

— Połóż się! — upomniała go znowu, w dalszym ciągu nie patrząc na niego.

Słyszała, jak Michael ciężko dyszy; wiedziała, że nie zmienił pozycji i zastanawiała się, co robić.

— Połóż się — przypomniała mu po raz ostatni — jeśli chcesz mnie mieć.

Przez sekundę panowała cisza, potem Francesca usłyszała, że Michael kładzie się znów na łóżku. Słyszała również jego rwący się oddech.

— Masz za swoje — mruknęła.

Podrażniła go jeszcze trochę, przesuwając delikatnie dłońmi po swoim ciele. Paznokcie łaskotały; czuła, że ma gęsią skórkę.

— Mm… — pomrukiwała z całym rozmysłem. — Mm…

Michael wydał gardłowy, nieartykułowany pomruk, godny dzikusa. Był już u kresu wytrzymałości. Może lepiej nie prowokować go dłużej?

Obejrzała się przez ramię i zerknęła na niego, oblizując wargi.

— Powinieneś je zdjąć — powiedziała, zatrzymując wzrok na jego krótkich kalesonkach. Nie ściągnął ich, zdejmując mokre ubranie, i teraz

był tak pobudzony, że wydawały się stanowczo za ciasne. — Nie jest ci chyba zbyt wygodnie — dodała z miną niewiniątka.

Odmruknął coś i dosłownie zdarł z siebie bieliznę.

— Ooo! — westchnęła Francesca z podziwem.

Choć miało to być uwodzenie z zimną krwią, zawarła w tym okrzyku wiele szczerego podziwu. Michael był taki wielki i silny, ona zaś czuła, że igra z ogniem, doprowadzając go do granic wytrzymałości.

Nie mogła się jednak powstrzymać. Miała nad nim taką władzę!

— Bardzo, bardzo ładnie… — wymruczała jak kotka, pozwalając swym oczom błądzić po całym ciele Michaela i zatrzymując dłużej wzrok na jego męskości.

— Dość tego, Frannie! — ostrzegł.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Odpowiadaj tylko na moje pytania — upomniała go łagodnie, lecz stanowczo. — Jeśli chcesz, będziesz mnie miał. Ale ja o wszystkim decyduję.

— Fran…

— Takie są moje warunki.

Na chwilę zastygł w bezruchu, potem na znak zgody cofnął się nieco, ale nie położył się z powrotem. Siedział, lekko odchylony do tyłu, wsparty na rękach, schowanych za plecami. Każdy jego mięsień był napięty, a oczy miały koci wyraz, jakby czaił się na upatrzoną ofiarę.

Jest po prostu wspaniały, uświadomiła sobie Francesca z dreszczem pożądania.

I mogła go mieć w każdej chwili.

— Co mam teraz robić…? — zastanawiała się głośno.

— Chodź tutaj — burknął.

— Jeszcze nie w tej chwili — westchnęła w odpowiedzi, odwracając się

do niego profilem.

Zauważyła, że spojrzenie Michaela przywarło do nabrzmiałego koniuszka jej piersi. Oczy mu pociemniały, oblizał wargi. Gdy wyobraziła sobie dotyk jego języka na swoim ciele, poczuła, że jeszcze bardziej rośnie w niej napięcie i oblewa ją kolejna fala gorąca.

Dotknęła swojej piersi, objęła ją od spodu i obróciła się ku niemu, podając mu ją na dłoni, niczym jakiś niezwykły przysmak.

— Czy tego właśnie chcesz? — spytała szeptem.

Głos Michaela przeszedł w groźny pomruk.

— Dobrze wiesz, czego chcę.

— No tak — wymruczała — ale może by tak… w międzyczasie? Chyba przyjemniej, jeśli oczekiwanie nie dłuży się zbytnio?

— Co ty wiesz! — rzucił szorstko.

Popatrzyła na swoją pierś.

— Ciekawe, co by się stało, gdybym zrobiła… coś takiego? — spytała i zaczęła bawić się sutkiem; całe jej ciało drżało przy tym, przejęte dreszczem, który przenikał do jej najtajniejszego wnętrza.

— Frannie — jęknął Michael.

Spojrzała na niego. Wargi miał rozchylone, oczy szkliste z pożądania.

— To mi się podoba — stwierdziła Francesca ze zdumieniem. Nigdy dotąd nie bawiła się własnym ciałem w podobny sposób. Coś takiego w ogóle nie przyszło jej do głowy, zanim Michael nie stał się zafascynowanym widzem jej popisów. — Podoba mi się — powtórzyła i biorąc drugą rękę, zaczęła równocześnie pieścić obydwie piersi. Następnie uniosła je nieco do góry, zbliżając równocześnie do siebie. Jej dłonie stanowiły teraz bardzo podniecający gorset.

— O Boże — jęknął Michael.

— Nie miałam pojęcia, że potrafię robić coś takiego — powiedziała,

wyginając się do tyłu.

— Ja zrobiłbym to lepiej — wykrztusił z trudem Michael.

— Bardzo możliwe — przyznała. — Masz takie doświadczenie!

I rzuciła mu spojrzenie godne światowej damy, jakby uważała za wielką zaletę Michaela fakt, że uwiódł tyle kobiet. Co dziwniejsze, do tej pory rzeczywiście była tego zdania.

Teraz jednak…

Teraz Michael należał do niej. Mogła go kusić, mogła się nim cieszyć i dopóki robił dokładnie to, co chciała, nie będzie zaprzątać sobie głowy tamtymi kobietami. Nie było ich tutaj. W tej izbie znajdowali się jedynie ona i Michael, a atmosfera między nimi stawała się coraz gorętsza.

Francesca podeszła bliżej do łóżka, odpychając wyciągniętą ku niej rękę Michaela.

— Jeśli pozwolę, żebyś mnie dotknął, obiecasz mi coś? — spytała cicho.

— Wszystko!

— Będziesz robił tylko to, na co ci pozwolę — oświadczyła z naciskiem. — I nic więcej!

Przytaknął z pośpiechem.

— Połóż się — poleciła mu.

Zrobił, co kazała.

Wdrapała się na łóżko, uważając, żeby ich ciała się nie stykały. Wsparta na rękach i kolanach pochyliła się nad Michaelem i kołysząc się lekko, uprzedziła go szeptem:

— Jedną ręką, Michaelu! Możesz się posługiwać tylko jedną ręką.

Z pomrukiem, który wyrwał mu się z gardła, Michael sięgnął po nagrodę. Jego dłoń była wystarczająco duża, by objąć całą pierś.

— Och — jęknął, ściskając ją. Przeniknął go dreszcz. — Obiema rękami, Frannie! — dopraszał się.

Nie potrafiła się oprzeć. Jedno jego dotknięcie sprawiło, że cała stanęła w ogniu. I choć chciała okazać swą władzę nad nim, nie zdołała odmówić. Skinęła głową, gdyż nie mogła wydobyć głosu, i wygięła plecy w łuk. W jednej sekundzie obie ręce Michaela znalazły się na jej ciele — ugniatając je, pieszcząc, doprowadzając do szaleństwa jej i bez tego pobudzone zmysły.

— Sutki… — wyszeptała. — Rób to, co ja!

Uśmiechnął się skrycie, z czego mogłaby wywnioskować, że nie jest aż tak wszechwładna, jak jej się zdawało. Zrobił jednak, co mu kazała. Jego palce zaczęły pastwić się nad koniuszkami jej piersi.

Zgodnie ze swymi przechwałkami, okazał się w tym lepszy od niej.

Dreszcze wstrząsały całym ciałem Franceski, ona zaś nie miała już sił, by nad nim panować.

— Teraz wargami — poleciła, ale z jej głosu znikła pewność siebie.

Było to raczej błaganie niż rozkaz — i oboje o tym wiedzieli.

Jakże tego pragnęła! John — mimo że nie brakowało mu pomysłowości ani temperamentu — nigdy nie pieścił jej piersi w taki sposób jak Michael poprzedniej nocy. Nigdy ich nie ssał, nie drażnił wargami czy zębami tak, by całe jej ciało się wiło. Francesca nie miała nawet pojęcia, że mężczyzna i kobieta mogą wyprawiać takie rzeczy.

Teraz więc, kiedy już się o tym dowiedziała, nie przestawała fantazjować na ten temat.

— Pochyl się trochę — powiedział cicho Michael — jeśli mam nadal leżeć.

Pozostając w dalszym ciągu na czworakach, Francesca pochyliła się niżej, kołysząc kusząco piersią tuż nad jego ustami.

Z początku Michael trwał w bezruchu, zmuszając ją, by pochylała się coraz niżej, tak że sutek ocierał się o jego wargi.

— Czego ty chcesz, Francesco? — spytał wreszcie.

Czuła na sobie jego gorący, wilgotny oddech.

— Przecież wiesz — szepnęła.

— Powtórz to jeszcze raz.

Teraz nie ona kierowała zabawą. Wiedziała o tym, lecz nie miało to już dla niej znaczenia. W głosie Michaela wyczuwała ton dowódcy, ale zbyt była pochłonięta nową igraszką, żeby się sprzeciwić.

— Teraz wargami — powtórzyła.

Uniósł raptownie głowę, pochwycił wargami koniuszek piersi, pociągając Francescę jeszcze niżej, by mógł pieścić ją bez trudu. Łaskotał ją i drażnił, a ona czuła, że jest coraz bardziej zauroczona, traci własną wolę i siły — i nie pragnie już niczego innego, tylko położyć się na wznak i pozwolić, by robił z nią, co zechce.

— Co dalej? — spytał uprzejmie, nie wypuszczając sutka z ust. — Jeszcze raz to samo, czy też… — tu zakręcił językiem w wyjątkowo perfidny sposób — spróbujemy czegoś innego?

— Czegoś innego — odparła bez tchu.

Nie była pewna, czy zdecydowała się na to z chęci poznania jego nowych sztuczek, czy też z obawy, że nie zniesie dłużej tortur, jakie zadawał jej w tej chwili.

— Ty tu rządzisz — stwierdził z leciutką kpiną w głosie. — Ja tylko spełniam twoje rozkazy.

— Chcę… chcę…

Oddychała z takim trudem, że nie była w stanie dokończyć zdania. A może po prostu nie wiedziała, czego chce?

— Podsunąć ci kilka pomysłów do wyboru?

Skinęła głową potakująco.

Przesunął palcem przez środek jej brzucha, zmierzając wprost do źródła

jej kobiecości.

— Mógłbym połaskotać cię tutaj — podsunął kusicielsko — albo pocałować, jeśli wolisz.

Jej ciało sprężyło się na samą wzmiankę o takiej możliwości.

— Tu jednak nasuwają się dalsze wątpliwości — kontynuował. — Czy położysz się na wznak i pozwolisz, bym ukląkł między twoimi nogami, czy chcesz nadal wznosić się nade mną, by opaść w końcu… prosto w moje usta?

— O Boże!

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała pojęcia, że istnieją takie kombinacje!

— Albo… — prawił z namysłem — mogłabyś dla odmiany ty… wziąć mnie do ust. Rozumiesz? Z pewnością byłbym zachwycony… choć muszę przyznać, że to coś całkiem innego niż poprzednie igraszki.

Francesca szeroko otworzyła usta ze zdumienia. A raczej pod wpływem szoku. Mimo woli zerknęła na jego męskość, najwyraźniej gotową do wszelkich uciech. Musnęła tam Johna raz czy drugi przelotnym pocałunkiem w przystępie najwyższego zuchwalstwa… ale żeby brać do ust?

Nie do pomyślenia! Nawet teraz, gdy ogarniało ją szaleństwo.

— Nie? — zauważył Michael z wyrozumiałym uśmiechem. — To może innym razem. Już widzę, że będziesz niezwykle pojętną uczennicą.

Francesca kiwnęła głową, nie mogąc uwierzyć, że obiecuje mu coś podobnego.

— W każdym razie — kontynuował Michael — mamy takie możliwości albo…

— Albo co? — spytała chrapliwym szeptem.

Oparł ręce na jej biodrach.

— Albo możemy przejść od razu do głównego dania — rzekł władczym tonem. — Mogłabyś na przykład mnie dosiąść. Czy już to robiłaś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— A chcesz spróbować?

Kiwnęła głową potakująco.

Jedna z rąk Michaela przeniosła się z bioder Franceski na tył jej głowy i tak ją pociągnęła w dół, że oboje zderzyli się niemal nosami.

— Nie należę do potulnych koników — powiedział cicho. — Słowo daję, będziesz miała sporo kłopotu z utrzymaniem się w siodle.

— To mi odpowiada — odparła równie cicho.

— Gotowa do jazdy?

Skinęła głową.

— Pewna jesteś? — szepnął, a jego wargi wygięły się w kpiącym uśmieszku.

Francesca nie bardzo wiedziała, jak rozumieć to pytanie, ale Michael doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Spojrzała na niego pytająco.

— Jesteś już wilgotna? — spytał cicho.

Policzki ją zapiekły… Jakby i bez tego nie była czerwona! Kiwnęła jednak głową.

— Czy aby na pewno? — powątpiewał. — Chyba lepiej sprawdzę.

Francesca z zapartym tchem wpatrywała się w rękę Michaela: okrążała jej udo, by dotrzeć do źródła kobiecości. Te przemyślane, powolne ruchy sprawiały, że Francescę ogarnął niepokój. Ciągnęło się to tak długo, iż bliska była krzyku. Wreszcie poczuła dotyk — palec Michaela zataczał kręgi na jej delikatnym ciele.

— Bardzo, bardzo ładnie — wymruczał jak kot.

Jego słowa były echem jej niedawnych słów.

— Michaelu! — jęknęła.

On jednak zbyt się rozkoszował sytuacją, by pozwolić jej na przyspieszenie biegu wydarzeń.

— Nie jestem całkiem pewny — orzekł. — Tu wydajesz się gotowa, ale jak się przedstawiają sprawy tam?

Francesca omal nie krzyknęła, gdy palec Michaela wniknął do jej wnętrza.

— Doskonale — mruknął Michael. — Widzę, że i tobie się to podoba.

— Michaelu… Michaelu…

To było wszystko, co zdołała wykrztusić.

Drugi palec przyłączył się do pierwszego.

— Jak tu ciepło — wyszeptał Michael — w samym centrum twojego ciała.

— Michaelu…

Ich oczy się spotkały.

— Chcesz mnie? — spytał bez ogródek.

Skinęła głową.

— Teraz?

Skinęła ponownie, z jeszcze większym zapałem.

Jego palce wynurzyły się, a ręce znów chwyciły Francescę za biodra, naprowadzając ją coraz bliżej i bliżej, aż poczuła dotyk jego członka. Usiłowała sama opaść jeszcze niżej, ale Michael ją powstrzymał.

— Nie za szybko — szepnął.

— Proszę…

— Pozwól, że tobą pokieruję.

Jego ręce delikatnie naciskały na jej biodra, opuszczając ją powoli i równocześnie coraz szerzej rozchylając. Jakiż on ogromny! I wszystko w tej pozycji wydawało się zupełnie inne niż zwykle…

— W porządku? — spytał Michael.

Kiwnęła głową.

— Jeszcze trochę?

Znów przytaknęła.

Michael kontynuował więc tortury, zmuszając się do kompletnego bezruchu, gdy osadzał jej ciało na swoim. I tak oto, cal po calu, pogrążał się w niej, odbierając jej dech i mowę, uniemożliwiając zebranie myśli.

— Przesuwaj się w górę i w dół — polecił Francesce. Jej spłoszone oczy pobiegły ku niemu. — Na pewno ci się to uda — zapewnił ją łagodnie.

I udało się. Wypróbowywała każdy ruch, pojękując z rozkoszy, jaką sprawiało jej tarcie o siebie dwóch ciał. Wreszcie z zapartym tchem uświadomiła sobie, że udało się jej opaść jeszcze niżej.

— Już niewiele brakuje do końca — zachęcał.

— Nie mogę!

Naprawdę nie mogła. To było niewykonalne. Wiedziała, że była w stanie dokonać tego ubiegłej nocy, ale tym razem to całkiem co innego. Niemożliwe, by się w niej zmieścił.

Ręce Michaela zacisnęły się na jej ciele, a on sam uniósł lekko biodra. Nagły wstrząs — i Francesca stwierdziła, że siedzi bezpośrednio na Michaelu. Skóra przylegała do skóry.

A ona ledwo mogła oddychać.

— O mój Boże! — jęknęła.

Siedziała, kołysząc się niemrawo, niepewna, co dalej robić.

Oddech Michaela był nierówny i przerywany, jego ciało zaczęło się poruszać. Francesca chwyciła go za ramiona, by nie stracić równowagi. Instynktownie wpadła w rytm, poruszając się w górę i w dół, przejmując kontrolę nad nimi obojgiem, a wreszcie — znajdując w tym przyjemność.

— Michaelu, Michaelu! — pojękiwała, kiedy jej ciało zaczęło się chwiać

z boku na bok, niezdolne do utrzymania się w pionie.

Nie była w stanie przeciwstawić się ogarniającej ją gorącej fali namiętności.

Michael tylko coś odmruknął. Zgodnie z zapowiedzią, nie okazał się łagodnym, oswojonym wierzchowcem. Zmuszał Francescę do tego, by w pocie czoła zarabiała na swą przyjemność. Trzymał ją mocno, żeby poruszała się — najpierw wraz z nim, potem na przekór niemu, a wreszcie…

Z jej gardła wyrwał się krzyk.

I cały świat rozprysnął się na kawałki.

Francesca nie wiedziała już, co robić ani co mówić. Przestała się trzymać ramion Michaela, wyprostowała się nagle, a potem wygięła w łuk. Wszystkie jej mięśnie były nieprawdopodobnie napięte.

Znajdujący się pod nią Michael także eksplodował. Twarz mu się skurczyła, ciało uniosło się do góry, unosząc wraz ze sobą Francescę. Czuła jak przelewa w nią całego siebie. Powtarzał jej imię raz za razem, coraz ciszej, na koniec ledwie słyszalnym szeptem.

Gdy było już po wszystkim, powiedział tylko:

— Przytul się do mnie.

Przytuliła się i zasnęła.

Po raz pierwszy od wielu dni spała głębokim, twardym snem.

I nie miała pojęcia, że Michael przez cały ten czas leży bezsennie, dotykając wargami jej skroni, a ręką jej włosów.

Powtarzając szeptem jej imię.

I inne gorące słowa.

20

…Michael zrobi, co zechce. Tak jak zawsze.

Hrabina Kilmartin do Helen Stirling, trzy dni po otrzymaniu listu od niej

Następne dni nie przyniosły Francesce spokoju. Kiedy starała się myśleć rozsądnie (w takim stopniu, w jakim była do tego zdolna), wydawało się jej, że wcześniej czy później powinna znaleźć jakieś racjonalne, logiczne rozwiązanie i podjąć decyzję, co robić i jakiego dokonać wyboru.

Niestety, nic nie wymyśliła. Kochali się z Michaelem dwukrotnie…

Sam ten fakt powinien skłonić ją do przyjęcia jego oświadczyn. Wydawało się to całkiem jasne. Spała z nim. Być może, spodziewała się już jego dziecka… aczkolwiek uznała to za mało prawdopodobne. W małżeństwie z Johnem minęły dwa lata, nim zaszła w ciążę.

Jednakże, nie biorąc nawet pod uwagę takich konsekwencji jej postępowania, decyzja Franceski wydawała się z góry przesądzona. W jej środowisku, w towarzystwie, do którego należała, poufałość, na jaką sobie pozwolili, mogła prowadzić tylko do jednego.

Musiała wyjść za Michaela.

A jednak nie potrafiła zdobyć się na wypowiedzenie sakramentalnego „tak”. Za każdym razem, gdy zdawało się jej, że wreszcie się na to zdecydowała, cichy wewnętrzny głos odzywał się ostrzegawczo i Francesca wycofywała się, niezdolna do wykonania decydującego ruchu i zbyt

przestraszona, by analizować własne uczucia, starając się odkryć, jaki lęk paraliżuje ją do tego stopnia.

Michael nie rozumiał jej postępowania. I nic dziwnego. Jakże by mógł, skoro sama tego nie pojmowała?

— Jutro rano odwiedzę proboszcza — szepnął jej do ucha, pomagając wsiąść jej na konia, który czekał przed domkiem ogrodnika.

Obudziła się tam późnym popołudniem. Była sama, a krótki liścik, leżący obok niej na poduszce, wyjaśniał, że Michael postanowił odprowadzić Felixa do Kilmartin i wróci niebawem z innym koniem.

Nie zabrał jednak dla niej drugiego, musiała więc znowu jechać razem z Michaelem, dla odmiany z tyłu.

— Nie chodź do proboszcza. Nie jestem na to gotowa — odparła, czując, że ogarnia ją panika. — Jeszcze nie.

Twarz mu spochmurniała, ale nie pozwolił sobie na wybuch.

— Pomówimy o tym później — zapowiedział.

Wracali do domu w milczeniu.

Skoro tylko dotarli do Kilmartin, próbowała wymknąć się do swego pokoju, mamrocząc coś o tym, że musi się wykąpać, ale Michael chwycił ją za rękę; jego uścisk był mocny i nieustępliwy. Znaleźli się znów sam na sam w różanym salonie — akurat tam! — za zamkniętymi drzwiami.

— O co ci właściwie chodzi?

— Co masz na myśli? — wykręcała się, starając się nie patrzeć na stojący za plecami Michaela stół. Ten sam, na którym posadził ją poprzedniej nocy i wyrabiał z nią niesłychane rzeczy.

Na samo wspomnienie przeszył ją dreszcz.

— Dobrze wiesz, o czym mówię — odparł niecierpliwie.

— Michaelu, ja…

— Wyjdziesz za mnie czy nie? — przyparł ją do muru.

Dobry Boże, czemu spytał ją tak otwarcie? Znacznie łatwiej byłoby unikać odpowiedzi, gdyby te słowa nie zawisły między nimi.

— Ja… ja…

— Wyjdziesz za mnie czy nie? — powtórzył i tym razem jego słowa były twarde i ostre.

— Nie wiem — odparła w końcu. — Potrzeba mi trochę czasu.

— Czasu? Na co? — warknął. — Żebym jeszcze lepiej się postarał, byś zaszła w ciążę?

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

Podszedł jeszcze bliżej.

— Możesz być pewna, że to zrobię! — ostrzegł. — Wezmę cię natychmiast, i jeszcze raz tej nocy, a jutro choćby trzy razy pod rząd, jeśli to okaże się konieczne.

— Przestań, Michaelu… — szepnęła.

— Spałem z tobą — powiedział bez ogródek, z wyzwaniem w głosie. — Dwa razy. Nie jesteś niewiniątkiem. Dobrze wiesz, co to znaczy.

Właśnie dlatego, że nie była niewiniątkiem i nikt nie miał co do tego wątpliwości, zdołała mu odpowiedzieć:

— Wiem. Ale to bez znaczenia, jeśli nie zajdę w ciążę.

Michael syknął słowo, którego — jak sądziła — nigdy by się nie ośmielił wypowiedzieć w jej obecności.

— Potrzebuję czasu — powtórzyła, przyciskając skrzyżowane ramiona do piersi.

— Na co?

— Bo ja wiem?… Żeby to przemyśleć. Połapać się w tym wszystkim…

— O czym tu myśleć! — odparował.

— Cóż… na przykład o tym, czy będziesz dobrym mężem — odgryzła się, bo ją rozgniewał.

Michael aż się cofnął.

— Co to ma znaczyć, do wszystkich diabłów?

— Twoje zachowanie w przeszłości — odparła, mrużąc oczy — nie było wzorem chrześcijańskiej cnoty.

— I to mówi kobieta, która dziś po południu poganiała mnie, żebym się rozebrał do naga? — zadrwił.

— Nie bądź podły — powiedziała, zniżając głos.

— To nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Poczuła w głowie pulsujący ból, przycisnęła więc palce do skroni.

— Na litość boską, Michaelu! Nie pozwalasz mi pomyśleć. Nie możesz dać mi trochę czasu na zastanowienie?

Prawda jednak wyglądała tak, że Francesca wcale nie chciała się zastanawiać. Bo cóż by z tego wynikło?

Doszłaby do wniosku, że jest rozpustnicą, zwykłą puszczalską. Że po prostu zachciało się jej tego mężczyzny. Poczuła do niego skandaliczny, zmysłowy pociąg… jakiego nie czuła nawet do swojego męża, którego kochała całym sercem.

Owszem, stosunki z Johnem sprawiały jej radość… ale nie można było tego porównać z tym, co odczuwała teraz.

Nawet się jej nie śniło, że może istnieć taka rozkosz…

A doznała jej z Michaelem. Ze swoim przyjacielem. Powiernikiem. Kochankiem!

Dobry Boże, kim się ona stała?

— Proszę cię — wyszeptała w końcu. — Proszę… Muszę być sama.

Michael wpatrywał się w nią bardzo długo. Tak długo, że spłonęła ze wstydu pod jego spojrzeniem. W końcu zaklął tylko pod nosem i sztywnym krokiem wyszedł z pokoju.

Francesca padła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach. Nie rozpłakała się

jednak.

Nie uroniła ani jednej łzy. Nie miała pojęcia, czemu tak było.

Nigdy nie zrozumie kobiet!

Michael klął siarczyście, ściągając buty, po czym rąbnął nimi o szafę.

— Milordzie…? — odezwał się niepewnie lokaj, zaglądając przez uchylone drzwi do garderoby.

— Nie teraz, Reivers — warknął Michael.

— Tak jest, milordzie — zgodził się lokaj i przemknął przez pokój, by podnieść porzucone obuwie. — Tylko je zabiorę. Zapewne pan hrabia życzy sobie, żeby je wyczyścić…

Michael zaklął ponownie.

— M… może raczej spalić? — wybełkotał Reivers. Michael spojrzał tylko na niego z groźnym pomrukiem.

Reivers umknął natychmiast, ale — skończony dureń! — zostawił drzwi otwarte.

Michael zamknął je tęgim kopniakiem i zaklął raz jeszcze, gdyż nawet trzaśnięcie drzwiami nie poprawiło mu humoru. Najwyraźniej los skąpił mu wszelkich, chociażby drobnych, przyjemności życia.

Krążył nerwowo po dywanie w kolorze burgunda, zatrzymując się od czasu do czasu w pobliżu okna.

Nigdy nie zrozumie kobiet. Zresztą, nie wmawiał sobie wcale, że jest ich znawcą. Łudził się jednak, że zna Francescę. Przynajmniej na tyle, by mieć pewność, że wyjdzie za człowieka, z którym spała dwukrotnie.

Raz to nie dosyć. Ten jeden raz mogłaby określić jako pomyłkę. Ale dwukrotnie…

Nigdy nie przypuszczał, że Francesca pozwoli sobie na coś takiego z mężczyzną, do którego nie czułaby choć trochę sympatii…

Widać się myliłem, pomyślał z kwaśnym uśmiechem.

Najwyraźniej posłużyła się nim wyłącznie dla własnej przyjemności. Nie inaczej. Zaczęła komenderować, dostała, czego chciała, i wycofała się dopiero wtedy, gdy atmosfera między nimi była płomienna jak piekło.

Posłużyła się nim.

Nigdy by jej nie podejrzewał o coś podobnego! Ciekawe, czy z Johnem było tak samo? Ona również obejmowała komendę? A może…

Zatrzymał się nagle, jakby nogi wrosły mu w dywan.

John…

Całkiem zapomniał o Johnie.

Jak to możliwe?

Przez całe lata, ilekroć ujrzał Francescę, gdy owionął go jej urzekający zapach, widział obok niej Johna — najpierw w rzeczywistości, potem we wspomnieniach.

Ale od chwili, gdy wczoraj wieczorem Francesca weszła do różanego salonu, gdy usłyszał za sobą jej kroki, gdy szepnął do niej: „Wyjdź za mnie!”, całkiem zapomniał o Johnie.

Pamięć o nim nigdy się nie zatrze, zbyt go kochali. Zbyt wiele znaczył dla nich obojga. Ale gdzieś po drodze… (do Szkocji, konkretnie mówiąc) Michael wreszcie ośmielił się pomyśleć: Mogę się z nią ożenić. Mogę poprosić ją o rękę. Naprawdę mogę!

I, jakby otrzymał na to ostateczną dyspensę, przestała dręczyć go myśl, że żeniąc się z Francescą, zawiniłby niewybaczalnie wobec zmarłego Johna.

Michaelowi nigdy nie zależało na zaszczytach. Nigdy nie wzdychał do niebios, by obdarzyły go hrabiowskim tytułem. Nie pomyślał nawet o odebraniu Johnowi Franceski, lecz pogodził się z myślą, że ukochana nigdy nie będzie należała do niego.

Ale John umarł. I nie było w tym niczyjej winy.

Po prostu umarł, a życie Michaela zmieniło się pod każdym względem… z wyjątkiem jednego.

W dalszym ciągu kochał Francescę.

Nie istniała żadna przeszkoda uniemożliwiająca im zawarcie małżeństwa. Ani prawna, ani obyczajowa. Absolutnie nic — z wyjątkiem jego nadwrażliwego sumienia, lecz i ono przestało mu ostatnio dokuczać.

I Michael wreszcie pozwolił sobie — po raz pierwszy w życiu — na postawienie pytania, którego nigdy dotąd nie ośmielił się zadać: co by o tym pomyślał John?

I pojął, że jego stryjeczny brat dałby im swoje błogosławieństwo. John miał wielkie serce i szczerze kochał zarówno Francescę, jak i Michaela. Pragnąłby z pewnością, by o Francescę troszczył się ktoś z całego serca i kochał ją tak, jak kochał ją i troszczył się o nią Michael.

Pragnąłby też, by jego stryjeczny brat był szczęśliwy.

Żeby zakosztował szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie zaznał.

Pomyśleć tylko: szczęścia…

Francesca spodziewała się, że Michael zapuka do jej drzwi, a jednak, gdy usłyszała stukanie, poderwała się zaskoczona.

Zdumiała się jeszcze bardziej, gdy otwarła drzwi i stwierdziła, że stoi pod nimi ktoś znacznie niższy od Michaela. O dobrą stopę, dokładniej mówiąc. Była to jedna z pokojówek, która przyniosła na tacy kolację.

Mrużąc podejrzliwie oczy, Francesca wyjrzała na korytarz; rozglądała się na prawo i lewo, spodziewając się ujrzeć Michaela, przyczajonego w jakimś ciemnym kącie i czekającego tylko na odpowiedni moment, by rzucić się do ataku.

Ale Michaela nigdzie nie było.

— Jego lordowska mość pomyślał, że jaśnie pani jest pewnie głodna — wyjaśniła służąca, stawiając tacę na biureczku Franceski.

Francesca zlustrowała bacznym okiem zawartość tacy, pewna, że zobaczy liścik, kwiat czy jakiś inny dowód pamięci Michaela, lecz nie dostrzegła niczego.

Nic nie zjawiło się także przez resztę wieczoru ani następnego ranka.

Nic prócz tacy ze śniadaniem, którą znów przyniosła pokojówka i dygnąwszy wyrecytowała:

— Jego lordowska mość pomyślał, że jaśnie pani jest pewnie głodna.

Francesca prosiła go, żeby dał jej czas na zastanowienie się — i wyglądało na to, że Michael postanowił spełnić jej życzenie co do joty.

To było nie do wytrzymania.

Prawdę mówiąc, pewnie byłoby znacznie gorzej, gdyby — nie zwracając uwagi na jej życzenia — nie dawał jej spokoju. W obecności Michaela nie mogła sobie ufać. Jemu zresztą też niezbyt ufała, zwłaszcza jego gorącym spojrzeniom i pytaniom, które szeptał jej do ucha: „Pocałujesz mnie, Francesco? Pozwolisz, żebym cię pocałował?”.

Nie zdołałaby mu odmówić, zwłaszcza gdyby stał blisko niej, a jego oczy — te zdumiewające, srebrzyste oczy o ciężkich powiekach — wpatrywały się w nią tak gorąco i z takim natężeniem…

Miał na nią hipnotyczny wpływ. To było jedyne wytłumaczenie.

Francesca ubrała się tego ranka w wygodną suknię domową, którą zresztą można było nosić równie dobrze poza domem. Nie zamierzała siedzieć nadal zamknięta w swoim pokoju, ale nie chciała też błądzić po korytarzach Kilmartin, wstrzymując dech na każdym zakręcie i oczekując, że zaraz pojawi się przed nią Michael.

Z pewnością znajdzie ją i poza domem, jeśli mu naprawdę na tym zależy, tyle że będzie musiał zadać sobie nieco trudu!

Zjadła śniadanie, dziwiąc się, że w tych okolicznościach apetyt jej dopisuje, po czym wymknęła się z sypialni, śmiejąc się w duchu z własnego

zachowania: skradała się na paluszkach i rozglądała się ukradkiem po korytarzu niczym włamywacz, w każdej chwili gotowa do ucieczki.

— Na co mi też przyszło! — burknęła pod nosem.

Nie spotkała jednak Michaela ani na korytarzu, ani na schodach.

Nie było go również w żadnym z salonów. Nic więc dziwnego, że w chwili, gdy dotarła do drzwi frontowych, na jej czole pojawiła się zmarszczka.

Gdzież mógł być?

Wcale nie chciała się z nim spotykać, ale jego nieobecność była dla niej pewnym rozczarowaniem po wszystkich tych niepokojach.

Chwyciła za klamkę.

Powinna się pospieszyć. Wybiec teraz, kiedy nikogo nie było w pobliżu i mogła wymknąć się bez kłopotów.

Mimo to zatrzymała się.

— Michaelu…

Wymówiła jego imię bezgłośnie, samym tylko ruchem warg, więc właściwie wcale się to nie liczyło. Nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że gdzieś tu był i ją obserwował.

— Michaelu — szepnęła, rozglądając się na wszystkie
strony.

Bez skutku.

Pokręciła głową. Co się z nią stało? Daje się ponieść wyobraźni. I to chorobliwej.

Raz jeszcze obejrzała się za siebie i wyszła z domu.

Nie dostrzegła Michaela, który obserwował ją ze swej kryjówki u podnóża kręconych schodów. Uśmiechał się ledwo dostrzegalnie, ale z ogromną satysfakcją.

Francesca pozostała poza domem najdłużej jak mogła, ale w końcu dała

za wygraną. Padała już z nóg i porządnie zziębła. Włóczyła się po dworskich gruntach przez sześć czy siedem godzin. Była znużona, zgłodniała i marzyła jedynie o filiżance herbaty.

Nie mogła zresztą przez resztę życia unikać domu.

Wróciła więc — równie cicho i dyskretnie, jak wyszła — i zamierzała udać się na górę do swego pokoju, gdzie mogłaby zjeść obiad w samotności. Zanim jednak dotarła do podnóża schodów, usłyszała, że ktoś ją woła.

— Francesco!

To był Michael. A któż by inny? Nie liczyła przecież, że zostawi ją w spokoju.

Znacznie dziwniejsze jednak było to, że nie wiedziała, czy jego wołanie zirytowało ją, czy też sprawiło ulgę.

— Francesco — powtórzył, stając w drzwiach biblioteki. — Wejdź tu i dotrzymaj mi towarzystwa.

Zabrzmiało to uprzejmie… nazbyt uprzejmie, jeśli można tak się wyrazić. Zwłaszcza wybór biblioteki na miejsce spotkania wzbudził jej podejrzenia. Czemu nie zdecydował się na rozmowę w różanym salonie, urządzonym w efektownym, romantycznym stylu, z wygodnymi kanapami i mnóstwem miękkich poduszek?

Co Michael robił w bibliotece, która zupełnie się nie nadawała na dekorację do wielkiej sceny miłosnej?

— Francesco — odezwał się znowu, wyraźnie ubawiony jej brakiem zdecydowania.

— Co tu robisz? — spytała, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt podejrzliwie.

— Piję herbatę.

— Herbatę?

— Wiesz, takie listki zalewane wrzątkiem — mruknął. — Chyba kiedyś już to piłaś?

Zasznurowała wargi.

— Ale… w bibliotece?

Wzruszył ramionami.

— Moim zdaniem to miejsce równie dobre jak każde inne. — Usunął się na bok, żeby Francesca mogła wejść, i wywinął zamaszyście ręką, jakby składał niski ukłon kapeluszem, zapraszając ją do środka. — Równie bezpieczne miejsce jak każde inne — dodał z naciskiem.

Robiła, co mogła, żeby się nie zarumienić.

— Miałaś przyjemny spacer? — zagadnął tonem uprzejmej konwersacji.

— Cóż… tak.

— Śliczna dziś pogoda.

Przytaknęła.

— Przypuszczam jednak, że miejscami jest nadal grząsko.

Do czego on zmierza?

— Może herbaty? — zaproponował.

Skinęła głową i zrobiła wielkie oczy, gdy sam napełnił jej filiżankę. To nie było zajęcie dla panów.

— Od czasu do czasu w Indiach musiałem sam zadbać o siebie — wyjaśnił, odczytując bezbłędnie jej myśli. — Bardzo proszę.

Odebrała z jego rąk filiżankę z kruchej porcelany i siedziała, czując, jak ciepło herbaty przenika przez cienką skorupkę do jej dłoni. Podmuchała lekko, a potem ostrożnie wypiła łyk, sprawdzając, czy napar nie jest zbyt gorący.

— Może biszkopta?

Podsunął jej talerz z ciasteczkami wszelkiego rodzaju.

Odezwał się w niej głód i bez certowania się wzięła ciastko.

— Są naprawdę dobre — zauważył. — Zjadłem cztery, czekając na ciebie.

— Długo czekałeś? — spytała, zaskoczona brzmieniem własnego głosu.

— Godzinę czy coś koło tego.

Popijała herbatę małymi łyczkami.

— Nadal gorąca.

— Kazałem co dziesięć minut przynosić imbryk ze świeżo zagotowaną wodą — wyjaśnił.

— O!

Taka dbałość była… jeśli nie zdumiewająca, to w każdym razie rzadko spotykana.

Michael leciutko uniósł brew. Francesca nie była pewna, czy Michael uniósł ją z rozmysłem. Zawsze panował nad wyrazem swojej twarzy jak typowy hazardzista, aczkolwiek nie miał tego rodzaju skłonności. Ale lewa brew nie zawsze była mu posłuszna; już kilka lat temu Francesca zauważyła, że niekiedy drgała lekko, choć Michael nie zdawał sobie z tego sprawy. Uznała to spostrzeżenie za własny mały sekret — takie prywatne okienko, przez które mogła obserwować, jak pracuje jego umysł.

Tylko że teraz wcale nie była pewna, czy zależy jej na takim okienku. Oznaczało pewną zażyłość między nimi, a to mogłoby okazać się niewygodne.

Nie wspominając już o tym, że najwyraźniej była w błędzie, sądząc, że potrafi odgadnąć, jak działa jego umysł.

Michael wziął kolejne ciasteczko, popatrzył bez większego zainteresowania na odrobinę malinowej galaretki na samym środku biszkopta, po czym wsunął je do ust.

— Po co ta cała komedia z herbatą? — spytała, nie mogąc dłużej

powstrzymać ciekawości; czuła się trochę jak zwierzyna tuczona przed ubojem.

— Z herbatą? — spytał, przełknąwszy ciastko. — To nie żadna komedia, tylko dobry angielski zwyczaj. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

— Michaelu!

— Zaproponowałem ci herbatę, bo pomyślałem, że pewnie zmarzłaś — wyjaśnił, wzruszając ramionami. — Byłaś długi czas poza domem.

— Wiesz, kiedy wyszłam?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się z lekką ironią.

— Oczywiście.

Nie zdziwiło jej to. Dziwiło ją tylko, że wcale nie była zaskoczona.

— Mam coś dla ciebie — powiedział.

Zmrużyła oczy.

— Doprawdy?

— Tak cię to dziwi? — mruknął i wziął do ręki coś, co leżało obok niego na krześle.

Zaparło jej dech. Boże, tylko nie pierścionek! Nie teraz!

Nie była jeszcze gotowa powiedzieć „tak”.

Ani „nie”.

Jednak zamiast pierścionka Michael położył na stole bukiecik uroczych i delikatnych kwiatków. Francesca nigdy specjalnie nie interesowała się botaniką i nie starała się poznać nazw wszelkich roślin… ale te były śliczne: białe, na wysokich łodyżkach, purpurowe… i jeszcze inne, niebieskawe. Związane bardzo elegancko srebrną wstążką.

Francesca wpatrywała się w bukiecik, nie mogąc odgadnąć, co oznacza taki gest ze strony Michaela.

— Możesz ich dotknąć — powiedział z nutką rozbawienia w głosie. — Zapewniam, że nie są zatrute.

— Wiem! — odparła pospiesznie i sięgnęła po bukiecik. — Oczywiście, że wiem. Ja tylko…

Podniosła kwiatki do nosa i wdychała ich zapach, a potem odłożyła je znów na stół i splotła ręce na podołku.

— Tylko co? — spytał cicho.

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia — odparła.

I rzeczywiście nie wiedziała, jak dokończyć rozpoczęte zdanie. A może w ogóle nie zamierzała go kończyć? Popatrzyła na bukiecik i mrugnąwszy kilkakrotnie, spytała:

— Co to ma być?

— Moim zdaniem są to kwiaty.

Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie.

— Nie żartuj! Pytam, co to ma być?

— Pytasz, czemu ci je dałem? — Uśmiechnął się. — To proste: zalecam się do ciebie.

Otwarła usta ze zdumienia.

Wypił łyk herbaty.

— Czy to dla ciebie aż takie zaskoczenie?

Po tym wszystkim, co zaszło między nimi? No chyba!

— Zasługujesz na wszelkie względy — powiedział.

— Zdawało mi się, że chciałeś raczej…

Urwała i zaczerwieniła się jak wiśnia. Powiedział, że będzie ją brał raz za razem, póki nie zajdzie w ciążę.

Trzy razy na dzień — obiecywał, ale na razie stali na zerze i…

Policzki jej pałały; nie mogła się oprzeć natrętnym wspomnieniom ich uścisków.

Na szczęście wyraz twarzy Michaela nie uległ zmianie. Powiedział tylko:

— Postanowiłem zmienić taktykę.

Ugryzła ciastko. Dobry każdy pretekst, by ukryć zażenowanie.

— Oczywiście nadal zamierzam wykorzystywać wszelkie metody działania na tym polu — stwierdził, pochylając się ku niej i paląc ją spojrzeniem. — Jestem w końcu zwykłym mężczyzną, nie świętym! A ty, jak już udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, jesteś uosobieniem kobiecości.

Wsunęła resztę biszkopta do ust.

— Uważam jednak, że zasługujesz na coś więcej — stwierdził, opadając na swoje krzesło z tak dobroduszną miną, jakby nie dopiekł jej właśnie swoją aluzją. — Nie sądzisz, że mam słuszność?

Nie, wcale tak nie sądziła. Już nie. I na tym polegał kłopot.

Kiedy siedziała tu, opychając się ciastkami jak szalona, nie mogła oderwać oczu od jego ust. Tych cudownych ust, które uśmiechały się do niej leniwie.

Usłyszała własne westchnienie. Te usta wyczyniały takie wspaniałe rzeczy.

Pieściły ją. Calutką! Niemal czuła je na sobie…

Nie mogła usiedzieć na krześle.

— Wszystko w porządku? — spytał troskliwie.

— Jak najbardziej — zdołała odpowiedzieć i wypiła duszkiem filiżankę herbaty.

— Niewygodnie ci na tym krześle?

Pokręciła głową.

— Podać ci coś?

— Czemu mi to robisz? — wybuchnęła.

— Co ci robię?

— Jesteś dla mnie taki miły!

Uniósł brwi.

— A nie powinienem?

— Nie!

— Uważasz, że nie mam prawa być miły?

Powiedział to żartobliwym tonem.

— Wcale nie to miałam na myśli — zaprotestowała, kręcąc głową.

Michael potrafił zbić ją z tropu. Nie znosiła tego! Nade wszystko ceniła swoje opanowanie i logiczne myślenie, ale Michael jednym pocałunkiem był w stanie zburzyć jej równowagę.

A potem zrobił jeszcze więcej… Znacznie więcej. Nigdy już nie będzie taka jak dawniej. Nigdy już nie będzie normalna.

— Wydajesz się czymś zmartwiona — zauważył.

Miała ochotę go udusić.

Przechylił głowę na bok i się uśmiechnął.

Zapragnęła go pocałować.

Uniósł do góry imbryczek.

— Chcesz jeszcze?

Pewnie — i w tym właśnie sęk!

— Francesco…?

Miała ochotę przeskoczyć przez stół i wylądować mu na kolanach.

— Dobrze się czujesz?

Coraz trudniej było jej oddychać.

— Frannie?

Ilekroć się odezwał, czy choćby rozchylił wargi, jej oczy przywierały do jego ust.

Poczuła, że oblizuje wargi.

I w dodatku wiedziała, że on wie — miał przecież tyle doświadczenia w uwodzeniu — doskonale wie, co ona w tej chwili czuje.

Gdyby teraz sięgnął po nią, nie odmówiłaby mu.

Gdyby jej dotknął, stanęłaby w płomieniach.

— Muszę już iść! — odparła bez tchu, ale i bez przekonania.

Nie polepszało sytuacji także i to, że nie mogła oderwać od niego oczu.

— Masz coś bardzo ważnego do załatwienia w swoim pokoju? — mruknął i jego usta wygięły się w uśmiechu.

Skinęła głową, choć wiedziała, że kpi sobie z niej.

— A więc idź! — zachęcał, ale jego głos był niemal słodki i podejrzanie przypominał uwodzicielskie kocie pomruki.

Jakoś zdołała poruszyć rękoma i złapać za brzeg stołu. Zacisnęła palce na drewnie, nakazując sobie w duchu wstać, wziąć się w garść i czym prędzej się stąd wynieść.

Była jednak jak skamieniała.

— Może wolałabyś zostać? — szepnął.

Pokręciła głową. A przynajmniej zdawało się jej, że to zrobiła.

Michael wstał i podszedł do jej krzesła. Pochylił się i szepnął jej do ucha:

— Pomóc ci wstać?

Znów pokręciła głową i niemal zerwała się na równe nogi. Jego bliskość — o dziwo — przełamała ten dziwny urok. Podnosząc się raptownie, uderzyła niechcący Michaela ramieniem w pierś i odskoczyła przerażona, że przy bliższym kontakcie zrobi jakieś głupstwo, którego będzie żałować.

Jakby się to już nie wydarzyło!

— Muszę wracać na górę — wykrztusiła.

— Tak, to jasne — przyznał łagodnie.

— Sama! — dodała.

— Nie śmiałbym narzucać ci dłużej swego towarzystwa.

Zmrużyła oczy. Co on znowu knuje? I czemu, u diabła, ona czuje się rozczarowana?

— Ale może… — szepnął.

Serce w niej podskoczyło.

— Może mógłbym pocałować cię na dobranoc? W rękę, oczywiście. Tylko taki pocałunek będzie stosowny.

Jakby ze wszystkim, co stosowne, nie pożegnali się jeszcze w Londynie!

Ujął delikatnie jej paluszki.

— To przecież czas zalotów — przypomniał. — Prawda?

Spoglądała na niego, nie mogąc oderwać oczu od ciemnej głowy pochylonej nad jej ręką. Musnął wargami jej palce. Raz… drugi… i było już po wszystkim.

— Śnij o mnie — szepnął czule.

Usta jej się rozchyliły. Jak urzeczona wpatrywała się w jego twarz. Przyciągał ją jak magnes. Trzymał jej duszę na uwięzi. Nie była w stanie zrobić nawet kroku.

— A może pragniesz czegoś więcej niż piękny sen?

Owszem, pragnęła.

— Zostaniesz? — szepnął. — Czy wolisz odejść?

Została.

A Michael udowodnił jej, jak romantycznie może być w bibliotece.

21

…kilka słów, by Cię powiadomić, że dotarłam szczęśliwie do Szkocji. Muszę przyznać, że jestem z tego bardzo zadowolona. Pobyt w Londynie zawsze działa na mnie pobudzająco, ale mam wrażenie, że trochę mi brakowało spokoju. Tutaj znacznie łatwiej mogę się skoncentrować dzięki wiejskiej ciszy…

Hrabina Kilmartin do swojej matki, owdowiałej wicehrabiny Bridgerton, następnego dnia po swoim przyjeździe do Kilmartin

Minęły trzy tygodnie, a Francesca w dalszym ciągu nie mogła się zdecydować.

Michael wracał do sprawy małżeństwa jeszcze dwukrotnie, ale za każdym razem wykręcała się od odpowiedzi. Gdyby poważnie potraktowała propozycję Michaela, musiałaby pomyśleć. O nim i o Johnie. A co najgorsze, musiałaby zastanowić się nad sobą.

I dokładnie ocenić swoje postępowanie. Ciągle sobie powtarzała, że wyjdzie za Michaela tylko, jeśli zaszła w ciążę… ale zaraz potem wracała znów w jego objęcia, ulegając za każdym razem uwodzicielskim sztuczkom, w których był mistrzem.

Ale nawet pod tym względem nie była całkiem szczera. Oszukiwała samą siebie, utrzymując, że Michael musi ją uwodzić, by wpuściła go do swego łóżka. W rzeczywistości to ona była teraz stroną atakującą, choć za wszelką cenę starała się to ukryć, wmawiając sobie, że błądzi nocą po domu

w nocnej koszuli, gdyż dręczy ją bezsenność, a nie dlatego, że szuka towarzystwa Michaela.

Oczywiście zwykle się na niego natykała. A jeśli miała z tym jakieś trudności, wynajdywała sobie miejsce, gdzie mógł ją znaleźć bez trudu.

I nigdy mu nie odmawiała.

Michaela ta sytuacja zaczynała już niecierpliwić. Starał się to ukryć, lecz Francesca zbyt dobrze go znała. Lepiej niż kogokolwiek innego na świecie. I choć nadal utrzymywał, że się do niej zaleca, i zabiegał o jej względy, nie szczędząc romantycznych słów i gestów, dostrzegła delikatne zmarszczki wokół jego ust świadczące o rosnącym zniecierpliwieniu. Ilekroć Michael starał się pokierować rozmową tak, by poruszyć temat małżeństwa, Francesca wyczuwała to i niezmiennie kierowała konwersację na inne tory, nim to niepokojące słowo padło z jego ust.

Michael pozwalał jej na takie sztuczki, ale wyraz jego twarzy ulegał zmianie i szczęki mu się zaciskały. Potem zaś, kiedy ją brał — a zawsze na tym się kończyło — czynił to gwałtownie, niemal z gniewem.

To jednak nie wystarczało, by skłonić Francescę do podjęcia decyzji.

Nie była w stanie powiedzieć mu „tak”. Sama nie wiedziała, dlaczego. Po prostu nie mogła.

Nie potrafiła jednak zdobyć się także na definitywną odmowę. Może była do gruntu zepsuta, może była rozpustnicą — lecz za nic nie chciała, żeby to się skończyło. Nie chodziło jej tylko o chwile namiętności, ale i o te następne, gdy leżała przytulona do niego, a on gładził ją po włosach. Czasem wtedy milczeli, czasem rozmawiali na wszelkie możliwe tematy. Michael opowiadał jej o Indiach, a ona jemu o swoim dzieciństwie. Dzieliła się z nim swymi opiniami na tematy polityczne, on zaś naprawdę słuchał tego, co mówiła. Opowiadał jej też niemożliwe dowcipy, jakich mężczyźni

nigdy nie ośmieliliby się powtórzyć damie w przekonaniu, że nie znalazłaby w tych anegdotkach nic zabawnego.

Potem, kiedy łóżko przestawało się już trząść od śmiechu Franceski, usta Michaela odnajdywały jej wargi, drżące jeszcze od wesołości.

— Kocham twój śmiech — szeptał i przygarniał ją do siebie.

Odpowiadała na to westchnieniem satysfakcji, ciągle jeszcze chichocząc — i namiętność znowu w nich odżywała.

Dzięki temu wszystkiemu udawało się Francesce zapomnieć o całym świecie.

Dopóki nie dostała miesiączki.

Zaczęło się jak zawsze — kilkoma kroplami krwi na bawełnianej koszulce. Francesca nie powinna być zdziwiona. Jej miesiączki rzadko bywały regularne, ale zawsze się w końcu zjawiały, nawet jeśli z opóźnieniem. Wiedziała też z doświadczenia, że jej łono nie jest zbyt płodne. A jednak — mimo wszystko — tym razem nie spodziewała się krwawienia. Jeszcze nie.

Rozpłakała się.

Nie był to rozpaczliwy szloch, który wstrząsa całym ciałem i zatruwa duszę, ale oddech ugrzązł jej w gardle, gdy ujrzała te drobniutkie kropelki krwi — i zanim się zorientowała, co robi, dwie łzy ciekły już po jej policzkach.

A ona nawet nie bardzo wiedziała, czemu płacze.

Czy płakała dlatego, że nie będzie dziecka? Czy też z tego powodu, że nie będzie ślubu?

Gdy Michael przyszedł tej nocy do jej pokoju, odprawiła go, wyjaśniając, że nie jest to odpowiednia pora na takie rzeczy. Usta Michaela odnalazły jej ucho; zaczął szeptać, że zna mnóstwo wspaniałych rzeczy, które mogą

w dalszym ciągu robić razem, miesiączka czy nie miesiączka… Ale Francesca odmówiła i poprosiła go, by odszedł.

Wyglądał na zawiedzionego, ale do pewnego stopnia rozumiał jej opory; kobiety bywały przeczulone na tym punkcie. Kiedy jednak Francesca obudziła się w środku nocy, żałowała, że nie ma przy niej Michaela.

Jej miesięczna słabość — jak zwykle — nie trwała zbyt długo. Gdy Michael spytał dyskretnie, czy już po wszystkim, Francesca go nie oszukiwała. I tak by się poznał na kłamstwie.

— Doskonale! — ucieszył się i uśmiechnął skrycie. — Brakowało mi ciebie.

Już otwierała usta, żeby wyznać, że jej również go brakowało, ale nie wiedzieć czemu zlękła się tych słów. Michael pociągnął ją w stronę łóżka i padli na nie ze splątanymi rękami i nogami.

— Śniłaś mi się — powiedział ochrypłym szeptem, zadzierając jej spódnicę do pasa. — Co noc przychodziłaś do mnie w snach. To były bardzo, bardzo miłe sny — zakończył głosem gorącym jak samo piekło.

Francesca przygryzła wargę zębami. Oddech jej się rwał, gdyż Michael umiał bezbłędnie wynaleźć najczulsze miejsca na jej ciele.

— W moich snach — szeptał, dotykając gorącymi ustami jej ucha — wyrabiałaś niesamowite rzeczy, wiesz?

Jęknęła podekscytowana. Potrafił jednym dotknięciem doprowadzić ją do szaleństwa, a teraz zapłonęła, słuchając tylko jego słów.

— Coś zupełnie nowego — szeptał, rozchylając jej nogi. — Nauczę cię ich… jeszcze tej nocy.

— O Boże — westchnęła.

Przybliżył usta do jej uda i wiedziała już, na co się zanosi.

— Ale najpierw trochę tego, co dobrze znane i wypróbowane — ciągnął

dalej; jego wargi lekko ją łaskotały, zmierzając do celu. — Mamy całą noc na nowe odkrycia.

Pocałował ją tak, jak najbardziej lubiła, trzymając ją mocno, by się nie poruszyła, a jego usta sprawiały, że była bliska, coraz bliższa orgazmu.

Zanim jednak osiągnęła szczyt, odsunął się, by rozpiąć spodnie. Klął, gdyż palce mu drżały, a guziki nie chciały ustąpić.

I ta właśnie krótka chwila wystarczyła Francesce na przemyślenie sprawy. Dokładnie na to, przed czym się tak broniła. Tym razem jej umysł działał precyzyjnie i bez litości. Zanim się zorientowała, co robi, wyskoczyła z łóżka z raptownym „nie!” na ustach i przebiegła na drugi koniec pokoju.

— Co takiego? — zdumiał się Michael.

— Nie mogę tego robić!

— Czego… — urwał, bo mu zabrakło tchu. — Czego nie możesz?

W końcu udało mu się rozpiąć spodnie, które opadły na podłogę. Mogła więc go podziwiać w całej jego imponującej nagości.

Francesca jednak odwróciła oczy. Nie była w stanie patrzeć na niego. Ani na twarz, ani na…

— Nie mogę — powiedziała drżącym głosem. — Nie powinnam. Nie wiem…

— Ale ja wiem — warknął i ruszył ku niej.

— Nie! — krzyknęła, biegnąc do drzwi.

Od kilku tygodni igrała z ogniem, wyzywała los — i oczywiście nie mogła z nim wygrać. Jeśli była jeszcze pora na ucieczkę, to właśnie w tej chwili. I choć bardzo ciężko będzie jej odejść stąd, wiedziała, że musi to uczynić. Nie należała przecież do… takich kobiet. To nie do pomyślenia.

— Nie mogę tego robić — oświadczyła, opierając się plecami o masywne drzwi. — Nie mogę! Ja… ja…

Bardzo tego pragnę, myślała. Choć wiedziała, że nie powinna, nie była w stanie uwolnić się od myśli, że — mimo wszystko — marzy o tym. Gdyby jednak przyznała mu się do tego, zmusiłby ją do zmiany zdania. Zrobiłby to bez trudu. Była tego pewna. Jeden pocałunek, jedna pieszczota — i z wszystkich jej postanowień nic by nie zostało.

Zaklął tylko i podciągnął spodnie.

— Sama już nie wiem, kim się stałam — powiedziała. — Nie należę przecież do takich kobiet…

— Jakich kobiet? — warknął.

— Rozwiązłych — szepnęła. — Upadłych.

— Więc wyjdź za mnie! — odparował. — Od samego początku proponowałem ci to, ale nie chciałaś się zgodzić.

Zapędził ją w kozi róg i Francesca dobrze o tym wiedziała.Ale ostatnio w jej życiu nie było miejsca na logikę. Mogła myśleć tylko o jednym: jakżeby mogła wyjść za niego? Jak mogłaby poślubić Michaela?

— Nigdy nie sądziłam, że poczuję coś takiego… do innego mężczyzny…

Ledwie mogła uwierzyć, że wypowiedziała te słowa na głos.

— Że co poczujesz? — zainteresował się nagle Michael.

Z trudem przełknęła ślinę i zmusiła się do tego, by spojrzeć mu w twarz.

— Pożądanie — wyznała.

Twarz Michaela przybrała dziwny wyraz, zbliżony do niesmaku.

— Właśnie — wycedził. — Miałaś diabelne szczęście: byłem pod ręką, żeby je zaspokoić!

— Nie! — wykrzyknęła, przerażona szyderstwem w jego głosie. — To nie tak.

— Doprawdy?

— Nie tak!

Ale sama nie wiedziała, jak właściwie było.

Odetchnął z trudem i odwrócił się od niej. Cały zesztywniał z napięcia. Wpatrywała się w jego plecy z jakąś zatrważającą fascynacją; nie mogła oderwać od niego oczu. Koszulę miał rozpiętą i choć nie widziała jego twarzy, doskonale znała całe jego ciało. Wydawał się niepocieszony, jakby się zaciął w swym bólu.

I wyczerpany do granic.

— Czego tu jeszcze szukasz? — spytał półgłosem, opierając się obiema rękami o brzeg materaca.

— C… co takiego?

— Czego tu jeszcze szukasz — powtórzył, podnosząc głos, ale nie tracąc panowania nad sobą — jeśli aż tak mnie nienawidzisz?

— To nieprawda! — zaprotestowała. — Dobrze wiesz, że…

— Niczego już nie wiem, Francesco — przerwał jej. — Nawet tego, kim naprawdę jesteś.

Jego ramiona napięły się jeszcze mocniej. Wbił palce w materac tak mocno, że kłykcie mu zbielały.

— To nieprawda, że cię nienawidzę — powtarzała, jakby w ten sposób mogła wzmocnić znaczenie tych słów i zmusić go, by w nie uwierzył. — Wcale nie! Naprawdę nie!

Nic na to nie odpowiedział.

— To nie twoja wina, tylko moja.

Mówiła takim tonem, jakby go błagała. O co? Sama nie była pewna. Może o to, żeby jej nie znienawidził? Tego by nie zniosła!

On jednak tylko się roześmiał. Był to okropny śmiech, gorzki i posępny.

— Ech, Francesco! — powiedział, a protekcjonalny ton nadawał jego słowom cierpki posmak. — Ileż razy sam posługiwałem się tym wyświechtanym frazesem!

Usta Franceski zacisnęły się w posępną linię. Nie lubiła, żeby jej

przypominać o tych wszystkich kobietach, które były jej poprzedniczkami. Nie chciała o nich wiedzieć, wolała nie pamiętać, że w ogóle istniały.

— Czego tu jeszcze szukasz? — spytał znowu, odwracając się wreszcie twarzą do niej.

Zachwiała się i omal nie upadła, gdy ujrzała gniew płonący w jego oczach.

— Czego tu jeszcze szukasz, Francesco? — pytał natarczywie, w jego szorstkim głosie brzmiała furia. Twarz mu się skurczyła z gniewu i Francesca odruchowo wyciągnęła rękę do klamki. — Czemu nie wyjedziesz z Kilmartin? — powtarzał swoje, zbliżając się do niej miękkim, tygrysim krokiem. — Nie ma tu nic dla ciebie. Nic prócz tego!

Zaparło jej dech, gdy chwycił ją mocno za ramiona i wydała cichy okrzyk zdumienia, kiedy jego usta znalazły się na jej ustach. Był to pocałunek gniewny, brutalny, desperacki… lecz jej zdradzieckie ciało najwyraźniej pragnęło przylgnąć do Michaela i pozwolić mu na wszystko, czego tylko zechce — choćby to było złe i karygodne.

Pragnęła go, nawet w tej chwili.

I wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła mu odmówić.

To on oswobodził się z uścisku. On, nie ona.

— Na tym ci właśnie zależy? — spytał rwącym się, chrapliwym głosem. — Jedynie na tym?

Nie zareagowała, nawet się nie poruszyła. Spoglądała tylko na niego błędnym wzrokiem.

— Czego tu jeszcze szukasz? — powtórzył znowu i Francesca zrozumiała, że zadaje jej to pytanie po raz ostatni.

Ale nie znała na nie odpowiedzi.

Czekał przez chwilę — miał widać nadzieję, że Francesca coś powie — lecz tylko milczenie rosło pomiędzy nimi jak koszmarne straszydło. Ilekroć

otwierała usta, nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Nie mogła nic na to poradzić — stała tylko i z drżeniem wpatrywała się w jego twarz.

Zaklął ze złością i odwrócił się wreszcie.

— Odejdź stąd! — rozkazał jej. — Natychmiast. Chcę, żebyś opuściła ten dom.

— C… co takiego?

Nie mogła uwierzyć, że naprawdę wyrzuca ją z Kilmartin.

Nie patrząc na nią, powiedział:

— Jeśli nie możesz być moja, na zawsze i całkowicie, chcę, żebyś stąd odeszła.

— Michaelu…

Był to ledwie słyszalny szept.

— Nie mogę znieść tej połowiczności — powiedział tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze go słyszy.

Zdołała tylko zapytać:

— Ale… dlaczego?

Z początku sądziła, że nie otrzyma odpowiedzi. Był nieprawdopodobnie spięty, a potem zaczął się trząść.

Uniosła rękę do ust. Czyżby płakał? Albo… czy to możliwe…

Żeby się śmiał?

— Wielki Boże, Francesco! — wybuchnął szyderczym śmiechem. — Doskonałe pytanie! Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego…

Za każdym razem nadawał temu słowu inne brzmienie, jakby je wypróbowywał. Jakby zwracał się z tym pytaniem do wielu różnych osób.

— Dlaczego? — powtórzył znowu, tym razem bardzo głośno, i zwrócił się twarzą do Franceski. — Dlaczego?! Bo kocham cię jak potępieniec! Zawsze cię kochałem. I wtedy, gdy byłaś żoną Johna, i wtedy, gdy

wyjechałem do Indii… Bóg świadkiem, że nie jestem ciebie wart, ale kocham cię i nie ma na to rady!

Francesce zrobiło się słabo. Oparła się o drzwi.

— Wspaniały dowcip, nieprawdaż? — szydził sam z siebie. — Zakochać się właśnie w tobie, żonie stryjecznego brata. Pokochać jedyną kobietę, której nigdy nie zdobędę. A jednak kocham cię, Francesco Bridgerton Stirling, chociaż…

— Przestań! — wykrztusiła.

— Mam przestać? Teraz, kiedy wreszcie zdecydowałem się to wyjawić? Nie sądzę, by to było możliwe — odparł z teatralną przesadą, wymachując rękoma, jakby się popisywał. Pochylił się ku niej; był teraz niepokojąco blisko. Jego uśmiech zatrwożył ją, tym bardziej że spytał przy tym: — Nie boisz się?

— Michaelu…

— Uprzedzam, że nie zacząłem jeszcze na dobre! — przerwał jej. — Chcesz się dowiedzieć, jak zdołałem to znieść, gdy byłaś żoną Johna?

— Nie! — odparła z rozpaczliwą determinacją i energicznie pokręciła głową.

Otworzył usta, by mówić dalej, oczy nadal płonęły mu namiętnością, a zarazem wzgardą do samego siebie. I nagle coś się stało… coś uległo zmianie. Wyczytała to z jego oczu. Takie były gniewne, takie gorejące — i nagle…

Nagle to wszystko gdzieś znikło.

Zgasło. Wyczerpało się.

Michael zamknął oczy. Wydawał się śmiertelnie znużony.

— Odejdź — powiedział. — Jak najprędzej.

Wyszeptała jego imię.

— Odejdź — powtórzył, nie zważając na jej błagalny ton. — Jeśli nie

możesz być moja, nie potrzebuję cię już.

— Ale ja…

Podszedł do okna i ciężko oparł się o parapet.

— Jeśli to ma się skończyć, powinnaś odejść, Francesco. Mnie teraz… po tym wszystkim… nie starczy sił na pożegnanie z tobą.

Przez dłuższą chwilę stała bez ruchu, potem zaś, gdy napięcie pomiędzy nimi sięgnęło szczytu i miała wrażenie, że jeśli jeszcze wzrośnie, to będzie po niej, jej nogi same podjęły decyzję — i wybiegła z pokoju.

Biegła…

Na oślep, bez celu.

Wypadła na zewnątrz, w mrok nocy, w deszcz.

Biegła tak długo, aż poczuła ogień w płucach. Biegła tak długo, że nie mogła już utrzymać równowagi. Potykała się i ślizgała po błocie.

Biegła… a gdy nie mogła już dłużej biec, usiadła, znalazłszy schronienie i osłonę od deszczu w altanie. John kazał ją zbudować przed laty. Wyrzucając rozpaczliwym gestem ręce do góry, obwieścił, że dał już za wygraną — nie zdoła utrzymać żony w domu i odwieść jej od wiecznych pieszych wypraw. Chce więc tym sposobem przynajmniej zapewnić jej schronienie na świeżym powietrzu, które będzie należało tylko do niej.

Przesiedziała teraz w tej altanie wiele godzin. Trzęsła się z zimna, ale poza tym nie czuła nic. I przez cały czas zadawała sobie jedno jedyne pytanie: przed czym właściwie tak uciekała?

Michaelowi nie pozostało w pamięci nic, co wydarzyło się bezpośrednio po wyjściu Franceski. Mogła minąć minuta, ale równie dobrze mogło ich być dziesięć. Wiedział tylko, że nagle wrócił do przytomności i uświadomił sobie, iż omal nie przebił pięścią ściany na wylot.

Prawie nie czuł bólu w ręce.

— Milordzie…?

Reivers zajrzał ostrożnie, chcąc zbadać przyczynę hałasu.

— Wynoś się — warknął Michael.

Nie miał ochoty nikogo oglądać ani słuchać niczyjego sapania.

— Może chociaż przyniosę lodu na opuch…

— Już cię tu nie ma! — ryknął Michael.

Miał wrażenie, że jego ciało przybiera ogromne rozmiary i potworne kształty. Chciał pazurami orać powietrze! Albo jeszcze lepiej — wyrządzić komuś krzywdę!

Reivers umknął w popłochu.

Nie zważając na to, że prawa pięść zaczyna mu puchnąć, Michael wbił paznokcie w dłonie. Nie wiedzieć czemu, pomogło to poskromić czającego się w jego wnętrzu demona i powstrzymać go od zniszczenia wszystkiego, co znajdowało się w pokoju.

Sześć lat.

Michael stał bez ruchu, a w głowie krążyła mu ta jedna, jedyna myśl.

Sześć lat, cholera jasna!

Dusił to w sobie od sześciu lat, dbając o to, by żadne uczucia nie odmalowały się na jego twarzy, gdy spoglądał na Francescę. Nie wspomniał o tym żywej duszy.

Kochał ją przez sześć lat — i tego się w końcu doczekał.

Obnażył przed nią swoje serce. Wetknął jej nóż do ręki i wręcz dopraszał się, by raczyła je przebić.

O nie, Francesco, stać cię na coś więcej! Nie ustawaj, bez trudu możesz zadać jeszcze kilka ciosów. A jeśli zabierzesz się do tego na dobre, to czemu nie pokrajać serca na kawałeczki?

Ten, kto stwierdził, że prawdomówność zasługuje na najwyższą pochwałę, był skończonym osłem. Michael dałby wszystko, pozwoliłby odrąbać sobie obie nogi, byle móc odwołać to, co powiedział Francesce.

Ale, niestety, tak to już bywa ze słowami…

Zaśmiał się gorzko.

Nie da się cofnąć tego, co już raz się powiedziało.

A teraz rozsyp te smutne resztki po podłodze. I depcz po nich. Mocniej, Frannie, mocniej! Stać cię przecież na to.

Sześć cholernych lat, zaprzepaszczonych w jednej chwili! Tylko dlatego, że mu się ubrdało, iż ma — jak wszyscy — prawo do szczęścia.

Powinien był mieć trochę więcej rozumu.

…A na zakończenie spal te przeklęte zakrwawione strzępy żywym ogniem. Brawo, Francesco!

No i już po sercu.

Popatrzył na swoje ręce. Ślady paznokci na dłoniach były bardzo wyraźne. W jednym miejscu udało mu się nawet przebić skórę.

Co on teraz pocznie?

Nie wiedział, jak zdoła się pozbierać teraz, gdy Francesca znała już prawdę. Przez sześć lat wszystko, co myślał, mówił i robił, zmierzało do tego, by jej to uniemożliwić. Każdy mężczyzna podporządkowuje swoje życie jakiejś nadrzędnej zasadzie. U niego wyglądała ona tak: Rób wszystko, żeby Francesca nigdy nie poznała prawdy.

Michael siedział w fotelu, z najwyższym trudem powstrzymując się, żeby nie wybuchnąć obłąkańczym śmiechem.

Raduj się, Michaelu, mówił sobie w duchu, a fotel trząsł się, gdy ukrył twarz w dłoniach. Czeka cię teraz następny akt twojego życia.

Następny akt jego życia rozpoczął się — jak się okazało — wcześniej, niż Michael przewidywał. Mniej więcej po upływie trzech godzin ktoś zastukał do drzwi.

Michael nadal siedział w fotelu. Jedyną zmianę stanowiło to, że nie zasłaniał już twarzy rękoma, tylko odrzucił głowę na tylne oparcie fotela.

Siedział w tej pozie od dłuższego czasu. Kark mu zdrętwiał, ale Michael ani drgnął. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w bliżej nieokreślony punkt na ścianie obitej surowym jedwabiem.

Tak dalece stracił kontakt z resztą świata, że usłyszawszy stukanie do drzwi, z początku nie zorientował się, co to za dźwięk.

Stukanie jednak powtórzyło się, równie bojaźliwe, jak za pierwszym razem, a mimo to uporczywe.

Ten ktoś, kto stukał, nie zamierzał rezygnować.

— Wejść! — burknął Michael. To nie był ktoś, tylko ona.

Francesca.

Powinien był wstać. Miał zresztą szczery zamiar. Nawet po tym wszystkim nie czuł do niej nienawiści, nie chciał też okazać braku szacunku. Ale pozbawiła go wszystkiego — nie pozostała w nim ani odrobina siły czy woli, toteż stać go było tylko na lekkie uniesienie brwi i pytanie, zadane bezdennie znużonym głosem:

— Co się stało?

Jej wargi rozchyliły się, ale nic nie powiedziała.

Przemokła, pomyślał odruchowo. Widać chodziła po deszczu. Głupiątko, jeszcze się zaziębi…

— Co się stało, Francesco? — powtórzył.

— Wyjdę za ciebie — powiedziała tak cicho, że raczej odczytał jej słowa z ruchu warg, niż je usłyszał. — Jeśli nadal mnie chcesz.

Można by pomyśleć, że Michael zerwie się z fotela. Albo przynajmniej natychmiast wstanie, nie mogąc pohamować rozpierającej go radości. Można by pomyśleć, że przebiegnie przez pokój, chwyci ją w ramiona, obsypie deszczem pocałunków i złoży ukochaną na łóżku, gdzie będą mogli przypieczętować swój układ w sposób znany od początku świata.

On jednak siedział nadal, zbyt wyczerpany, by zdobyć się na coś więcej

niż to jedno słowo:

— Dlaczego?

Wzdrygnęła się, słysząc podejrzliwość w jego głosie, ale Michael w tym momencie nie był do niej zbyt życzliwie nastawiony. Po tym wszystkim, co przez nią wycierpiał, nie zaszkodzi, jeśli i ona trochę się pomartwi.

— Sama nie wiem — przyznała.

Stała bez ruchu, z ramionami przylegającymi do boków. Nie była sztywna, ale widział, że zmusza się do tego, by stać spokojnie. Zapewne, gdyby pozwoliła sobie na swobodę ruchów, wybiegłaby pędem z pokoju.

— Wymyśl coś mądrzejszego — powiedział.

Przygryzła dolną wargę.

— Naprawdę nie wiem — szepnęła. — Nie każ mi zastanawiać się nad tym…

Uniósł z ironią brew.

— …przynajmniej nie w tej chwili — dokończyła.

Puste słowa, pomyślał niemal obojętnie.

On już dość nakłamał, teraz kolej na nią.

— Nie wyobrażasz sobie chyba — zagadnął cicho — że zdołasz się jakoś z tego wywinąć?

Pokręciła głową.

Powoli wstał z fotela.

— Nie ma mowy o żadnym zwracaniu słowa, o ucieczce sprzed ołtarza ani o nagłej zmianie decyzji.

— Oczywiście, że nie — potwierdziła. — Masz moje słowo.

I w tym właśnie momencie Michael wreszcie uwierzył. Francesca nie obiecywała nigdy nic na odczepnego. I nigdy nie łamała danego słowa.

Błyskawicznie znalazł się na drugim końcu pokoju. Objął ją, przytulił. Obsypał jej twarz pocałunkami.

— Będziesz moja! — powtarzał. — Nareszcie moja, rozumiesz?

Skinęła głową. Jej długa szyja prężyła się, gdy przesuwał po niej wargami, aż do ramienia.

— Jeśli zechcę przywiązać cię do łóżka i nie wypuszczać z niego, póki nie będziesz w zaawansowanej ciąży, zrobię to — ostrzegł ją.

— Dobrze — odparła z zapartym tchem.

— A ty nie będziesz się uskarżać.

Potwierdziła ruchem głowy.

Palce Michaela majstrowały przy jej sukni. Opadła na podłogę ze zdumiewającą szybkością.

— …i jeszcze mi za to podziękujesz — mruknął.

— Podziękuję.

I to jak!

Zaciągnął ją do łóżka. Nie był delikatny ani dobrze wychowany, ale wyglądało na to, że Francesce wcale na tym nie zależy. Rzucił się na nią jak umierający z głodu.

— Będziesz moja! — powtarzał, obejmując ją za biodra i przyciskając do siebie. — Moja!

I była. Przynajmniej w tę jedną noc należała wyłącznie do niego.

22

…Jestem pewna, że znakomicie sobie dajesz radę.

Jak zawsze!

Owdowiała wicehrabina Bridgerton do swojej córki, hrabiny Kilmartin, natychmiast po otrzymaniu od niej listu

Najtrudniejszą część przygotowań do ślubu z Michaelem (jak się Francesca niebawem przekonała) stanowiło powiadomienie wszystkich o tym wydarzeniu w odpowiedni sposób.

Jej samej niełatwo było zaakceptować ten pomysł, a równie trudno wyobrazić sobie, jak inni na to zareagują. Na przykład, co powie Janet? Co prawda odniosła się zdumiewająco przychylnie do tego, że jej synowa postanowiła powtórnie wyjść za mąż… ale z pewnością nie podejrzewała, że owym przyszłym mężem okaże się Michael.

A jednak, gdy Francesca zasiadła przy swoim biurku, nie tyle pisząc listy, co zastanawiając się w nieskończoność, jak w najwłaściwszy sposób wykonać to zadanie, jakiś wewnętrzny głos zapewniał ją, że podjęła słuszną decyzję.

W dalszym ciągu nie bardzo wiedziała, dlaczego postanowiła wyjść za Michaela. I nie była pewna, jakie uczucia obudziło w niej jego zaskakujące wyznanie miłości. Czuła jednak, że pragnie zostać jego żoną.

Niestety, nie ułatwiało to podjęcia decyzji, w jaki sposób zakomunikować o tym całemu światu.

Siedziała zatem w swoim gabinecie, pisząc listy do rodziny, a raczej

niszcząc kolejne nieudane próby powiadomienia najbliższych o zamierzonym małżeństwie, gdy wszedł Michael z najświeższą pocztą.

— Właśnie przyszedł list od twojej matki — oznajmił, wręczając Francesce wytworną kremową kopertę.

Rozcięła ją pospiesznie nożykiem do otwierania korespondencji i wydobyła zawartość: cztery gęsto zapisane arkusiki.

— Wielkie nieba — mruknęła.

Matka zazwyczaj potrafiła wyrazić wszystko, co chciała, na jednej kartce papieru, najwyżej na dwóch.

— Czy coś się stało? — spytał Michael, przysiadając na skraju biurka.

— Nie, nic — odpowiedziała Francesca z roztargnieniem. — Tylko… Wielkie nieba!

Michael obrócił się i wyciągnął szyję, usiłując zajrzeć jej przez ramię.

— Coś złego? — zaniepokoił się.

Francesca uciszyła go niecierpliwym ruchem ręki.

— No, Frannie!

Sięgnęła po następną kartkę.

— Wielkie nieba!

— Daj mi to — powiedział, chcąc jej odebrać papier.

Odwróciła się, odmawiając oddania listu.

— O mój Boże! — szepnęła bez tchu.

— Francesco Stirling, jeśli natychmiast…

— Colin i Penelopa się pobrali!

Michael wywrócił oczami.

— Też mi nowina. Wiedzieliśmy o tym od…

— Wcale nie! Przyspieszyli datę ślubu o… chyba o miesiąc z okładem…

Michael wzruszył tylko ramionami.

— Tym lepiej dla nich.

Francesca popatrzyła na niego z urazą.

— Ktoś powinien był mnie o tym powiadomić.

— Nie mieli pewnie czasu.

— Ale to jeszcze nie koniec — dodała z irytacją.

— Nie wyobrażam sobie…

— Eloise też zdecydowała się na małżeństwo.

— Eloise? — spytał Michael z pewnym zdziwieniem. — Czyżby się ktoś koło niej kręcił?

— Nie — zaprzeczyła Francesca, szybko zapoznając się z trzecią stroną matczynego listu. — To ktoś, z kim nigdy się nie spotkała.

— Przypuszczam, że do tej pory już zdążyli się sobie przyjrzeć — zauważył sucho Michael.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że nikt nie wspomniał mi o tym ani słowem.

— Wyjechałaś przecież do Szkocji.

— Wszystko jedno — odparła z pretensją w głosie.

Michael tylko zachichotał. Niech go licho!

— Jakby w ogóle mnie nie było — mówiła tak rozzłoszczona, że omal go nie zabiła wzrokiem.

— No, nie powiedziałbym…

— A prawda! — rzuciła niedbale, wykazując wyraźny talent dramatyczny — Jest jeszcze ta… Francesca!

Michael był wyraźnie rozbawiony.

— Czy ktoś ją zawiadomił? — kontynuowała, naśladując całkiem udatnie głosy swego rodzeństwa. — Pamiętacie? Szósta z kolei. Z niebieskimi oczami, zdaje się.

— Frannie, nie bądź głupia!

— Nie jestem głupia, tylko zostałam potraktowana jak powietrze.

— Myślałem, że lubisz trzymać się trochę na uboczu?

— Owszem — przyznała niechętnie. — Ale co to ma do rzeczy?

— Oczywiście nic — mruknął.

Omal go nie zamordowała za tę ironiczną uwagę.

— Zaczniemy się szykować do wyjazdu na wesele? — spytał.

— Gdzież bym zdążyła? — spytała naburmuszona. — To już za trzy dni!

— Moje najszczersze gratulacje — odparł Michael z podziwem.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— A cóż to ma znaczyć?

— Trudno nie podziwiać kogoś, kto potrafi tak szybko dotrzeć do celu — odparł, wzruszając ramionami.

— Michaelu!

Łypnął na nią okiem.

— Ja też potrafię być szybki.

— Jeszcze za ciebie nie wyszłam — przypomniała.

Uśmiechnął się szeroko.

— Szybkość niekoniecznie musi się wiązać z zawarciem małżeństwa.

Poczuła, że czerwieni się jak rak.

— Przestań — szeptała.

Poczuła łaskotanie jego palców na swojej ręce.

— Jakoś nie mam ochoty…

— Michaelu, nie pora na takie głupstwa — zgromiła go, wyrywając dłoń z jego uścisku.

Westchnął.

— Już się zaczyna!

— A cóż to ma znaczyć?

— O, nic takiego — odparł, opadając na fotel. — Tylko jeszcze się nie pobraliśmy, a już się zachowujemy jak stare małżeństwo.

Popatrzyła na niego z wyższością i wróciła do listu od matki. Rzeczywiście (chociaż nie zamierzała przyznać Michaelowi racji) zachowywali się jak stare małżeństwo. Pewnie dlatego, że — w odróżnieniu od innych par, które dopiero co się zaręczyły — znali się od lat. A Michael w dalszym ciągu, mimo zdumiewających zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilku tygodni, był jej najserdeczniejszym przyjacielem.

Francesca zamarła nagle w bezruchu.

— Czy coś się stało? — spytał Michael.

— Nie — odparła, kręcąc lekko głową. Taka była skołowana, że całkiem o tym zapomniała. Może nigdy nie wyobrażała sobie Michaela jako swojego męża… ale miała po temu uzasadnione powody, nieprawdaż?

Kto by przypuszczał, że wyjdzie za swego najlepszego przyjaciela.

A jednak wróżyło to jak najlepiej ich przyszłemu małżeństwu.

— Pobierzmy się i my! — rzekł nagle.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Czyżbyśmy już tego nie ustalili?

— Nie całkiem — odparł, chwytając ją za rękę. — Pobierzmy się jeszcze dziś!

— Jeszcze dziś! — wykrzyknęła. — Czyś ty oszalał?

— Bynajmniej. Jesteśmy w Szkocji: nie musimy tu czekać, aż wyjdą zapowiedzi!

— Tak, ale…

Przyklęknął przed nią na jedno kolano. Oczy mu jaśniały.

— Zróbmy to, Frannie! Bądźmy choć raz szaleni, do cna samolubni i zuchwali!

— Nikt nie uwierzy w takie małżeństwo — powiedziała niepewnie.

— I tak nikt w to nie uwierzy.

Miał trochę racji.

— Ale moja rodzina… — broniła się Francesca.

— Dopiero co oskarżałaś ich, że całkiem o tobie zapomnieli.

— Owszem, ale nie z rozmysłem.

Wzruszył ramionami.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Oczywiście, że ma, jeśli się nad tym zastanowić.

Przyciągnął ją do siebie.

— No, chodźmy!

— Michaelu…

Ale sama nie wiedziała, czemu się ociąga. Może jej się zdawało, że wypada się opierać? Chodziło przecież o ślub, więc zbytni pośpiech byłby niestosowny…

Michael uniósł brew.

— Naprawdę zależy ci na hucznym weselisku?

— Nie — odparła całkiem szczerze.

Miała już jedno huczne wesele. Nie byłoby nawet właściwe, by i drugie urządzić z równym przepychem.

Pochylił się ku niej i dotknął ustami jej ucha.

— Nie boisz się, że dziecko urodzi się osiem miesięcy po ślubie?

— Dobrze wiesz, że pogodziłam się już z taką ewentualnością — odparła zuchwale.

— Zagwarantujmy naszemu dziecku pełne dziewięć miesięcy przyzwoitej ciąży — namawiał ją z zapałem.

Przełknęła ślinę, nieco speszona.

— Wiesz przecież, Michaelu, że może nie być żadnego dziecka. Z Johnem zajęło nam to…

— Wcale mi na tym nie zależy — przerwał jej.

— Chyba ci jednak na tym zależy — powiedziała cicho, obawiając się

nieco jego reakcji; chciała jednak rozpocząć małżeńskie życie z czystym sumieniem. — Wspominałeś o tym wiele razy i…

— Tylko dlatego, żeby cię skłonić do małżeństwa — przerwał jej znowu, po czym ze zdumiewającą szybkością przycisnął Francescę plecami do ściany i napierał na nią z niewiarygodnym zuchwalstwem. — Nic mnie to nie obchodzi, czy nie urodzisz żadnego dziecka, czy od razu cały tuzin.

Jego ręka wślizgnęła się pod spódnicę Franceski i sunęła w górę po jej udzie.

— Zależy mi tylko na jednym — zapewniał ochrypłym głosem, podczas gdy jego palec pozwalał sobie na bezecne figle. — Żebyś była moja!

— Ooo… — jęknęła Francesca, czując, że topnieje. — Tak!… Tak!…

— Czy to zgoda na pieszczotki — spytał z szatańską przebiegłością, puszczając znowu w ruch niesforny palec i doprowadzając Francescę do szaleństwa — czy na to, byśmy pobrali się jeszcze dzisiaj?

— Na to, co robisz — odparła bez tchu. — Nie przerywaj!

— A co ze ślubem?

Francesca uchwyciła się jego ramion, żeby nie upaść.

— Co ze ślubem? — spytał znowu, cofając palec.

— Michaelu! — jęknęła.

Na jego twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

— Co ze ślubem?

— Zgadzam się — przysięgała — na wszystko, co zechcesz!

— Wszystko?

— Wszystko! — jęknęła.

— Doskonale — odparł i odsunął się jak najdalej.

Pozostawiając Francescę z otwartymi ustami i suknią w nieładzie.

— Przynieść ci płaszcz? — zaproponował, poprawiając mankiety.

Wyglądał jak uosobienie męskiej elegancji: idealnie uczesany, absolutnie

spokojny i opanowany.

Ona natomiast z pewnością wyglądała jak upiorzyca.

— Michaelu… — zdołała wykrztusić, starając się nie zwracać uwagi na dręczące ją poczucie niezaspokojenia, które Michael wywołał z całą premedytacją.

— Jeśli chcesz dokończyć to, cośmy rozpoczęli — powiedział takim tonem, jakby dyskutował o polowaniu na kuropatwy — będziesz musiała wstrzymać się z tym do chwili, gdy zostaniesz hrabiną Kilmartin.

— Jestem już hrabiną Kilmartin — warknęła.

Skinieniem głowy przyznał jej rację.

— Do chwili, gdy zostaniesz moją hrabiną Kilmartin — uściślił. Milczał przez chwilę, dając Francesce czas na odpowiedź, a gdy jej nie udzieliła, spytał znowu: — Przynieść ci płaszcz?

Kiwnęła potakująco głową.

— Bardzo roztropna decyzja — mruknął. — Zaczekasz tu, czy wolisz towarzyszyć mi do holu?

Z trudem rozwarła zaciśnięte zęby, żeby wykrztusić:

— Zejdę do holu.

Wziął ją pod ramię i podprowadził do drzwi, po czym nachylił się ku niej i szepnął:

— Strasznie ci do tego pilno, co?

— Weź mój płaszcz — syknęła przez zaciśnięte zęby.

Roześmiał się. Był to ciepły, głęboki śmiech i Francesca poczuła, że jej gniew słabnie. Jakiż z tego Michaela łotr i drań! I pewnie zasłużył na mnóstwo innych mało pochlebnych epitetów. Ale to był jej drań i łotrzyk. I wiedziała, że w jego sercu znajdzie tyle dobroci i wierności, ile tylko zapragnie. Może tylko…

Zatrzymała się nagle i stuknęła go palcem w pierś.

— Pamiętaj: żadnych innych kobiet!

Spojrzał na nią unosząc brew.

— Mówię poważnie! Żadnych kochanek, żadnych flirtów, żad…

— Francesco — przerwał jej. — Naprawdę myślisz, że mógłbym… Nie, nie tak! Naprawdę myślisz, że wyrządziłbym ci taką przykrość?

Była tak zaaferowana tym, co chciała mu powiedzieć, że nawet nie przyjrzała się jego twarzy, teraz więc osłupiała, dostrzegłszy jej wyraz. Uświadomiła sobie, że Michael jest zły, wprost wściekły, gdyż powątpiewała w jego wierność. Francesca nie potrafiła jednak zbyć machnięciem ręki dziesięciu lat, które przehulał — i nie uważała, że Michael ma prawo spodziewać się tego po niej. Odpowiedziała więc, zniżając nieco głos:

— Nie cieszysz się najlepszą reputacją.

— Na litość boską — jęknął i pociągnął ją do głównego holu. — Przecież w ten sposób usiłowałem tylko zapomnieć o tobie!

Tak ją zaszokował, że ruszyła za nim — w kompletnym milczeniu, niezbyt pewnym krokiem — w stronę drzwi frontowych.

— Masz jeszcze jakieś wątpliwości? — zwrócił się do niej z tak wyniosłą miną, że można by pomyśleć, iż od kolebki wychowywał się na hrabiego, a nie został nim przez przypadek.

— Nie! — pisnęła nieswoim głosem.

— To dobrze. A teraz się pospieszmy. Nie wypada spóźniać się na ślub!

Tego samego wieczoru, tylko nieco później, Michael rozważał ostatnie wydarzenia. Był zdecydowanie zadowolony z obrotu spraw.

Dzięki ci, Colinie! — przemawiał serdecznie w myślach do Bridgertona, rozbierając się przed pójściem do łóżka. I tobie także, jak cię tam zwą, za to, żeś postanowił bez zwłoki ożenić się z Eloise.

Michael bardzo wątpił, czy Francesca wyraziłaby zgodę na taki szybki

ślub, gdyby nie to, że aż dwoje z jej rodzeństwa stanęło na ślubnym kobiercu, nie powiadomiwszy jej o tym wcześniej.

A teraz była jego żoną.

Nie do wiary!

Michael dążył do tego z uporem od wielu tygodni i poprzedniej nocy Francesca wyraziła w końcu na to zgodę, jednak dotarło to do niego w pełni dopiero wówczas, gdy wsunął jej na palec złotą obrączkę.

Francesca należała teraz do niego.

Póki śmierć ich nie rozłączy.

— Dzięki ci, Johnie! — dodał jeszcze Michael, całkiem już poważnym tonem.

Nie dziękował stryjecznemu bratu za to, że umarł, lecz za to, że uwolnił go od poczucia winy. Michael nadal nie był pewny, jak się to stało, ale od tamtej niezapomnianej chwili, kiedy kochali się z Francescą w domku ogrodnika, czuł w głębi serca, że John pochwalałby jego zamiary.

I dałby im swoje błogosławieństwo. Niekiedy nawet, w chwilach największego optymizmu, Michael mówił sobie, że gdyby John mógł wybrać następnego męża dla Franceski, to wybrałby właśnie jego.

Odziany w szlafrok w kolorze burgunda, Michael podszedł do wewnętrznych drzwi łączących jego pokój z pokojem Franceski. Chociaż żyli ze sobą od jego przyjazdu do Kilmartin, dopiero dziś Michael przeniósł się do sypialni pana domu. Zabawne, ale w Londynie nie dbał aż tak o pozory. Zajmowali oboje z Francescą sypialnie hrabiego i hrabiny Kilmartin i zatroszczyli się tylko o to, by cała służba wiedziała, iż drzwi wewnętrzne są porządnie zamknięte z obu stron.

Ale tu, w Szkocji, gdzie zachowywali się w sposób naprawdę skandaliczny, Michael zadbał o to, by umieścić swoje rzeczy w pokoju jak najbardziej oddalonym od sypialni Franceski. Co prawda nie przeszkadzało

to ani jemu, ani jej przez cały czas odwiedzać się nawzajem po nocy; jednak pozory przyzwoitości zostały zachowane.

Służba nie była w ciemię bita. Michael nie miał wątpliwości, że wszyscy domownicy wiedzieli, co się święci, ale przepadali za Francescą i pragnęli, żeby była szczęśliwa. Z pewnością nie powiedzieliby nikomu złego słowa na jej temat.

A jednak, mimo wszystko, przyjemnie było skończyć raz na zawsze z tym idiotycznym udawaniem.

Michael sięgnął do klamki, ale nie otworzył od razu. Zatrzymał się, by posłuchać odgłosów dolatujących z sąsiedniego pokoju. Niewiele zresztą usłyszał. Diabli wiedzą, czego się spodziewał! Drzwi były stare, solidne i nie zwykły zdradzać hrabiowskich sekretów. Jednakże w tej chwili oczekiwania było coś szczególnego, co należało zachować w pamięci.

Oto zaraz wejdzie do sypialni Franceski…

I będzie miał pełne prawo się tam znaleźć.

Jedyną rzeczą, która by mogła uszczęśliwić go jeszcze bardziej, to gdyby Frannie wyznała: Kocham cię!

Ten jeden niedostatek pozostawił w jego sercu małą, doprawdy maleńką rankę, ale przesłaniało ją w zupełności dopiero co odkryte szczęście. Michael nie chciał, by Francesca wypowiadała te ważne słowa bez przekonania. Ale choćby nawet Francesca nigdy nie pokochała go tak, jak żona powinna kochać swojego męża, wiedział, że jej uczucia do niego były trwalsze i głębsze od tego, co większość mężatek czuje do swych małżonków.

Wiedział, że naprawdę zależało jej na nim, że był jej bardzo drogi jako przyjaciel. A gdyby coś mu się stało, będzie go opłakiwała z całego serca.

Doprawdy, nie mógł niczego więcej wymagać.

Marzyć było mu oczywiście wolno… ale i tak otrzymał już znacznie

więcej, niż się spodziewał. Nie powinien być zachłanny. Zwłaszcza że poza przyjaźnią łączyła ich jeszcze namiętność.

A łączyła ich niewątpliwie.

Zabawne, że tak bardzo zaskoczyło to Francescę i zdumiewało ją za każdym razem. Michael potrafił wykorzystać ten atut i wcale się tego nie wstydził. Posłużył się nim choćby dziś po południu, gdy starał się przekonać Francescę, by wyszła za niego bez zwłoki.

I się udało.

Czuł, że szczęście przyprawia go o zawrót głowy, jak kompletnego żółtodzioba. Kiedy wpadł na pomysł, by ożenić się z nią jeszcze dziś, miał wrażenie, że do jego wnętrza przeniknął prąd elektryczny. Nie potrafił już zapanować nad sobą. Był to jeden z tych momentów, kiedy człowiek wie, że z pewnością uda mu się to, co zamierzył. A on gotów był na wszystko, byle ją zdobyć.

Stał na progu swego życia małżeńskiego i mimo woli zastanawiał się, czy coś ulegnie teraz zmianie. Czy Francesca jako żona poczuje się inaczej w jego ramionach niż wówczas, gdy była jego kochanką? A on, gdy spojrzy rankiem na jej twarz, czy dostrzeże w niej jakąś zmianę? Albo gdy ujrzy Francescę w przeciwległym końcu zatłoczonej sali…

Pokręcił głową. Stał się najwyraźniej sentymentalnym głupcem. Serce w nim zawsze zamierało na chwilę, gdy spostrzegł Francescę w tłumie. Gdyby to wrażenie jeszcze się nasiliło, wątpliwe, by zdołał to przeżyć.

Otworzył drzwi.

— Francesco! — zawołał, a jego głos zabrzmiał w wieczornej ciszy miękko i gardłowo.

Stała przy oknie w ciemnoniebieskiej koszuli nocnej. Fason był skromny, ale cienki materiał przylegał do ciała i przez chwilę Michael nie mógł zaczerpnąć tchu.

I wiedział już — nie miał pojęcia skąd — że odtąd zawsze będzie tak, jak teraz.

— Frannie? — szepnął, podchodząc do niej bez pośpiechu.

Odwróciła się i dostrzegł niepokój na jej twarzy. Nie zdenerwowanie, raczej chwytający za serce wyraz niepewności, jakby i ona uświadomiła sobie nagle, że teraz wszystko się zmieni.

— Dokonaliśmy tego — powiedział i niezbyt mądry uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Ciągle nie mogę w to uwierzyć — wyznała.

— Ja też — przytaknął i wyciągnąwszy rękę dotknął jej policzka. — Ale to prawda!

— Ja… — Pokręciła głową. — Nieważne.

— Co chciałaś powiedzieć?

— Nic, nic…

Wziął ją za obie ręce i przyciągnął do siebie.

— Z pewnością nie jest to „nic” — szepnął. — Kiedy chodzi o ciebie i o mnie, nie ma mowy o żadnym „nic”.

Francesca przełknęła ślinę; cienie zatańczyły na smukłej kolumnie jej szyi. W końcu wykrztusiła z trudem:

— Ja tylko… chciałam powiedzieć, że…

Michael uścisnął jej dłoń, pragnąc dodać ukochanej odwagi. Tak bardzo chciał, żeby to powiedziała. Nie przypuszczał, że aż tak jest spragniony tych słów… Nie liczył na to, że usłyszy je od razu — ale, dobry Boże, jak marzył o tym, by je usłyszeć!

— Bardzo się cieszę, że wyszłam za ciebie — dokończyła wreszcie. Jej głos był równie nieśmiały jak wyraz jej oczu. Jakież to do niej niepodobne! — To była słuszna decyzja.

Poczuł, jak jego palce u nóg podkurczyły się odruchowo. Wczepiły się

w dywan, jakby w ten sposób łatwiej było znieść rozczarowanie. Francesca powiedziała znacznie więcej, niż mógł oczekiwać — a zarazem tak mało w porównaniu z tym, o czym marzył.

A jednak nawet teraz, przeżywając to rozczarowanie, trzymał ją w ramionach. W dalszym ciągu była jego żoną. I to ma największe znaczenie, przekonywał zawzięcie samego siebie.

— Ja też się z tego cieszę — powiedział miękko i przyciągnął ją jeszcze bliżej. Dotknął ustami jej ust i naprawdę różniło się to od poprzednich pocałunków. Było w tym całkiem nowe poczucie, że należą do siebie, nie muszą się już z tym kryć, nic im nie zagraża.

Całował delikatnie i łagodnie, poznawał ją bez pośpiechu, rozkoszował się każdą chwilą. Jego ręce ślizgały się po jedwabiu koszuli nocnej i Francesca cichutko pojękiwała, gdy materiał falował pod dotykiem jego palców.

— Kocham cię — szeptał Michael.

Uznał, że nie musi już wystrzegać się tych słów, nawet jeśli Francesca nie zamierza odpowiedzieć mu tym samym. Jego usta wędrowały po jej policzku w stronę ucha. Delikatnie uszczypnął zębami jego płatek, po czym ruszył w dół szyi, do rozkosznego wgłębienia u jej podstawy.

— Michaelu! — westchnęła Francesca, szukając w nim oparcia. — Och, Michaelu…

Objął dłońmi jej pośladki i przycisnął ją do siebie. Z jego ust wyrwał się jęk, gdy poczuł ją — sprężystą i gorącą — tuż przy sobie.

Pomyślał, że i przedtem jej pragnął, ale to było całkiem co innego.

— Muszę cię mieć — powiedział ochrypłym głosem, osuwając się na kolana i wodząc ustami po jedwabiu koszuli osłaniającej jej kobiecość. — Tak bardzo jesteś mi potrzebna!

Wyszeptała jego imię; wydawała się zmieszana, gdy klęczał przy niej

w pozie pełnej uwielbienia.

— Francesco… — szepnął.

Nie miał pojęcia, czemu wymówił jej imię. Czuł tylko, że jest ono dla niego czymś najcenniejszym w świecie. Jej imię i jej ciało. I piękno jej duszy.

— Francesco… — wyszeptał znowu, przytulając twarz do jej brzucha.

Poczuł jej ręce na swojej głowie; jej palce wplątały się w jego włosy. Mógłby tak trwać całymi godzinami, ale Francesca także przyklękła, przysunęła się bliżej i wyciągając szyję, pocałowała go.

— Pragnę cię — powiedziała. — Weź mnie!

Michael jęknął i przygarnął ją do siebie, a potem zerwał się wraz z nią z klęczek i pociągnął Francescę w stronę łóżka. Kilka sekund później leżeli już na puchowym piernacie, który zdawał się otulać ich z taką samą czułością, z jaką obejmowali się nawzajem.

— Frannie — szeptał Michael, drżącymi rękami podciągając jej jedwabną koszulę do pasa, a potem jeszcze wyżej. Ona jedną ręką objęła od tyłu jego głowę i przyciągnęła ją do siebie, spragniona dalszych pocałunków, równie zachłannych i gorących.

— Pragnę cię — powtarzała głosem pełnym pożądania. — Tak bardzo cię pragnę!

— Muszę cię widzieć całą — mówił, zdzierając jedwab okrywający jej ciało. — Muszę czuć cię całą!

Francesca była równie spragniona jak on. Jej palce rozwiązywały już pasek jego szlafroka i rozchylały go, odkrywając potężną klatkę piersiową Michaela. Dotknęła lekko meszku, który tę pierś porastał, i odczuła jako coś cudownego zetknięcie swojej dłoni z jego skórą.

Nigdy nie przypuszczała, że coś takiego wydarzy się właśnie tu i teraz.

Nie po raz pierwszy widziała przecież Michaela nago i dotykała go w ten sposób, a jednak tym razem dostrzegła w tym coś wyjątkowego.

Był jej mężem!

Wydawało się to niewiarygodne… a jednak czuła, że łącząca ich więź jest doskonała i ze wszech miar słuszna.

— Michaelu… — wyszeptała, ściągając mu szlafrok z ramion.

Odpowiedział nieartykułowanym pomrukiem. Był zajęty: wyprawiał niestworzone, rozkoszne rzeczy z jej nogą w zagięciu kolana.

Francesca opadła z powrotem na poduszki, zapominając całkiem, co zamierzała mu powiedzieć… jeśli istotnie miała taki zamiar.

Ręka Michaela objęła delikatnie jej udo, potem przesunęła się do biodra, a następnie do talii, by wreszcie wylądować na piersi Franceski. Zapragnęła nagle przyłączyć się do zabawy, okazać się równie śmiała jak on i dotykać go tak, jak on dotykał jej. Jednak pieszczoty Michaela sprawiły, że stała się leniwa i senna, mogła już tylko leżeć na wznak i rozkoszować się jego karesami. Najwyżej od czasu do czasu musnąć palcami jego skórę, jeśli znalazła się akurat w zasięgu jej ręki.

Czuła się taka rozpieszczana…

Ubóstwiana…

Kochana ponad wszystko.

Doprowadzało ją to niemal do łez.

I napawało rozkoszą.

Było to cudownie czyste — a równocześnie kuszące i zapierające dech w piersi…

Usta Michaela podążyły szlakiem wytyczonym przez jego ręce, powodując rozkoszne mrowienie w brzuchu i piersiach.

— Francesco… — szeptał między pocałunkami, dotarłszy do koniuszków jej piersi.

Najpierw drażnił je językiem, potem wziął sutek do ust i delikatnie przygryzł.

Reakcja Franceski była gwałtowna i natychmiastowa. Całe jej ciało przebiegł skurcz, palce stóp zacisnęły się z całej siły na pościeli, rozpaczliwie starając się znaleźć jakieś oparcie w świecie, który nagle zawirował.

— Michaelu! — jęknęła, wyginając plecy w łuk.

Palce Michaela wślizgnęły się między jej nogi, choć Francesca bynajmniej nie potrzebowała dodatkowej podniety, zanim przyjmie go do siebie. Pragnęła tego, pragnęła jego — i pragnęła, by trwało to wiecznie!

— Jesteś taka rozkoszna w dotyku — powiedział chrapliwie; czuła na skórze jego gorący oddech.

Przesunął się tak, by móc od razu w nią wniknąć. Widziała jego twarz nad sobą. Jego oczy błyszczały, pełne ognia i napięcia.

Leżąca pod nim Francesca poruszyła biodrami, rozchylając uda, by mógł wniknąć jak najgłębiej.

— Już! — ponagliła.

Był w tym słowie i rozkaz, i błaganie.

Michael poruszał się bez zbytniego pośpiechu, wnikając w nią cal po calu z drażniącą powolnością. Francesca czuła, że coraz bardziej otwiera się i rozciąga na jego przyjęcie, aż wreszcie ich ciała się zetknęły, gdy skrył się w niej całkowicie.

— O Boże! — jęknął. Twarz mu się zmieniła pod wpływem namiętności. — Nie mogę… Muszę…

W odpowiedzi uniosła biodra i zacisnęła się jeszcze mocniej wokół niego.

Zaczął się w niej poruszać. Każdy ruch wywoływał nową falę doznań, która rozchodziła się niczym ogień po całym jej ciele. Francesca wymówiła

jego imię, a potem nie mogła już mówić i tylko chwytała z trudem powietrze, gdy ruchy Michaela stawały się coraz bardziej gorączkowe i rozpaczliwe.

I wówczas spadło to na nią jak błyskawica rozświetlająca wszystko. Jej ciało eksplodowało. Krzyknęła, nie mogąc oprzeć się gwałtowności tego doznania. Michael wbił się w nią jeszcze mocniej, a potem jeszcze raz i jeszcze. On także krzyknął, osiągając szczyt. Jej imię zabrzmiało na jego wargach jak modlitwa i błogosławieństwo, zanim opadł bezwładnie na Francescę.

— Jestem za ciężki — wymamrotał, usiłując niezdarnie uwolnić ją od swego ciężaru.

— Daj spokój. — Powstrzymała go ruchem ręki.

Wcale nie chciała, żeby Michael wstawał. Jeszcze nie teraz. Niebawem oddychanie zacznie jej sprawiać trudność i będzie musiał się podnieść, ale na razie było w ich bliskości coś tak naturalnego, że jeszcze nie chciała z niej rezygnować.

— Nie powinienem — odparł i dosłyszała śmiech w jego głosie. — Jeszcze cię zgniotę!

Zsunął się z niej, ale nie wyrzekł się jej bliskości. Leżała teraz zwinięta w kłębek, przytulona do niego plecami; jego ramię obejmowało ją nieco powyżej talii.

Wyszeptał coś z ustami przytkniętymi do jej karku. Francesca nie mogła zrozumieć słów, ale nie miało to znaczenia. I tak wiedziała, co powiedział.

Wkrótce potem zasnął; jego oddech, powolny i rytmiczny, brzmiał w jej uszach jak kołysanka. Francesca jednak nie zasnęła. Była zmęczona, senna i zaspokojona, ale nie zasnęła.

Tej nocy było inaczej niż dotąd.

Leżąc, zastanawiała się dlaczego.

23

…Jestem pewna, że Michael także napisze do Ciebie, ale ponieważ uważam Cię za moją drogą, najdroższą przyjaciółkę, chciałam sama Cię powiadomić, że wyszłam za niego. Bardzo jesteś zaskoczona? Muszę przyznać, że mnie również to zaskoczyło!

Hrabina Kilmartin do Helen Stirling, trzy dni po poślubieniu hrabiego Kilmartin

Wyglądasz okropnie!

Michael spojrzał na swą małżonkę raczej ozięble.

— Ja też ci życzę miłego dnia — oznajmił i znów skoncentrował całą uwagę na jajkach i grzankach.

Francesca zajęła miejsce przy stole śniadaniowym, naprzeciwko męża. Byli małżeństwem od dwóch tygodni. Michael wstał wcześnie tego ranka i gdy się obudziła, jego miejsce w łóżku zdążyło już ostygnąć.

— Wcale nie żartuję — powiedziała, marszcząc czoło z niepokojem. — Cerę masz ziemistą i brak ci sił nawet na to, by siedzieć prosto. Powinieneś wrócić do łóżka i trochę wypocząć!

Michael kaszlnął raz, potem drugi. Za drugim razem rozkasłał się tak, że kaszel wstrząsał całym jego ciałem.

— Czuję się świetnie — oświadczył, choć z trudem chwytał oddech.

— Nie nabierzesz mnie na takie łgarstwa.

Wzniósł oczy ku niebu.

— Jesteśmy małżeństwem od dwóch tygodni, a już…

— Jeśli chciałeś mieć potulną żonę, nie trzeba się było żenić ze mną — stwierdziła Francesca.

Mierząc wzrokiem dzielącą ich odległość, doszła do wniosku, że nie dosięgnie przez stół do czoła męża, by sprawdzić, czy jest chłodne, czy rozpalone.

— Czuję się świetnie — powtórzył Michael z naciskiem i wziął do ręki egzemplarz londyńskiego „Timesa” sprzed kilku dni (najświeższy, jaki można było zdobyć na szkockim pograniczu), po czym demonstracyjnie przestał zwracać uwagę na żonę.

Równie dobrze można się w to bawić we dwoje, doszła do wniosku Francesca i skupiła całą uwagę na smarowaniu bułeczki konfiturami.

Do chwili, gdy Michael znów się rozkasłał.

Francesca nie mogła usiedzieć spokojnie na krześle, zdołała jednak zachować milczenie.

Zakasłał znowu. Tym razem odwrócił się od stołu i aż się zgiął wpół.

— Mi…

Spojrzał na nią tak groźnie, że zamknęła usta.

I zmrużyła oczy.

Skłonił głowę w nieznośnie protekcjonalnym ukłonie, po czym zepsuł cały efekt, zwijając się konwulsyjnie w następnym ataku kaszlu.

— To załatwia sprawę — obwieściła Francesca, wstając. — Wracasz do łóżka. Natychmiast!

— Czuję się świetnie — burknął.

— Nic podobnego.

— Jestem…

— Chory — przerwała mu. — Jesteś chory, Michaelu. Chory! Po prostu chory, i to jak wszyscy diabli! Chyba nie można wyrazić tego jaśniej.

— Mówisz tak, jakbym miał dżumę — obruszył się.

— Dżumy nie masz — przyznała i obszedłszy stół dokoła, chwyciła męża za ramię. — Ale za to masz malarię i…

— To nie jest malaria! — zapewnił.

Uderzył się w pierś dla wzmocnienia efektu — i znowu się rozkasłał.

Pomogła mu wstać. Było to ciężkie zadanie, którego nie zdołałaby wykonać bez pomocy — choćby niewielkiej — z jego strony.

— Skąd wiesz? — spytała.

— Wiem, i już.

Zacisnęła usta.

— A twoja wiedza medyczna opiera się na…

— Znajomości choroby, na którą cierpię prawie od roku — przerwał jej. — I wiem, że tym razem to nie malaria.

Popchnęła go w kierunku drzwi.

— A poza tym — argumentował — to byłoby za wcześnie.

— Za wcześnie na co?

— Na kolejny atak — wyjaśnił ze znużeniem. — Miałem przecież ten w Londynie… Kiedyż to było… dwa miesiące temu? Stanowczo za wcześnie.

— Dlaczego tak uważasz? — spytała z zadziwiającym spokojem.

— Bo to się tak często nie zdarza — odparł.

W głębi duszy jednak wiedział, że to nieprawda. Wcale nie było za wcześnie. Znał ludzi, którzy miewali ataki co dwa miesiące.

Wszyscy byli bardzo chorzy. Naprawdę ciężko.

Wielu z nich umarło.

Gdyby jego ataki zaczęły następować po sobie coraz częściej, czyż nie byłby to znak, że choroba bierze nad nim górę?

To dopiero byłaby ironia losu! Nareszcie ożenił się z Francescą i miałby zaraz wyciągnąć kopyta?

— To nie malaria! — powtórzył raz jeszcze, tym razem z takim naciskiem, że Francesca przystanęła i popatrzyła na niego. — Nie malaria. Z całą pewnością! — stwierdził.

Frannie skinęła tylko głową.

— Pewnie się przeziębiłem — wyraził przypuszczenie.

Żona ponownie skinęła głową, ale miał nieodparte wrażenie, że stara się go tylko udobruchać.

— Położymy cię do łóżka — powiedziała miękko.

A Michael nie protestował.

Dziesięć godzin później Francesca była przerażona. Gorączka rosła i choć Michael nie bredził w malignie, nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo, ale to bardzo chory. Powtarzał uparcie, że to nie malaria, że podczas ataków malarii czuł się zupełnie inaczej, ale za każdym razem, gdy Francesca go wypytywała, nie potrafił wyjaśnić, skąd się bierze ta pewność. A w każdym razie jego argumenty nie trafiały jej do przekonania.

Nie wiedziała zbyt wiele o malarii. W modnych księgarniach dla dam z towarzystwa nie sprzedawano dzieł z zakresu medycyny. Francesca miała ochotę pociągnąć za język swojego doktora, a nawet zwrócić się do eksperta z Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego. Przyrzekła jednak Michaelowi, że zachowa jego chorobę w tajemnicy; gdyby zaś zaczęła biegać po mieście i zadawać pytania na temat malarii, ktoś w końcu mógłby się zaciekawić, czemu tak ją to interesuje. I ostatecznie Francesca wiedziała o malarii jedynie to, co zdołała wyciągnąć od Michaela podczas tych paru miesięcy od jego powrotu z Indii.

Jednakże wzmożona częstotliwość ataków nie wydawała się jej pomyślnym objawem. Co prawda Francesca musiała przyznać, że nie ma dostatecznej wiedzy, pozwalającej na wysuwanie tego rodzaju przypuszczeń… Kiedy Michael rozchorował się w Londynie, powiedział,

że od poprzedniego ataku febry upłynęło sześć miesięcy, a przerwa między poprzednimi atakami wynosiła trzy miesiące.

Czemu choroba miałaby tym razem zaatakować po tak krótkim czasie? To przecież nie miało sensu, jeśli stan zdrowia Michaela się poprawiał.

A musiał się poprawiać. Po prostu musiał!

Francesca westchnęła i wyciągnęła rękę, by dotknąć czoła męża. Znowu spał, lekko pochrapując, co mu się często zdarzało, gdy był zmęczony. Tak przynajmniej utrzymywał. Nie byli dostatecznie długo małżeństwem, by mogła o tym wiedzieć z własnego doświadczenia.

Czoło miał gorące, choć jeszcze nie rozpalone. Usta mu zaschły, zwilżyła je więc łyżeczką herbaty, unosząc śpiącemu brodę do góry, by łatwiej mu było przełknąć.

Michael jednak zakrztusił się, obudził i parskając herbatą, pochlapał pościel na łóżku.

— Bardzo przepraszam — sumitowała się Francesca, oglądając wyrządzone szkody.

Na szczęście łyżeczka była niewielka.

— Co ty wyprawiasz, u diabła? — wybełkotał Michael.

— Właściwie sama nie wiem — przyznała. — Nie mam doświadczenia w pielęgnowaniu chorych. Wydawało mi się, że chce ci się pić…

— Na drugi raz zaczekaj, aż powiem ci to wyraźnie — burknął.

Skinęła głową pojednawczo i przyglądała mu się, jak próbuje umościć się znów na łóżku.

— A teraz przypadkiem nie chce ci się pić? — spytała łagodnie.

— Trochę — przyznał.

Bez słowa podała mu filiżankę herbaty. Wypił duszkiem.

— Chcesz jeszcze?

Pokręcił głową.

— Jeszcze trochę i musiałbym się wy… — urwał w pół słowa i odchrząknął zażenowany. — Przepraszam… — wymamrotał.

— Mam czterech braci — odparła, bynajmniej niezmieszana. — Możesz się mną nie krępować. Chcesz, żebym ci podała nocnik?

— Sam sobie z tym poradzę.

Nie wyglądał na dość silnego, by ruszyć na poszukiwanie nocnika, ale Francesca wiedziała, że nie ma co dyskutować z mężczyzną skłonnym do irytacji. Sam wróci do rozumu, gdy spróbuje wstać i opadnie z powrotem na łóżko. Żadne inne argumenty go nie przekonają.

— Masz wysoką gorączkę — powiedziała z troską.

— To nie malaria!

— Wcale nie mówiłam…

— Ale myślałaś.

— A co, gdyby to przypadkiem była malaria? — spytała.

— To nie jest…

— A jeśli jest? — weszła mu w słowo Francesca i przeraziła się, słysząc własny głos.

Był taki piskliwy i wystraszony, nim zamarł w jej gardle…

Michael przez kilka sekund wpatrywał się w żonę posępnym wzrokiem. W końcu przewrócił się na drugi bok i powtórzył:

— To nie malaria!

Francesca z trudem przełknęła ślinę. Znała już odpowiedź.

— Wyjdę na chwilę, dobrze? — wykrztusiła i zerwała się z takim pośpiechem, że krew uderzyła jej do głowy.

Michael nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami pod kołdrą.

— Chciałabym się trochę przejść — wyjaśniła Francesca z wahaniem, zmierzając do drzwi. — Zanim słońce zajdzie.

— Idź, nic mi nie będzie — burknął.

Skinęła głową, choć nie patrzył w jej stronę.

— Niedługo wrócę — zapewniła go.

Ale Michael już spał.

Powietrze było mgliste i groziły dalsze opady, toteż Francesca zabrała parasolkę i wyruszyła do altany. Była ona ze wszystkich czterech stron otwarta na działanie żywiołów, ale miała dach, więc gdyby zaczęło padać, Francesca mogła liczyć na to, że pozostanie względnie sucha.

Z każdym jednak krokiem oddychanie sprawiało jej coraz większą trudność, a gdy dotarła do celu, dyszała ciężko; nie tyle zmęczył ją spacer, co powstrzymywanie się od płaczu.

Skoro tylko opadła na ławeczkę w altanie, przestała się krępować.

Szlochała głośno i rozpaczliwie, bynajmniej nie jak dama, ale mało ją to obchodziło.

Michael był chory i mógł umrzeć. Kto wie, może już był umierający… a ona po raz drugi zostanie wdową!

Poprzednim razem omal jej to nie zabiło.

A teraz bardzo wątpiła, czy wystarczy jej sił, by przejść przez to wszystko jeszcze raz. Nie była zresztą wcale pewna, czy chce okazać tyle hartu.

To nie w porządku. To krzycząca niesprawiedliwość. Czemu miałaby stracić dwóch mężów, kiedy tyle kobiet ma przy sobie jednego przez całe życie? A większość z nich nawet nie lubi swoich małżonków, podczas gdy ona szczerze kochała ich obu!

Francesce zaparło dech.

Kochała Michaela?

Ależ nie, zapewniała samą siebie. Nie kochała go. Nie w taki sposób jak Johna. Z Michaelem byli po prostu zaprzyjaźnieni. Oczywiście, że

przywiązała się do serdecznego przyjaciela. Zawsze nim był, czyż nie? Nawet za życia Johna.

Ujrzała przed sobą twarz Michaela, jego uśmiech…

Przymknęła oczy, wspominając pocałunki męża i rozkoszny uścisk jego ręki, obejmującej ją w talii, gdy spacerowali po domu.

I nagle zrozumiała, czemu ostatnimi czasy wszystko wydawało się takie inne. Nie dlatego, że zostali małżeństwem. Nie z tego powodu, że Michael był teraz jej mężem, a ona nosiła na palcu jego obrączkę.

Wszystko stało się inne, ponieważ go kochała.

A tym, co ich łączyło, nie była grzeszna namiętność ani zdrożny pociąg.

To była miłość — cudowne, błogosławione uczucie.

Francesca była tym odkryciem niebotycznie zdumiona. Nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby John stanął nagle przed nią w dawnej postaci i zaczął wycinać hołubce.

Michael…

Kochała Michaela.

Nie tylko jako przyjaciela, ale jako męża i kochanka. Kochała go równie głęboko i mocno jak Johna. Każdego z nich trochę inaczej, gdyż byli od siebie różni, a i ona także się zmieniła, ale uczucia, które do nich żywiła, były tak samo intensywne. Kochała ich obu tak, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę. Miłość wypełniała jej serce po brzegi.

I nie pozwoli Michaelowi umrzeć.

— Nie zrobisz mi tego! — krzyknęła, odchylając się do tyłu na ławce, by spojrzeć w niebo.

Wielka kropla deszczu wylądowała jej na grzbiecie nosa i chlapnęła do oka.

— Nawet nie próbuj! — warknęła groźnie, ścierając z twarzy niemiłą wilgoć. — Nie waż się…

Trzy następne krople pacnęły jedna po drugiej.

— Cholera! — zaperzyła się Francesca, po czym szeptała: — Przepraszam… — zerkając w stronę zasnutego chmurami nieba.

Gdy deszcz się rozpadał jeszcze mocniej, schroniła się pod drewniany dach.

Jak powinna się teraz zachować? Rzucić się bezzwłocznie do ataku, nieugięta jak anioł zemsty… czy wypłakać się porządnie i choć odrobinę porozczulać nad sobą?

A może trochę jednego i trochę drugiego?

Wyjrzała na gwałtowną ulewę, smagającą ziemię z impetem, który mógłby zatrwożyć najbardziej zawziętego anioła zemsty.

Stanowczo trochę jednego i trochę drugiego.

Michael otworzył oczy i odkrył ze zdumieniem, że jest już rano. Mrugnął kilkakrotnie, by się upewnić.

Zasłony w oknach zaciągnięto, choć nie całkiem. Na dywanie był wyraźnie widoczny jaśniejszy, świetlisty pas.

Już rano… Musiał być naprawdę wykończony. Ostatnią rzeczą, jaka mu utkwiła w pamięci, był obraz Franceski wybiegającej z pokoju. Oznajmiła, że chce się przejść, choć każdy dureń by odgadł, iż zbiera się na deszcz.

Niemądra dziewuszka.

Michael spróbował usiąść, ale szybko opadł znów na poduszki. Czuł się jak ostatni zdechlak. Nie było to zbyt delikatne określenie, zwłaszcza w obecnej sytuacji, ale nie mógł wymyślić niczego, co by lepiej oddawało jego słabość i przejmujący ból. Był wykończony i przykuty do łóżka. Na samą myśl o tym, że miałby znów usiąść, jęknął głucho.

Był do niczego.

Dotknął swojego czoła, chcąc się przekonać, czy nadal ma gorączkę. Ponieważ gorące było nie tylko jego czoło, ale i ręka, zdołał tylko ustalić,

że jest cholernie spocony i że z pewnością przydałaby mu się porządna kąpiel.

Próbował obwąchać powietrze wokół siebie, ale stał się takim niedorajdą, że tylko się rozkasłał.

Westchnął z rezygnacją. Cóż, jeśli cuchnie, to przynajmniej sam tego nie czuje.

Doleciał do niego cichy szmer od strony drzwi i podniósłszy wzrok, Michael ujrzał wchodzącą do pokoju Francescę. Poruszała się bezszelestnie w samych pończochach; widać zdjęła buty, żeby go nie obudzić. Podchodząc do łóżka, spojrzała na niego i, zdumiona, cicho krzyknęła.

— Nie śpisz?

Przytaknął ruchem głowy i spytał:

— Która to godzina?

— Wpół do dziewiątej. Nie tak znów późno… tylko że zasnąłeś wczoraj jeszcze przed kolacją.

Znów skinął głową, jako że nie miał nic szczególnego do zakomunikowania. A poza tym był zbyt zmęczony, by wdawać się w pogawędki.

— Jak się czujesz? — spytała, siadając obok niego. — Może chciałbyś coś zjeść?

— Fatalnie. I dziękuję, nie.

Jej usta wygięły się lekko.

— To może pić?

Skinął głową.

Wzięła do ręki filiżankę stojącą na pobliskim stoliku. Przykryto ją spodkiem, zapewne po to, by jej zawartość nie
ostygła.

— To wczorajszy bulion — powiedziała Francesca tonem

usprawiedliwienia. — Ale pod przykrywką, więc może nie będzie całkiem niejadalny.

— Bulion? — upewnił się.

Skinęła głową i podała mu łyżeczkę do ust.

— Zupełnie wystygł?

Michael skosztował i zaprzeczył ruchem głowy. Bulion był ledwo letni, ale wolał taki od gorącego.

Francesca karmiła go w milczeniu przez minutę, potem zaś, gdy oświadczył, że ma dość, odstawiła ostrożnie filiżankę i przykryła ją starannie, choć następnym razem powinna zamówić raczej świeżą porcję z kuchni.

— Masz gorączkę? — spytała szeptem.

Starał się zdobyć na beztroski uśmiech.

— A bo ja wiem?

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego czoła.

— Nie zdążyłem wziąć kąpieli — wymamrotał, udając przesadnie wytwornego dandysa, który w obecności damy nie wspomina o czymś tak wulgarnym jak pot.

Francesca nie zauważyła widać, że mąż sili się na dowcipy. Zmarszczyła tylko brwi i raz jeszcze dotknęła jego czoła. A potem, nachyliwszy się, przylgnęła do niego wargami.

— Frannie…?

— Masz gorączkę — oznajmiła podnieconym szeptem. — Masz gorączkę!

Zamrugał, zdezorientowany.

— W dalszym ciągu masz gorączkę! — ekscytowała się. — Nie rozumiesz? Jeśli nadal ją masz, to nie może być atak malarii!

Na chwilę zaparło mu dech. Francesca się nie myliła! Nie mógł wprost

uwierzyć, że jemu nie przyszło to na myśl. Miała absolutną rację. Podczas ataków malarii gorączka opadała rankiem następnego dnia. Dzień późnej atakowała z nową, straszną siłą, ale ataki były zawsze oddzielone od siebie, co dawało choremu trochę wytchnienia.

— To nie malaria — powtórzyła Francesca, a oczy jej podejrzanie błyszczały.

— Mówiłem ci przecież, że to nie malaria — odparł Michael, ale w głębi duszy wiedział, że wcale nie był tego taki pewny.

— Nie umrzesz — wyszeptała, przygryzając zębami dolną wargę.

Spojrzał jej w oczy.

— Bałaś się o mnie? — spytał cicho.

— Pewnie! — odparła, nie starając się już ukrywać, że głos jej się rwie. — O Boże, Michaelu… Nie mogę uwierzyć… Czy ty masz pojęcie, jak ja się… Och, na litość boską!

Nie bardzo rozumiał, co chciała przez to powiedzieć, ale miał wrażenie, że coś bardzo miłego.

Wstała z takim impetem, że oparcie jej krzesła stuknęło o ścianę. Chwyciła serwetkę leżącą obok filiżanki z bulionem i usiłowała nią otrzeć zapłakane oczy.

— Co z tobą, Frannie? — szepnął.

— Typowy mężczyzna — odparła z politowaniem.

Uniósł w górę brwi.

— Powinieneś wiedzieć, że ja…

Urwała nagle.

— Co wiedzieć, Frannie?

Pokręciła głową.

— Jeszcze nie teraz — oznajmiła.

Miał wrażenie, że starała się przekonać raczej samą siebie niż jego.

— Dowiesz się już wkrótce, ale jeszcze nie teraz!

Zamrugał.

— O czym mówisz?

— Muszę wyjść — oznajmiła zwięźle. — Mam jeszcze coś do załatwienia.

— O wpół do dziewiątej rano?

— Zaraz wracam — obiecywała, idąc do drzwi. — Nigdzie nie wychodź!

— Tam do licha! — silił się na żarty. — Miałem właśnie wpaść z wizytą do króla.

Ale Francesca była zbyt czymś zaabsorbowana, żeby zwracać uwagę na jego marne dowcipy.

— Zaraz wracam — powtórzyła.

W jej słowach kryła się wyraźnie jakaś obietnica.

Cóż miał robić? Wzruszył tylko ramionami i wlepił wzrok w drzwi, które się za nią zamknęły.

24

…Nie bardzo wiem, jak Ci to powiedzieć, a co więcej, nie jestem pewna, jak przyjmiesz tę nowinę… ale trzy dni temu pobraliśmy się, Michael i ja. Nie potrafię opisać wypadków, które doprowadziły do naszego małżeństwa — z wyjątkiem tego, że po prostu czułam, iż tak właśnie powinno się stać. Wierzaj mi, proszę, że to w niczym nie umniejsza miłości, jaką żywiłam do Johna. Zawsze będzie zajmował specjalne miejsce w moim sercu, tak samo jak Ty…

Hrabina Kilmartin do lady Kilmartin, wdowy po siódmym hrabim Kilmartin, trzy dni po poślubieniu dziewiątego hrabiego Kilmartin

Kwadrans później Michael czuł się o wiele lepiej. Nie całkiem dobrze, oczywiście; bo nie zdołałby przekonać samego siebie — ani nikogo innego — że jest zdrów jak ryba. Jednakowoż bulion musiał go nieco pokrzepić, podobnie jak rozmowa z żoną, toteż gdy wstał, by skorzystać z nocnika, stwierdził, że stoi pewniej na nogach, niż można by się tego spodziewać. Postanowił więc obmyć się z grubsza, wycierając wilgotnym ręcznikiem spocone ciało. A kiedy włożył czystą nocną koszulę i szlafrok, poczuł się prawie normalnie.

Już miał wrócić do łóżka, ale na samą myśl o położeniu się z powrotem w przepoconej pościeli ogarnęło go obrzydzenie. Zadzwonił więc na lokaja i usiadł w wygodnym skórzanym fotelu, obróciwszy go tak, by móc wyglądać przez okno.

Dzień był pogodny. Cóż za miła niespodzianka! Przez dwa tygodnie,

które upłynęły od jego ślubu, pogoda była pod psem. Michael specjalnie się tym nie przejmował. Kiedy się spędza tyle czasu co on na spełnianiu obowiązków małżeńskich, człowiek nie dba o to, czy słońce świeci, czy nie.

Teraz jednak, gdy podniósł się z łoża boleści, Michael odkrył, że humor mu się poprawił na widok kropel rosy błyszczących w słońcu na trawie.

Jakiś ruch za oknem przyciągnął jego uwagę. To Francesca spieszyła dokądś przez trawnik. Była zbyt daleko, by mógł przyjrzeć się jej dokładnie; miała na sobie ciepły płaszcz i trzymała coś w ręku.

Pochylił się w stronę okna, by lepiej widzieć, ale żona znikła mu z pola widzenia, kryjąc się za żywopłotem.

W tym właśnie momencie wkroczył do pokoju Reivers.

— Pan hrabia mnie wzywał?

Michael obrócił się twarzą do niego.

— Owszem. Możesz dopilnować, żeby ktoś zmienił mi pościel?

— Oczywiście, milordzie.

— I… — Michael już miał polecić lokajowi, by zatroszczył się także o przygotowanie kąpieli, ale, nie wiedzieć czemu, z ust wymknęły mu się następujące słowa: — Nie wiesz czasem, Reivers, dokąd udała się lady Kilmartin? Widziałem, jak szła przez trawnik.

Reivers pokręcił głową.

— Niestety nie, milordzie. Pani hrabina nic na ten temat nie mówiła. Davies jednak wspomniał, że przekazał ogrodnikowi jej polecenie. Miał ściąć dla niej trochę kwiatów.

Michael skinął głową. Doprawdy podziwu godne, z jaką szybkością rozchodzą się wieści wśród służby.

— Trochę kwiatów, powiadasz? — mruknął.

A zatem miała w ręku bukiet, gdy kilka minut temu szła przez trawnik.

— Peonii — uściślił Reivers.

— Peonii… — powtórzył Michael z wyraźnym zainteresowaniem.

Peonie były ulubionymi kwiatami Johna i dlatego właśnie stanowiły podstawę ślubnego bukietu Franceski. Aż dziw, że Michael zapamiętał takie szczegóły, choć upił się do nieprzytomności zaraz po wyjeździe państwa młodych. Sama jednak uroczystość ślubna utrwaliła mu się w mózgu z niezwykłą wyrazistością.

Francesca miała na sobie niebieską suknię. Bladoniebieską. A jej bukiet składał się z peonii. Musiano je wyhodować w cieplarni, bo Francesce bardzo zależało na tych właśnie kwiatach.

I nagle Michael pojął, dokąd wybrała się teraz, otulona płaszczem.

Na grób Johna.

Michael odwiedził go tylko raz po swoim powrocie z Indii. Udał się tam kilka dni po zdumiewającej chwili olśnienia, kiedy to uświadomił sobie nagle, że John nie miałby nic przeciwko jego małżeństwu z Francescą.

Co więcej, Michael mógł sobie bez trudu wyobrazić, jak John — gdzieś tam w górze — uśmiecha się radośnie na myśl o ich związku.

I Michael mimo woli zaczął się zastanawiać: czy Francesca doznała podobnego olśnienia? Zrozumiała, że Johnowi — ze względu na dobro ich obojga — odpowiadało takie rozwiązanie?

A może nadal poczuwała się do winy wobec zmarłego?

Michael bezwiednie wstał z fotela. Dobrze znał poczucie winy wgryzające się w serce, rozdzierające duszę… Wiedział doskonale, co to ból, który trawi wnętrzności niczym żrący kwas.

I nie chciał, by Francesca znosiła podobne męki.

To nic, że go nie kochała. To nic, że — być może — nigdy go nie pokocha. Ale była teraz szczęśliwsza niż dawniej, zanim się pobrali. Nie miał co do tego wątpliwości. Gdyby jednak wstydziła się tego szczęścia… Chybaby go to zabiło.

John z pewnością życzyłby sobie, żeby była szczęśliwa. Pragnąłby, żeby kochała i była kochana. Jeśli jednak Francesca nie zdawała sobie z tego sprawy…

Michael zaczął się ubierać. Nadal był słaby, miał trochę gorączki, ale — na Boga! — dowlecze się na cmentarz, choćby miał to przypłacić życiem! Nie pozwoli, żeby Francesca uwięzła w grzęzawisku wyrzutów sumienia, w którym sam tkwił po uszy przez tak długi czas.

Wcale nie musi go kochać. Naprawdę nie musi. Powtarzał to sobie tyle razy w trakcie ich krótkiego pożycia małżeńskiego, że niemal w to uwierzył.

Francesca nie musi go kochać. Ale powinna czuć się wolna. Wolna i szczęśliwa.

Bo gdyby nie była szczęśliwa…

To by go z pewnością zabiło. Mógł żyć bez jej miłości — ale nie zniósłby, gdyby wiecznie była nieszczęśliwa.

Francesca przewidywała, że będzie wilgotno, wzięła więc ze sobą pled w zielono-złotą kratę Stirlingów i ze smutnym uśmiechem rozłożyła go na trawie.

— Dzień dobry, kochany — mówiła, klęcząc i starannie układając peonie pod nagrobną płytą. Grób Johna był skromny, znacznie mniej okazały od wielu pomników wzniesionych przez inne arystokratyczne rodziny dla uczczenia pamięci zmarłych.

Ale John wcale nie pragnąłby czegoś takiego. Francesca znała go tak dobrze, że prawie zawsze mogła przewidzieć, jaka będzie jego opinia.

John z pewnością chciałby mieć grób nierzucający się w oczy i to właśnie tutaj, w odległym zakątku cmentarza, w pobliżu rozległych pól Kilmartin. To było miejsce na ziemi najbliższe jego sercu.

I dlatego Francesca postanowiła, że będzie miał taki właśnie grób.

— Ładny dziś dzień — mówiła teraz, siadając po turecku i starannie okrywając nogi spódnicą.

Nie była to poza odpowiednia do konwersacji w wytwornym towarzystwie, ale tutaj nikomu to nie przeszkadzało.

John z pewnością chciałby, żeby czuła się swobodnie.

— Lało od kilku tygodni — opowiadała mu. — Czasem była naprawdę okropna pogoda, czasem trochę lepsza. Ale nie zdarzył się ani jeden dzień, żeby choć trochę nie popadało. Ty byś się tym specjalnie nie martwił… lecz ja, muszę przyznać, stęskniłam się za słońcem.

Łodyga jednej z peonii przekrzywiła się, więc Francesca poprawiła bukiet.

— Oczywiście, nawet ta plucha nie powstrzymała mnie od spacerów — przyznała z nerwowym chichotem. — Ostatnimi czasy nieraz mnie deszcz przyłapał z dala od domu. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Dawniej bardziej uważałam na pogodę.

Westchnęła zażenowana.

— Nieprawda! Dobrze wiem, co we mnie wstąpiło. Tylko obawiam się wyznać ci… Wiem, że to niemądre, ale…

Znowu się roześmiała. Ten wymuszony śmiech zupełnie do niej nie pasował. W obecności Johna nigdy nie czuła się skrępowana. Od pierwszej chwili, gdy się poznali, czuła się tak swobodnie w jego towarzystwie… Zawsze zachowywali się tak naturalnie wobec siebie.

Ale teraz…

Teraz miała rzeczywiście powód do zdenerwowania.

— Coś się wydarzyło, Johnie — powiedziała, skubiąc materiał płaszcza. — Ja… poczułam do pewnej osoby coś… czego, być może, nie powinnam czuć.

Rozejrzała się dokoła, niemal spodziewając się jakiegoś znaku z nieba.

Nie zobaczyła jednak nic, tylko wiatr lekko poruszał liśćmi.

Francesca z determinacją przełknęła ślinę i wbiła znowu wzrok w nagrobek Johna. Jakie to niemądre! Czy kamienna płyta może zastąpić ukochaną osobę? Nie było jednak nic innego, na czym Francesca mogłaby skupić uwagę, rozmawiając ze zmarłym mężem.

— Może nie powinnam tego czuć — mówiła — a może właśnie powinnam? Myślałam, że nie powinnam… Teraz już nic nie wiem… prócz tego, co się wydarzyło. Nie spodziewałam się tego, ale tak się jakoś stało i… — urwała, jej usta wygięły się w smutnym uśmiechu. — Cóż… pewnie wiesz, o kim mówię. Potrafisz to zrozumieć?

I nagle wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Francesca prędzej by uwierzyła, że ziemia się poruszy albo świetlisty promień sfrunie z nieba prosto na grób Johna… Nic podobnego jednak się nie wydarzyło. Nic dostrzegalnego, nic namacalnego. Miała tylko niezwykłe wrażenie, jakby zmieniała się od wewnątrz. Jakby coś w jej wnętrzu trafiło wreszcie na właściwe miejsce.

I nagle pojęła, że John doskonale to wszystko rozumiał. Co więcej: tego właśnie sobie życzył.

John byłby rad, gdyby wyszła za Michaela. Zgodziłby się chyba na każdego, kogo by pokochała… ale najbardziej by się cieszył, gdyby to był Michael.

Kochał ich oboje najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, więc cieszyłby się, że są razem.

— Kocham go — wyznała Francesca i dopiero teraz uświadomiła sobie, że mówi to na głos. — Kocham Michaela. Naprawdę, Johnie! — Pieszczotliwie dotknęła ręką jego imienia, wyrytego na nagrobku. — I myślę, że tobie by się to podobało… — szepnęła. — Niemal podejrzewam, żeś sam to wszystko zaplanował. To takie dziwne — mówiła

dalej, a łzy napływały jej do oczu. — Przez długi czas wmawiałam sobie, że już nigdy nikogo nie pokocham. Jak mogłabym pokochać kogoś innego?… Kiedy ktoś pytał, czego ty byś dla mnie pragnął, odpowiadałam oczywiście, że pragnąłbyś, żebym sobie znalazła kogoś innego. Ale w głębi duszy… — Uśmiechnęła się smutno. — W głębi duszy wiedziałam, że nic takiego nigdy się nie zdarzy. Przecież nie mogłam znów się zakochać! Byłam o tym święcie przekonana. A w takim razie to, czego byś ty dla mnie pragnął, nie miało znaczenia. Tylko że to się stało — wyznała cichutko. — Wydarzyło się, choć wcale się tego nie spodziewałam. I to właśnie z Michaelem! Tak bardzo go kocham, Johnie… — Głos jej się załamywał, taka była przejęta. — Ciągle sobie wmawiałam, że wcale tak nie jest… a jednak czułam, że to nieprawda. Czułam to, Johnie. Tak bardzo go potrzebuję… Kocham go. Nie mogę żyć bez niego… Więc po prostu musiałam ci to powiedzieć i upewnić się, że ty… że ty…

Nie była już w stanie mówić dalej. Wezbrało w niej zbyt wiele uczuć, potężnych emocji, a wszystkie gwałtownie usiłowały wydobyć się na zewnątrz. Ukryła twarz w dłoniach i płakała. Nie ze smutku ani z radości, tylko dlatego, że nie mogła już dłużej dusić tego w sobie.

— Kocham go, Johnie — mówiła przerywanym głosem. — I myślę, że właśnie tego byś sobie życzył. Naprawdę!

I wówczas dotarły do niej z tyłu jakieś odgłosy. Czyjeś kroki, czyjś oddech… Francesca odwróciła się, choć już wiedziała, kto to taki. Czuła, że to on.

— Michaelu — szepnęła, wpatrując się w niego, jakby był zjawą.

Taki blady i wymizerowany… I musiał oprzeć się o drzewo, żeby nie upaść. A jednak w jej oczach wyglądał wspaniale.

— Francesco… — powiedział z trudem. — Frannie!

Wstała, nadal wpatrzona w jego oczy.

— Słyszałeś, co mówiłam? — spytała szeptem.

— Kocham cię — powiedział ochrypłym głosem.

— Ale czy słyszałeś? — nie ustępowała.

Musiała się upewnić i powiedzieć mu to, gdyby jeszcze nie wiedział.

Potwierdził gwałtownym ruchem głowy.

— Kocham cię — powiedziała, choć wiedział już wszystko. Chciała podbiec do niego, objąć go ramionami, lecz nie mogła się ruszyć, jakby wrosła w ziemię. — Kocham cię — powtórzyła. — Kocham cię!

— Nie musisz…

— Właśnie, że muszę! Muszę ci to powiedzieć. Kocham cię, naprawdę. Tak bardzo cię kocham…

Nagle dzieląca ich przestrzeń znikła i Michael objął ją ramionami. Przytuliła twarz do jego piersi, mocząc mu koszulę łzami. Nie bardzo wiedziała, czemu płacze, ale nie miało to większego znaczenia. Pragnęła tylko pozostać na zawsze w jego gorącym uścisku.

W ramionach Michaela nabierała pewności, że przyszłość będzie cudowna.

Oparł podbródek na jej włosach.

— Chciałem powiedzieć, że nie musisz już tego powtarzać… Co wcale nie znaczy, że ci zakazuję!

Roześmiała się na te słowa — i choć łzy nadal kapały, ich ciała trzęsły się ze śmiechu.

— Nawet powinnaś to powtarzać — dowodził. — Jeśli naprawdę tak czujesz, mów to koniecznie! Zachłanny ze mnie bydlak: pragnę słyszeć je nieustannie.

Patrzyła na niego i oczy jej jaśniały.

— Kocham cię!

Dotknął z miłością jej policzka.

— Nie mam pojęcia, czym sobie zasłużyłem na takie szczęście.

— Niczym nie musiałeś zasługiwać — odparła szeptem. — Wystarczy, że jesteś! — Dotknęła jego policzka równie czułym gestem. — Tylko nie od razu to zrozumiałam.

Odwrócił twarz, żeby i drugi policzek zaznał tej pieszczoty, a potem obiema rękami pochwycił rękę Franceski. Ucałował wnętrze dłoni, wdychając jej słodki zapach. Tak długo usiłował sobie wmówić, że nie ma znaczenia, czy Francesca go pokocha, byle została jego żoną. Ale teraz…

Teraz, gdy wypowiedziała te magiczne słowa, teraz, gdy już wiedział, gdy serce wezbrało mu radością — nie wątpił, że to miało znaczenie.

To był prawdziwy raj, najwyższe szczęście.

To było coś, czego nie spodziewał się zaznać; coś, o czym nawet nie marzył.

To właśnie była miłość.

— Będę cię kochał zawsze — zaklinał się. — Do ostatniego tchu. Przysięgam! Z radością oddam za ciebie życie. Będę cię zawsze wielbił i czcił… Będę…

Mówił ze ściśniętym gardłem, niemal się dusił tymi słowami, ale nie zważał na to. Musiał jej to wszystko powiedzieć. Pragnął, by to wiedziała.

— Wracajmy do domu — szepnęła.

Skinął głową potakująco.

Wzięła go za rękę i łagodnie pociągnęła w stronę drzew oddzielających cmentarz od dworu w Kilmartin. Michael był jej posłuszny, ale nim odszedł, odwrócił się jeszcze i, patrząc na grób Johna, szepnął cicho:

— Dziękuję ci…

A potem pozwolił żonie, by zaprowadziła go z powrotem do domu.

— Chciałam powiedzieć ci o tym później — tłumaczyła mu po drodze. Głos jej drżał z przejęcia, ale coraz bardziej przypominała dawną

Francescę. — Miała to być wielka romantyczna scena. Coś wspaniałego! Coś… — Odwróciła się do niego ze smętnym uśmiechem. — Sama nie wiem, co to miało być, ale musiało być wspaniałe.

Pokręcił głową.

— Nie potrzeba nic takiego — powiedział. — Wszystko, czego mi trzeba… to tylko…

Nie miało znaczenia, że Michael się zaplątał i nie mógł dokończyć zdania. Francesca i tak już wszystko zrozumiała.

— Wiem — szepnęła. — Marzę dokładnie o tym samym.

Epilog

Mój drogi chłopcze,

choć Helen utrzymuje, że ani trochę nie zdziwiła jej wieść o Twoim małżeństwie z Francescą, przyznam, że jestem mniej domyślna i dla mnie ta nowina była kompletnym zaskoczeniem.

Błagam Cię jednak, nie utożsamiaj mego zaskoczenia z dezaprobatą! Nie potrzebowałam dużo czasu, by uświadomić sobie, że Ty i Francesca stanowicie idealnie dobraną parę. Nie pojmuję, jak mogłam nie dostrzec tego wcześniej… Nie uważam się za znawczynię zagadnień metafizycznych i, prawdę mówiąc, nie żywię zbytniej sympatii dla tych, którzy utrzymują, że je zgłębili, ale między wami dwojgiem jest taka zgodność umysłów i powinowactwo dusz, jakie mogło się zrodzić jedynie na płaszczyźnie wyższej niż nasza, ziemska.

Jesteście, bez wątpienia, stworzeni dla siebie.

Niełatwo mi pisać te słowa. John nadal żyje w moim sercu i każdego dnia wyczuwam jego obecność. Nie umiem Ci powiedzieć, jak wielką pociechą jest dla mnie świadomość, że zarówno Ty, jak i Francesca czujecie to samo.

Mam nadzieję, że nie poczytasz tego za zarozumialstwo z mojej strony, jeśli prześlę Ci moje błogosławieństwo.

Ufam też, że nie uznasz, iż niemądra ze mnie staruszka, gdy dołączę do niego moje serdeczne podziękowanie.

Dziękuję Ci, Michaelu, żeś pozwolił, by mój syn kochał ją

pierwszy.

Janet Stirling, wdowa po siódmym hrabim Kilmartin, do Michaela Stirlinga, dziewiątego hrabiego Kilmartin, w czerwcu 1824 roku

Od autorki

Drogi Czytelniku,

Obarczyłam bohaterów mojej powieści ponadprzeciętną dawką poważnych dolegliwości. Zdobycie niezbędnych informacji o chorobach (zarówno Johna, jak i Michaela) okazało się sprawą dość skomplikowaną; musiałam nie tylko zebrać odpowiedni materiał naukowy dotyczący przebiegu obu chorób i sposobów ich leczenia, ale przedstawić ten problem w mojej książce tak, jak postrzegała go angielska medycyna w latach dwudziestych XIX wieku.

John zmarł na skutek pęknięcia tętniaka mózgu. Tętniak — osłabienie ścianki naczynia krwionośnego — przez wiele lat może pozostawać nieujawniony, potem nagle następuje pęknięcie ścianki naczynia krwionośnego i krwawienie domózgowe, a następnie utrata przytomności, śpiączka i zgon. Bóle głowy spowodowane pęknięciem tętniaka mózgu są nagłe i bardzo gwałtowne. W 1820 roku Johna w żaden sposób nie można było uratować. Nawet dziś mniej więcej połowa przypadków pęknięcia tętniaka mózgu kończy się zgonem pacjenta.

W XIX wieku jedynym sposobem uzyskania niezawodnej diagnozy w przypadku pęknięcia tętniaka mózgu mogłaby być sekcja zwłok. Nieprawdopodobne, by poddano sekcji ciało hrabiego, zwłaszcza że nie padł nawet cień podejrzenia o zbrodnię. Tak więc przyczyna śmierci Johna pozostała nierozwiązaną zagadką dla wszystkich, którzy go kochali.

Punkt zwrotny w leczeniu tętniaków mózgu nastąpił w latach pięćdziesiątych XX wieku, gdy zaczęto powszechnie wykonywać badania metodą angiografii. Metoda ta polega na wstrzykiwaniu do naczyń

krwionośnych kontrastu, co umożliwia wykonywanie zdjęć rentgenowskich układu krwionośnego. Odkrywcą tej metody w 1927 roku był Portugalczyk Egas Montiz.

Jeśli zaś chodzi o malarię, jest to choroba znana od dawna. Od wieków znajdujemy w dziełach medycznych wzmianki o tym, że stałe przebywanie w ciepłym, wilgotnym klimacie może spowodować okresowe ataki gorączki oraz ogólne osłabienie, anemię, zakłócenie czynności nerek, a nawet śpiączkę i śmierć. Nazwa choroby — malaria — pochodzi z języka włoskiego i znaczy dosłownie „złe powietrze”; jest ona odbiciem niezłomnego przekonania naszych przodków, że chorobę tę wywołują szkodliwe wyziewy.

Obecnie wiemy, że przyczyną malarii są pasożyty. Ani gorąco, ani bliskość bagien nie są same przez się źródłem choroby, ale stanowią doskonałe warunki rozrodcze dla komara zwanego *Anopheles* (czyli widliszek), którego samica jest nosicielką infekcji. Jeśli kogoś ugryzie, do krwi poszkodowanego wnikają mikroorganizmy, których staje się on żywicielem. Owe mikroorganizmy to jednokomórkowe pasożyty z rodzaju *Plasmodium*; istnieją cztery gatunki *Plasmodium*, mogące zarazić ludzki organizm, a mianowicie: *falciparum*, *vivax*, *ovale* i *malariae*. Przeniknąwszy do krwiobiegu, mikroorganizmy docierają do wątroby, gdzie rozmnażają się z niezwykłą szybkością; w ciągu tygodnia dziesiątki tysięcy pasożytów trafiają z powrotem do krwiobiegu, gdzie infekują krwinki i żywią się zawierającą tlen hemoglobiną. Co dwa lub trzy dni potomstwo tych pasożytów „wyrywa się na wolność” z krwinek, co powoduje u pacjenta wysoką gorączkę i gwałtowne dreszcze. W przypadku malarii wywołanej przez pasożyty należące do gatunku *falciparum* zainfekowane komórki nabierają lepkości, przez co skupiają się wewnątrz naczyń krwionośnych w nerkach i w mózgu. Prowadzi to do zaburzenia

pracy nerek, śpiączki, a wreszcie do śmierci, o ile natychmiast nie zostaną zastosowane środki zaradcze.

Michael miał szczęście. Nie wiedząc o tym, cierpiał na malarię wywołaną przez pasożyty z gatunku *vivax*. Te mikroorganizmy mogą utrzymywać się w wątrobie chorego przez dziesiątki lat, ale rzadko powodują śmierć, choć wywołane przez nie osłabienie i ataki febry bywają ciężkie.

W końcowej części powieści zarówno Michael, jak i Francesca obawiają się, że wzmożona częstotliwość ataków jest dowodem ostatecznej klęski chorego w walce z malarią. W rzeczywistości jednak w przypadku malarii tego gatunku nie miałoby to większego znaczenia. Nie istnieją wyraźne reguły określające, co i kiedy może spowodować atak i z jakim skutkiem — oczywiście z wyjątkiem przypadków zmniejszenia odporności organizmu. Niektórzy pacjenci mają szczęście i mogą doczekać chwili, gdy ataki ustają, oni zaś cieszą się odtąd zdrowiem do końca życia. Lubię wyobrażać sobie, że Michael należał do tych szczęściarzy.

Przyczyna zachorowań na malarię nie była odkryta w czasach, gdy toczy się akcja powieści, i ludzkość musiała czekać na to jeszcze wiele dziesiątków lat, jednak podstawowe zasady leczenia tej choroby były w XIX wieku już dobrze znane. Pacjent mógł wyzdrowieć dzięki zażywaniu sproszkowanej kory rosnącego w tropikach drzewa chinowego. Proszek zazwyczaj mieszano z wodą, w wyniku czego powstawała tzw. woda chinowa. Chinina od roku 1820 stała się przedmiotem sprzedaży komercyjnej (najpierw we Francji), ale skuteczność tego leku była znana o wiele wcześniej.

Malaria została niemal całkowicie zlikwidowana w krajach wysoko rozwiniętych — przede wszystkim dzięki skutecznej walce z plagą komarów. Jednakże choroba ta pozostaje nadal jedną z głównych przyczyn

śmierci mieszkańców krajów rozwijających się. Od miliona do trzech milionów ludzi umiera co roku na malarię *falciparum*. Większość ofiar pochodzi z Afryki, przeważnie są to dzieci poniżej piątego roku życia.

Część dochodów ze sprzedaży tej książki zostanie przekazana na badania nad wynalezieniem nowych leków na malarię.

Julia Q.

Podziękowania

Autorka pragnie wyrazić swoje podziękowania doktorom medycyny Paulowi Pottingerowi i Philipowi Yarnellowi, którzy wspierali ją fachową wiedzą w dziedzinie chorób zakaźnych i neurologii.

Drodzy Czytelnicy!

Czy kiedykolwiek po zamknięciu książki zastanawialiście się, co się stało z waszymi ulubionymi bohaterami? Czy chcieliście przedłużyć swój pobyt w świecie ulubionej powieści? Ja owszem, a jeśli pytania moich czytelników stanowią jakąkolwiek wskazówkę, nie jestem osamotniona. Zatem po niezliczonych prośbach wielbicieli Bridgertonów postanowiłam spróbować czegoś innego — i napisałam „drugi epilog" każdej książki. To opowiadania, których akcja rozgrywa się długo po wydarzeniach opisanych w powieści.

Początkowo drugie epilogi do historii Bridgertonów były dostępne tylko online; później zostały wydrukowane (razem z nowelą o Violetcie Bridgerton) w zbiorze pod tytułem The Bridgertons: Happily Ever After. *Teraz, po raz pierwszy, każdy drugi epilog zostaje włączony do powieści, którą zamyka. Mam nadzieję, że z radością spotkacie się znów z Francescą i Michaelem.*

Z serdecznymi pozdrowieniami
Julia Quinn

Grzesznik nawrócony — Drugi epilog

Znów liczy.

Zawsze liczy.

Siedem dni od ostatniej miesiączki.

Za sześć dni będzie miała dni płodne.

Następnego krwawienia powinna się spodziewać za dwadzieścia cztery do trzydziestu jeden dni, o ile wcześniej nie zajdzie w ciążę.

Choć zapewne tak się nie stanie.

Od trzech lat byli z Michaelem małżeństwem. Trzy lata. Trzydzieści trzy razy znosiła kobiece przekleństwo. Oczywiście wciąż liczyła; na skrawku papieru ukrytym w biurku, wciśniętym w głąb środkowej szuflady, ukrytym przed wzrokiem męża, zaznaczała te przygnębiające ją kreski.

Michael by przez to cierpiał. Nie dlatego, że zależało mu na posiadaniu potomstwa — chociaż owszem, to też — ale dlatego, że ona tak desperacko pragnęła dziecka.

A on chciał go ze względu na nią. Może nawet bardziej dla niej niż dla siebie.

Próbowała ukrywać żal. Przy śniadaniu uśmiechała się i udawała, że nie przejmuje się faktem, iż między nogami ma zwitek tkaniny, ale Michael zawsze widział to w jej oczach i w takim dniu przytulał ją mocniej i częściej całował w czoło.

Powtarzała sobie, że powinna liczyć dobrodziejstwa, którymi obdarzył ją los. I to robiła. Codziennie. Była Francescą Bridgerton Stirling, hrabiną Kilmartin, pobłogosławioną dwiema kochającymi rodzinami: jedną, w której się urodziła, i drugą, w którą weszła — dwukrotnie — przez małżeństwo.

Miała męża, o jakim większość kobiet tylko marzy. Przystojnego,

z poczuciem humoru, inteligentnego i zakochanego w niej bez pamięci. Ona zresztą kochała go równie mocno. Michael umiał ją rozbawić. Napełniał radością nie tylko jej dni, lecz także noce. Uwielbiała z nim rozmawiać, spacerować, siedzieć w jednym pokoju, kiedy rzucali sobie ukradkowe spojrzenia znad czytanych książek, udając jednocześnie zaabsorbowanie lekturą.

Była szczęśliwa. Naprawdę. Jeśli nie doczeka się dziecka, ma przynajmniej tego mężczyznę, wspaniałego, cudownego mężczyznę, rozumiejącego ją jak nikt.

Znał ją doskonale, a jednak wciąż ją zadziwiał i rzucał jej wyzwania.

Kochała go. Kochała go każdą cząstką siebie.

Na ogół to wystarczało. Najczęściej to było więcej, niż trzeba.

Ale późno w nocy, kiedy Michael już zasnął, a ona wciąż leżała z otwartymi oczami, przytulona do niego, czuła w sobie pustkę, której, jak się obawiała, żadne z nich nigdy nie wypełni. Dotykała swojego płaskiego brzucha i zastanawiała się, dlaczego los odmawia jej tej jedynej rzeczy, której tak bardzo pragnęła.

Wtedy zaczynała płakać.

*

To musi mieć jakąś nazwę, myślał Michael, stojąc przy oknie i przyglądając się, jak Francesca znika za pagórkiem w drodze na cmentarz, na grób rodziny Kilmartin. Musi istnieć nazwa określająca ten szczególny rodzaj bólu, wręcz tortury. On nade wszystko pragnął jej szczęścia. Oczywiście istniały jeszcze inne sprawy, których sobie życzył: pokój, zdrowie, dobrobyt dzierżawców, właściwi ludzie na fotelu premiera przez najbliższe sto lat. Ale w ostatecznym rozrachunku najważniejsze dla niego było szczęście Franceski.

Kocha ją. Zawsze ją kochał. To najprostsza i najbardziej naturalna rzecz na

świecie — a przynajmniej tak to powinno wyglądać. Kocha ją — kropka. Gdyby tylko mógł, poruszyłby niebo i ziemię, by zapewnić jej to, o czym marzyła.

Tylko że tego, czego pragnęła najbardziej, za czym tak rozpaczliwie tęskniła, dzielnie kryjąc swój ból i rozczarowanie — tego najwyraźniej nie mógł jej dać.

Dziecka.

Co dziwne, sam zaczął tę sytuację odbierać jak Francesca.

Początkowo po prostu jej współczuł. Francesca pragnęła dziecka, zatem on też go chciał. Ona chciała być matką, zatem on też pragnął widzieć ją z dzieckiem na ręku — nie dlatego, że byłoby to jego dziecko, ale dlatego, że byłoby jej.

Wiedział, że o tym marzyła. I egoistycznie chciał być mężczyzną, który sprawi, że to marzenie się ziści.

Ostatnio jednak sam zaczął odczuwać podobną tęsknotę. Zwłaszcza gdy odwiedzali liczne rodzeństwo Franceski. Podczas tych wizyt natychmiast obskakiwały go ich dzieci, piszcząc „wujek Michael!”, i reagowały wybuchami śmiechu, kiedy je podrzucał, zawsze błagając o jeszcze jedną minutę, jeszcze jednego młynka, jeszcze jedną podaną w sekrecie miętówkę.

Bridgertonowie byli zadziwiająco płodni; jak się zdaje, wszyscy mieli dokładnie tyle potomstwa, ile chcieli, a na wszelki wypadek o jeszcze jedno dziecko więcej.

Z wyjątkiem Franceski.

Pięćset osiemdziesiąt cztery dni później Francesca wysiadła z powozu Kilmartinów i wciągnęła świeże, czyste powietrze wiejskiego Kentu. Wiosna trwała w najlepsze, słońce grzało, lecz zrywający się chwilami wiatr przypominał, że jeszcze niedawno była zima. Francesce to jednak nie przeszkadzało — lubiła czuć zimny wiatr na skórze. Michael nie znosił

chłodu, wciąż narzekał na angielski klimat, do którego nie mógł przywyknąć, spędziwszy tyle lat w Indiach.

Francesca żałowała, że mąż nie mógł jej towarzyszyć w długiej drodze ze Szkocji na chrzciny córeczki Hiacynty, Isabelli. Oczywiście dotrze później. Nigdy nie opuścili chrzcin żadnego z dzieci rodzeństwa Franceski; Michaela po prostu zatrzymały sprawy w Edynburgu. Francesca mogłaby na niego poczekać, ale od wielu miesięcy nie widziała rodziny i tęskniła za nią.

Ciekawe. W młodości zawsze chciała się oderwać od Bridgertonów, mieć własny dom i poczucie odrębności. Teraz jednak, śledząc rozwój dzieci rodzeństwa, zaczęła częściej ich odwiedzać. Nie chciała, by ominęły ją ważne etapy w ich życiu. Akurat bawiła z wizytą u Colina, kiedy jego córka, Agatha, zaczęła chodzić. Dech jej wtedy zaparło. A chociaż tamtej nocy płakała cicho w łóżku, łzy, które napłynęły jej do oczu na widok Aggie dzielnie i ze śmiechem brnącej naprzód, były wyrazem szczerej radości.

Nawet jeśli nie doczeka się własnego dziecka, na Boga, przynajmniej będzie świadkiem takich chwil. Nie wyobrażała sobie bez nich życia.

Uśmiechnęła się i podała płaszcz służącemu, po czym ruszyła znajomymi korytarzami Aubrey Hall. Tutaj i w Bridgerton House w Londynie spędziła sporą część dzieciństwa. Anthony i jego żona wprowadzili kilka zmian, ale generalnie rezydencja wyglądała tak jak zawsze. Ściany wciąż miały ten sam kremowobiały kolor o delikatnym brzoskwiniowym odcieniu. A obraz Fragonarda, który ojciec podarował matce na trzydzieste urodziny, wciąż wisiał nad stołem, tuż przy drzwiach do salonu różanego.

— Francesco!

Francesca odwróciła się — to matka podnosiła się ze swojego fotela w salonie.

— Długo tu stoisz? — zapytała Violetta, podchodząc do niej.

Francesca objęła matkę.

— Niedługo. Podziwiam obraz.

Violetta stanęła obok córki i teraz już obie patrzyły na Fragonarda.

— Wspaniały, prawda? — zapytała cicho, uśmiechając się melancholijnie.

— Tak. Uwielbiam go — odparła Francesca. — Zawsze go lubiłam. Przywodzi mi na myśl tatę.

Violetta odwróciła się do niej, zdziwiona.

— Naprawdę?

Francesca rozumiała tę reakcję. Obraz przedstawiał młodą kobietę trzymającą bukiet kwiatów z przywiązanym doń bilecikiem — niezbyt męski temat. Jednak kobieta spoglądała przez ramię z lekko figlarnym wyrazem twarzy, jakby za chwilę miała się roześmiać. Francesca niewiele mogła powiedzieć o związku rodziców, bo w chwili śmierci ojca miała sześć lat, ale pamiętała jego śmiech. Głęboki, pełny dźwięk śmiechu ojca żył w jej pamięci.

— Powinnaś była zabrać go ze sobą do Londynu — powiedziała Francesca. — Jest przecież twój, prawda?

Violetta zarumieniła się; przez krótką chwilę w jej błyszczących oczach Francesca ujrzała młodą dziewczynę, którą kiedyś była matka.

— Tak — odparła — ale jego miejsce jest w tym domu. Tutaj ojciec mi go podarował i tutaj — wskazała honorowe miejsce na ścianie — razem go powiesiliśmy.

— Byliście bardzo szczęśliwi — powiedziała Francesca. Nie było to pytanie, po prostu stwierdzenie.

— Tak jak wy.

Francesca kiwnęła głową.

Violetta ujęła córkę za rękę i delikatnie ją pogłaskała; obie nadal przyglądały się obrazowi. Francesca doskonale wiedziała, o czym myśli matka: o jej bezpłodności i o tym, że na mocy niepisanego porozumienia nigdy o tym nie rozmawiały, bo właściwie dlaczego? Czy jakiekolwiek słowa mogłyby tu coś zmienić?

Francesca nie chciała o tym rozmawiać, bo przygnębiłaby matkę, stały więc obie, jak zawsze myśląc o tym samym i zastanawiając się, która z nich cierpi bardziej.

Francesca uważała, że ona sama — w końcu to jej łono okazało się bezpłodne. Ale być może to ból matki był bardziej dotkliwy. Violetta była jej matką i opłakiwała niespełnione marzenia swojego dziecka. Czy to nie przejmujące? Ironia losu polegała na tym, że Francesca nigdy się tego nie dowie. Nigdy nie poczuje, jak boli cierpienie własnego dziecka, bo nie zostanie matką.

Miała prawie trzydzieści trzy lata. Nie znała żadnej zamężnej damy, która w tym wieku zaszłaby w ciążę. Najwyraźniej dzieci w małżeństwie pojawiały się od razu albo wcale.

— Czy Hiacynta już przyjechała? — zapytała Francesca, nie odrywając wzroku od obrazu, wciąż wpatrzona w iskierki w oczach kobiety.

— Jeszcze nie, ale Eloise przyjedzie po południu. Jest…

Francesca usłyszała wahanie w głosie matki, jakby Violetta ugryzła się w język.

— Spodziewa się dziecka? — zapytała.

Zapadła krótka chwila ciszy.

— Tak.

— To wspaniale — powiedziała szczerze Francesca. I naprawdę tak uważała. Nie wiedziała tylko, jak wyrazić to w odpowiedni sposób.

Nie chciała patrzeć na matkę, bo wtedy by się rozpłakała.

Odchrząknęła, przechyliła głowę, jakby w obrazie został jeszcze jakiś fragment, którego nie obejrzała.

— Ktoś jeszcze? — zapytała.

Poczuła, że matka lekko sztywnieje; być może Violetta zastanawiał się, czy warto udawać, że nie rozumie pytania.

— Lucy — odpowiedziała w końcu cicho.

Francesca odwróciła się do matki, wysuwając rękę z jej uścisku.

— Znów? — zapytała. Lucy i Gregory byli małżeństwem od niespełna dwóch lat, a to miało być ich drugie dziecko.

Violetta pokiwała głową.

— Przykro mi.

— Nie mów tak — odparła Francesca, przerażona dźwiękiem własnego zdławionego głosu. — Nie mów, że ci przykro. To nie jest powód do smutku.

— Nie — odparła pośpiesznie matka. — Nie o to mi chodziło.

— Powinnaś się cieszyć.

— Cieszę się!

— Bardziej cieszyć ich szczęściem, niż litować nade mną — dodała z trudem Francesca.

— Francesco…

Violetta wyciągnęła do niej rękę, ale córka odsunęła się.

— Obiecaj mi — powiedziała — obiecaj, że zawsze będziesz się bardziej cieszyć, niż litować.

Violetta patrzyła na nią bezradnie; Francesca uświadomiła sobie, że matka nie wie, co powiedzieć. Przez całe życie Violetta Bridgerton była najwrażliwszą i najwspanialszą matką. Zawsze wiedziała, czego potrzebują jej dzieci i kiedy dokładnie — czy to życzliwego słowa, czy delikatnej zachęty, a może solidnego klapsa.

Teraz jednak Violetta nie miała pojęcia, jak się zachować. I to Francesca doprowadziła ją do takiego stanu.

— Przepraszam, mamo — wyrzuciła z siebie. — Bardzo przepraszam!

— Nie. — Violetta przysunęła się szybko i objęła córkę; tym razem Francesca się od niej nie odsunęła. — Nie, kochanie — powtórzyła Violetta, delikatnie gładząc ją po włosach. — Nie mów tego, proszę, nie mów tak.

Przemawiała do niej cicho i tuliła córkę, a Francesca poddawała się

matczynym pieszczotom. A kiedy gorące łzy spadły na ramię Violetty, żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

*

Kiedy dwa dni później przyjechał Michael, Francesca wpadła w wir przygotowań do chrzcin małej Isabelli, a rozmowa z matką, chociaż nie została zapomniana, usunęła się w cień. Przecież nie powiedziały sobie nic nowego. Francesa była tak samo bezpłodna jak wcześniej. Różnicę stanowił fakt, że tym razem poruszyła ten temat. Powiedziała kilka słów.

Tyle, ile zdołała.

A jednak poczuła, jakby spadł jej z serca wielki ciężar. Kiedy stała w holu, w ramionach matki, wraz ze łzami coś z niej spłynęło.

I chociaż wciąż opłakiwała dzieci, których nigdy nie urodzi, po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się szczęśliwa. Bez zastrzeżeń.

Było to dziwne, cudowne uczucie, a ona postanowiła się nad tym nie zastanawiać.

— Ciociu Francesco! Ciociu Francesco!

Francesca z uśmiechem ujęła pod rękę bratanicę. Charlotte była najmłodszą córką Anthony’ego, za miesiąc kończyła osiem lat.

— Co tam, skarbie?

— Widziałaś sukienkę Isabelle? Jest okropnie długa!

— Wiem.

— I ma mnóstwo falbanek.

— Sukienki do chrztu muszą takie być. Nawet chłopców ubiera się w koronki.

— To marnotrawstwo — wzruszyła ramionami Charlotte. — Isabella nie ma pojęcia, że tak pięknie ją ubraliśmy.

— Ach, ale my o tym wiemy.

Charlotte zastanawiała się przez chwilę.

— Tylko że mnie na tym nie zależy, a tobie, ciociu?

Francesca zachichotała.

— Chyba też nie. Kochałabym ją niezależnie od tego, co ma na sobie.

We dwójkę poszły dalej przez ogród, zbierając szafirki do przystrojenia kaplicy. Niemal wypełniły koszyk, kiedy usłyszały wyraźny odgłos nadjeżdżającego powozu.

— Ciekawe, kto tym razem — odezwała się Charlotte, wspinając się na palce, jakby w ten sposób faktycznie mogła lepiej dojrzeć powóz.

— Nie mam pojęcia — odparła Francesca. Po południu miało przyjechać sporo członków rodziny.

— Może wujek Michael.

Francesca uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję.

— Ubóstwiam wujka Michaela — stwierdziła Charlotte z westchnieniem; Francesca omal nie parsknęła śmiechem, gdyż ten wyraz twarzy widziała już tysiące razy u innych kobiet.

Kobiety uwielbiały Michaela. Nawet siedmiolatki nie były odporne na jego urok.

— Fakt, jest bardzo przystojny — stwierdziła z dumą.

Charlotte wzruszyła ramionami.

— Pewnie tak.

— Pewnie? — odparła Francesca, ze wszystkich sił starając się zachować powagę.

— Ja go lubię, bo podrzuca mnie w powietrze, kiedy tata nie patrzy.

— Wujek lubi naginać zasady.

Charlotte uśmiechnęła się szeroko.

— Właśnie. Dlatego nie mówię o tym tacie.

Francesca nigdy nie uważała Anthony’ego za wyjątkowo surowego, lecz

brat od ponad dwudziestu lat był głową rodziny, więc zapewne coś się zmieniło w jego podjściu do dyscypliny.

I, trzeba przyznać — on naprawdę lubił przewodzić.

— To będzie nasz sekret — szepnęła Francesca do ucha bratanicy. — A ty możesz przyjechać do nas do Szkocji, kiedy tylko zechcesz. Tam wciąż naginamy zasady.

Charlotte spojrzała na nią wielkimi oczami.

— A jak to robicie?

— Czasami jadamy śniadanie na kolację.

— Wspaniale!

— I spacerujemy w deszczu.

Charlotte wzruszyła ramionami.

— Wszyscy chodzą w czasie deszczu.

— Zapewne tak, ale my czasem tańczymy.

Charlotte odsunęła się o krok.

— Mogę jechać z wami od razu?

— To zależy od twoich rodziców, skarbie — Francesca roześmiała się i ujęła dziewczynkę za rękę. — Ale zatańczyć możemy już teraz.

— Tutaj?

Francesca kiwnęła głową.

— Ale wszyscy nas zobaczą!

Francesca rozejrzała się.

— Nikogo nie widzę. A nawet gdyby ktoś patrzył… Przejęłabyś się tym?

Charlotte zacisnęła usta; Francesca niemal widziała, jak obracają się trybiki w jej głowie.

— Nie! — zaprzeczyła dziewczynka, ujęła Francescę pod ramię i razem zaczęły tańczyć gigę, po niej zaś szkocki reel, aż od obrotów i kółek zabrakło im tchu.

— O, jaka szkoda, że nie pada! — zaśmiała się Charlotte.

— A co to za radość z deszczu? — odezwał się ktoś z boku.

— Wujek Michael! — pisnęła Charlotte i rzuciła się na niego.

— No i natychmiast zostałam zapomniana — skomentowała Francesca z cierpkim uśmiechem.

Michael rzucił jej ciepłe spojrzenie znad głowy Charlotte.

— Ja nie zapomniałem — zamruczał.

— Właśnie tańczyłyśmy z ciocią Francescą — poinformowała go Charlotte.

— Wiem, widziałem was z domu. Najbardziej podobał mi się ten nowy taniec.

— Jaki nowy taniec?

Michael udał zdziwienie.

— No ten nowy, który tańczyłyście.

— Nie tańczyłyśmy nic nowego — odparła Charlotte, ściągając brwi.

— To co to za taniec, w którym rzucacie się na trawę?

Francesca zagryzła wargi, by powstrzymać uśmiech.

— Upadłyśmy na trawę, wujku Michaelu.

— Niemożliwe!

— Naprawdę!

— To był bardzo żywy taniec — przyznała Francesca.

— Zatem są panie obdarzone wyjątkowym wdziękiem, gdyż byłem absolutnie przekonany, że zrobiłyście to celowo.

— Wcale nie! Wcale nie! — zawołała z ożywieniem Charlotte. — Po prostu się przewróciłyśmy, naprawdę! Przypadkowo!

— Pewnie muszę wam uwierzyć — westchnął Michael — ale tylko dlatego, że nie potraficie kłamać.

Dziewczynka z rozanieloną miną spojrzała mu w oczy.

— Nigdy bym cię nie okłamała, wujku Michaelu — zapewniła.

Michael cmoknął ją w policzek i postawił na ziemi.

— Mama mówi, że pora na kolację.

— Ale przecież dopiero przyjechałeś!

— Nigdzie się nie wybieram. A ty musisz się pokrzepić po tych tańcach.

— Nie chce mi się jeść — zaoponowała dziewczynka.

— Szkoda — odparł Michael — bo po południu chciałem nauczyć cię walca, ale nie możesz się uczyć nowego tańca na pusty żołądek.

Oczy Charlotte przypominały spodki.

— Naprawdę? Tata mówi, że będę się uczyć walca dopiero wtedy, kiedy skończę dziesięć lat.

Michael obdarował ją swoim zabójczym uśmiechem, który wciąż przyprawiał Francescę o dreszcze.

— Nie musimy mu o tym mówić, prawda?

— Och, wujku Michaelu, kocham cię! — zawołała z żarem Charlotte, uściskała go mocno i pobiegła do Aubrey Hall.

— Kolejna wpadła — odezwała się Francesca, kręcąc głową i odprowadzając wzrokiem bratanicę biegnącą przez pola.

Michael wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

— Co to ma znaczyć?

Francesca uśmiechnęła się lekko, westchnęła i odparła:

— Nigdy bym cię nie okłamała.

Michael pocałował ją mocno.

— Mam nadzieję, że nie.

Francesca spojrzała w srebrzyste oczy i rozluźniona oparła się o jego ciepłe ciało.

— Chyba żadna kobieta ci się nie oprze.

— Zatem mam szczęście, że ja nie oparłem się tylko jednej.

— To raczej ja mam szczęście.

— Właściwie tak — przytaknął Michael z udawaną skromnością — ale nie chciałem tego powiedzieć.

Francesca trzepnęła go w ramię.

W odpowiedzi Michael ją pocałował.

— Tęskniłem za tobą.

— Ja za tobą też.

— A jak się miewa klan Bridgertonów? — zapytał, ujmując ją pod rękę.

— Doskonale — odparła Francesca. — O dziwo, bardzo mi tu dobrze.

— O dziwo? — powtórzył Michael z lekkim rozbawieniem.

Francesca poprowadziła go w stronę przeciwną niż dom. Nie widzieli się od ponad tygodnia, nie chciała od razu dzielić się nim z rodziną.

— O co ci chodzi? — zapytała.

— Powiedziałaś „o dziwo”, jakby cię to zaskoczyło.

— Oczywiście, że nie — odparła, ale zastanawiała się przez chwilę. — Zawsze doskonale się czuję z moją rodziną — dodała, starannie dobierając słowa.

— Ale…

— Ale teraz jest lepiej — odparła, wzruszając ramionami. — Nie wiem dlaczego.

Nie było to do końca prawdą. Chodziło o tę chwilę z matką — tamte łzy miały w sobie jakąś magię.

Ale Francesca nie mogłaby się z tego zwierzyć Michaelowi. Mąż skupiłby się tylko na fakcie, że płakała, cała reszta by do niego nie dotarła. On zacząłby się martwić, ona miałaby wyrzuty sumienia, że przysparza mu trosk — była tym już zmęczona.

Poza tym to mężczyzna. I tak nigdy tego nie zrozumie.

— Jestem szczęśliwa — oznajmiła. — Pewnie coś lata w powietrzu.

— Słońce świeci — zauważył Michael.

Francesca wzruszyła beztrosko jednym ramieniem i oparła się o drzewo.

— Ptaki śpiewają.

— Kwiaty kwitną?

— Tylko kilka — przyznała.

Michael rozejrzał się po okolicy.

— W tej chwili brakuje jeszcze niewinnego króliczka kicającego wesoło przez pole.

Francesca uśmiechnęła się rozanielona i gestem poprosiła Michaela o pocałunek.

— Taka wiejska idylla to coś wspaniałego.

— W rzeczy samej — wygłodniałe usta Michaela odnalazły jej usta. — Tęskniłem za tobą — powiedział głosem ochrypłym z pożądania.

Kiedy zębami uszczypnął ją w ucho, jęknęła cicho.

— Wiem. Już mówiłeś.

— Zawsze warto powtórzyć.

Francesca miała ochotę rzucić błyskotliwą uwagę o tym, że nigdy jej się nie znudzi słuchanie tych zapewnień, ale stwierdziła, że traci dech, przygnieciona do drzewa, z jedną nogą założoną na biodro Michaela.

— Masz na sobie stanowczo za wiele ubrań — wychrypiał Michael.

— Jesteśmy trochę za blisko domu — wydyszała, czując skurcz pragnienia w brzuchu, kiedy Michael przytulił się do niej całym ciałem.

— Jak blisko? — zamruczał, jedną rękę wsuwając ukradkiem pod spódnicę żony.

— Niedaleko.

Michael odsunął się i spojrzał na nią.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Francesca uniosła kąciki ust w szatańskim uśmiechu. Czuła moc. Chciała przejąć kontrolę — nad nim, nad swoim życiem, nad wszystkim. — Chodź ze mną — odezwała się impulsywnie, wzięła go za rękę i ruszyła
biegiem.

Michael stęsknił się za żoną. Nocami łóżko wydawało się bez niej zimne,

a wokół panowała dojmująca pustka. Nawet kiedy ze zmęczenia jego ciało jej nie pragnęło, to on domagał się jej obecności, zapachu i ciepła.

Tęsknił za jej oddechem. Nawet materac uginał się inaczej, kiedy Francesca na nim leżała.

Chociaż żona była od niego mniej wylewna i znacznie mniej skłonna do wyrażania namiętności słowami, wiedział, że ona czuje to samo. Dlatego z radością biegł z nią przez pole, dając się prowadzić, bo wiedział, że za chwilę znajdzie się głęboko w niej.

— Tutaj — oznajmiła Francesca, zatrzymując się u stóp pagórka.

— Tutaj? — zapytał niepewnie. Nie mieli nad sobą osłony drzew, nic nie kryło ich przed wzrokiem kogoś, kto by tędy przechodził.

Francesca usiadła.

— Tędy nikt nie chodzi.

— Nikt?

— Trawa jest bardzo miękka — kusiła, zachęcająco klepiąc miejsce obok siebie.

— Nawet nie zapytam, skąd o tym wiesz — wymamrotał.

— Pikniki — wyjaśniła z cudownie oburzoną miną. — Z moimi lalkami.

Michael zdjął płaszcz i rozłożył go na trawie jak koc. Zbocze było łagodne — zapewne w ten sposób będzie jej wygodniej niż na zupełnie płaskiej powierzchni.

Spojrzał na nią. Spojrzał na płaszcz. Francesca nie drgnęła.

— Ty — oznajmiła.

— Ja?

— Połóż się — rozkazała.

Położył. Natychmiast.

A potem, zanim zdążył wypowiedzieć jakąś uwagę, dowcipną czy pochlebną, a właściwie choćby zaczerpnąć powietrza, Francesca go dosiadła.

— O wielki B… — zachłysnął się, ale nie dokończył. Francesca całowała

go gorąco, namiętnie i agresywnie. Wszystko to było cudownie znajome — Michael znał każdy cal jej ciała, wiedział o nim wszystko, a jednak tym razem odniósł wrażenie, że Francesca jest jakby…

Nowa.

Inna.

Przesunął dłoń na tył jej głowy. W domu lubił wyjmować z jej włosów szpilki, jedną za drugą, i przyglądać się, jak z fryzury pojedynczo opadają loki. Dzisiaj był zbyt spragniony, zbyt zniecierpliwiony i nie chciał czekać na…

— Za co? — zapytał, kiedy Francesca odsunęła gwałtownie jego rękę.

Francesca leniwie zmrużyła oczy.

— Ja rządzę — szepnęła.

Jego ciało się spięło. Jeszcze bardziej. Wielki Boże, ona go zabije.

— Nie przedłużaj — wydyszał.

Ale ona go nie słuchała. Powoli, bez pośpiechu rozpinała mu bryczesy, gładziła rękami jego brzuch, w końcu go znalazła.

— Frannie…

Jeden palec — tylko tyle mu dała. Jedno delikatne muśnięcie palcem po jego maczudze.

Odwróciła się i spojrzała na męża.

— To świetna zabawa — zauważyła.

Michael skupił się na tym, by zachować zdolność oddychania.

— Kocham cię — powiedziała cicho Francesca; poczuł, jak wstaje. Uniosła spódnice do ud, ustawiła się, po czym jednym niewiarygodnie szybkim ruchem wzięła go w siebie; jej ciało oparło się o niego, pogrążając go do samej nasady.

Michael chciał się poruszyć. Chciał podrzucić jej ciało albo przetoczyć Francescę na plecy i posuwać, aż oboje wbiją się w ziemię, lecz ona mocno

trzymała go za biodra, a kiedy na nią spojrzał, stwierdził, że oczy ma zamknięte, jakby na czymś się bardzo skupiała.

Oddychała powoli, równo, ale głośno; z każdym wydechem opadała na niego odrobinę ciężej.

— Frannie… — jęknął z braku lepszego pomysłu. Chciał, żeby poruszała się szybciej. Albo mocniej. Albo cokolwiek. Ona jednak kołysała się do przodu i do tyłu, wyginając biodra w cudownej torturze. Michael złapał ją za biodra, próbując je unieść i opuścić, ale ona otworzyła oczy i z miękkim, pełnym rozkoszy uśmiechem pokręciła głową.

— Podoba mi się tak — powiedziała.

On pragnął czegoś innego. Potrzebował czegoś innego; kiedy jednak na niego spojrzała, stwierdził, że wygląda na tak szczęśliwą, iż nie jest w stanie niczego jej odmówić. Po czym, jak było do przewidzenia, zaczęła drżeć, co także było dziwne, zwłaszcza że Michael tak dobrze znał jej zachowanie w chwili szczytowania — tym razem spełnienie Franceski wydawało się łagodniejsze, ale jednocześnie i silniejsze.

Francesca zakołysała się w przód i na boki, po czym krzyknęła cicho i opadła na niego.

A wtedy, ku swojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu i zaskoczeniu, Michael sam doszedł. Nie przypuszczał, że jest już gotowy. Sądził, że jeszcze daleko mu do końca, chociaż gdyby był w stanie się pod nią poruszać, nie zajęłoby mu to wiele czasu. A jednak nagle i bez ostrzeżenia eksplodował.

Leżeli razem przez jakiś czas w łagodnych promieniach słońca. Francesca wtuliła twarz w szyję Michaela, a on ją obejmował, zastanawiając się, jak to możliwe, że takie chwile w ogóle istnieją.

Bo to było doskonałe. Gdyby mógł, zostałby tam na zawsze. I chociaż jej o to nie zapytał, wiedział, że ona czuje to samo.

Mieliśmy zamiar wracać do domu dwa dni po chrzcinach, myślała

Francesca, przyglądając się, jak jej siostrzeniec przyciska bratanka do ziemi — minęły trzy tygodnie, a my nawet nie zaczęliśmy się pakować.

— Mam nadzieję, że nikt sobie niczego nie połamał.

Francesca uśmiechnęła się do swojej siostry Eloise, która także postanowiła przedłużyć odwiedziny w Aubrey Hall.

— Nie — odparła, krzywiąc się lekko, kiedy przyszły książę Hastings, obecnie jedenastolatek, znany też jako Davey, z okrzykiem wojennym zeskoczył z drzewa. — Chociaż starali się, jak mogli.

Eloise usiadła obok i wystawiła twarz do słońca.

— Za minutę założę czepek, przysięgam — zapewniła.

— Niezupełnie rozumiem reguły gry — zauważyła Francesca, jakby nie słyszała słów wypowiedzianych przez siostrę.

Eloise nawet nie pofatygowała się, by otworzyć oczy.

— Bo nie ma żadnych reguł.

Francesca przyglądała się chaosowi z nowej perspektywy. Oliver, jedenastoletni pasierb Eloise, chwycił piłkę — odkąd to używa się piłki? — i pobiegł przez trawnik. Chyba dotarł do celu — chociaż Francesca nie była pewna, czy chodziło mu o gigantyczny pień dębu, stojący tam od czasów jej dzieciństwa, czy też o Milesa, drugiego syna Anthony’ego, który siedział po turecku i ze skrzyżowanymi ramionami, odkąd Francesca dziesięć minut temu wyszła z domu.

Niezależnie od przyczyny Oliver na pewno zdobył punkt, gdyż walnął piłką o ziemię i zaczął skakać, wydając triumfalne okrzyki. Miles chyba należał do jego drużyny — po raz pierwszy Francesca zauważyła wskazówkę, że grały drużyny — gdyż zerwał się na nogi i również zaczął się cieszyć.

Eloise otworzyła jedno oko.

— Moje dziecko nikogo nie zabiło, prawda?

— Nie.

— I nikt jego nie zabił?

— Nie — uśmiechnęła się Francesca.

— Dobrze. — Eloise ziewnęła i usadowiła się wygodnie na ławce.

Francesca zastanowiła się nad jej słowami.

— Eloise…

— Hm?

— Czy ty kiedykolwiek… — zmarszczyła brwi. Naprawdę nie było właściwych słów, by zadać to pytanie. — Czy kiedykolwiek kochałaś Olivera i Amandę…

— Mniej? — podpowiedziała Eloise.

— Tak.

Eloise wyprostowała się i otworzyła oczy.

— Nie.

— Naprawdę? — Nie chodziło o to, że Francesca jej nie wierzyła. Całym sercem kochała dzieci sióstr i braci, za każde z nich, łącznie z Oliverem i Amandą, oddałaby życie. Ale sama nigdy nie rodziła. Nigdy nie nosiła w łonie dziecka — w każdym razie niezbyt długo — i nie miała pojęcia, czy to stanowi różnicę. Czy to coś więcej.

Gdyby miała dziecko, własne, z krwi jej i Michaela, czy uświadomiłaby sobie nagle, że miłość, jaką odczuwa do Charlotte i Olivera, Milesa i pozostałych… jest niczym w porównaniu z tym, co poczułaby do własnego dziecka?

Czy to jakaś różnica?

Czy chciałaby, żeby to była różnica?

— Myślałam, że tak będzie — przyznała Eloise. — Oczywiście kochałam Olivera i Amandę na długo przed tym, zanim pojawiła się Penelopa. Jak mogłabym ich nie kochać? Są częścią Phillipa. Poza tym… — ciągnęła, z wyrazem zamyślenia na twarzy, jakby nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała — są… sobą. A ja jestem ich matką.

Francesca uśmiechnęła się tęsknie.

— Mimo wszystko — ciągnęła Eloise — zanim urodziłam Penelopę, a nawet kiedy ją jeszcze nosiłam pod sercem, spodziewałam się, że zacznę ich kochać inaczej — przerwała. — I tak, jest inaczej — znów przerwała — ale nie kocham ich mniej. To nie kwestia poziomu, ilości czy nawet… natury uczucia — wzruszyła ramionami. — Nie potrafię tego wyjaśnić.

Francesca znów wróciła do obserwowania gry, którą zawodnicy podjęli z niezmiennym entuzjazmem.

— Nieprawda — odezwała się cicho. — Chyba wyjaśniłaś.

Zapadła cisza, którą przerwała Eloise.

— Niewiele… niewiele o tym mówisz.

Francesca łagodnie ujęła ją za rękę.

— Nie.

— A chcesz porozmawiać?

Francesca zastanawiała się przez chwilę.

— Nie wiem.

Odwróciła się do siostry. Większą część dzieciństwa przeżyły w chaosie, ale Eloise pod wieloma względami była jej drugą połówką. Były do siebie zewnętrznie bardzo podobne, z wyjątkiem koloru oczu, nawet urodziły się tego samego dnia, tylko w odstępie roku.

Eloise przyglądała się siostrze z czułym zaciekawieniem, współczuciem, które jeszcze kilka tygodni temu łamałoby Francesce serce, a teraz stanowiło pociechę. Francesca nie czuła się osobą wzbudzającą litość; czuła się kochana.

— Jestem szczęśliwa — powiedziała. I była. Wreszcie nie czuła w głębi duszy tej bolesnej pustki. Zapomniała nawet o liczeniu dni. Nie wiedziała, ile ich upłynęło od ostatniego krwawienia, a to było niezwykle miłe uczucie.

— Nie znoszę liczb — wymamrotała.

— Słucham?

Stłumiła uśmiech.

— Nic takiego.

Słońce, dotąd skryte za cienką warstwą chmur, nagle pojawiło się na niebie. Eloise osłoniła oczy i oparła się wygodniej.

— Wielkie nieba — zauważyła — Oliver chyba właśnie usiadł na Milesie.

Francesca roześmiała się, po czym, zanim zdążyła pomyśleć nad tym, co robi, wstała.

— Myślisz, że dopuszczą mnie do gry?

Eloise spojrzała na nią tak, jakby podejrzewała ją o pomieszanie zmysłów, co, jak przyznała w myślach Francesca ze wzruszeniem ramion, mogło być prawdą.

Eloise spojrzała na siostrę, potem na chłopców, potem znów na siostrę. Wstała.

— Jeśli ty, to i ja.

— Nie możesz — sprzeciwiła się Francesca. — Jesteś w ciąży.

— Ledwo — odparła Eloise drwiąco. — Poza tym na mnie Oliver nie odważy się usiąść — wyciągnęła rękę. — Idziemy?

— Chyba tak — Francesca wzięła siostrę pod ramię i razem pobiegły zboczem w dół, wrzeszcząc jak dusze potępione i czerpiąc z tego wielką radość.

— Podobno po południu urządziłyście niezłe widowisko — zagadnął Michael, przysiadając na krawędzi łóżka.

Francesca nie poruszyła się, nawet nie otworzyła oczu.

— Jestem wykończona — odparła tylko.

Michael rzucił okiem na zakurzoną listwę jej sukni.

— I brudna.

— Nie mam siły się umyć.

— Anthony mówił, że Miles był pod wielkim wrażeniem. Podobno bardzo

dobrze rzucasz jak na dziewczynę.

— Byłoby jeszcze lepiej — odparła Francesca — gdyby mnie poinformowano, że nie wolno używać rąk.

Michael zachichotał.

— A w co dokładnie graliście?

— Nie mam pojęcia — Francesca westchnęła z lekkim jękiem. — Mógłbyś pomasować mi stopy?

Michael przesunął się dalej na łóżku i uniósł jej suknię do połowy łydki. Stopy Franceski były brudne.

— Dobry Boże! — zawołał. — Biegałaś boso?

— W klapkach źle się gra.

— A jak sobie radziła Eloise?

— Ona najwyraźniej w rzucaniu dorównuje chłopcom.

— Myślałem, że nie wolno wam było używać rąk.

Na te słowa Francesca uniosła się z oburzeniem na łokciach.

— Wiem o tym, ale to zależało od tego, po której stronie boiska się znalazło. Kto słyszał takie rzeczy!

Michael ujął jej stopę w dłonie, notując w pamięci, by później je umyć — ręce oczywiście, Francesca sama zadba o swoje nogi.

— Nie miałem pojęcia, że tak lubisz rywalizować — zauważył.

— To rodzinne — wymamrotała Francesca. — Nie, nie, tam. O tu, właśnie tak. Mocniej. Och…

— Chyba gdzieś to już słyszałem — zastanawiał się głośno Michael — ale chyba wtedy bawiłem się znacznie lepiej…

— Siedź cicho i masuj dalej.

— Do usług, wasza wysokość — zamruczał, uśmiechając się, kiedy Francesca widocznie zdała sobie sprawę, że bardzo jej odpowiada ten tytuł. Po minucie czy dwóch ciszy, przerywanej tylko jękami Franceski, Michael zapytał:

— Jak długo jeszcze chcesz tu zostać?

— Spieszy ci się do domu?

— Muszę się zająć kilkoma sprawami — przyznał — ale to nic pilnego. Właściwie całkiem mi dobrze z twoją rodziną.

Francesca uniosła brew i uśmiechnęła się.

— Właściwie?

— Właśnie tak. Chociaż trochę się przestraszyłem, kiedy twoja siostra pobiła mnie w strzelaniu.

— Ona wygrywa ze wszystkimi, zawsze tak było. Następnym razem zmierz się z Gregorym, on nie trafi nawet w drzewo.

Michael przeszedł do masowania drugiej stopy. Francesca wyglądała na wyjątkowo zadowoloną i rozluźnioną. Nie tylko w tej chwili, ale też przy kolacji, w salonie, kiedy bawiła się z dziećmi, nawet w nocy, kiedy kochał się z nią w ogromnym łożu z baldachimem. Michael był gotów wracać do domu, do Kilmartin, starego i pełnego przeciągów, ale ich własnego domu. Chętnie jednak zostałby tutaj na zawsze, gdyby Francesca zawsze miała tak wyglądać.

— Chyba masz rację — odezwała się Francesca.

— Oczywiście — odparł Michael. — A dokładnie w jakiej sprawie?

— Czas wracać do domu.

— Tego nie powiedziałem. Zapytałem tylko, jakie masz zamiary.

— Nie musiałeś tego mówić — zaoponowała Francesca.

— Jeśli chcesz zostać…

Pokręciła głową.

— Nie. Chcę wracać do domu. Naszego domu. — Z głośnym jękiem usiadła i podkuliła nogi pod siebie. — Tu jest cudownie, bardzo mi się podoba, ale tęsknię za Kilmartin.

— Jesteś pewna?

— Tęsknię za tobą.

Michael uniósł brwi.

— Jestem tuż obok.

Francesca uśmiechnęła się i pochyliła do niego.

— Tęsknię za tym, żeby mieć cię dla siebie.

— Jedno słowo wystarczy, moja pani. O każdej porze i wszędzie. Porwę cię, a ty będziesz mogła robić ze mną, co zechcesz.

Francesca zachichotała.

— Może właśnie teraz?

Michael uznał to za doskonały pomysł, lecz szarmancko zauważył:

— Mówiłaś, że jesteś obolała.

— Nie aż tak bardzo. Poza tym ty możesz wziąć wysiłek na siebie.

— Z przyjemnością, moja droga. — Michael przez głowę zdjął koszulę i położył się obok żony, całując ją długo, słodko. Zadowolony z westchnieniem oderwał się od niej i obrzucił żonę spojrzeniem.

— Jesteś piękna — wyszeptał. — Bardziej niż kiedykolwiek.

Francesca uśmiechnęła się tym leniwym, ciepłym uśmiechem, oznaczającym, że właśnie zaznała przyjemności albo wiedziała, że zaraz to nastąpi.

Uwielbiał ten uśmiech.

Zaczął rozpinać guziki na plecach sukni; w połowie jednak uderzyła go nagła myśl.

— Czekaj — powiedział — a możesz?

— Co mogę?

Zamilkł i zmarszczył czoło, starając się policzyć w pamięci. Czy Francesca nie powinna krwawić?

— Czy to nie jest twój czas? — zapytał.

Francesca rozchyliła wargi i zamrugała.

— Nie — powiedziała, jakby nieco zaskoczona nie jego pytaniem, lecz swoją odpowiedzią. — Nie krwawię.

Michael zmienił pozycję — cofnął się nieco, by lepiej widzieć jej twarz.

— Myślisz, że….

— Nie wiem — teraz Francesca mrugała szybko, Michael słyszał też jej przyśpieszony oddech. — Może. Może jestem…

Michael chętnie wydałby okrzyk radości, ale się nie odważył. Jeszcze nie.

— Kiedy…

— Kiedy będę wiedziała? Nie wiem. Może…

— Za miesiąc? Dwa?

— Może za dwa. Może wcześniej. Nie wiem — położyła dłoń na brzuchu. — Może się nie udać.

— To możliwe — przytaknął ostrożnie Michael.

— Ale może się udać.

— Tak.

Michael poczuł rodzący się w nim śmiech, powodujący dziwne łaskotanie w brzuchu, coraz silniejszy, aż w końcu pojawił się na ustach.

— Nie możemy być pewni — ostrzegła Francesca, chociaż Michael widział, że ją też ponoszą emocje.

— Nie — przytaknął, chociaż szóstym zmysłem czuł, że są pewni.

— Nie chcę robić sobie próżnej nadziei.

— Nie, nie, oczywiście, tego nam nie wolno.

Francesca otworzyła szeroko oczy i położyła obie dłonie na brzuchu, wciąż całkowicie płaskim.

— Czujesz coś? — wyszeptał Michael.

Francesca pokręciła głową.

— To i tak byłoby za wcześnie.

Wiedział o tym. Wiedział, że o tym wie. Nie wiedział, dlaczego spytał.

I wtedy Francesca powiedziała coś niewiarygodnego.

— Ale on tam jest — wyszeptała. — Wiem to.

— Frannie… — Jeśli się myliła, jeśli znów czeka ją rozczarowanie…

Michael by tego nie zniósł.

Ona jednak kręciła głową.

— To prawda — powiedziała. Nie upierała się dla zasady. Nie próbowała przekonać jego ani siebie. Słyszał to w jej głosie. Ona to wiedziała.

— Czułaś się ostatnio źle? — zapytał Michael.

Francesca pokręciła głową.

— A czy… wielki Boże, nie powinnaś była biegać z chłopcami po południu.

— Eloise biegała.

— Eloise może sobie robić, co jej się żywnie podoba. Nie jest tobą.

Uśmiechnęła się. I z tym uśmiechem wyglądała jak Madonna.

— Nie jestem taka krucha — stwierdziła.

Michael pamiętał jej poronienie przed wielu laty. Nie było to jego dziecko, ale on też czuł wtedy jej ból, wielki, przeszywający, jak pięść ściskająca serce. Jego kuzyn, jej pierwszy mąż, zmarł zaledwie kilka tygodni wcześniej i oboje jeszcze przeżywali żałobę. Kiedy Francesca straciła dziecko Johna…

Chyba żadne z nich nie zniosłoby kolejnej takiej straty.

— Francesco — powiedział stanowczo — musisz o siebie dbać. Proszę.

— To się nie powtórzy — odparła Francesca, kręcąc głową.

— Skąd wiesz?

Ze zdziwieniem wzruszyła ramionami.

— Po prostu wiem.

Wielki Boże, modlił się Michael, oby się nie okazało, że zwodzi samą siebie.

— Chcesz powiedzieć rodzinie? — zapytał cicho.

Francesca pokręciła głową.

— Jeszcze nie. Nie dlatego, że się boję — dodała z pośpiechem. — Po prostu chcę… — zacisnęła wargi w przesłodkim, pełnym rozkoszy uśmiechu. — Chcę, żeby ono jeszcze przez jakiś czas było tylko moje. Nasze.

Michael uniósł jej dłoń do ust.

— Jakiś czas, czyli jak długo?

— Nie jestem pewna — odparła, lecz jej oczy nabrały przebiegłego wyrazu. — Nie jestem całkiem pewna…

Rok później…

Violetta Bridgerton kochała swoje dzieci równie mocno, ale kochała je niejednakowo. Tęskniła za nimi także w sposób, który uznawała za całkowicie logiczny. Serce jej się wyrywało najbardziej do tych, które widywała najrzadziej. Dlatego, czekając w salonie Aubrey Hall, aż na podjazd zajedzie powóz z herbem Kilmartin, nie mogła usiedzieć w miejscu i co pięć minut podbiegała do okna.

— Napisała, że dzisiaj przyjadą — zapewniła ją Kate.

— Pamiętam — odparła Violetta z zażenowanym uśmiechem. — Tyle że nie widziałam jej przez cały rok. Wiem, że do Szkocji jest daleko, ale nigdy dotąd nie musiałam czekać aż rok na spotkanie z dzieckiem.

— Naprawdę? — zapytała Kate. — To niezwykłe.

— Wszyscy mamy swoje priorytety — odparła Violetta, uznawszy, że nie ma sensu ukrywać niecierpliwości. Odłożyła robótkę i podeszła do okna, po czym wyciągnęła szyję, gdyż wydawało się jej, że w promieniach słońca coś zalśniło.

— Nawet kiedy Colin tyle podróżował? — zapytała Kate.

— Najdłuższa jego nieobecność trwała trzysta czterdzieści dwa dni — odparła Violetta. — Objeżdżał wtedy Morze Śródziemne.

— Liczyłaś?

Violetta wzruszyła ramionami.

— To silniejsze ode mnie. Lubię liczyć — przypomniała sobie, ile to razy liczyła dzieci, kiedy jeszcze były małe, sprawdzając, czy pod koniec wycieczki ma ich tyle samo co na początku. — Dzięki temu się nie gubię.

Kate z uśmiechem pochyliła się i poruszyła kołyską, która stała u jej stóp.

— Nigdy nie będę narzekać na problemy z opanowaniem czworga.

Violetta przeszła przez pokój, by spojrzeć na najmłodszą wnuczkę. Pojawienie się małej Mary było wielką niespodzianką, gdyż od narodzin Charlotte minęło już wiele lat. Kate uznała, że czas porodów ma już za sobą, a jednak dziesięć miesięcy temu wstała, podeszła spokojnie do nocnika, zrzuciła z żołądka całą jego zawartość i oznajmiła Anthony'emu:

— Chyba znów spodziewamy się dziecka.

A przynajmniej tak przedstawili to Violetcie. Ona z zasady trzymała się z dala od sypialni swych dorosłych dzieci, z wyjątkiem chorób i porodów.

— Nigdy nie narzekałam — powiedziała cicho Violetta. Kate jej nie dosłyszała, ale Violetta nie mówiła do synowej. Uśmiechnęła się do Mary, słodko śpiącej pod fioletowym kocykiem. — Twoja mama byłaby wniebowzięta — dodała, spoglądając na Kate.

Kate kiwnęła głową i oczy się jej zaszkliły. Jej matka — ściśle rzecz biorąc, była to jej macocha, ale Mary Sheffield wychowywała ją od dziecka — zmarła, a miesiąc później Kate uświadomiła sobie, że jest w ciąży.

— Wiem, że to nie ma sensu — odparła Kate, pochylając się i przyglądając twarzy dziecka — ale przysięgłabym, że mała nieco ją przypomina.

Violetta zamrugała i przechyliła głowę.

— Chyba masz rację.

— Coś ma w oczach…

— Nie, to nosek.

— Tak myślisz? A mnie się wydawało… o, patrz! — Kate wskazała okno. — Czy to Francesca?

Violetta wyprostowała się i podbiegła do okna.

— Tak! — zawołała. — O, słońce świeci. Zaczekam na dworze.

I nie oglądając się za siebie, chwyciła szal leżący na stoliku i ruszyła do holu. Od tak dawna nie widziała Frannie, ale nie tylko z tego powodu chciała

ją znów zobaczyć. W czasie ostatniej wizyty, z okazji chrzcin Isabelli, Francesca się zmieniła. Trudno to było wyjaśnić, ale Violetta czuła, że coś się w niej odmieniło.

Ze wszystkich jej dzieci Francesca zawsze była najcichsza i najbardziej dyskretna. Kochała swoją rodzinę, lecz bardzo lubiła też przebywać z dala od niej, budując własne życie. Nic dziwnego, że nigdy nie podzieliła się uczuciami dotyczącymi tego, co najbardziej ją w życiu bolało — bezpłodności. Jednak ostatnio, chociaż nie poruszyły tego tematu otwarcie, między nimi coś zaszło, a Violetta miała wrażenie, jakby zdołała przejąć część bólu córki.

Przy wyjeździe zauważyła, że chmury w oczach Franceski znikły. Nie wiedziała, czy córka w końcu zaakceptowała swój los, czy po prostu nauczyła się cieszyć tym, co ma, ale po raz pierwszy w ciągu ostatnich lat Francesca wydawała się bez zastrzeżeń szczęśliwa.

Violetta pobiegła przez hol — w jej wieku! — i popchnęła drzwi wejściowe, żeby poczekać na podjeździe. Powóz Franceski już niemal dotarł do domu — wjeżdżał właśnie w ostatni zakręt.

Przez okno Violetta widziała Michaela. Zamachał do niej; rozpromieniła się.

— Jak ja się stęskniłam! — zawołała, biegnąc do nich, podczas gdy Michael wyskakiwał na zewnątrz. — Musicie mi obiecać, że nigdy już nie będziecie tak zwlekać z wizytą.

— Wiesz, że niczego bym ci nie odmówił — odparł Michael, pochylając się i całując ją w policzek, po czym odwrócił się i wyciągnął ramię, by pomóc wysiąść żonie.

Violetta objęła córkę, a po chwili odsunęła się, by się jej przyjrzeć. Frannie…

Promieniała.

Biło od niej światło.

— Stęskniłam się, mamo — usłyszała Violetta.

I pewnie by coś odpowiedziała, ale niespodziewanie zachłysnęła się. Poczuła, jak usta się jej zaciskają, po czym ich kąciki zaczynają drgać, kiedy próbowała opanować łzy. Nie wiedziała, skąd te emocje. Owszem, nie widziały się ponad rok, ale przecież już raz czekała na dziecko trzysta czterdzieści dwa dni. To niewielka różnica.

— Mam coś dla ciebie — powiedziała Francesca; Violetta przysięgłaby, że jej oczy też błyszczą.

Po czym Francesca odwróciła się do powozu i wyciągnęła ręce. W drzwiach stanęła pokojówka trzymająca zawiniątko. Podała je swojej pani.

Violetcie zabrakło tchu. Dobry Boże, to nie może być…

— Mamo — powiedziała cicho Francesca, tuląc do siebie cenne zawiniątko — to jest John.

Łzy, które cierpliwie czekały w oczach Violetty, spłynęły na policzki.

— Frannie — szepnęła, biorąc dziecko w ramiona — dlaczego mi nie powiedziałaś?

Francesca zaś — jej irytująca, nieodgadniona trzecia córka — odparła:

— Nie wiem.

— Jest piękny! — zachwycała się Violetta, nie przejmując się tym, że o niczym jej nie zawiadomiono. W tej chwili nic się dla niej nie liczyło — nic oprócz maleńkiego chłopczyka w jej ramionach, spoglądającego na nią z niewyobrażalnie mądrą miną.

— Ma twoje oczy — powiedziała Violetta, spojrzawszy na Francescę.

Frannie kiwnęła głową z uśmiechem niemal głupkowatym, jakby nie mogła w to uwierzyć.

— Wiem.

— I twoje usta.

— Chyba masz rację.

— I twoje… naprawdę, wydaje mi się, że ma też twój nos.

— Podobno — wtrącił Michael z rozbawieniem — odegrałem niejaką rolę w jego stworzeniu, lecz muszę poczekać na jakieś dowody.

Francesca spojrzała na niego z wielką miłością.

— Ma twój urok — pocieszyła męża.

Violetta roześmiała się — raz i drugi. Szczęście ją rozpierało.

— Chyba czas przedstawić małego rodzinie — stwierdziła. — Nie sądzisz? — zapytała matkę.

Francesca wyciągnęła ramiona po dziecko, ale Violetta odwróciła się od niej.

— Jeszcze nie — powiedziała. Chciała nadal trzymać wnuka w ramionach. Przez chwilę. Może do wtorku.

— Mamo, John chyba jest głodny.

Violetta przybrała wyniosłą minę.

— Da nam znać.

— Ale…

— Wiem co nieco o dzieciach, Francesco Bridgerton Stirling. — Violetta uśmiechnęła się szeroko do Johna. — Na przykład to, że uwielbiają swoje babcie.

Mały zagulgotał i zagruchał, po czym — była tego absolutnie pewna — uśmiechnął się.

— Chodź ze mną, złotko — wyszeptała. — Mam ci tyle do powiedzenia.

Za jej plecami Francesca odwróciła się do Michaela.

— Jak myślisz, uda się nam go odzyskać przed wyjazdem?

Michael pokręcił głową, po czym odparł:

— Za to będziemy mieli więcej czasu, żeby zapewnić mu siostrę.

— Michaelu!

— Słuchaj go! — zawołała Violetta, nie zadając sobie trudu, by się odwrócić.

— Wielkie nieba! — wymamrotała Francesca.

Ale posłuchała.

I naprawdę się jej podobało.

A dziewięć miesięcy później powitała małą Janet Helen Stirling.

Która wyglądała identycznie jak jej ojciec.

Drzewo genealogiczne Bridgertonów

Violetta Ledger (ur. 1766) + Edmund (1764–1803)

Anthony (ur. 1784)	Colin (ur. 1791)	Eloise (ur. 1796)	Gregory (ur. 1801)	Hiacynta (ur. 1803)
Ktoś mnie pokochał Tom 2	*Miłosne tajemnice* Tom 4	*Oświadczyny* Tom 5	*Ślubny skandal* Tom 8	*Magia pocałunku* Tom 7

Benedict (ur. 1786)	Daphne (ur. 1792)	Francesca (ur. 1797)
Propozycja dżentelmena Tom 3	*Mój książę* Tom 1	*Grzesznik nawrócony* Tom 6

Więcej informacji na www.juliaquinn.com